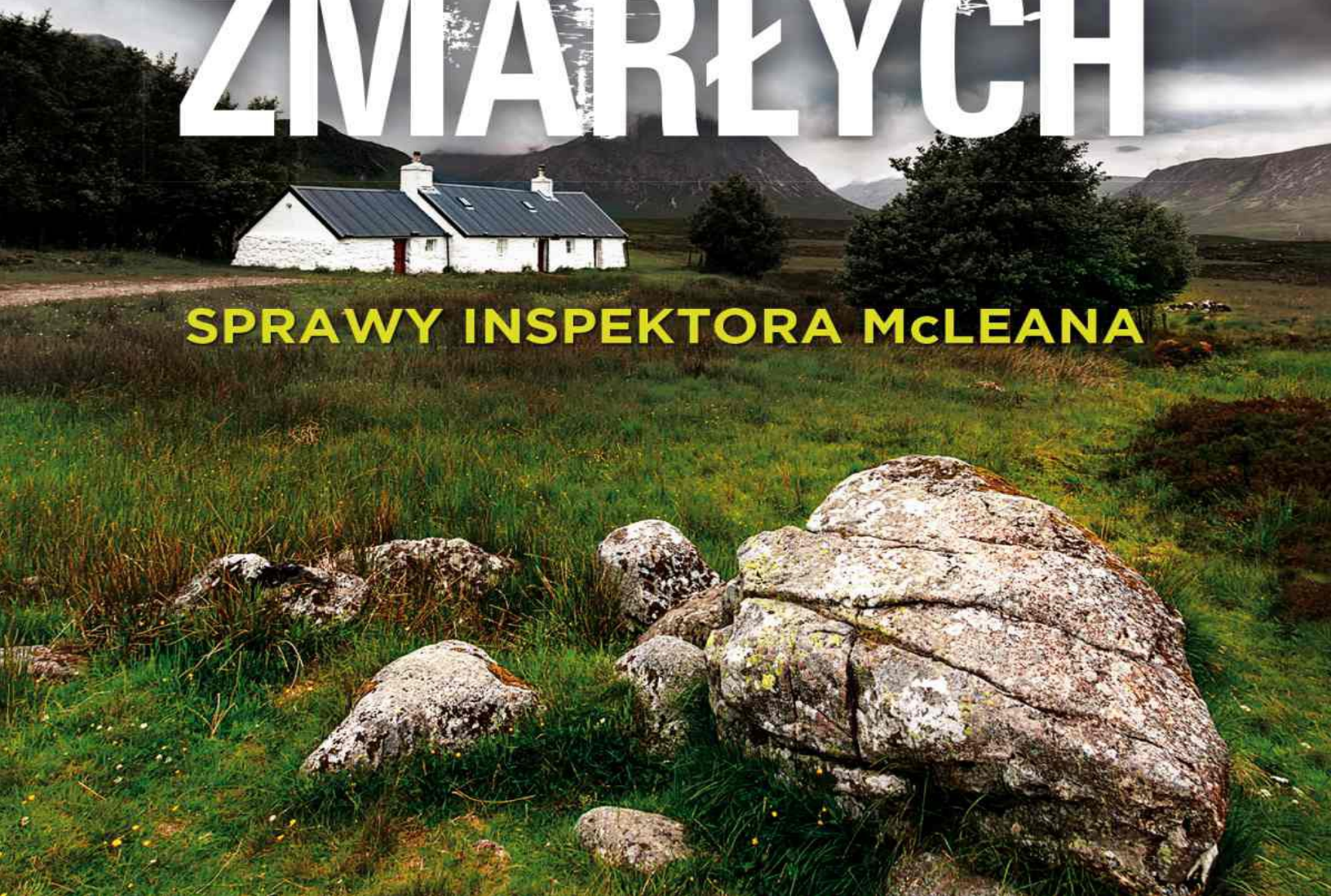


„Godny następcą Iana Rankina!”
DAILY RECORD

JAMES OSWALD

KOŚCI ZMARŁYCH

SPRAWY INSPEKTORA McLEANA



JAMES OSWALD

**KOŚCI
ZMARŁYCH**

Tłumaczenie: *Zuzanna Byczek*



Tytuł oryginału: *Dead Men's Bones*

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Skład i łamanie: ALINEA

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Zdjęcia na okładce:

chmury: © feiyuezhangjie

domek: © Johan Dalstrom

Copyright © 2014 by James Oswald

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ISBN 978-83-7686-472-3 (e-book)

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

virtualo

konwersja.virtualo.pl

*Dla Bobów: Duncana, Elspeth,
Fingala, Hectora i Magnusa.
Dzięki za piwo i wspólne
Wieczory z Szynką.*

1

Ból jest wszędzie.

W głowie pulsuje, jakby ktoś wywiercił mu dziurę w czaszce i ścisnął mózg w rytmie bicia serca. Ból płynie żyłami niczym kwas, wyzera go od środka. Zgrzyta w stawach, mimo że są nieruchome. Płonie na skórze jak pled z ognia.

Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Dokoła jest tylko ciemność, w uszach rozbrzmiewający echem ryk i ten wszechogarniający ból. Może znów jest w Afganistanie? Skończył jak Bodie i Jugs? Stąpnął na minę-pułapkę, podłożoną przez jakiegoś arabusa? Nie. To było wtedy. Odbył służbę, przeżył. Czy to dobrze, inna sprawa.

Pamięta miasto, sekretny świat ludzi mieszkających na ulicy. Był jednym z nich. Był bezpieczny przez jakiś czas. Udało mu się stanąć na nogi, zbudować jakieś życie. Takie, jakie rozumiał: walka o przetrwanie, o kolejną porcję alkoholu.

Spokój. Spróbuj zachować spokój. Pozwól dojść do głosu dawnym umiejętnościom. Bywał w gorszych tarapatkach, bez dwóch zdań. Musi tylko zebrać się w sobie. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, wciąż czuje to pulsowanie w czaszce, świad całego ciała, papier ścierny w biodrach, łokciach i kolanach.

Powoli panika ustępuje, zostaje tylko ból. Z bólem da sobie radę. Potrafi go zignorować. Skupić się na czymś innym, próbować dojść, co się z nim dzieje. Zaciska dłonie, jęczy, ból gwałtownie przenika ramiona. Dźwięk dodaje mu otuchy, jest konkretny i zrozumiały. Więzy wokół lewej dłoni jakby odrobinę zelżały. Skup się. Wykorzystaj to. Nie zwracaj uwagi na ból, nie trać energii. Atakuje pasek jak terier szczura. Wytrwale, uparcie, obsesyjnie.

Nagle pasek ustępuje. Jakby ktoś strzelił mu prosto w łeb. Ciemność wybucha kalejdoskopem kolorów, które wirują dokoła, błyskają. Chociaż czuje, że jest bliski przegranej, zaciska zęby, wydaje z siebie dźwięk przypominający krótkie szczeknięcie. Triumf zmieszany z porażką. Pozwala uwolnionej dłoni opaść wzdłuż boku i zbiera siły przed kolejną bitwą.

Najpierw pasek wokół głowy. Śliskie od potu palce walczą ze zbyt mocno zaciśniętą sprzączką. Wydaje się, że minęły całe godziny, nim wreszcie udaje mu się ją rozpiąć. Miał nadzieję, że teraz pulsowanie w czaszce ustąpi, lecz przeciwnie, jeszcze się nasiliło. Dotyka czoła. Skóra jest szorstka i ściągnięta, miejsce, w którym spoczęły palce, wybucha ogniem.

Zaznał bólu nieraz. Podczas treningu do sił specjalnych zmuszano jego ciało do takich rzeczy, że większość ludzi pewnie by nie uwierzyła. To teraz jest jednak znacznie gorsze. Kiedy próbuje usiąść, tylko paski ciasno zaciśnięte wokół kostek powstrzymują go przed upadkiem. Próbuje je rozwiązać, ale wysiłek prawie go zabija. Nic nie może poradzić, osuwa się na podłogę. Przynajmniej jest chłodna, koi skórę w miejscach, które jej dotykają. Przywiera do niej jak dziecko do matki, rozpaczliwie szuka tej drobnej ulgi.

Okazuje się krótkotrwała. Chłodny dotyk na powrót rozpala skórę, wznosi cierpienie na kolejny poziom. Jakby kamień zmienił się w papier ścierny i pocierał powierzchnię ciała, już i tak zdartego niemal do żywego mięsa. Jakby ktoś wcierał w rany sól i sok z cytryny.

Podnosi się z trudem, opiera o nosze. Widzi światło. Prawdziwe światło, nie fajerwerki, które wypełniały jego pole widzenia od chwili, kiedy po raz pierwszy próbował wykonać jakiś ruch. Ale to, co widzi, starcza, by panika powróciła, żeby wypełniła jego gardło jak wymiociny.

Znajduje się w sali tortur. Otaczają go przeróżne narzędzia przeznaczone wyłącznie do zadawania bólu. Długie mechaniczne ramiona zakończone igłami, pudełka okręcone drutem, chromowe poręcze nabite rzędami zacisków szczękowych. Butelki pełne kolorowych płynów, trucizn, kwasów.

Cofa się przerażony i w tym samym momencie chwyta kątem oka jakiś ruch. Szyba, nie, lustro. Obca postać powtarza jego niezgrabne kroki. Nie widzi zbyt wiele w ciemności, ale i tak podchodzi bliżej. Coraz bliżej. Na razie nie wie, co jest nie tak z postacią w lustrze.

Ale po chwili już widzi. Postać patrzy na niego w stłumionym świetle. Twarz. Jego twarz. Twarz demona. Dzikie obłąkane oczy. Policzki, nos, czoło i ogoloną czaszkę pokrywają czarne zawijasy. Spogląda w dół, na swoje ramiona. Wzory wiją się na całym ciele. Są pod skórą: obce upiorne stworzenia pożerają go od środka.

Wpada w panikę. Fala adrenaliny zmywa wszystko dokoła. Pozostaje tylko nieodparta chęć ucieczki. Rzuca się do drzwi, biegnie przez puste korytarze, świadom jedynie bólu i niczego poza tym. Nie wie, dokąd ucieka, nie ma żadnego planu. Byle się stąd wydostać.

I nagle znajduje się na zewnątrz. Białe płatki sypią się z nocnego nieba. Biegnie dalej, ledwo sobie uświadamia, że jest nagi. Prawie nie czuje zimna pod stopami ani uderzeń niskich gałęzi na obolałej skórze. Jest tak przerażony, że nie zauważa, kiedy kończy się ziemia. Nogi i ramiona wciąż pracują. Pchany ich siłą, spada z klifu i leci coraz niżej, coraz dalej w dół.

2

– Jezu, ale zimno.

Inspektor Tony McLean tupał w sięgającym kostek śniegu, desperacko usiłując pobudzić w nich krążenie. Czerwone dłonie wcisnął pod pachy, szukając ciepła, boleśnie świadom, że nie przygotował się odpowiednio na tę wyprawę. Latem Roslin Glen było wspaniałym miejscem. Rzeka North Esk płynęła tu wrytym w piaskowcu wąskim, głębokim wąwozem, który rozszerzał się w miejscu, gdzie Tony właśnie stał – tam, gdzie skręca w górę droga na Rosehall i Dalkeith. Zwykle był to silnie nasłoneczniony punkt. Ale nie dzisiaj. Tego dnia wiatr dał w wąskim korytarzu, wznosząc wiry śniegu, a ten natychmiast przyklejał się do każdego fragmentu odsłoniętej skóry.

– Trzeba było zabrać płaszcz, szefie. Bywa tu chłodnawo. – Sierżant Laird, wśród przyjaciół i wrogów znany jako Bob Gburek, wyglądał jak pocziwy wujaszek przebrany za świątecznego krasnala. Miał na sobie pikowaną kurtkę i grube rękawice, a na łysiejacej czaszce jaskrawożółtą czapkę z pomponem. Zimny wiatr pomalował mu policzki i czubek nosa na czerwono. Albo dał znać o sobie wieloletni nałóg. A może jedno i drugie.

– Wiesz może, dokąd mamy iść? – McLean obrócił się na piętach, jednocześnie obejmując parking spojrzeniem.

Stało na nim kilka radiowozów, furgonetka ekipy technicznej i zardzewiała peugeot kombi. Ludzi jednak nigdzie nie było widać. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę porę roku i śnieg wciąż sypiący z nieba w kolorze starego sińca. Chyba tylko ktoś doskonale obeznany w terenie ryzykowałby spacer w w takich warunkach.

– Rzeka jest tam, zdaje się. – Bob Gburek machnął w stronę najbliższego samochodu.

W śniegu rysowała się wydeptana i już częściowo zasypana ścieżka. W oddali powinien widnieć zamek wznoszący się na skale. Może nawet kaplica, o ile McLean dobrze pamiętał. Ale dzisiaj nie było na to szans. Ruszył przed siebie. Kiedy mijał furgonetkę technicznych, drzwi się rozsunęły i ze środka wyostał się podmuch ciepła zmieszany z nieomylnym zapachem prawdziwej kawy. Oraz posterunkowy Stuart MacBride.

– O, już pan jest.

– Raczej nie da się zaprzeczyć. – McLean zerknął do środka.

Paru technicznych kulilo się przy czymś, co wyglądało na przenośny piecyk gazowy i co z pewnością nie spotkałoby się z akceptacją komisji do spraw bezpieczeństwa i higieny pracy.

– Pewnie nie macie zapasowej kurtki?

Owszem, może i była wściekle żółta i ozdobiona biegnącym przez środek wielkim niebieskim napisem „Strathclyde Water”, ale przynajmniej ciepła. McLean opatulił się szczelnie kurtką i ruszył za kolegami wąską ścieżką, wiodącą od parkingu w głąb doliny.

Drzewa wznoszące się z obu stron tworzyły coś w rodzaju tunelu i osłaniały przed najgorszymi podmuchami, ale w zamian groziły zwaleniem lawiny śniegu na nieostrożnego przechodnia.

– Co właściwie będziemy dzisiaj oglądać, posterunkowy? – zapytał McLean, kiedy ścieżka doprowadziła ich do niewielkiej łączki, na której pasło się stadko biednych owiec.

– Zwłoki. Musiał spaść gdzieś dalej, w górze rzeki. Ostatnio przybyło wody, pewnie zmyło go na te skałki.

Pokonali połamany płot i znaleźli się na gęściej zadrzewionym obszarze. Tutaj ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu – wystarczająca, by zrobiło się bardzo ślisko. Stromy brzeg bynajmniej nie poprawiał sytuacji. McLean jakimś sposobem zdołał dotrzeć na sterczącą nad wodą płaską skałę i ani razu nie zaliczyć gleby. Nieco dalej kilku mundurowych kuliło się z zimna we wściekle żółtych kurtkach. Bałtyckie powietrze zmieniało ich oddechy w parę.

– Tutaj? – McLean wskazał w dół, gdzie rzeka płynęła wąskim kanałem między płaskimi skałami.

Z dołu docierał głośny szum wody. Dwóch technicznych pilnie budowało konstrukcję złożoną z ramy i wyciągu. Obaj mieli na sobie specjalne wodoodporne ubrania i hełmy, podobne do tych, które często wkładają kajakarze i grotolazi. Niewątpliwie wyciągnęli krótsze słomki, kiedy zdecydowano, kto pójdzie po zwłoki.

– Kto go znalazł? – spytał McLean posterunkowego, kiedy podeszli na sam skraj. Uważał na każdy krok, świadom, że w każdej chwili może spaść głową w dół, prosto w odmęty North Esk.

– Jeden z mieszkańców wsi. Codziennie chodzi tu z psem na spacer. Cholerny świr, jeśli chce pan znać moje zdanie. – Policjant zrobił zmieszaną minę, po czym dodał: – Sir.

McLean w milczeniu popatrzył w głąb parowu. Rzeka ryła ten wąwóz w piaskowcu przez tysiące lat. Miejscami kamienne ściany wznosiły się na wysokość dobrych trzydziestu metrów. Tutaj rzeka napotkała opór twardszej skały. Wzburzony nurt wypychał wielkie głazy i układał z nich zapórę. Wąski kanał, na który McLean patrzył, to była jedna z wielu dróg, którymi woda okrążyła przeszkodę, by popłynąć dalej w stronę Firth of Forth. Leżała tam cała masa przeróżnych odpadków, pni drzewnych i śmieci, znalazł się nawet wózek z supermarketu. A teraz również nagi martwy mężczyzna.

Tak w każdym razie przypuszczał McLean, chociaż niewiele mógł dojrzeć w słabym świetle. Woda potraktowała ciało dość brutalnie, obróciła je i rzuciła na skały, powyginała nogi i ramiona w nienaturalny sposób. Głowy w ogóle nie było widać, kryła się między kamieniami. McLean wzdrygnął się na myśl, że może w ogóle jej tam nie być. Nie pierwszy raz ktoś utrudniłby im pracę w ten sposób. Za każdym razem było to tak samo nieprzyjemne doświadczenie.

Przede wszystkim jego uwagę zwrócił kolor ciała. Widok czarnoskórego mężczyzny w mieście wielkości Edynburga rzecz jasna nie należy do rzadkości, ale w tym przypadku kolor wyglądał jakoś podejrzanie. A może raczej tekstura?

– Mamy go wyciągnąć?

McLean podniósł wzrok i spojrzał na jednego z technicznych – jak się okazało, stojącego znacznie bliżej, niż McLean się spodziewał. Nie usłyszał jego kroków. Nieustający grzmot wody tłumiał wszystkie dźwięki.

– Póki leży na dole, nic nie zrobimy. Tak, wyciągnijcie go.

Odsunął się i patrzył, jak spuszczaają wąskie nosze. Jeden z oficerów obwiązał linę wokół najbliższego głazu, a jego kolega ostrożnie wszedł do wody. Minęły całe wieki, McLean zaczął tracić czucie w stopach. Wreszcie oficer odwrócił się i uniósł kciuki. Potem techniczni razem unieśli nosze i umieścili je na płaskiej skale.

– Utknął łbem w pierdolonej szczelinie. Cholerna robota. – Oficer zaczął zwijać linę, a jego kolega rozmontowywać ramę i wyciąg. Obaj mieli takie miny, jakby marzyli jedynie o powrocie do furgonetki i gazowego piecyka.

McLean nie mógł mieć o to pretensji. Ukucnął obok ciała, wciąż dziwacznie wykręconego i połamanego przez rzeczny nurt. Nie widział twarzy. Bez wątpienia był to mężczyzna. Dowód, choć mały i skurczony, nie budził wątpliwości. Podobnie jak fakt, że denat nie miał ciemnej skóry. Tu i tam błyskały nieliczne jasne fragmenty.

Resztę ciała, od stóp do głów, dłonie, palce, nawet penis, pokrywały tatuaże w formie ciemnych zawijasów.

3

... napływają informacje na temat strzelaniny w domu w północno-wschodniej części Fife. Mężczyzna, wstępnie zidentyfikowany jako Andrew Weatherly, zastrzelił żonę i dwie córki, po czym popełnił samobójstwo przy użyciu tej samej broni. W tym momencie jeszcze nie możemy potwierdzić, że chodzi o posła do Holyrood, Parlamentu Szkockiego, z okręgu Fife West...

McLean wcisnął guzik na kierownicy, którym zmieniało się stacje radiowe, w poszukiwaniu kojącej muzyki. Miał dosyć własnych kłopotów, nie zamierzał wysłuchiwać historii o sprawach podlegających innym wydziałom. Tyle że teraz wszyscy byli jedną wielką rodziną pod wspólną nazwą Policji Szkockiej.

Zauważył przesmyk między samochodami i przyspieszył, przez chwilę rozkoszował się tempem jazdy, ale już po pięćdziesięciu metrach znów musiał zwolnić. Dojazdy były prawdziwym koszmarem, nie pierwszy raz tęsknił za dawnym mieszkaniem na Newington. Chodzenie pieszo do pracy miało swoje zalety nawet podczas takich chłodów i w śniegu. Łatwiej myśleć do rytmu kroków na chodniku niż w tym poruszającym się zrywami tłumie samochodów.

Przynajmniej nie musiał narzekać na wóz. Ani martwić się, że rozpuści się w soli, którą sypano ulice. Stara alfa jeszcze nie wróciła z warsztatu i nie mógł pozbyć się myśli, że w gruncie rzeczy dobrze się stało.

Już miał skręcić w boczną uliczkę, w nadziei że skróci sobie podróż o kilka sekund, kiedy zadzwonił telefon, i to bardzo donośnie, bo przez głośniki. Mniej ceniona przez niego zaleta nowoczesnego samochodu. Wcisnął przycisk na desce rozdzielczej aktywujący system *Hands-free*.

– McLean.

– Gdzie ty się, do cholery, podziewasz?

Dzień dobry, nadinspektorze Duguid, mnie również miło pana słyszeć. McLean spojrzał na zegar. Pomarańczowe cyfry pokazywały, że do ósmej zostało jeszcze dwadzieścia minut.

– W tym momencie, szefie? Jestem w swoim samochodzie, który stoi w korku na Lothian Road. A pan gdzie się w tej chwili znajduje?

– Nie pyskuj, McLean. Miałeś być na porannym briefingu, o wpół do siódmej.

Pierwszy raz o tym słyszał. Po tak zwanym incydencie na strychu odsunięto go od aktywnej służby niby do czasu, aż wyleczy złamaną nogę, ale nieoficjalnie do zakończenia, jak się wydawało, niemającej końca serii spotkań z jego ulubionym psychiatrą, profesorem Mattem Hiltonem. Wczorajsza wyprawa do Roslin Glen to była pierwsza porządna sprawa od wielu miesięcy.

– Poranny briefing, szefie? Jaki briefing?

Krótką pauza, jakby nadinspektor popadł w zamyślenie.

– No tak. Nie jesteś częścią zespołu.

Krótkiemu epizodowi z Duguidem w roli komendanta litościwie położyło kres powstanie tworu zwanego Policją Szkocką. Była to jednak zapewne jedyna pozytywna strona całej tej żalostnej reformy. Wydział dochodzeniowo-śledczy zmienił nazwę na wydział kryminalny i podzielił się na imponującą liczbę zespołów wyspecjalizowanych w przeróżnych aspektach przestępczych umysłów rodem ze Szkocji. Człowiek ledwo miał czas, żeby się zorientować, gdzie akurat danego dnia pracuje.

– Nieważne. – Zero przeprosin. To by nie było w stylu Duguida. – Znajdź mnie, jak tylko przyjedziesz, okej? Mam dla ciebie zajęcie.

Linia umilkła. Głos nadinspektora zastąpiło radio, w którym akurat grano radosną popową piosenkę, nieznaną McLeanowi. Na moment zapatrzył się przed siebie, ale nagle dotarło do niego, że samochód z przodu zaczął się oddalać. Wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg i dodał gazu. A już się cieszył na dochodzenie w sprawie ciała znalezione w Roslin Glen. Ale cóż, jak to nieraz bywa, życie miało wobec niego inne plany.

– Wiem, że to katastrofa. I fatalny moment. Wiem też, że roboty nam nie brakuje.

Mimo całego zamieszania towarzyszącemu powstawaniu Policji Szkockiej nadinspektor Charles Duguid jakimś cudem zdołał zatrzymać wielki gabinet na trzecim piętrze. Teoretycznie miał zawiadywać Oddziałem do spraw Przestępczości i Bezpieczeństwa Publicznego, wcześniej znanym jako Lothian i Borders, więc w pewnym sensie było to uzasadnione. McLean i tak skrycie marzył, by do gabinetu wróciła poprzednia właścicielka. Niestety, z reguły jego marzenia w tej dziedzinie pozostawały niespełnione.

Duguid, może składając w ten sposób hołd poprzedniczce, a może kierowany patologiczną potrzebą ciągłej kontroli otoczenia, od pewnego czasu i na jakiś czas w ciągu dnia zostawiał drzwi otwarte. McLean zatrzymał się na zewnątrz i słuchał rozmowy telefonicznej, zastanawiając się, kiedy powinien wkroczyć.

– Wiesz może, o co chodzi? – spytał sekretarkę czuwającą przy biurku tuż obok drzwi gabinetu.

– Zdaje się, że o tego posła, który zabił rodzinę. Okropna, okropna historia. – Potrząsnęła głową i wróciła do stukania w klawiaturę.

– McLean, nie stój tak, chyba nie przyszedłeś na pogawędkę z sekretarką. Włącz do środka. I zamknij drzwi. – Duguid stał tuż przy wejściu, jak zwykle zniecierpliwiony. W jednej dłoni trzymał telefon, który znów przyłożył do ucha, kiedy tylko McLean wypełnił polecenie. – Nie. Jest tu teraz. Wszystkiego się dowiem, proszę się nie martwić, szefie.

McLean uniósł brwi. Nie spodziewał się żadnych wyjaśnień. I nie przeżył rozczarowania – Duguid rozłączył się, położył telefon na biurku i rozparł się w wielkim skórzanym fotelu. W końcu spojrzął na McLeana.

– Jak noga?

McLean poruszył się lekko. Biodro nadal go bolało, chociaż minęło już kilka miesięcy. Owszem, odczuwał poprawę, ale zimna aura bynajmniej nie pomagała.

– Coraz lepiej, dziękuję. Raz w tygodniu chodzę na rehabilitację, ale to żaden problem.

Duguid zmrużył oczy. Przesunął w stronę McLeana kartkę papieru i nie patrząc na nią,

powiedział:

– Wstępna ocena psychiatryczna głosi, że możesz wrócić do pracy. – Zabrzmiało to, jakby Duguid traktował ów fakt niczym osobistą obrazę.

– Bardzo się cieszę, szefie, bo wróciłem już jakiś czas temu.

– Oszczędź mi sarkastycznych uwag, McLean. Zapewne słyszałaś o Andrew Weatherlym?

– Pośle do parlamentu? Coś wspominali rano w radiu, ale myślałem, że jeszcze nie potwierdzono...

– O, to na pewno on. Pieprzony idiota. – Duguid potarł twarz. Chwytlive paluchy, długie i cienkie, sprawiały wrażenie, jakby je wyposażono w zbyt wiele stawów. – Wygląda na to, że zabił żonę i dzieci, a potem strzelił sobie w łeb. Po co, kurwa, ktoś robi coś takiego?

– Naprawdę nie mam pojęcia, szefie. Może żył w dużym stresie?

Duguid spojrział na niego jak na wariata.

– A ja to co niby jestem? Jego terapeutą? Skąd mam wiedzieć?

McLean milczał. Wiedział, że najlepiej odczekać i nie reagować. A skutkami martwić się później.

– Nasz pan Weatherly był człowiekiem o szerokich koneksjach. Należał do Komisji do spraw Współpracy z Policją. Zostawił mnóstwo odcisków palców na naszej ulubionej Policji Szkockiej, więc sam rozumiesz, co to oznacza dla naszych przełożonych. Chcą jak najszybciej pozamiatać.

– A to nie jest sprawa dla Fife? To przecież ich teren.

Duguid rzucił mu wzgardliwe spojrzenie.

– Już nie ma żadnych „terenów”. Jesteśmy jedną, kurwa, wielką szczęśliwą rodziną, zapomniałaś?

McLean zaszurał stopami, próbował powstrzymać się przed niecierpliwym podskakiwaniem. Jasne, znał nowe struktury, ale stary podział na regiony w ramach wydziału kryminalnego nadal istniał. Nie było potrzeby jeździć do Fife i denerwować miejscowych.

Duguid znów zrobił to coś z paluchami, po czym ciężko opadł na oparcie fotela, które zaskrzypiało ostrzegawczo i odchyliło się gwałtownie, jakby zaraz miało go zrzucić na podłogę.

– Posłuchaj. Ludzie z Fife są teraz na miejscu. Tak, to ich teren, jak raczyłeś zauważyć. Ale Weatherly był posłem. Miał dom w Edynburgu, tutaj prowadził interesy. A więc, czy tym z Fife się to podoba, czy nie, bierzemy udział w dochodzeniu.

– I co mam zrobić?

– Sądziłem, że to oczywiste, McLean. To, co zwykle. Grzeb głębiej niż to konieczne. Komplikuj, co tylko się da.

McLean zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał. Na pewno nie z ust Duguida.

– Ale myślałem, że kwatera główna...

Duguid pochylił się do przodu, podparł łokciami o blat biurka.

– O to sięga wyżej, McLean. Samej góry. Chcą posprzątać szybko i skutecznie. Jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Pieprzyć to. Niewinna kobieta i dwie dziewczynki nie żyją. Nie obchodzi mnie, czy ich morderca się zabił. Chcę wiedzieć, co nim kierowało, a jeśli przy okazji wejdziemy kilku osobom w paradę, no to trudno.

Pół godziny później McLean wszedł do pokoju dochodzeniówki, jak zwykle pogrążonym w gorączkowej beczynności. Jego mózg nadal próbował przepracować rozmowę z nadinspektorem. Duguid nie przestawał go zdumiewać. Pozostawała też drobna kwestia: na kogo spadnie wina, kiedy wszystko się spierdoli. Bo niewątpliwie się spierdoli. Nie pierwszy raz McLean został skazany. I zapewne nie ostatni.

– Dzień dobry. – Głos dochodzący zza otwartych drzwi był świeży i pełen zapału, podobnie jak wyszorowana do różowości twarzyczka właściciela. Posterunkowy MacBride pilnie siedział przy swoim biurku.

– Dzień dobry. Jesteś sam?

– Briefing w pokoju głównym, szefie. Nadinspektor Brooks postanowił oświecić wszystkich inspektorów i sierżantów w kwestii bieżących dochodzeń. – MacBride zrobił zbolaną minę, prawdopodobnie naśladowując wyraz twarzy McLeana.

– Chyba umknęła mi notatka służbowa. – To by tłumaczyło poranny telefon Duguida. – Nieważne, mam lepsze rzeczy do roboty, niż słuchać bełkotu w wykonaniu Brooksa. Dowiedziałeś się czegoś na temat naszego tajemniczego mężczyzny z tatuażami?

MacBride pogrzebał w teczkach na biurku i wyciągnął jedną z nich – rozczarowująco cienką. Ale przynajmniej opatrzoną oficjalnym kodem.

– Jeszcze nic. Ciało jest w kostnicy, czeka na sekcję. Zasięgnąłem języka w rejestrze osób zaginionych. Nikt nie odpowiada opisowi. Niewiele można zrobić, póki się nie dowiemy, czy w ogóle są powody do podejrzeń.

– Był nagi. Jak dla mnie, to wystarczająco podejrzane. Gdyby po prostu wpadł do wody, powinien coś na sobie mieć.

– Mógł zdjąć ubranie. Podobno ludzie czasem tak robią, kiedy bardzo marzną. Coś im się płacze w głowie, mają wrażenie, że się gotują. Chyba gdzieś o tym czytałem...

– Zaburzenia świadomości spowodowane hipotermią. Tak, całkiem możliwe. – McLean potrząsnął głową. – Cóż, wkrótce się dowiemy. Wiesz, kiedy odbędzie się sekcja?

– Nie. Ale mogę zadzwonić. – MacBride sięgnął po telefon.

– To może poczekać. Na początek mam inne zadanie. Jest tu gdzieś Ritchie?

– U Brooksa na briefingu, tak jak cała reszta. Może ja mógłbym w czymś pomóc? – Pełne nadziei spojrzenie posterunkowego stanowiło naprawdę piękny widok. Był jak szczeniak, który rozpaczliwie pragnie, by to jego wybrali nowi właściciele. McLean z przykrością musiał go rozczarować.

– Potrzebne mi jej szczególne umiejętności – odparł dyplomatycznie, bo nie mógł powiedzieć prawdy: że wolałby nie utknąć z MacBride'em w samochodzie na parę godzin, kiedy mógł sobie wybrać mniej rozentuzjarmowane towarzystwo. – Poza tym Ritchie zna kogoś z regionu Fife, co może się okazać bardzo korzystne.

– Fife? – Zdumiona mina ustąpiła zrozumieniu z towarzyszeniem szeroko rozwartych oczu. – O

– Zgadza się. O Duguid kazał mi pogrzebać w krwawej jatce. Jeśli masz choć odrobinę rozsądku, to lepiej zostań tutaj.

4

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że może byłoby jednak lepiej, gdyby zabrał MacBride'a. Sierżant Ritchie zareagowała z wielką wdzięcznością, kiedy wyciągnął ją z bezsensownego briefingu, ale wyglądała na bardzo zmęczoną i przez całą drogę prawie nic nie mówiła.

– Brooks jest aż tak fatalny? – próbował zagaić, kiedy zwolnili, by przeczołgać się przez kolejne niekończące się roboty drogowe na północnym krańcu miasta, gdzie znajdował się wjazd na nowy most prowadzący do Fife.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. – Ritchie potrząsnęła głową.

– Teraz znów należysz do mojego zespołu. Tylko pamiętaj, jeszcze możesz pożałować.

Przed Halbeath, kiedy ruch wreszcie zelżał, McLean wrzucił bieg i dodał gazu. Uwielbiał to uczucie, kiedy wbijała go w fotel siła silnika V6. Dźwięk też bardzo lubił. Wiedział jednak, że samochód jest niemal tak samo nieodpowiedni do jego stanowiska, jak model klasyczny, który właśnie przechodził kosztowną naprawę w specjalistycznym warsztacie w Anglii. Nie wspominając już, z jakim bólem – dosłownie – wiązało się wsiadanie i wysiadanie z nogą dopiero co wyjętą z gipsu.

Śnieg zbierał się na poboczu, szary od soli i brudu. Jechali przed siebie w milczeniu. McLean dawno nie odwiedzał tej okolicy, ale nie dostrzegał większych zmian. Może przybyło kilka magazynów na obrzeżach Kinross. Ale każda suma przesłana ze stolicy, zwykle zresztą niewielka, wyparowywała tym szybciej, im dalej na północ. Kiedy minęło się Auchtermuchty, nawet wyboje na drodze wyglądały tak, jakby rosły tam od stuleci.

McLean wydrukował sobie wcześniej mapę, ale i tak, nim dotarli na miejsce, musieli zaliczyć kilka błędnych skrętów i rozmowę z pomocnym farmerem o ogorzałej twarzy. Jeśli skąpe wiadomości na temat Andrew Weatherly'ego były prawdą, a nie wymysłem mediów, zaczynał on raczej skromnie, ale z wielkim entuzjazmem przyjął styl życia osiadłego na wsi arystokraty. Jego rezydencja stała z dala od drogi, w naturalnym zagłębieniu na końcu płytkiej doliny. Po zachodniej stronie wznosiło się największe wzgórze w okolicy, teraz przysypane grubą warstwą śniegu. Ciemne sylwetki świerków wyznaczały kształt stoków. Bez wątplenia było to piękne miejsce, co dodatkowo podkreślało grozę ostatnich wydarzeń.

Nim zdążył skręcić z drogi na podjazd, policjanci w mundurach kazali mu się zatrzymać. Wszędzie stały samochody reporterów i furgonetki telewizyjne. Legitymacja McLeana wywołała jedynie lekkie uniesienie brwi, ale na końcu podjazdu znów musiał się zatrzymać – tym razem z powodu biało-niebieskiej taśmy policyjnej.

– Nie ma co wkurzać ich jeszcze bardziej. – Zaparkował najbliżej domu jak tylko się dało i wysiadł. Zimne powietrze uderzyło go w twarz, powiew od strony wzgórza przeniknął do kości. McLean sięgnął do wnętrza samochodu, wyjął ciężki wełniany płaszcz i zdążył go

włożyć akurat na powitanie kolejnego mundurowego.

– Pan jest śledczym z Edynburga, tak?

McLean przytaknął i ponownie pokazał legitymację. Ritchie wygramoliła się z samochodu i rozglądała dokoła, naciągając na dłonie czarne skórzane rękawiczki.

– Oficer dowodzący w namiocie. – Policjant ruchem głowy wskazał niską białą konstrukcję, stojącą w odległości kilku metrów od drzwi wejściowych. McLean już miał ruszyć w tamtym kierunku, ale zatrzymała go dłoń na ramieniu.

– Uprzedzę, że pan przyjechał. Lepiej nie psuć technicznym roboty.

McLean wytrzymał spojrzenie oficera, może nieco za długo jak na zasady uprzejmego zachowania. Był to starszy mężczyzna w stopniu sierżanta. Przypuszczalnie w wieku Boba Gburka. Może trzeba go wziąć do towarzystwa. Pewnie znał wszystkich w rejonie, przynajmniej z widzenia.

– Słusznie – odparł w końcu McLean. – Nie zamierzamy przeszkadzać. Tylko proszę dać znać, kiedy będziecie gotowi.

Sierżant kiwnął głową i ruszył w stronę namiotu, bynajmniej się nie spiesząc.

– Niezbyt uprzejmie, co?

Odwrócił się i spojrzał na Ritchie, która stała oparta o samochód. Piegowatą twarz wykrzywił grymas, krótkie rude włosy źle znosiły lodowate podmuchy wiatru.

– Przypominam sobie, że wcale nie wykazałaś się większą uprzejmością, kiedy przyszedłem na pogrzeb Donalda Andersona. Nikt nie lubi, kiedy ktoś mu włazi na jego terytorium.

– A czy nie temu właśnie miała służyć idea Policji Szkockiej? Koniec z głupią rywalizacją między regionami. Wszyscy razem i całe to motywacyjne pierdolenie, z którego przez pół roku na próżno próbowałam coś zrozumieć.

– Daj sobie czas. I nie traktuj tego zbyt osobiście. – McLean posłał Ritchie coś, co w jego mniemaniu było przyjacielskim uśmiechem, i dostał w zamian uśmiech znużony.

Nagle Ritchie przesunęła spojrzenie na coś za jego plecami i wyprostowała się jak struna, jakby zamierzała stanąć na baczność.

– Inspektor Tony McLean. Nie przypuszczałem, że spotkam cię w tej okolicy.

McLean odwrócił się. Znał ten głos, ale dopiero po chwili skojarzył go z właścicielem. Wysoki, szczupły mężczyzna podszedł bliżej. Towarzyszyli mu umundurowany sierżant i fotograf kryminalny w białym kombinezonie roboczym. Mężczyzna również miał na sobie podobny kombinezon, ale górą część rozpiął i luźno obwiązał rękawy wokół talii.

– Jack? – McLean nie mógł ukryć zdziwienia, chociaż wiedział, że jest ono raczej nie na miejscu. Powinien wiedzieć, że do tak poważnej sprawy przypiszą wyższego rangą oficera. Nadinspektor Jack Tennant bez wątpienia spełniał konieczne kryteria. I ze wszystkich osób, które potencjalnie mogłyby pełnić rolę oficera dowodzącego na miejscu zbrodni, lepszego towarzystwa McLean nie mógł sobie wymarzyć.

– Chyba aż tak bardzo się nie zmieniłem, co? – Nadinspektor przeciągnął dłonią po czole, goniąc uciekającą linię włosów. Znajdowała się w tym samym miejscu już przy ich pierwszym spotkaniu, prawie osiemnaście lat temu. Na szczupłej twarzy, może nawet trochę niezdrowo szczupłej, przybyło zmarszczek. Ale bez wątpienia był to ten sam człowiek, który kiedyś nauczył młodego posterunkowego, na czym polega praca w dochodzeniówce.

– Przepraszam – odparł McLean. – Po prostu nie spodziewałem się, że cię tu spotkam.

Myślałem, że siedzisz przykuty do biurka.

– Zabrzmiało to jak bolesna choroba. I może faktycznie tak jest. W pewnym sensie. Sam wiesz, że sprawa taka jak ta... – Tennant machnął ręką gdzieś w stronę domu – ... jest zbyt poważna, by powierzać ją ludziom, którzy wiedzą, co robią.

– Pewnie dlatego i mnie tu przysłali.

Tennant przekrzywił głowę i popatrzył na McLeana. Potem na Ritchie.

– A kim jest twoja towarzyszka? Bob Gburek już za stary?

– Sierżant Kirsty Ritchie. Nadinspektor Jack Tennant. Bo chyba nadal nadinspektor, prawda?

– Ritchie. Wcześniej pracowałaś w Aberdeen, zgadza się? Z inspektorem Reidem. – Tennant nie zadawał pytań, tylko stwierdzał fakty, jakby czytał w głowie jej życiorys.

– Tak jest. Przeniosłam się jakieś półtora roku temu.

– Aha. Cóż. – Nadinspektor zamilkł, po chwili jakby sobie przypomniał, co tu właściwie robią. Zwrócił się do mundurowego, który przez cały czas podejrzliwie przyglądał się McLeanowi. – Ben, mógłbyś sprawdzić, czy nie znajdzie się więcej kombinezonów? Czas oprowadzić kolegów z Edynburga po miejscu zbrodni.

5

Najpierw weszli do domu. McLean nie wiedział, czy było to zamierzone. Tak czy inaczej, czuł wielką wdzięczność, bo zimno zaczynało się dawać porządnie we znaki. Owszem, gruba wełna nieźle chroni przez chłodem i wiatrem, ale niewiele może zdziałać, kiedy ktoś ma na sobie cienkie skórzane buty i zapomniał o czapce.

W środku mocne reflektory skutecznie przegoniły nawet najwytrwalsze cienie. Stara drewniana boazeria, pokrywająca ściany od podłogi po sufit, lśniła w ostrym świetle. Pośrodku zwisał z pięknej rozety ozdobny żyrandol, mieniąc się niczym brylanty gwiazdy filmowej.

McLean zatrzymał się w drzwiach, omiół wzrokiem pomieszczenia, po których uwijali się techniczni w białych kombinezonach, zbierając materiał dowodowy. Po co, nie wiedział. Sprawa wydawała się oczywista. Tyle że Andrew Weatherly był ważną osobą, a inne ważne osoby pilnowały, by potraktowano go w taki sposób, na jaki w ich mniemaniu zasłużył.

– Możemy wejść? – zapytał nadinspektora Tennanta. Odpowiedziała stojąca obok oficer z ekipy technicznej – spod białego stroju było widać tylko jej oczy i kosmyk miedzianych włosów.

– Trzymać się wyznaczonych ścieżek. Niczego nie dotykać. – Szorstko i konkretnie.

McLean spojrział na podłogę. Czarno-biała szachownica wyfroterowana przez kilka setek lat wieloma parami stóp. Ścieżka zaznaczona srebrną taśmą prowadziła wprost do ciemnych dębowych schodów, wystarczająco szeroka, by bez problemu nią przejść, ale McLean i tak się bał, że straci równowagę i wpadnie prosto między krążących dokoła oficerów technicznych.

Na górze znajdował się szeroki wyłożony dywanem podest, bardzo podobny do tego w domu McLeana. Kilkoro drzwi prowadziło do sypialń i, jak można się było domyślić, również do wspólnej łazienki. Na niskich komodach leżały pozostałości rodzinnego życia: stos czystych ręczników, czekających, by ktoś je schował do szafki, dziecięce książeczki, nadzarty przez mole pluszowy miś bez oka. Na ścianach między drzwiami wisiały zdjęcia: głównie portrety żony Weatherly'ego. O ile McLean dobrze pamiętał, pracowała kiedyś jako modelka.

Ścieżka z taśmy, teraz węższa, wiodła do otwartych drzwi na końcu podestu. McLean czuł obecność Ritchie tuż za swoimi plecami, trochę zbyt blisko, jakby się bała, że zostanie sama w ciemnościach. Wszedł do pokoju dalej, niż miał na to ochotę, by dać jej trochę przestrzeni. I zaraz pożałował.

Była to bez wątplenia sypialnia małżeńska. Duża i wygodna, z dwoma oknami wychodzącymi na podjazd i tymczasowo namiot technicznych. Za dwojgiem drzwi umieszczonych naprzeciwko zapewne mieściły się łazienka i garderoba. McLean dostrzegł, że pokój umeblowano antykami, ale nie poświęcił im zbyt wiele uwagi. Pod ścianą naprzeciwko drzwi królowało szerokie łóżko. Zajmowała je tylko jedna osoba – siedziała sztywno

wyprostowana, wsparta na poduszkach, wcześniej białych, teraz poplamionych ciemnym szkarłatem.

Morag Weatherly zginęła podczas lektury. Nadal trzymała w dłoniach książkę. Weatherly musiał posłużyć się strzelbą z gwintem, ponieważ nie licząc niewielkiej dziurki pośrodku czoła, twarz ofiary zachowała się w całości i nienaruszona. Nie dało się powiedzieć tego samego o tylnej części czaszki. Wygląd ściany sugerował, że dosłownie eksplodowała, malując na welurowej tapecie upiorne „halo” z krwi i fragmentów mózgu. Żona Weatherly’ego przynajmniej zginęła od razu, chociaż sądząc z wyrazu twarzy, zdążyła sobie uświadomić, co się dzieje.

– Był już patolog? – McLean odwrócił wzrok od koszmarnego widoku, przekonany, że jednak w ten sposób nie wymaże go z pamięci.

Sierżant Ritchie patrzyła ponad jego ramieniem, bladocią niemal dorównując ofierze. Przyciskała dłoń do ust i rozpaczliwie przełykała ślinę, by powstrzymać mdłości.

– Jeszcze nie. Twój kumpel Cadwallader właśnie do nas jedzie. – Tennant nadal stał na korytarzu, w bezpiecznej odległości.

McLean nie mógł mieć do niego pretensji.

– Nie było nikogo trochę bliżej?

– O, całe mnóstwo. Ale ciebie też przysłali, a na brak śledczych również nie cierpimy.

McLean potrząsnął głową, częściowo wyrażając zrezygnowane zdumienie, a częściowo próbując, na próżno zresztą, przegonić z pamięci obraz przerażonej twarzy Morag Weatherly. Kiedy podniósł wzrok, okazało się, że Ritchie wciąż gapi się na ofiarę jak zaczarowana.

– Może zejdziesz na dół i zaczekasz tam na Angusa? – Lekko dotknął jej ramienia.

Ten gest wystarczył, by zdjąć zakłęcie. Dreszcz przebiegł ciało Ritchie. Spojrzała na McLeana tak, jakby właśnie wyrwała się z transu.

– Przepraszam. Nie wiem, co mi się stało. Normalnie...

– W tej sprawie nie ma nic normalnego. Ani trochę. – McLean wyprowadził Ritchie na korytarz. – Sprawdź, może w którejś furgonetce znajdzie się czajnik. I uprzedź Angusa, co go czeka, okej?

Tennant nic nie powiedział, kiedy Ritchie zawróciła po ścieżce ze srebrnej taśmy i znikła gdzieś na dole, pośród oślepiającego blasku reflektorów. McLean czekał, aż podwładna znajdzie się w bezpiecznej odległości, i wypuścił długo wstrzymywany oddech.

– Mistrzowski ruch. Dawno nie musiałem wyprowadzać oficera z miejsca zbrodni.

– Nie chciałem, żeby zarzygała dywan. Sam wiesz, jak reagują techniczni.

– Tak czy inaczej. Spodziewałem się po niej czegoś więcej. Słyszałem, że jest... jak to mówią?

– Lepiej nie mówić. – McLean o mało nie zajrzał jeszcze raz do pokoju, ale zreflektował się w ostatniej chwili. – Tak jak jej powiedziałem, to nie jest normalna sprawa, nawet dla takich jak my. Mam niemiłe przeczucie, że będzie jeszcze gorzej.

– Chciałbym, żebyś się mylił, Tony. Naprawdę. – Tennant przeszedł przez podest, minął schody i skierował się do drugiej części domu. Równoległe pasy srebrnej taśmy prowadziły do kolejnych drzwi. Tennant przystanął.

– Aż tak źle? – spytał McLean.

Nadinspektor nieznacznie kiwnął głową.

Ten pokój był nieco mniejszy od małżeńskiej sypialni. Dwa wysokie okna wychodziły na niskie budynki gospodarcze na tyłach domu, drzewa i pokryty śniegiem stok wzgórza. Na ścianach wisiała dziwna mieszanina dziecięcych rysunków, przedstawiających ulubione postacie z bajek, oraz plakatów z najmodniejszymi boysbandami – tak przynajmniej przypuszczał McLean, patrząc na rozneglizowanych młodzieńców o niezbyt przyjemnym wyrazie twarzy i wzgardliwie wydętych wargach.

Stały tam dwa łóżka obok siebie, ale w odległości wystarczającej, by wyznaczyć osobne terytoria. Na tym z prawej strony kołdra była odrzucona, jakby jedna z dziewczynek wstała w środku nocy, przestraszona hałasem czy złym snem. McLean nie musiał się zastanawiać, dokąd poszła – leżała obok siostry bliźniaczki. Dwie małe głowy spoczywały na miękkich białych poduszkach. Twarze były identyczne i nieruchome. Dobrze, że przynajmniej oczy miały zamknięte, ale ten całkowity bezruch, idealna blada skóra, robiły nawet większe wrażenie niż brutalny obraz z sypialni rodziców.

– Jak zmarły? – zapytał McLean.

Tennant i tym razem nie wszedł do pokoju.

– Dopiero patolog będzie mógł nam powiedzieć. Najprawdopodobniej zabójca udusił je poduszką albo podał truciznę.

McLean jeszcze raz powiódł wzrokiem dokoła. Na obu stolikach nocnych stały puste szklanki białe od mleka. Wziął do ręki jedną z nich, usłyszał, jak Tennant ostro wciąga powietrze na znak dezaprobaty, ale go zignorował. Powąchał: śmierdziało mlekiem, które właśnie zaczęło kwaśnieć, może odrobinę gałką muszkatołową. Nic podejrzanego. Odstawił szklankę dokładnie tam, gdzie stała, powoli obrócił się na pięcie, przez cały czas świadom obecności dwóch drobnych ciał, leżących tuż obok, po jego lewej stronie.

Sądząc po wgłębieniu na pustym łóżku, dziewczynki poszły spać oddzielnie. Może jedna z nich obudziła się w środku nocy i przestraszona przeniosła się do łóżka siostry? Może. A może obudził ją strzał, który zabił jej matkę? Angus powinien znaleźć odpowiedź podczas sekcji zwłok.

McLean jeszcze raz spojrział na dziewczynki. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że śpią. Ale tylko na pierwszy. Całe pomieszczenie krzyczało, że zdarzyło się tu coś złego. Cały dom. Nic dziwnego, że Ritchie tak zareagowała. On też to czuł. Przez te wszystkie lata widział aż nazbyt wiele miejsc zbrodni, zbyt wiele martwych ciał, ale w tej zbrodni i w tym miejscu było coś wyjątkowo przerażającego.

Ostrożnie stąpając po własnych śladach, McLean wycofał się na korytarz, gdzie czekał Tennant.

– Może lepiej chodźmy obejrzyć Weatherly’ego.

Cios świeżego powietrza na zwirowym podjeździe był niemal tak lodowaty jak spojrzenie, którym oficer techniczny obrzucił McLeana, gdy ten śmiało postawił nogę w ciężkim bucie na srebrnej taśmie w holu. Tyle że znacznie przyjaźniejszy.

Sierżant Ritchie stała oparta o jedną z furgonetek, ściskając w rękach łagodnie parujący kubek.

– Oby mieli tego więcej. Inaczej będę musiał się odwołać do hierarchii służbowej – powiedział McLean.

– W porządku, możesz wziąć. Już jedną wypiliśmy. – Ritchie podała mu kubek. McLean już miał go przyjąć, gdy uprzedziła go inna ręka.

– Nadinspektor chyba stoi wyżej od inspektora, prawda? – Tennant wyszczerzył się w uśmiechu kogoś, kto nie tylko zdobył kubek gorącej herbaty, lecz również umknął okrutnym torturom. Wskazał namiot wzniesiony pośrodku trawnika. – Poza tym powinieneś zajrzeć do środka. W końcu masz się z nami podzielić doświadczeniem śledczego z wielkiego miasta.

McLean westchnął, wstrzymując się od odpowiedzi, po czym ruszył przez zaśnieżony trawnik. Przed namiotem stał zmarznięty i nieszczęśliwy mundurowy. Na widok McLeana nic nie powiedział ani nie próbował go zatrzymać.

Pośrodku namiotu wznosiła się rzeźba, Eros połączony z wanienką dla ptaków czy coś w tym stylu. Dwaj technicy w białych kombinezonach właśnie ustawiali reflektory, by oświetlić głównego bohatera wydarzeń, ale przez plastikowe ścianki namiotu i tak wpadało wystarczająco dużo światła.

McLean pamiętał ostatnie spotkanie z Andrew Weatherlym. Przyjęcie służbowe, na które go wysłano zamiast Jayne McIntyre. Weatherly miał opinię człowieka bezwzględnie w interesach. Zapamiętał go jako kogoś, kto bardzo intensywnie interesował się nowo poznaną osobą przez jakieś pięć sekund, akurat tyle, ile trwa wymiana uprzejmości, by stwierdzić, czy dany osobnik na coś mu się przyda, czy nie. Oczywiście McLean nie był pożyteczny i natychmiast został wyrzucony z pamięci. Zupełnie się tym nie przejął, spotykał w życiu sporo wpływowych mężczyzn i znalazłoby się wśród nich wielu bardziej godnych pogardy niż Andrew Weatherly.

Aż do dzisiaj.

Poseł do parlamentu z okręgu Fife West usiadł na pokrytej śniegiem ziemi, oparł się plecami o rzeźbę, umieścił strzelbę między nogami, a wylot lufy pod brodą i nacisnął spust. Tak to zapewne wyglądało. Podobnie jak w przypadku żony kula poczyniła widoczne spustoszenia przy wylocie, twarz pozostawiając wprawdzie dziwacznie zastygłą, ale poza tym w najmniejszym stopniu nieuszkodzoną. McLean okrążył namiot, trzymając się z daleka od ciała, aż znalazł się dokładnie naprzeciw. Ukucnął, by lepiej się przyjrzeć. Wargi Andrew Weatherly'ego były spuchnięte i pokryte pęcherzami, jakby tuż przed śmiercią się poparzył. Ale najbardziej zaskakujący był wyraz skrajnego przerażenia w jego oczach.

6

– Przepraszam, że nawaliłam, szefie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

McLean zaryzykował spojrzenie na sierżant Ritchie siedzącą na miejscu pasażera. Zimą, tak daleko na północy, zawsze brakuje światła dziennego. W dodatku zmierzch przyniósł obfite opady śniegu. Czołgali się wzdłuż A92 w kierunku Kirkcaldy, chociaż sądząc na podstawie widoku za szybą równie dobrze mogli się znajdować na biegunie północnym. W samochodzie przynajmniej było ciepło, McLean czuł, że jego stopy powoli wracają do życia.

– Dowiedziałaś się czegoś konkretnego od technicznych?

Ritchie pokręciła głową.

– Sam wiesz, jacy oni są. Nie mają ochoty się zwierzać, choćby nie wiem co. A większość uznała całą tę akcję za zwykłą stratę czasu.

– Może właśnie to jest ważna wiadomość?

Ritchie nie skomentowała.

– A ty, szefie? Angus coś powiedział? Chyba nigdy nie widziałam go tak... Sama nie wiem. Udręczonego?

Pośród wirującej masy śniegu migotały czerwone światła. McLean nie rozwinął dużej prędkości, ale kiedy dotknął hamulca, poczuł, że samochód lekko się ślizga. Przez całą drogę z rezydencji zmarłego Andrew Weatherly'ego jechali za karetką wiozącą jego szczątki doczesne, a także szczątki jego żony i dwóch córek do miejskiej kostnicy w Edynburgu. Byłoby znacznie rozsądniej pojechać do Dundee, bliżej i nowocześniej. Ale wierchuszka chciała, żeby postępowanie odbyło się w stolicy. Gdzie mogła na wszystko mieć oko.

– Angus źle reaguje, kiedy w grę wchodzi dzieci – powiedział McLean po zbyt długiej chwili milczenia. Nagle uświadomił sobie, jak to zabrzmiało. – Jezu, tak jak ja bym reagował inaczej. Wszyscy stąpamy po cienkim lodzie. W dodatku wkroczyliśmy na cudze terytorium. I nie mów mi o Policji Szkockiej i jednej wielkiej szczęśliwej rodzinie.

Ritchie nie odpowiedziała, przez co McLean poczuł się jeszcze gorzej. Śnieg nieco zelżał, widoczność poprawiła się o szalone parę metrów. Niewiele myśląc, wcisnął sprzęgło i przyspieszył, tak że znaleźli się tuż za powoli posuwającą się karetką. Spojrzał w lusterko, zaczął się cofać, nagle uświadomił sobie, co właściwie robi, zwolnił i zaczekał, aż odległość wzrośnie do rozsądnych rozmiarów.

– Ten dom. – Ritchie widać wolała nie komentować jego techniki jazdy. – Jest w nim coś dziwnego.

– W jakim sensie? – McLean zapytał nie dlatego, że się z nią nie zgadzał. Sam odniósł podobne wrażenie, ale nie potrafił go sprecyzować. – To znaczy pomijając oczywiste fakty.

– Przede wszystkim jest stary, a w starych domach zawsze panuje niepokojąca atmosfera. Otoczenie też jest raczej posępne. Stoi wciśnięty na końcu podjazdu, z dala od wścibskich

spojrzeń, u stóp wielkiego wzniesienia. Jak w ogóle ktoś się zorientował, że Weatherly... – Urwała, jakby nie wypowiadając tych słów, mogła zmienić to, co już się wydarzyło.

– Mieszkaniec sąsiedniej posesji usłyszał strzały w środku nocy. Kieruje lokalną strzelnicą, więc wie, że nikogo nie powinno tam być. Szczególnie o takiej porze. Zawiadomił policję, a ponieważ pan Weatherly był ważną postacią, od razu przyjechał radiowóz. – Tyle McLean zdążył się dowiedzieć od Tennanta nad kubkiem zawłaszczzonej herbaty. – Żał mi biednego posterunkowego, który go znalazł leżącego na trawniku i tak dalej.

McLean wzdrygnął się, wyciągnął rękę i ustawił ogrzewanie na ful. Wskaźnik temperatury na desce rozdzielczej pokazywał minus osiem stopni i się poddał. Chłód wypełniający ciało McLeana sięgał znacznie głębiej. To był chłód innego rodzaju.

– I co teraz? – zapytała Ritchie. – Przypuszczam, że dochodzenie w tej sprawie jest priorytetowe.

– Dopóki jakiś gnojek nie zdecyduje, że trzeba zamieść wszystko pod dywan. Musimy ustalić przebieg wydarzeń, wszystkie ruchy Weatherly’ego, które doprowadziły do... – McLean poczuł, że też nie jest w stanie wydusić z siebie tych słów. – Musimy również poszukać motywu. Powiem MacBride’owi, żeby trochę poszperał w jego życiu zawodowym. Trzeba przesłuchać sekretarkę, agenta, wszystkich, z którymi miał bliski kontakt na co dzień.

Gawędzili tak aż do końca podróży. Po chwili Ritchie nawet wyjęła notes i zaczęła spisywać listę. Tak jakby wraz z odległością upiorny dom tracił nad nimi władzę. McLean wjechał na parking na tyłach komisariatu i wyłączył silnik. Poważnie się zastanawiał, na czym ta władza właściwie polegała.

Wszedł do domu i stwierdził z zaskoczeniem i wielką radością, że kotka pani McCutcheon na niego czeka. Siedziała pośrodku wielkiego kuchennego stołu i myła się starannie w najlepszym kocim stylu. McLean nie potrafił jednak powiedzieć, czy rzeczywiście chodziło o niego, czy curry na wynos. W każdym razie porcja była wystarczająca dla nich obojga, no i przynajmniej kotka nie dobierała mu się do piwa.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi – dźwięk tak obcy, że McLean aż podskoczył.

– To moje – ostrzegł i poszedł sprawdzić, któż to postanowił mu złożyć niespodziewaną wizytę. Strasznie długo trwało, zanim otworzył drzwi i odsunął wszystkie zasuwki. Ale tym razem przynajmniej zdołał odnaleźć włącznik. W świetle, które zalało ganek i hol, na progu ukazała się niewysoka postać w długim ciemnym płaszczu.

– Inspektorze. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

McLean szybko przeszukał zakamarki pamięci. Znał tę twarz, ale nie potrafił jej skojarzyć z żadnym nazwiskiem. Była całkiem przyjazna, kobieca i otoczona burzą siwiejących czarnych włosów. Na nosie tkwiły zbyt duże okulary, nieco utrudniające identyfikację rysów. Głos również zdawał się znajomy. Potem McLean dostrzegł koloratkę i fragment czarnej koszuli widoczny spod grubego wełnianego szalika. Poprzednim razem widział miejscową pastor na czele grupki kolędników, ale od tamtego spotkania minęły dwa lata. Nagle uświadomił sobie, że w zeszłym roku go nie odwiedzili.

– Pani pastor... Ja... Proszę wejść. – W kręgu światła sączącego się z otwartych drzwi widział wielkie płaty śniegu, które nie tyle sypały, co waliły z nieba. Tylna część samochodu zrobiła się całkiem biała.

– Wielkie dzięki. – Pani pastor weszła do środka, postukała butami na macie, ale nie rozpięła płaszcza. – Mary, tak przy okazji. Mary Currie. Proszę się nie martwić. Nie oczekiwałam, że zapamiętasz.

Dokładnie w tym samym momencie sobie przypomniał.

– Przepraszam. Moja pamięć działa na zwolnionych obrotach. Tony, tak przy okazji. Zapraszam do środka. Obawiam się, że jest niewiele cieplej niż na zewnątrz, ale możemy usiąść w kuchni.

– Raczej innym razem. Nie mogę zostać. Idę do pana Pembertona pod siódmkę. Zobaczyłam światło i pomyślałam, że wpadnę. Próbuję cię złapać już od jakiegoś czasu.

– Chyba nie zamierzasz mnie zaprosić na niedzielne nabożeństwo? Nienawidzę rozczarowywać ludzi.

Mary uśmiechnęła się, po czym wyjęła z kieszeni płaszcza białą chustkę i zaczęła wycierać zaparowane okulary. McLean zobaczył starą zmęczoną twarz. Ale przyjazną i sympatyczną.

– Wiem, że nie ma sensu nawracać wnuka Esther McLean. Jeśli masz ochotę przyjść, jesteś zawsze mile widziany. Hm... moglibyśmy napić się czasem herbaty i porozmawiać o twojej darowiznie na naprawę dachu kościoła.

Aha, teraz rozumiał. Któregoś dnia znalazł pod drzwiami skserowaną ulotkę, przeczytał i pomyślał: czemu nie? Wprawdzie nie wierzył w Boga, właściwie nie zastanawiał się nad tymi sprawami. Jednak kościół stanowił centrum lokalnej społeczności. Ten budynek stał tutaj od kilku stuleci. McLean przechodził obok niego bardzo często, a kilka razy, kiedy Kirsty żyła, nawet wszedł do środka. Tak więc wyjął książeczkę czekową i posłał pewną sumę, chyba nawet całkiem hojną.

– Jak przebiega remont?

– Dzięki tobie i panu Pembertonowi osiągnęliśmy cel. Ekipa zaczyna prace, jak tylko pogoda się poprawi. Należą ci się wielkie podziękowania, Tony. I mówię szczerze: naprawę jesteś zawsze mile widziany. Nie musisz się modlić.

Pani pastor znów się uśmiechnęła i ponownie zasłoniła twarz okularami. Nagle zauważyła, że stoi wśród rozsypanej na podłodze poczty, którą listonosz wrzucił przez otwór w drzwiach. Ze zręcznością przeczącą wiekowi pochyliła się i zebrała przesyłki.

– Proszę. – Powiedziała, podając je McLeanowi. – Pójdę już. Dobranoc, Tony. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

McLean patrzył, jak pani pastor kroczy pośród śniegu na spotkanie ze szczęściarzem Pembertonem. Nie obejrzała się ani razu. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy już dawno znikła w ciemności, McLean uświadomił sobie, że wpuszcza do środka śnieg i mróz. Zamknął drzwi, zasunął zasuwkę, zgasił światło i wrócił w ciepłe objęcia kuchni, pachnące curry.

– Mówiłem, że to moje.

Posłał groźne spojrzenie kotce, z zainteresowaniem obwąchującej plastikową reklamówkę, którą wcześniej postawił na ławie. Kotka odpowiedziała miną wyraźnie mówiącą, że absolutnie się z nim nie zgadza. McLean rzucił plik przesyłek na stół i poszedł po piwo do lodówki. Zostało tylko jedno, co oznaczało konieczność wyprawy po zakupy w najbliższej przyszłości. Perspektywa ta napełniała go niemal większym przerażeniem niż wizja dochodzenia w sprawie Andrew Weatherly'ego.

Nalał piwo do szklanki i zaczął przeglądać pocztę. Były to, tak jak się spodziewał, głównie ulotki reklamowe i katalogi zaadresowane do jego babci. Prócz tego dwa pisma od adwokata w sprawie mieszkania na Newington, którym zamierzał poświęcić więcej uwagi, kiedy jego umysł będzie w stanie się nad nimi skupić, wyciągi z banku i różne inne przesyłki, dające się określić mało precyzyjnym wspólnym mianem papierów. Tak jakby mało miał tego w pracy. W każdym razie nie znalazł wśród nich niczego istotnego.

Przeniósł większą część ryżu i curry na talerz, okazałą porcję wyłożył do kociej miseczki, by zapewnić sobie choć chwilę spokoju. Katalogi zaadresowane do babci, brzydkie i owinięte w folię, bynajmniej nie zachęcały do lektury. Jeden z nich zwrócił uwagę McLeana staranniejszym wydaniem: twarda okładka z kwadratowym grzbietem, na niej błyszcząca fotografia kobiety w średnim wieku w stroju turystycznym, niezwykle wyrazista. Z braku lepszych rozrywek McLean przyciągnął katalog bliżej i zaczął przerzucać kartki, jednocześnie wkładając do ust kolejne kęsy rogan josh.

Na widok pocztówki o mało nie udławił się kawałkiem wołowiny.

Musiała wsunąć się między strony katalogu, kiedy listonosz wrzucił wszystko razem przez otwór na pocztę. McLean tylko dlatego nie uznał pocztówki za część katalogu, że wyglądała tak tanio i ostentacyjnie, jak typowa pocztówka z wakacji. Wziął ją do ręki i odwrócił. Zobaczył swój adres i linijki ciasno upchanego pisma, niezbyt łatwego do odcyfrowania. W rogu na dole widniał miniaturowy podpis: pełne zawijasów E i XXX. Ten widok sprawił, że McLean poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Coś mignęło z boku: to kotka wskoczyła na stół. Zignorowała resztki curry, podeszła do pocztówki w rękę McLeana i zaczęła ocierać o nią pyszczek, jakby to była ludzka dłoń. Z roztargnieniem zaczął drapać kotkę za uszami i po chwili kuchnię wypełniło zadowolone mruczenie. Spojrzał na okropne maleńkie litery. Powoli docierał do niego ich sens.

Podążam trasą przez Francję. Robimy postępy, ale jest jeszcze wczesnie. Jesteśmy raczej dobrej myśli, choć czasem ciężar wydaje się zbyt wielki. Mnóstwo b. pomocnych ludzi – podziękuj Rose za kontakty. Pomyślałam, że może cię to zainteresuje: w tym miejscu DA znalazł książkę. Teraz odzyskał spokój. Nie mam pojęcia, ile to jeszcze potrwa. Będę się odzywać. E XXX.

McLean odwrócił pocztówkę i zobaczył zbiór kiepskich zdjęć ruin klasztoru gdzieś w Pirenejach. Akurat o tym nie miał ochoty teraz myśleć. Wystarczy, że Emma uparła się na tę szaloną dziwaczną wyprawę. Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, ten dom nie był zimny i pusty. Mieszkała tutaj, nie do końca taka jak wcześniej, lecz jednak pełna energii i radości. Była też Jenny Nairn. W lodówce nigdy nie brakowało jedzenia, a w piwniczce piwa. Dawne szczęśliwe dni.

Odchylił się na oparcie krzesła, pocztówkę rzucił na stół. Kotka pani McCutcheon zaczęła walić w nią łapką, jakby uważała, że w ten sposób zdoła ją ożywić i zachęcić do zabawy. Za chwilę pewnie zrzuci ją na podłogę i straci zainteresowanie. McLean spojrział na zegar i stwierdził, że już późno. Mógłby się położyć, łóżko z pewnością było wygodniejsze niż krzesło. Ale znajdowało się na górze, w zimnym milczącym pokoju. Tutaj przynajmniej miał towarzystwo.

W ostatniej chwili złapał spadającą pocztówkę i zarobił od kotki karcącym spojrzeniem. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem po literach, przywołując w pamięci obraz Emmy, takiej jak

przy pożegnaniu. Proponował, że z nią pojedzie. Nie, błagał, żeby pozwoliła mu sobie towarzyszyć. Ale upierała się, że musi załatwić to sama. Nie rozumiał nawet, po co w ogóle musiała to robić i co dokładnie, ale ścieżka, na którą wkroczyła, zdawała się jako jedyna prowadzić do czegoś na kształt wyzdrowienia, do dawnej, energicznej i żywiołowej Emmy, w której się zakochał. Pozwolił jej wyjechać niechętnie, ale w nadziei że Emma zrzuci z siebie to, co ją obciąża. Że dobrze jej zrobi samotna podróż po Europie. A może i dalej. Chodziło właśnie o to, żeby pojechała sama.

Skąd więc osoba liczby mnogiej?

Odpowiedź miał przed oczami. W ciągu ich stanowczo zbyt krótkiej znajomości Emma kilka razy zostawiała mu różne liściki i zawsze podpisywała się Em. Kiedyś, dawno temu, inna kobieta podpisywała się pierwszą literą imienia. Nie E lecz K.

7

– Wiesz, że jak będziesz za głęboko grzebać, to możesz znaleźć coś paskudnego.

Bob Gburek stał na końcu pokoju, ściskając w rękach wielki kubek z logo Bugatti. Aromat sugerował, że kawa nie pochodzi z terenu komisariatu. McLean wiedział jednak, że nie należy pytać, gdzie ją zdobył.

– Odniosłem wrażenie, że właśnie tego się po mnie oczekuje.

Przez chwilę przyglądał się, jak Ritchie rozdaje zadania grupie posterunkowych przydzielonych do dochodzenia. Przyjemnie było dla odmiany mieć duży zespół do dyspozycji, ale McLean nie był naiwny, wiedział, że jego szczęście nie potrwa długo. Zastanawiał się, kiedy Duguid wezwie go przed swoje oblicze i zażąda sprawozdania z postępów w pracy bądź ich braku. Cóż, przydzielił mu tę sprawę właśnie dlatego, żeby McLean grzebał w niej znacznie głębiej niż to konieczne. Taka interesująca zagadka.

– Polityka to jeden wielki syf. – Bob Gburek przypominał fakt niezbity.

– Aha. A polityka biurowa jest jeszcze gorsza. Tak czy inaczej, zamierzam robić jak zwykle i chrzanić skutki.

Bob Gburek nie zdążył skomentować tych słów, bo do środka wpadł zdyszany posterunkowy MacBride. W jednej dłoni ściskał tablet, Bóg jeden wie, skąd go wytrzasnął.

– Wyglądasz, jakbyś biegł przez całą drogę z Fife, chłopcze. – Bob Gburek wyszczerzył się szeroko, po czym upił kawy ostentacyjnie powoli i z namaszczeniem.

– To z domu Weatherlych, szefie. Pomyślałem, że powinien pan na to spojrzeć.

McLean zerknął na tablet, zastanawiając się, jakim sposobem trafił on do Edynburga i dlaczego nie znajduje się w plastikowej torebce na materiały dowodowe. MacBride nagle uświadomił sobie, o co chodzi.

– A, przepraszam. Nie sam tablet. Nagranie. Okazuje się, że pan Weatherly miał w domu zamontowany monitoring.

W jednym z mniejszych pomieszczeń ustawiono ekran pokaźnych rozmiarów. McLean zwołał wszystkich sierżantów przypisanych do sprawy. Pomyślał, że lepiej od razu wspólnie obejrzeć nagranie, chociaż nieprzyjemne przecucie podpowiadało, że i tak będzie musiał nieraz do niego wrócić.

Obraz był niewyraźny, bardzo powiększony. Pokazywał nagrania z czterech kamer umieszczonych w różnych miejscach: naprzeciwko drzwi wejściowych, na końcu holu tuż przy schodach; w salonie; nad podestem; w pokoju dziewczynek. Pokazały się na ekranie i znieruchomiały.

– Wygląda na to, że są jeszcze inne kamery. – MacBride kilka razy uderzył w ekran tabletu i przesunął po nim palcami. – Wszystkie dane przesyła się na twardy dysk w piwnicy. Pan

Weatherly był bardzo uświadomiony w kwestii bezpieczeństwa.

– Którą tu mamy godzinę? – McLean szukał wzrokiem zegara na ekranie.

Bez wątpienia był to wieczór, dziewczynki spały; każda w swoim łóżku. Wyglądały w podczerwieni jak duchy. MacBride znów postukał w tablet i pojawił się zegar: 11:08.

– Przedwczoraj – powiedział. – Tej nocy, kiedy... – Znów stuknął w tablet i cyfry zaczęły rosnać.

Po piętnastu sekundach w drzwiach wejściowych stanął Weatherly. Kamery były nieruchome, zobaczyli więc jedynie, jak przechodzi przez hol, rzuca coś – prawdopodobnie kluczyki samochodowe – do miski stojącej na niskim stoliku, po czym znika z kadru.

Pojawił się kilka minut później. W rękach trzymał dwie szklanki mleka. Spojrzał prosto w kamerę, po czym zaczął wchodzić po schodach. Twarz miał nieruchomą, niezdradzającą żadnych uczuć. Chwilę później pokazał się w kolejnej kamerze, tej nad podestem przed sypialnią dziewczynek. Na moment obraz stał się biały – kamera automatycznie przestawiła się z działania w podczerwieni na zwykły tryb. Weatherly włączył światło. Dziewczynki obudziły się, jedna usiadła na łóżku, przeciągnęła się i potarła oczy. Druga skuliła się pod kołdrą, jakby marzła. Chyba mówił coś do nich przez chwilę, potem postawił szklanki na stolikach nocnych i usiadł na łóżku tej pierwszej dziewczynki.

McLean przyłapał się na tym, że zaklina ją w myślach, by nie przyjmowała szklanki, nie wypijała mleka. Obraz należał przecież jednak do przeszłości. To już się wydarzyło. Dziewczynki wypily mleko. Weatherly odczekał, aż skończą, otulił je i zgasił światło – wcześniej popatrzył prosto w kamerę, wciąż z nieodgadnionym wyrazem twarzy – i wyszedł.

Widocznie znalazł się poza polem kamery umieszczonej na podeście, bo następnym razem pokazał się u szczytu schodów. Znikł na dobre pięć minut. Wszyscy wpatrywali się w pusty ekran, nikt nie poprosił MacBride'a, żeby przewinął nagranie.

W końcu Weatherly znów się pojawił, tym razem trzymał w rękach broń. Bez najmniejszych oznak wahania ponownie wszedł na górę, oparł strzelbę o ścianę przed drzwiami do sypialni córek i wszedł do środka. Tym razem nie zareagowały. Nie poruszyły się od chwili, kiedy obraz przeszedł z normalnego na podczerwień. Weatherly nie włączył światła.

Ktoś z patrzących wydał z siebie cichy jęk. Weatherly wziął leżącą na krześle poduszkę i zaczął dusić pierwszą z dziewczynek. Bardzo długo przyciskał poduszkę do jej twarzy. Druga dziewczynka leżała na plecach, jedno ramię trzymając na kołdrze. Kiedy zaczął ją dusić, ręka słabo drgnęła: nieskuteczna desperacka próba obrony. Śmierć nastąpiła po krótkiej chwili – w oczach policjantów oglądających nagranie zdawała się jednak trwać całą wieczność.

Potem Weatherly się podniósł. Położył poduszkę na krześle, odsunął kołdrę, odsłaniając nieruchome ciało. Następnie wziął na ręce drugą z dziewczynek, przyciskając ją do piersi, jakby próbował ją chronić, chociaż głowa dziecka opadła bezwładnie na jego ramię niczym głowa pijaka. Albo głowa martwego dziecka.

Położył ją obok siostry i naciągnął kołdrę, tak że wystawały spod niej tylko głowy. Przez chwilę stał tak, patrząc na nie, z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała. Potem odwrócił się i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Strzelba czekała w korytarzu. Wziął ją do ręki, odciągnął zamek i ruszył w stronę sypialni małżeńskiej. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund, na szczęście odbyło się poza kamerą.

Potem wrócił na schody. Znów spojrział prosto w kamerę – wiedział przecież, gdzie je rozmieszczono.

Ostatnie nagranie pokazywało go od tyłu, jak schodzi ze schodów, przemierza prędko hol i wkracza w ciemność. Drzwi zostawił otwarte, jakby tylko wyskoczył na chwilę, żeby zabrać coś z samochodu.

– Dalej nie ma nic aż do przyjazdu policjantów, jakieś pół godziny później. – MacBride znów postukał w tablet. Obraz znieruchomiał.

McLean zapisał sobie w pamięci, że musi go potem zapytać, jak to zrobił.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Wszyscy wpatrywali się w ekran, obraz zatrzymany w czasie, dwie martwe dziewczynki w prawym dolnym rogu. McLean zaryzykował i zerknął na Ritchie. Była blada, oczy miała szeroko rozwarte. Podczas wizyty w domu Weatherlych widziała martwą Morag, ale ten widok ją ominął. Sądząc po wyrazie jej twarzy, dobrze się stało.

*

McLean patrzył, jak policjanci opuszczają pomieszczenie w milczeniu, zamyśleni nad potworną historią, którą przed chwilą obejrżeli.

– Zabezpiecz to nagranie, dobrze? Nie chcę, żeby wyciekło do prasy lub jakimś tajemniczym sposobem znalazło się w internecie.

McLean zignorował zranione spojrzenie MacBride'a. Wiedział, że w pewnym momencie reszta zespołu też obejrzy wideo, na razie jednak wolał, żeby wiedziało o nim jak najmniej osób. Różne rzeczy miały nieprzyjemny zwyczaj zjawiać się tam, gdzie nie powinny, w dodatku w najmniej odpowiednim momencie. Ostatnie, czego sobie życzył, to dziennikarzy

wypisujących jeszcze przed zakończeniem dochodzenia makabryczne historyjki na temat zamordowanych dziewczynek. Dobrze, że przynajmniej w sypialni małżeńskiej nie było kamery. Chyba że...?

– Czy to całe nagranie?

– Nie jestem pewien, szefie. Tyle do tej pory mi przysłali, ale sądząc po rozmieszczeniu tych kamer, zdziwiłbym się, gdyby nie było ich więcej. Monitoring powinien obejmować również otoczenie domu. – MacBride dotknął ekranu, wyciągnął notatnik i zaczął stukać w wirtualną klawiaturę. – Skontaktuję się z technicznymi i wszystkiego się dowiem.

– Dzięki. I tak zamierzam później znów tam pojechać. Zabrali ciała, więc teraz będę mógł się dokładniej rozejrzeć.

– Nie wybiera się pan na sekcję zwłok, które znaleźliśmy nad rzeką?

Dopiero po chwili mózg McLeana zrozumiał sens tych słów.

– To dzisiaj?

– Zaplanowane na wpół do drugiej. Wysłałem mejl.

– Jezus, tylko tego mi potrzeba. Rodzina Weatherlych jest zaplanowana na dzisiaj rano. A po tym nagraniu...

McLean przez chwilę rozważał różne opcje. Pojechać do Fife i spędzić popołudnie na spacerze wokół tego przerażającego domu, pod ostrzałem spojrzeń ekipy technicznej, która oczywiście dopiero co zaczęła pracować. Albo wybrać się do zimnej kostnicy i patrzeć, jak

Cadwallader rozcina trupa i wydobywa na wierzch jego najintymniejsze sekrety. Marny wybór, ale i nie taki trudny.

– Skontaktuj się z technicznymi w sprawie monitoringu, okej? Do końca dnia chcę dostać wszystkie taśmy, i to zabezpieczone. Przejrzemy je później, ale nie chcę, żeby wpadły w niepowołane ręce.

Do Fife i tak będzie musiał pojechać. Może jutro, może pojutrze. Skoro mógł wybrać, miejska kostnica wydała mu się jednak znacznie przyjemniejszym miejscem.

– Zmarły to mężczyzna rasy białej, wiek: sześćdziesiąt jeden lat. Ogólnie dobrego stanu zdrowia. Może nieco zbyt otyły w pasie, ale nie w stopniu zagrażającym życiu.

McLean przyglądał się, jak patolog Angus Cadwallader pracuje nad ciałem Andrew Weatherly'ego. Wykonał już sekcję zwłok jego żony i córek, więc skala przedsięwzięcia w pełni usprawiedliwiała tę drobną niepoważną uwagę.

– Ciało nie zdradza oznak przemocy. – Cadwallader oglądał górną część zwłok dokładnie i niespiesznie. – Nie widać niczego podejrzanego. Żadnych śladów igieł czy narkotyków. A, ma tatuaż.

– Tak? – McLean, który na chwilę popadł w zamyślenie, ożywił się na te słowa. Czekają go zorganizowanie dochodzenia w sprawie wytatuowanego mężczyzny. Jeszcze jedna sekcja, nieco później tego samego dnia. Tak jakby ostatnio nie naoglądał się tyłu trupów, że starczyłoby do końca życia.

– Nic szczególnego.

Cadwallader przywołał McLeana ruchem ręki, lekko odwrócił ciało, ukazując miejsce, w którym udo przechodzi w pośladek. Po lewej stronie. Tatuaż był stary i spłowiały, trochę zniekształcony. Przedstawiał zwykłą celtycką spiralę. Weatherly pewnie zrobił go sobie w młodym wieku i potem żałował, ale nie aż tak, by zdecydować się na bolesny zabieg usunięcia rysunku.

– Wzór coś ci mówi? – spytał McLean.

– Och, Tony. To twoja działka, jeśli się nie mylę. – Cadwallader pochylił się, przez chwilę uważnie wpatrywał się w tatuaż. – Nie. Nie mówi. Wygląda na robotę profesjonalisty.

Cadwallader wrócił do oględzin zwłok i McLean zorientował się nagle, że stoi stanowczo za blisko. Wiedział, że za chwilę pójdą w ruch skalpele i piły. Trzeba będzie wymyślić jakiś pretekst i się ulotnić. Prawdopodobnie w ogóle nie musiał asystować przy tej sekcji, za świadka robił doktor Peachey. Mógł też przysłać Ritchie czy nawet MacBride'a, gdyby akurat wpadł w sadystyczny nastrój. W raporcie będzie można przeczytać, że Weatherly strzelił sobie w głowę, w następstwie czego mózg w sposób gwałtowny opuścił wnętrze czaszki i obryzgał kamienną rzeźbę ogrodową.

– A, tu mamy coś ciekawego.

Cadwallader zabrał się za głowę Weatherly'ego – a właściwie za to, co z niej zostało. Zastygła twarz była niepodobna do twarzy z pierwszych stron gazet. Na szczęście ktoś zamknął mu oczy. Cadwallader wziął szkło powiększające z tacki pełnej narzędzi tortur, leżącej obok stołu sekcyjnego, i zbliżył je do ust zmarłego.

– Ciekawego, w jakim sensie?

– Jego wargi są mocno poparzone. Zarówno na górnej, jak i na dolnej widać pęcherze.

Uszkodzenie nastąpiło niedawno, ale przed śmiercią.

– Lufa strzelby?

– Hm, najpierw też tak pomyślałem. Ale lufa raczej nie mogła aż tak się rozgrzać. No i jest jeszcze to. – Cadwallader wskazał na niewielki czarny otwór w podbródku Weatherly’ego. – Przytknął strzelbę w tym miejscu. Nie wkładał jej do ust.

– Może zrobił tak najpierw, ale lufa była gorąca, bo chwilę wcześniej strzelił do żony, poczuł ból i ją wyjął.

Cadwallader zmarszczył brwi i przez chwilę zastanawiał się nad hipotezą McLeana.

– Całkiem możliwe. To by wyjaśniało, dlaczego w miejscu oparzenia utworzyły się pęcherze. Taak. Można tak napisać w raporcie.

Patolog wrócił do pracy, cmokając i mrużąc z niezadowoleniem z powodu stanu tylnej części głowy denata. Kiedy sięgnął po skalpel, McLean zrobił krok do tyłu.

– Dokąś się spieszysz, Tony? – Cadwallader posłał mu przyjazny uśmiech.

– Wszędzie. A ściśle rzecz ujmując, na spotkanie z psychiatrą, a potem pół godzinki rehabilitacji. I tak później muszę tu wrócić. Z powodu tego z tatuażami. Dasz znać, jeśli znajdziesz coś ciekawego?

– A zdarza się, że nie daję? – Cadwallader pomachał skalpelem w powietrzu nad piersią Wetherly’ego, szukając najlepszego miejsca na pierwsze cięcie. McLean skorzystał z okazji i zwiął.

– Wejdz, Tony. Jak noga?

Lunch i kolejna bezsensowna sesja z profesorem Mattem Hiltonem. McLean ruszył przez wielkie pomieszczenie, próbując nie utykać, chociaż noga dokuczała mu bardziej, niż gotów był przyznać.

– Boli. Prawie tak, jakby złamała się w dwóch miejscach i nie chciała zagoić. Możemy zacząć?

Hilton dostał własny gabinet oraz tłuste wynagrodzenie za pomoc policji w profilowaniu przestępców i spotkania z oficerami, którzy doznali traumy podczas pełnienia obowiązków służbowych. Gabinet był znacznie większy od klitki, którą zajmował McLean na tyłach komisariatu. Z dużego okna roztaczał się ładny widok. Inspektor usadowił się w twardym, ale wygodnym fotelu, wyciągnął nogę i poczuł przyływ raczej wdzięczności niż zawiści.

– Zabrzmiało to tak, jakby te spotkania były dla ciebie męką. – Hilton usiadł za biurkiem, odchylił się na oparcie fotela.

– Bo są męką. Zacząłem dwa dochodzenia, wolałbym teraz nad nimi pracować, zamiast siedzieć tutaj i rozprawiać o uczuciach.

– Dwa dochodzenia? – Hilton uniósł brwi ze zdziwieniem, pochylił się do przodu i zapisał coś w notesie leżącym na blacie biurka.

– Tak, dwa. To jak, możemy zakończyć na dzisiaj? – McLean nie zamierzał złapać się na haczyk.

– Wiesz, że mam prawo pytać o bieżące dochodzenia, Tony. Dopiero niedawno wróciłeś do pracy po tamtym... incydencie.

– Masz na myśli: po tamtym wieczorze, kiedy, jak wszyscy sądzicie, próbowałem się powiesić?

Hilton ścisnął palcami grzbiet nosa i zapatrzył się za okno. Jakiś czas temu obciął swój odwieczny koński ogon, najwyraźniej wzorem nadinspektora Brooksa wybierając gołen do gołej skóry, by ukryć siwiznę i coraz większe zakola. Nie osiągnął zamierzonego efektu – wyglądał teraz jak eunuch. W dodatku stary eunuch.

– Nadal zaprzeczasz? Wiesz, że nie zrobimy postępów, dopóki nie pogodzisz się z tym, co zrobiłeś.

– Znam teorię czterech faz rozpacz, Hilton. Nawet uważam ją za całkiem przydatną. Ale widać mamy problem z fazą zaprzeczenia. Jeśli nie przyjmiesz mojej wersji wydarzeń, jeżeli wolisz wierzyć w plotki rozsiewane przez osoby, których nawet przy tym nie było, to raczej nigdy nie dokonamy postępów, prawda? Chyba że kłamię, oczywiście.

– Co w ostatecznym rozrachunku okazałoby się bardzo nieproduktywne.

– Właśnie.

Hilton milczał. McLean wykorzystał okazję i rozprostował nogę. Porządnie mu dzisiaj dokuczala. Pewnie na zmianę pogody.

– Masz za sobą trudne doświadczenia, Tony. Najpierw twoi rodzice zginęli, kiedy byłeś małym dzieckiem. Potem narzeczona...

– Wiesz, odtwarzanie dawnych wydarzeń naprawdę nie pomaga. Mówisz o czymś, co zdarzyło się dawno temu. Jaki sens rozdrapywać stare blizny?

– Rany. Rozdrapywać rany.

– Tak. A rany z czasem się goją. O ile im się pozwoli. Stare rany zmieniają się w blizny. Skoro tak lubisz metafory: ślad zostaje, lecz człowiek uczy się normalnie funkcjonować. Nie należy grzebać paluchami, aż rana znów zacznie krwawić. A ty bierzesz skalpel i kroisz głęboko, by sprawdzić, co jest w środku. To nie pomaga.

McLean zdał sobie sprawę, że cały się spiął. Rozluźnił ciało wysiłkiem woli, rozparł się wygodnie w fotelu. Aż nazbyt dobrze wiedział, co teraz nastąpi, ale przynajmniej przy jednym z punktów na liście Hiltona pojawi się kolejny ptaszek, sesja dobiegnie końca, on zaś będzie mógł wreszcie zabrać się do roboty.

– Gniew jest dobry, Tony.

Taa. Jasne.

– Czyżby? Zawsze odnosiłem wrażenie, że przeszkadza jasno myśleć. Sprawia, że człowiek zaczyna wyprawiać różne głupstwa.

– Na przykład próbuje się powiesić?

– Rzeczywiście, zgodzę się, że próbę powieszenia można zaliczyć do tej kategorii.

– A mimo to...

– Jezu, to przypomina słuchanie zdartej płyty. Ile razy mam ci tłumaczyć, Hilton?

Psychiatra nieznacznie wzruszył ramionami.

– Dobrze. Na razie to zostawmy. A więc prowadzisz dwie nowe sprawy. – Położył nacisk na „dwie”. – Coś szczególnego?

– W zeszłym tygodniu znaleźliśmy ciało w rzece North Esk. Nadal niezidentyfikowane, chyba że coś się zmieniło od chwili, kiedy tu wszedłem i tracę z tobą czas.

– Widzę, że nie możesz się doczekać, żeby zabrać się za tę sprawę. To dobrze, Tony. Ale nie sądzę, by rzucanie się w wir pracy mogło rozwiązać twoje problemy. Wcześniej ta metoda jakoś się nie sprawdziła.

– Ta druga sprawa, skoro tak bardzo chcesz wiedzieć, dotyczy Andrew Weatherly’ego. Na pewno widziałeś w wiadomościach.

Tym razem dla odmiany Hilton nic nie powiedział. McLean nieźle się bawił, obserwując, jak tysiące myśli przemyka po jego twarzy, pytania potykają się o siebie, spiesząc w stronę otworu gębowego. Odczekał, aż Hilton zdecyduje się odezwać i w tym momencie dźwignął się z fotela. Ostry ból przeniknął nogę. McLean zamaskował grymas, potrząsając rękawami marynarki.

– To z pewnością bardzo... trudne. – Hilton nie próbował powstrzymać McLeana, który zdecydowanie zmierzał do wyjścia.

– Bardzo. Tak więc, jeśli nie masz nic przeciwko, wezmę się do roboty.

– Tak, tak. Oczywiście. Przełożmy spotkanie. Jutro o tej samej porze. – Hilton wbił wzrok w McLeana, bardzo intensywnie myśląc. Nie byłby z niego dobry przestępca: jego twarz wszystko zdradzała. – Wiesz, że zawsze możesz do mnie przyjść, Tony. O każdej porze. W każdej sprawie.

Połącztać go? W końcu to podpis psychiatry na papierku, który trafił do gabinetu Duguida umożliwił McLeanowi powrót do normalnej pracy. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Będę pamiętał.

Kiedyś nienawidził szpitala Western General. To tutaj jego babcia spędziła ostatnie osiemnaście miesięcy życia, stopniowo kurcząc się jak balon zostawiony na ziemi po skończonym przyjęciu, kiedy wszyscy już poszli do domu. Odwiedzał ją początkowo codziennie, potem raz czy dwa razy w tygodniu, dręczony wyrzutami sumienia zarówno gdy zapominał, jak i kiedy przychodził, ale spędzał przy jej łóżku tylko kilka minut. Potem zmarła i miał nadzieję, że więcej tego miejsca nie zobaczy. Ale wrócił. Przychodził do Emmy w te mroczne dni, gdy leżała nieprzytomna. I w końcu sam trafił tu jako pacjent.

Wiedział, że zachowywał się okropnie. Oczywiście pielęgniarki były dla niego bardzo miłe. Niektóre myślały, że znalazł się na krawędzi. Może faktycznie tak było, ale nie potrzebował ich współczucia. Inne po prostu wykonywały swoje obowiązki, neutralne i ciche bądź radosne i rozgadane. To znacznie bardziej mu odpowiadało. Marzył tylko o tym, by wreszcie się stąd wydostać. Wypisał się na własne życzenie znacznie wcześniej, niż lekarze zalecali, wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

Teraz, dręczony stałym towarzystwem bólu, w pełni to sobie uświadamiał. I dlatego niecierpliwie wyglądał wizyt w szpitalu. Tutaj mógł dostać naprawdę skuteczne środki przeciwbólowe.

– Robi pan ćwiczenia, które zaleciłam. – Fizjoterapeutka popatrzyła mu prosto w oczy. Wypowiedziała te słowa w formie stwierdzenia, nie pytania.

– Kiedy tylko mogę. – Cóż, nie było to do końca kłamstwem. Przyczepił magnesem do lodówki kiepską kopię z rysunkami ćwiczeń i czasami, czekając, aż jedzenie się podgrzeje, trochę się rozciągał.

– Ja mogę panu pomóc tylko w niewielkim stopniu. Musi pan sam zająć się resztą. – Aby podkreślić swój punkt widzenia, fizjoterapeutka chwyciła jego nogę i mocno wygięła, aż ostry ból przeszył biodro. Na szczęście krótki. Zaraz opuściła nogę z powrotem na stół rehabilitacyjny. McLean poczuł niewysłowioną ulgę.

Miała na imię Esmeralda, okrutny żarcik ze strony rodziców. Liczyła sobie pewnie góra dwadzieścia lat, ale chyba znała się na rzeczy. McLean zaczynał z krzepkim mężczyzną imieniem Steve, ale dostał pracę przy szkockiej drużynie rugby i zostawił McLeana pod czułą opieką Esmeraldy. McLean myślał, że będzie mniej brutalna, lecz pierwsze spotkanie całkowicie rozwiąło jego nadzieje.

– Może pan włożyć spodnie. Koniec. Na dzisiaj.

– Pewnie nie potrafi pani powiedzieć, na czym polega problem?

Esmeralda rzuciła mu spojrzenie stanowczo za stare jak na jej wiek.

– Który? Miał pan podwójne złamanie prawej kości udowej. Nawet w idealnych warunkach ta kość bardzo ciężko się goi, a pan się uparł, że wraca do pracy. Nie odpoczywa pan, źle siedzi i nie robi ćwiczeń. Gdyby pan miał dwadzieścia lat i był w świetnej formie, może jakoś by się pan wywinął. Ale nie ma pan dwudziestu lat. I nie jest pan w świetnej formie.

McLean poczuł się jak posterunkowy MacBride: ciemnoczerwony rumieniec oblał mu policzki, koniuszki uszu zapiekły. Dawno nie dostał takiej bury, a to, że mówiąca te słowa osoba była o połowę młodsza od niego bynajmniej nie zmieniało faktu, że miała całkowitą rację.

– Postaram się – mruknął, świadom, że brzmi jak młodsza wersja siebie samego – chłopiec wysłany do koszmarnej szkoły z internatem. Przerażony pod miażdżącym spojrzeniem dyrektorki. Esmeralda przynajmniej nie wyglądała jak stara wiedźma.

– Szczerze radzę. Mam nadzieję, że za tydzień zobaczę rezultaty.

Przez całą drogę do miejskiej kostnicy towarzyszył mu zimny, przenikliwy wiatr znad Firth of Forth. McLean próbował rozciągać nogę, przejęty uwagą fizjoterapeutki na temat brakującej formy. Na temat wieku nie mógł z nią dyskutować. Chmury miały to charakterystyczne sinawe zabarwienie, zwiastujące kolejne opady śniegu. Przynajmniej wciąż było jasno, chociaż McLean wiedział, że długo to nie potrwa.

Angus już rozpoczął sekcję, z pomocą swej anielsko cierpliwiej asystentki, doktor Tracy Sharp. Na końcu pomieszczenia siedział doktor Peachey, wyraźnie znudzony prawdopodobnie dlatego, że jego obecność stanowiła jedynie wymóg prawny. McLean sądził, że wśliźnie się do środka niezauważony, ale Cadwalladera nie dało się oszukać.

– Miło, że do nas dołączyłeś, Tony – powiedział, nie odrywając wzroku od denata. – Już zaczynałem się zastanawiać, gdzie przepadłeś.

– Powiedziano mi, że zaczynasz o wpół do. – McLean spojrzął na zegarek. Było za kwadrans. – Wybacz. Pracowity dzień.

– Nie tak łatwo wrócić do rytmu po przymusowym urlopie, co? – Cadwallader wyciągnął z rozcięcia na piersi mężczyzny coś ciemnego i śliskiego i rzucił to coś na tackę, którą trzymała w pogotowiu doktor Sharp. Tworzyli niezwykle zgrany zespół.

– Nie jesteś zdania, że Weatherly to prosty przypadek?

Cadwallader przerwał, zawieszając rękę nad ciałem, w każdej chwili gotów znów ją w nim zanurzyć, po czym odwrócił się w stronę McLeana.

– Przypuszczam, że chcą jak najszybciej pozamiatać. – Potrząsnął głową i znów się odwrócił. – Ale to nie w twoim stylu.

– Kimkolwiek „oni” są, zdołali gdzieś po drodze wkurzyć Duguida. Mogłem ich uprzedzić, że to kiepski pomysł. Duguid stwierdził, że jestem świetnym kandydatem na kij, który on zamierza wsadzić w mrowisko.

Cadwallader wyprostował plecy i podał asystentce kolejny organ.

– Wiesz, to jest tak cyniczne, że prawie genialne.

– Nie ty borykasz się z konsekwencjami. To ja będę musiał wziąć na siebie całe gówno, jak coś im nie przypasuje. Jo Dalglish już za mną biega. Trudno przewidzieć, co się stanie za chwilę.

– No tak. Przychodzi na myśl puchar trucizny.

McLean zobaczył w pamięci nagranie z monitoringu. Bliźniaczki pijące mleko, które podał im ojciec. Poczł ciarki na plecach.

– A co z naszym tajemniczym mężczyzną z tatuażami? Czy nie było tak, że po prostu wpadł do wody i utonął?

– A najpierw rozebrał się do naga? Gdyby to było takie proste. – Cadwallader odsunął się

od ciała, szeroko rozłożył ramiona, jakby chciał je objąć. – Obawiam się, że na tym widnieje wyraźny napis „podejrzane”.

– Wyraźny?

– Czasami zastanawiam się, jakim cudem doszedłeś do stopnia sierżanta, o inspektorze nie wspominając. – Cadwallader machnął ręką w stronę ciała, niemal całkowicie pokrytego czarną siatką skomplikowanych wzorów.

– Tatuaze?

– Tak, Tony. Tatuaze. Dość niezwykle. Czytałem o przypadkach tatuowania całego ciała, lecz są one bardzo rzadkie.

– A więc zmarły był nietuzinkową osobą. To powinno ułatwić identyfikację.

– O, szczerze wątpię. Raczej przeciwnie.

– Jak to? Na pewno...

– Te tatuaze są świeże. Niektóre dopiero co zdążyły się wygoić. Tak na oko żaden z nich nie powstał wcześniej niż miesiąc temu.

– Potrzebujemy osobne pomieszczenie. Gdzieś niedaleko od pokoju dochodzeniowego w sprawie Weatherly’ego.

Po powrocie na komisariat McLean wyraźnie odczuwał skutki wyprawy do kostnicy. Udo bolało intensywnie. Najchętniej położyłby się w jakimś wygodnym miejscu i zczekał, aż środki przeciwbólowe zaczną działać. Niestety zostawił je w domu. Wystarczyła mu sama myśl, że ma prowadzić dwie sprawy równocześnie, sytuacja stałaby się całkiem nie do zniesienia, gdyby musiał jeszcze biegać po schodach w tę i powrotem między oddalonymi od siebie pomieszczeniami.

– Pokój numer pięć chyba jest wolny. Nieduży, za to naprzeciwno. – Posterunkowy MacBride trzymał pod pachą gruby plik brązowych teczek, w drugiej ręce ścisnął tablet. Widać tylko w ten sposób mógł zagwarantować, że tak wspaniale urządzenie za chwilę nie zniknie. McLean zastanawiał się, czy zabiera tablet do domu i śpi z nim pod poduszką.

– Odłóż to, bardzo proszę. – Inspektor odchylił się na oparcie krzesła i wygodnie wyciągnął nogi pod stołem, w nadziei że dzięki temu ból zelżeje. – Zakładam, że nie uzyskaliśmy żadnych informacji z rejestru osób zaginionych na temat naszego wytatuowanego.

MacBride potrząsnął głową.

– Na razie nic. Odciski palców nie dały żadnych rezultatów. Nadal czekamy na profil DNA.

– Angus powinien go dostarczyć jeszcze dzisiaj. Ale trzeba będzie jeszcze raz przejrzeć rejestr. – McLean powtórzył uwagi Angusa na temat tatuazy.

– Całe ciało? W ciągu miesiąca? – Zwykle różowa twarz MacBride’a mocno pobrała.

– Z Penicuik pewnie też nie dostaliśmy żadnych przydatnych informacji?

– Powiedzieli, że obeszlili teren na półtora kilometra w górę i w dół rzeki od miejsca, gdzie leżały zwłoki. Niczego konkretnego nie znaleźli, ale pogoda nam nie sprzyja. Teren przykrył świeży śnieg.

McLean próbował sobie przypomnieć okolicę, po której za czasów młodości jeździł rowerem górskim na wycieczki. Prowadziło tamtędy trochę nieczynnych tras kolejowych, które, o ile dobrze pamiętał, zmieniono w ścieżki konne. Mnóstwo starych zniszczonych budynków i tunel.

– Masz mapę rzeki?

MacBride zrobił zdezorientowaną minę, przez chwilę zonglował teczkami i komputerem, aż wreszcie udało mu się dostać do ekranu dotykowego.

– Mogę otworzyć mapę Google. Jest też obraz z satelity.

McLean potrząsnął głową.

– Nie. Jestem staromodny. Wolę papier. Znajdź mapę i zanieś do pokoju. Zjawię się, jak tylko znajdę trochę ciał, żeby zapełnić pustkę.

*

Kilka godzin później, mając na koncie kolejną bolesną wizytę w gabinecie Duguida, McLean wkroczył do pokoju numer pięć, żywiąc nadzieję na odrobinę ciszy i spokoju. Na białej tablicy widniało kilka pytań, pośmiertne zdjęcie twarzy mężczyzny z tatuażami i naprędcie namazana lista śledczych – tych nielicznych, którzy nadal chcieli pracować z McLeanem oraz nieszczęśników, którzy nie zdążyli znaleźć na czas skutecznego wykrętu. Lista była bardzo krótka. Trzeba będzie zaciągnąć kilku mundurowych do pomocy.

Najpierw wydawało mu się, że w pokoju nikogo nie ma, lecz ciche mamrotanie zza stosu teczek, leżącego na biurku na końcu pokoju, okazało się pochodzić od posterunkowego MacBride’a.

– Jakies problemy? – McLean zerknął za teczki. MacBride przekładał kabelki z tyłu komputera starego typu.

– A, przepraszam. Nie zauważyłem, kiedy pan wszedł.

– Walka z technologią bywa bardzo absorbująca. Ktoś gwizdnął ci tablet?

Po twarzy MacBride’a przemknął zatroskany cień. Posterunkowy obrócił się na pięcie, pociągając za sobą kabel. McLean dostrzegł tablet leżący za nim na biurku. W tym samym momencie posterunkowy chwycił urządzenie niczym zazdrosny kochanek.

– Proszę nie mówić takich rzeczy nawet żartem, szefie. Nie ma pan pojęcia, ile osób próbowało go buchnąć. A można by zakładać, że policjanci nie... sam nie wiem...

– Nie mają złodziejskich skłonności? – podsunął McLean.

– Właśnie. Nigdy nie spotkałem tylu lepkich rączek, co tutaj. Niczego nie można zostawić nawet na pięć minut.

– A to nie jest przypadkiem robota dla komputerowców? – McLean wskazał na kabel, wciąż tkwiący w dłoniach posterunkowego.

W pomieszczeniu było niewiele miejsca, lecz jakimś sposobem zdołał on upchnąć w rogu cztery biurka i cztery komputery.

– Zależy, czy chcemy, żeby było zrobione dzisiaj czy za miesiąc. Pomyślałem, że będzie szybciej, jeśli sam się tym zajmę. Jak tylko wszystko podłączę, możemy zaczynać.

Ruchem głowy wskazał tablicę. Widniało na niej zaledwie kilka pytań, ale McLean dobrze wiedział, że wkrótce się rozmnożą.

– Myślisz, że zdążysz do końca zmiany?

– Powinienem. – MacBride spojrział na zegarek, a potem znów na McLeana. – Domyślam się, że w tej sprawie nie ma szans na nadgodziny.

– Na razie nie. Ale przy odrobinie szczęścia może dostaniemy wsparcie.

MacBride nic nie powiedział, ale uniesione brwi świadczyły o tym, że rozwija w sobie poziom cynizmu konieczny, by przetrwać w dochodzeniówce. McLean jeszcze raz spojrzął na tablicę, prędko przeczytał wszystko, co było na niej napisane. Brakowało jednej rzeczy.

– Ludzie z Penicuik szli wzdłuż brzegu, prawda? – Odnalazł flamaster i napisał na tablicy: „Wejście – w którym miejscu?”.

– Półtora kilometra w każdą stronę, tak przynajmniej twierdzą. – MacBride wcisnął przełącznik w ścianie i komputery ożyły. – A, miałem znaleźć mapę. Przepraszam, szefie, wyleciało mi z pamięci.

– Nie szkodzi. Mam w domu kilka starych egzemplarzy, poszukam. Tylko pamiętaj, żeby jutro ciepło się ubrać.

– Tak?

– Aha. I włożyć porządne buty. Zapraszam na spacer nad rzeką.

Zimny szary blask sączył się między nagimi koronami drzew, rozświetlał cienką warstwę śniegu, który przyprószył czarną ziemię, lśnił na frędzlach mrozu wokół stosów martwych liści. Wiatr się uspokoił, a może zmienił kierunek, tak że w wąwozie nie odczuwało się jego siły. McLean przytupywał dla rozgrzewki. Dziwnie się czuł w ciężkich turystycznych butach. Były nowe, podobnie jak rękawice narciarskie, które kupił poprzedniego wieczoru. Nakrycie głowy za to odziedziczył po dziadku – starą tweedową czapkę z daszkiem w stylu Sherlocka Holmes'a, którą babcia znalazła kiedyś w szafie i wręczyła mu tego dnia, gdy trafił do dochodzeniówki. Niestety, fajka z morskiej pianki gdzieś przepadła.

– Czego właściwie szukamy, szefie?

Posterunkowy MacBride z kolei wyposażył się w policyjnym magazynie. Żółta fluorescencyjna kurtka nie wyglądała zbyt subtelnie, poza tym uszyto ją na osobę dwa razy większą. Na głowie miał coś, co wyglądało jak kominiarka buchnięta antyterrorystom i zwinięta na kształt wełnianej czapki. Niewątpliwie ciepła, lecz nos posterunkowego i tak poczerwieniał.

– Mam nadzieję, że jak to zobaczymy, to się dowiemy. – McLean klasnął w dłonie i obrócił się na pięcie, rozglądając dokoła.

Wiele lat temu, w czasach studenckich, od czasu do czasu jeździł po tej okolicy na rowerze. Stara linia kolejowa na pewnym odcinku biegła wzdłuż rzeki, by później skręcić w stronę Penicuik. Najpierw jednak McLean chciał obejrzeć przeciwny brzeg.

– W czasie wojny to były fabryki amunicji. – Szerokim gestem objął parking, na którym stał tylko jego samochód.

Oddech zmieniał się w parę w zimnym porannym powietrzu, niczym dziwny powidok. MacBride nic nie powiedział, zapewne nie miał ochoty otwierać ust i tracić cennego ciepła.

– W dziewiętnastym wieku wytwarzali tu proch strzelniczy. Wbudowali magazyny w ścianę klifu, by w ten sposób zapobiec skutkom przypadkowych wybuchów. – McLean szedł przodem, przez most nad North Esk.

Woda była głęboka, nurt wartki. Czy wystarczająco, by unieść ciało aż na tamte skały? Po obu stronach rosły gęste zarośla; aby dostać się na brzeg, musieliby najpierw wyrąbać sobie ścieżkę wśród tych chaszcz. Na pewno lepszy widok miałyby ekipa na łodziach. Z całą pewnością policjanci z Penicuik zdołali dokonać co najwyżej bardzo pobieżnej inspekcji. O ile chociaż tyle zrobili. Pojedynczy płatek śniegu leniwie opadł na wzburzone czarne fale – wkrótce na pewno będzie ich więcej. McLean nie mógł winić lokalnych policjantów, że wybrali najprostszą opcję.

Na ostrym zakręcie dwa ciężkie kamienne słupy wyznaczały wejście do Roslin Glen Country Park, jak dumnie głosiła tablica. Ten widok nieco zaskoczył McLeana – wcześniej

miejsce nie miało żadnej nazwy. Zwykły stary trakt zastąpiła ścieżka przystosowana do wózków inwalidzkich. Ale poza tym sceneria wyglądała właściwie tak samo, jak w jego wspomnieniach. Ruszyli w górę rzeki. Liście dawno opadły z drzew, woda błyskała między gałęziami. Niemożliwe, by ktoś wpadł do niej przypadkiem.

Nieco dalej droga kończyła się przy grupie starych zrujnowanych budynków. Po jednej stronie wznosiły się resztki komina, niedaleko – wąski kształt dawnej wozowni, niechybny znak minionej wielkości tego miejsca. Rzekę dusił jaz, kierując wodę w stronę od dawna nieistniejącego koła młyńskiego. McLean zaczął schodzić niżej.

– Gdyby wpadł do wody powyżej tego miejsca, tutaj z pewnością by się zatrzymał. – Odwrócił się i spojrzał na MacBride’a. – Zapomniałem, że to było tutaj. Mogliśmy sobie oszczędzić trochę czasu.

– Sądzi pan, że lokalni mogli o tym wspomnieć.

– No tak. – McLean popatrzył na drzewa po drugiej stronie.

Przeciwległy brzeg wznosił się stromo, na jakieś trzydzieści metrów, może nawet więcej, niemal dokładnie naprzeciw płynął parowem wąski strumień. Osłonięte przed gwałtownymi podmuchami wiatru stare dęby i buki wyrosły wysokie i smukłe. Gdzienigdzie ziemia nie wytrzymała pod ciężarem i kilka drzew zważyło się do wody. Niżej rosły gęste zarośla – jeżyny i kolcolist walczyły o dostęp do słońca. Nieco dalej brzeg zmieniał się w stromy klif z ciemnożółtego piaskowca, porośnięty na szczycie rododendronami, które pieniały się na skraju urwiska, wypełniały szczeliny w skalnej ścianie.

– Miał złamany kark, co sugeruje, że spadł z wysoka.

– Myśli pan, że to stało się tutaj? – MacBride pobiegł za wzrokiem McLeana i zadrżał w przepastnych głębinach za dużej kurtki.

– Mikrouszkodzenia w przedniej części ciała. Jakby się przedzierał przez gęste kolczaste zarośla.

– Nagi? O Jezu. Po co ktoś miałby coś takiego robić?

– A ktoś, kto ucieka, walczy o życie? – McLean klepnął posterunkowego w ramię i wskazał w kierunku, skąd przyszli. – Idziemy.

– Dokąd?

Wyciągnął rękę w kierunku szczytu.

– Tam, na górę. Tyle że nie mam ochoty wspinać się od tej strony.

Dotarcie na miejsce potrwało znacznie dłużej, niż zakładał McLean. Dziwne, jak pamięć zmienia dawno niewidziane miejsca wraz z upływem czasu, jak skraca odległości, czyści rzeczywistość. Może byłoby prościej dojechać samochodem, niż męczyć się pod górę wąską drogą do Roslin Castle Stadion, a potem znowu w dół do starej linii kolejowej. Śnieżycą przybrała na sile, kiedy tak szli przed siebie. Ta ścieżka była chyba jedyną korzyścią, jaka wynikła z przebudowy kolei brytyjskiej pod wodzą sławnego doktora Beechinga. Wszędzie w okolicy można było się natknąć na nieczynne tory, w większości dawne drogi transportu, którymi wożono z kopalń i fabryk węgiel oraz inne dobra do portu Leith. Ta, wzdłuż której szli, niemal znikła w wykopie, przez co nie potrafili określić swojego położenia w stosunku do fabryki prochu na przeciwległym brzegu rzeki. Z obu stron rosły gęste krzaki, teraz przysypane śniegiem i tak kolczaste, że raczej nikt nie zdołałby się przez nie przedrzeć, nawet

pchany skrajnym przerażeniem i desperacją. Chociaż ktoś naprawdę zdeterminowany może znalazłby przejście w tych nielicznych miejscach, porośniętych niższymi krzakami żarnowca.

– Od kiedy leży śnieg? – McLean dotknął białej warstwy i w nagrodę dostał ciężką packą zimnego puchu w szparę między płaszczem a rękawiczką. Zamachał ręką, żeby się go pozbyć, w skutek czego jeszcze więcej śniegu wleciało pod mankiet.

– Chyba od piątku. Wcześniej było za ciepło, żeby się utrzymał.

– I można założyć, że nasz denat wpadł do rzeki w sobotę.

McLean ruszył dalej między zarośla. Gdzieś z dołu dochodził szum rzeki spiętrzonej na jazie. Chyba byli już niedaleko miejsca, które widział z przeciwległego brzegu.

– Przez cały dzień nieźle sypało. Zajmowałem się sprawą Danby’ego dla inspektora Spence’a przez całe popołudnie i ani na chwilę nie przestało padać.

McLean odgarnął więcej śniegu z gałęzi żarnowca, po czym rozdzielił gałęzie i ostrożnie postawił stopę w miejscu, które uznał za stabilne i bezpieczne. Nie zamierzał ryzykować, skraj wzniesienia znajdował się naprawdę niedaleko.

– A więc mamy nagiego mężczyznę, którego skórę niemal całkowicie pokrywają świeże tatuaże. Biegnie pośród śnieżnej zamieci, tak przerażony i spanikowany, że praktycznie nic nie widzi.

– I uważa pan, że spadł z tego klifu...

Wspominając później to wydarzenie, McLean uświadomił sobie, że powinien był zauważyć, w którym miejscu cienkie, wiotkie listki żarnowca ustępują szerokim liściom rododendronu. A może nawet i zauważył, tylko nie zdążył skojarzyć, co to w praktyce oznacza. Wiedział tylko tyle, że w jednej sekundzie stał sobie spokojnie na pewnym twardym gruncie, a w następnej krzaki rzuciły się na niego, jakby chciały go pożreć. Machał rękami, próbował chwycić gałązki śliskimi od śniegu rękawicami. Były grube i doskonale chroniły przed mrozem, ale zarazem nie pozwalały niczego porządnie się złapać. Okręcił się wokół własnej osi, poczuł pustkę pod stopami, pewien, że ostatni krok wykonał prosto w powietrze, na wysokości jakichś pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Przeklinał się w myślach za własną głupotę – ale niespodziewanie coś zacisnęło się wokół jego nadgarstka. Już nie spadał.

– O kurwa mać!

Podniósł wolną rękę i zębami ściągnął rękawiczkę. Poszybowała leniwym łukiem, odbiła się od cienkich gałązek i znikła gdzieś w szarówce. McLean poczuł gwałtowne zimno, ale teraz przynajmniej mógł się porządnie czegoś złapać. Spojrzał za siebie, ciekaw, co uratowało mu życie. Zobaczył dłoń w rękawiczkce i zatroskaną bladą twarz posterunkowego MacBride’a w ramie ośnieżonego listowia.

– Dłużej nie dam rady, szefie. Mógłby pan złapać się tej gałęzi?

McLean pobiegł za jego wzrokiem, zahaczył o gruby konar wolnym ramieniem, przenosząc nań ciężar ciała. Stopy nadal wisiały w pustce. Powstrzymał się, by nie patrzeć w dół. Skupił się na drodze powrotnej do góry.

– Zaraz po pana lewej stronie jest występ skalny. Niech pan spróbuje postawić na nim nogę.

McLean przesunął lewą stopę i poczuł, że jego but stanął na czymś twardym i solidnym. Powoli przeniósł na nogę ciężar ciała, świadom jednak, że skała również może w każdej chwili pod nim ustąpić. Jezu, ależ on jest czasem durny.

– Dobrze. Jeszcze trochę.

Poczuł za plecami dotyk skały i dostawił prawą nogę do lewej. Potem wdrapał się z powrotem na górę, wzdłuż stromej ściany – niezgrabnie i bardzo nieelegancko, ale w tym momencie jakoś nie potrafił się tym przejąć. Najważniejsze, że znów był bezpieczny. Dopiero kiedy wylądował na plecach, na przysypanej śniegiem ziemi, uświadomił sobie, że jego oddech jest przyspieszony, a serce wali jak szalone. Dureń, dureń, dureń.

– Proszę tak więcej nie robić – powiedział MacBride, pochylając się i wspierając dłonie na kolanach. On też dyszał, jakby przebiegł maraton z lodówką przywiązaną do pleców. Twarz miał całkiem białą, tylko czubek nosa świecił czerwienią.

McLean popatrzył ponad jego ramieniem. Linia kolejowa tworzyła tutaj łagodny łuk. Owszem, żeby wejść w zarośla, trzeba było pokonać nasyp, w tym miejscu jednak znacznie łagodniejszy niż wzdłuż całej trasy. A najbardziej wysunięty punkt na zakręcie niemal dotykał szczytu klifu. Powinni postawić tam ogrodzenie albo przynajmniej znak ostrzegawczy.

McLean podniósł się nieco chwiejnie, otrzepał ze śniegu i ziemi. Na jednej dłoni nadal tkwiła rękawica, druga była goła. Zbliżył ją do twarzy. Drżała.

– Chyba wiem, w którym miejscu spadł nasz denat.

Droga powrotna do komisariatu przebiegła w całkowitym milczeniu. McLean nigdy dotąd nie czuł tak wielkiej wdzięczności w stosunku do twórcy ogrzewanych foteli samochodowych. Kiedy spadła adrenalina, odezwał się nieunikniony ból, na który między innymi składało się przykre mrowienie w miejscu, gdzie kilka miesięcy wcześniej nastąpiło złamanie. Już widział w wyobraźni, jak przy kolejnym spotkaniu Esmeralda odziera go ze skóry, kawałek po kawałku, ale w tym momencie za bardzo się cieszył, że nadal żyje, by jakoś szczególnie się tym przejąć.

Ciche pikanie smartphone'a położyło kres euforii. Wspaniała sprawa, że można ustawić w tym urządzeniu różne dźwięki do poszczególnych powiadomień. Nie musiał wyjmować telefonu z kieszeni, wiedział, co oznacza akurat ten. Wysłał MacBride'a, żeby rozgrzał się przy kawie i muffince, sam zaś udał się do gabinetu Matta Hiltona na kolejną bezsensowną sesję terapeutyczną.

– Tony, dobrze się czujesz? Jesteś trochę blady. – Hilton odchylił się na oparcie fotela, pulchna twarz przybrała wyraz niemal autentycznej troski.

– Dziś rano znalazłem się o włos od śmierci. Robi to na człowieku pewne wrażenie.

– Znowu? – Hilton uniósł brwi. – Mam nadzieję, że nie wejdzie ci to w krew.

– To był wypadek. Głupi błąd. Na szczęście posterunkowy MacBride ma szybki refleks. Wszystko w porządku.

Hilton odpowiedział dopiero po chwili.

– Nie sądzę.

To nie było pytanie, więc McLean milczał. Fotel stał akurat pod odpowiednim kątem, by nieco ulżyć napięciu w biodrze. Mógłby posiedzieć tak z godzinę, w ogóle się nie odzywając. Gdyby tylko nie ten siniec i bóle w plecach...

– Opowiedz, co się stało. Od początku. – Hilton upił kawy. Jego kubek wyglądał dokładnie tak jak te styropianowe z drogich sieciówek, ale zrobiono go z porcelany. Pewnie w Chinach. Wyrafinowany prezent dla płytkiego człowieka.

– Muszę? – McLean znał odpowiedź, nim zadał to pytanie. Próbował nie wzdychać zbyt dramatycznie, chyba bez powodzenia. Opowiedział o wyprawie do Roslin Glen, spacerze wzdłuż brzegu, jazie i klifie.

Psychiatra słuchał, tak jak go bez wątplenia uczono, od czasu do czasu kiwał głową i w sposób budzący zakłopotanie podtrzymywał kontakt wzrokowy. Szczegółowy raport pomógł McLeanowi zmienić lęk i niepokój w gniew z powodu własnej głupoty. Przy okazji zaczął się zastanawiać, po co w ogóle tam polazł. Znacznie rozsądniej i praktyczniej byłoby wysłać łodzią ekipę, która sprawdziłaby brzegi rzeki – co i tak będzie musiał teraz zrobić. Jeszcze kosztowniejsze roboczogodziny, Duguid będzie przeszcześliwy.

- Masz skłonności autodestrukcyjne, wiesz o tym?
 - To był wypadek. Każdemu mógł się przydarzyć. Już dzwoniłem do miejscowych władz, żeby postawili tam ogrodzenie. – Ściśle rzecz biorąc, zlecił ten telefon MacBride’owi, była to jednak najlepsza gwarancja, że zadanie zostanie wykonane.
 - O, jestem pewien, że wypadek. Skakanie z klifu to nie w twoim stylu.
 - Właśnie. Pewnie uważasz, że wolę się wieszać.
- Hilton opanował uśmiech.
- Właściwie zacząłem się skłaniać do twojej wersji wydarzeń. Może faktycznie spadłeś z tego krzesła niechcący i nigdy nie zamierzałeś się powiesić. Zdarzenie z klifu tylko to potwierdza. – Hilton wzruszył ramionami. – W pewnym sensie.
 - Czy to znaczy, że mogę zrezygnować z tych cholernych spotkań? Naprawdę mam mnóstwo lepszych zajęć.
 - Jasne. Na przykład namiętnie pakujesz siebie i posterunkowego MacBride’a w niebezpieczne sytuacje, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach. Albo wyprawiasz się bez wsparcia, samotnie, na miejsce zbrodni, nie mówiąc nikomu, dokąd idziesz. Albo... – Hilton pochylił się do przodu, chwycił grubą teczkę i zaczął przerzucać kartki. – Znalazłoby się mnóstwo innych przykładów przez cały okres trwania twojej kariery w dochodzeniówce. – Zamknął teczkę i odchylił się z powrotem na oparcie.
 - Do czego zmierzasz?
 - Wokół ciebie dziwnie często zdarzają się różne nieszczęśliwe wypadki. Czasami dotyczą ciebie, ale równie często, a nawet częściej, innych ludzi.
 - Sugerujesz, że jestem niebezpieczny? Że w ogóle nie należałoby mnie wypuszczać? A może nie powinienem pracować w policji?
 - Nie mnie się o tym wypowiadać.
 - Jesteś pewien? Byłem przekonany, że właśnie ty masz zawyrokować, czy nadaję się na policjanta, czy też nie.
- Hilton złączył palce w piramidkę i wsparł na nich podbródek. Zaczął mówić, ale nagle się zorientował, że w tej pozycji nie idzie mu najlepiej.
- Posłuchaj. Rozumiem – powiedział McLean. – Nie jestem zbyt dobry w przestrzeganiu procedur. Ale wiesz co? Czasami procedury bardziej przeszkadzają, niż pomagają. Czasami trzeba pójść na skróty, żeby rozwiązać sprawę. Czasami...
 - Jak sobie radzisz ze sprawą Andrew Weatherly’ego?
- Zmiana tematu była tak raptowna, że McLean trochę zgłupiał.
- To... dopiero początek.
 - Naprawdę to tak straszna historia, jak słyszałem?
 - Zależy, co słyszałeś. – McLean przez chwilę przyglądał się twarzy Hiltona, wyobrażał sobie, jak biega on po komisariacie, wypytuje i węszy, próbuje się wkręcić do kolejnego wysoko priorytetowego dochodzenia. Pewnie już widział w wyobraźni następną książkę albo przynajmniej serię prelekcji.
 - Słusznie. Rozumiem, że nie chcesz o tym rozmawiać. – Hilton urwał, jakby rozważał, czy zadać pytanie, które tak bardzo chciał zadać. – No wiesz, mogę pomóc.
 - Mnie? Czy Weatherly’emu? Chociaż nie, jemu już chyba nie da się pomóc. Ani jego żonie i dzieciom. – McLean dźwignął się z fotela, skutecznie przewidział bolesny skurcz na tyle

wcześniej, że udało mu się zapanować nad mimiką. Pochylił się, kładąc dłonie na brzegu biurka – trochę, żeby się podeprzeć, a trochę, żeby onieśmielić Hiltona, który cofnął się odruchowo. – Przychodzę na spotkania z tobą od dobrych kilku miesięcy. Tracę czas, który mógłbym przeznaczyć na pracę. I po co? Jak sam powiedziałaś, wierzysz, że nie próbowałem się zabić. Mam pecha, często zdarzają mi się wypadki. Pokaż mi śledczego, który nigdy nie miewa wypadków. To niebezpieczny zawód. Ilu z nich widzisz regularnie?

– Nie o to...

– Żadnego. Tylko mnie. Profilowaniem też ostatnio się nie zajmujesz. Oto moje refleksje na ten temat: przeciągasz te spotkania, każesz mi tu przyłączyć, bo chcesz zatrzymać ten ładny gabinet i tłuste honorarium.

– Jak śmiesz sugerować...?

– Nie lubię cię, Hilton. Nigdy nie lubiłem. I nie cenię cię jako profilerka ani jako psychologa. Jestem tu tylko dlatego, że mi kazano, ale jak sam zauważyłaś, nie mam zwyczaju przestrzegać procedur. I dlatego więcej tu nie wrócę.

McLean odwrócił się powoli, świadom, że gdyby teraz padł na podłogę, wrzeszcząc z bólu, popsułby cały efekt. Drzwi znajdowały się całkiem blisko, ale i tak upłynęła cała wieczność, zanim do nich dotarł. Kiedy spojrzął za siebie, Hilton nadal siedział w swoim fotelu, usta miał lekko rozchylone w wyrazie zdumienia. Ten widok wynagrodził McLeanowi perspektywę czekających go kłopotów.

Kirsty nie ma zbyt dużego doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Przesłuchiwanie znajomych i współpracowników. W dodatku w tej zbrodni jest coś bardzo niepokojącego. Owszem, tego rodzaju historie – człowiek zabija całą rodzinę, a potem popełnia samobójstwo – nie zdarzają się aż tak rzadko, jakby sobie tego życzyła, nigdy dotąd jednak nie brała udziału w podobnym dochodzeniu, I te dzieci... Przeciera oczy, by pozbyć się tamtego obrazu, lecz nadaremnie. Szef myśli, że ich nie zobaczyła. Był zbyt przejęty, trudno go winić. Ale je widziała, leżące obok siebie w jednym łóżku, podobnie jak kiedyś ona z siostrą, gdy były małe.

– Straszna historia. Szok.

Kobieta ma na sobie nieskazitelny strój, a jej twarz jest tak doskonała, że niemal nieprawdziwa. Coś w jej oczach budzi w Ritchie niepokój, lecz jest miła i uprzejma, próbuje pomóc.

– Pani i pan Weatherly byli, jak rozumiem, partnerami w interesach.

– O, nie tylko. Przyjaźniliśmy się z Andrew od dawna. Poznałam go z przyszłą żoną.

– Może zauważyła pani, że pan Weatherly znajdował się pod jakąś szczególną presją? Był bardzo zajęty człowiekiem.

– O, tak. Nieustannie, ale Andrew to kochał. Zaczęłabym się martwić o jego stan psychiczny, gdyby nagle przestał biegać dokoła jak obłąkaniec. Chyba by zwariował, gdyby musiał zwolnić tempo.

Siedzą przy eleganckim stole w gabinecie urządzonym przez kogoś obdarzonego dobrym gustem i nieograniczonym budżetem. Krzesła nie stoją naprzeciwko siebie – kobieta siedzi pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do Ritchie i może odrobinę za blisko. Kiedy mówi, jej dłonie malują w powietrzu niewidzialne obrazy.

– A więc w sprawach zawodowych nie zdarzyło się nic, co mogłoby go pchnąć do...

– Do zabicia tych biednych dziewczynek, Morag i w końcu siebie samego? – Kobieta lekko kładzie dłoń na udzie Ritchie. Gest wydaje się zarazem zbyt poufały i zaskakująco krzepiący. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co może pchnąć człowieka do takiego czynu. Jakiegokolwiek człowieka. A już na pewno kogoś, kogo dobrze znałam. – Urywa. – A może tylko tak mi się zdawało.

Rozlega się dyskretne pukanie do drzwi, szcęk poruszonej klamki i do środka wkracza sekretarka z tacą w rękach. W powietrzu rozchodzi się zapach świeżo parzonej kawy.

– A. Dziękuję, Sandy. – Kobieta przygląda się, jak sekretarka stawia tacę na stole, popycha do dna sitko w zaparzaczu, nalewa kawy do filiżanek, zestawia z tacy mleko, cukier i herbatniki. Przez cały czas jej dłoń dotyka uda Ritchie. Gest nie jest pieszczotliwy ani intymny, po prostu nakazuje, by nie ruszała się z miejsca. Nie uciekła.

Ritchie od dawna nie czuła się tak nieswojo. Chyba od czasów szkoły. Od śmierci siostry. Ta kobieta, tak bezpośrednia, tak władcza, wprawia ją w zakłopotanie. Ritchie podnosi filiżankę, upija łąk. Gorący napój spływa wzdłuż gardła. Musi dokończyć rozmowę, na liście zostało jeszcze sporo nazwisk. Portret rodziny w kryzysie, który trzeba wydobyć w ich wspomnień. Napotyka spojrzenie kobiety, pytanie zamiera na jej ustach.

– Chyba już wystarczy na temat Andrew, nie sądzisz? – mówi kobieta. – Lepiej opowiedz mi o sobie, moja droga. Opowiedz mi też o swoim szefie.

12

Ruch w pewnym stopniu ukoił ból biodra. Poza tym powstrzymał inspektora przed wściekłością na Hiltona, która niechybnie oznaczałaby niebezpieczną utratę energii. I wściekłością na siebie samego. Stopy McLeana zanosły go najpierw do gabinetu, ale okazało się, że stos formularzy dotyczących nadgodzin raczej nie poprawi mu humoru. Stopy wróciły więc na korytarz i powędrowały na górę, w kierunku pokoju przeznaczanego na użytek zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie Weatherly'ego.

W dochodzeniu brała udział chyba z połowa komisariatu – przynajmniej taką wiadomość podano do prasy. Prawda wyglądała tak, że niewiele mogli wskórać, póki ekipa technicznych nie zakończy oględzin w domu Weatherlych. Zresztą sprawa wydawała się jasna jak słońce: Weatherly oszalał, udusił córki, zastrzelił żonę i na końcu popełnił samobójstwo. Próbowali jedynie się dowiedzieć, co nim kierowało, a zarazem zdawali sobie sprawę, że nie znajdują racjonalnego wytłumaczenia. W każdym razie takiego, które można by podać do wiadomości publicznej, żeby porządni obywatele spali spokojnie.

McLean stanął w drzwiach. Kilku mundurowych i pracowników obsługi technicznej prowadziło rozmowy przez telefon i wklepywało polecenia w komputery. Nie było wśród nich ani jednego śledczego, co McLeana zbytnio nie zdziwiło. To było ćwiczenie z PR-u, nic poza tym. Obrócił się na pięcie, by nie patrzeć na pozorowane działania, i ruszył na drugą stronę korytarza.

W pokoju, w którym pracowali ludzie związani ze śledztwem dotyczącym mężczyzny z tatuażami, również nie zastał ani jednego starszego stopniem śledczego. Za to świeżo upieczona posterunkowa Sandy Gregg powitała go promiennym uśmiechem.

– Właśnie minął się pan ze Stu... z posterunkowym MacBride'em. Skoczył do kantyny po kawę.

– Dużo pracy?

W przeciwieństwie do tego, co działo się w pokoju po przeciwnej stronie korytarza, to dochodzenie wymagało obsługi tylko jednej linii telefonicznej. Gregg pewnie gorzko żałowała, że zgłosiła się na ochotniczkę. Lubiła sobie pogadać, a nikt nie dzwonił.

– To dopiero początek. Ledwo co opublikowaliśmy zdjęcie. Niedługo pewnie ktoś się odezwie.

McLean spojrział na tablicę. Fotografia przypięta w lewym górnym rogu pokazywała mężczyznę w takim stanie, w jakim go znaleźli: twarz czarna od przeróżnych wzorów i zawijasów.

– A *mock-up*? Bez tatuaży?

Gregg posłała mu puste spojrzenie. Odpowiedź dobiegła od drzwi:

– Grafik jeszcze się nie zjawił, szefie. – Posterunkowy MacBride wszedł do pokoju

z dwoma parującymi kubkami w rękach. Pora dnia wskazywała, że torba z szarego papieru, którą niósł pod pachą, zapewne kryje w sobie mufinki.

– Dajcie znać, jak tylko je dostaniemy, okej? Chcę je rozesłać do szpitali, noclegowni i tak dalej. Ktoś na pewno go widział, zanim zrobili mu te dziary.

McLean popatrzył z bliska na fotografię przypiętą do tablicy. Musiało boleć jak cholera, wolał nawet sobie tego nie wyobrażać. Bezwiednie uniósł rękę do prawego ramienia i dotknął miejsca, o którym przez ostatnie dziesięć lat prawie nie myślał. Kirsty bardzo długo namawiała go na tatuaż, ale dopiero Phil zdołał sprawić, że szalony pomysł wydał mu się całkiem rozsądny. Tatuaż był niewielki, abstrakcyjny, czarny, w stylu tych, które pokrywały całe ciało zmarłego mężczyzny. McLean wciąż pamiętał buczenie igły, ból towarzyszący wprowadzaniu atramentu głęboko pod skórę, a potem trwające wiele dni pieczenie gojącej się rany.

– Szefie, wszystko w porządku?

– Co? O – McLean odwrócił się zbyt szybko i skrzywił, gdy gwałtowny ból znowu przeszył jego nogę i kręgosłup. Nawet nie zauważył, kiedy MacBride do niego podszedł. Znad kubków z kawą unosił się przyjemny aromat.

– Chyba uda nam się dowiedzieć, kto to był?

– O, pewnie tak. Mamy pozostałe zdjęcia przesłane przez patologa? Wszystkie tatuaże? MacBride zmarszczył brwi.

– Chyba tak. Jak nie, można sprowadzić. A co?

– Załatw to jak najszybciej. Nagle poczułem, że muszę się spotkać z dawnym znajomym.

Miejsce w niczym nie przypominało obskurnej nory, w której wiele lat temu McLean zdał się na łaskę i niełaskę tatuażysty, za namową najlepszego przyjaciela i w przypływie odwagi spowodowanym chyba zbyt dużą ilością procentowych trunków. Salon przeszedł w ciągu tej dekady olbrzymią przemianę. Budynek, w którym się znajdował, przerobiono na blok pełen maleńkich mieszkańek dla nowej awansującej warstwy edynburszczyków.

„Bo’s Inks” istniał jednak już wcześniej i zapewne miał przetrwać wszelkie kaprysy fortuny. McLean po raz pierwszy odwiedził to miejsce jeszcze jako policjant pracujący w patrolu i poznający tajemnice miasta u boku starego sierżanta Guthriego McManusa. Bo i Guthrie służyli razem w marynarce handlowej, przynajmniej tak mu powiedziano. Salon tatuażu stanowił stały punkt postoju na kubek herbaty i pogawędkę. A nawet jeśli Bobowi zdarzyło się przekazać różne przydatne informacje na temat okolicznych kombinatorów, to przecież była to tylko niezobowiązująca rozmowa dwóch starych kumpli, prawda?

Bo zmarł wiele lat temu, ale interes przejął jego syn Eddie, który okazał się znacznie zdolniejszym tatuażystą. Miał artystyczny talent, którego brakowało ojcu, w dodatku spędził kilka lat w Stanach, gdzie uczył się od najlepszych. Może okazał się mniej przydatny jako źródło informacji, ale McLean i tak wpadał od czasu do czasu z wizytą. Bywało tu doborowe towarzystwo, do którego McLean nieraz dołączał w związku z jakimś dochodzeniem.

– Tony McLean, a niech mnie.

Eddie siedział na stołku w głębi pustego pomieszczenia. McLean wszedł do środka. Posterunkowy MacBride trzymał się tuż za jego plecami, chyba nieco zbyt blisko. Zapewne nieczęsto bywał w podobnych miejscach.

– Widzę, że jesteś niezwykle zajęty. – McLean wyciągnął rękę na powitanie.

Eddie nosił koszulkę bokserką, ale raczej nie interesował się boksem. Wybrał ten krój zapewne po to, by pokazać jak najwięcej skomplikowanych kolorowych wzorów, dzieło jego partnera, George'a, pokrywających kark i ramiona.

– Wiesz, jak jest. Większość klientów przychodzi po zmroku. – Eddie ruchem głowy wskazał posterunkowego MacBride'a, nadal stojącego przy drzwiach. – Ten młody to kto?

– Posterunkowy MacBride. Eddie – dokonał prezentacji McLean.

– Bardzo mi miło. Zapraszam do środka. Bez obaw. Kłujemy tylko za wyraźnym przyzwoleniem.

MacBride zamknął drzwi. Powiódł wzrokiem dokoła, popatrzył na wiszące na ścianach obrazki przedstawiające najciekawsze wzory, jakie wykonano w zakładzie w ciągu długich lat jego istnienia. Potem ku wielkiemu zaskoczeniu McLeana odłożył tablet, rozpiął lewy mankiet i podciągnął rękaw. Na bladej szkockiej skórze widniały skomplikowane zawijasy, w których po zenująco długiej chwili McLean dopatrzył się kształtu smoka. Raczej walijskiego niż chińskiego. Był pod wrażeniem.

– Ładne – powiedział Eddie, spoglądając na tatuaż znad okularów. – Kto go zrobił? Nie, nie mów. Jake Selden z Wardie. Zgadza się?

– Tak jest. Jakiś rok temu.

– Jake jest w porządku, ale gdybyś chciał jeszcze jeden, lepiej przyjdź do mnie lub George'a. Dla przyjaciół z policji specjalne rabaty.

– Dzięki. Pomyślę. – MacBride powoli odwinął rękaw i zapiął mankiet, próbując przy tym nie gapić się zbyt bezczelnie na wzory pokrywające ramiona Eddiego.

– A więc, co mogę dla was zrobić? Domyślam się, że nie przyszlście chwalić się dziarami.

– Niezupełnie. W każdym razie nie naszymi. – Widząc, jak brwi MacBride'a podjeżdżają do góry, McLean dodał: – Miałem nadzieję, że nam pomożesz.

– Niech zgadnę. Identyfikacja ciała.

– Coś w tym stylu. – McLean ruchem głowy dał znak MacBride'owi. – Posterunkowy.

MacBride wziął do ręki tablet i puknął w ekran, na którym pojawił się pierwszy folder ze zdjęciami. Odwrócił urządzenie i podał je Eddiemu. Ten popatrzył na pierwsze zdjęcie, zdjął okulary i zamienił je na inne.

– Jezu.

Przesunął palcem po ekranie, by powiększyć kolejne zdjęcie. Potem następne i następne. Od czasu do czasu przybliżał jakiś fragment i przyglądał się uważnie. McLean nie zamierzał go pospieszać. Wreszcie Eddie odłożył tablet, zdjął okulary i potarł oczy.

– Biedny sukinsyn.

– Poznajesz, czyja to robota? – spytał McLean.

– Nie. Przykro mi. Kurde, trudno w ogóle cokolwiek zobaczyć, tyle tam się dzieje. I wszystkie są świeże. Powiedzmy, większość.

– Większość?

– Tak, miejscami widać stare rysunki. Miał tatuaże, zanim mu to zrobili. Ale tylko kilka.

– Możesz mi pokazać? – McLean wziął tablet do ręki, by podać go Eddiemu.

– Na tym? Mogę. Ale byłoby łatwiej, gdybym obejrzał ciało.

– Jesteś pewien?

– Widywałem już w życiu trupy, inspektorze. Nie takie, to muszę przyznać. – Eddie wskazał na tablet i widniejący na ekranie zbiór niepokojących fotografii.

– Jeśli jesteś całkowicie przekonany, to porozmawiam z patologiem i umówię spotkanie najszybciej, jak tylko się da. Dzięki. Bardzo nam pomogłeś.

Eddie uśmiechnął się szeroko i przebiegłe, a potem puścił oczko do posterunkowego MacBride'a, jakby chciał go wciągnąć w niecną intrygę.

– Spokojnie. Wiem, dokąd przesłać rachunek. I może wreszcie dasz sobie naprawić ten syf na ramieniu. Najwyższy czas.

– Nie wiedziałem, że masz tatuaż, posterunkowy.

W powrotnej drodze oczywiście wlekli się niemiłosiernie z powodu robót drogowych na West End. Małe pomarańczowe światełko podpowiadało, że kończy się paliwo. Znowu. Cholerny samochód, tygodniowo wypijał chyba równowartość własnego ciężaru.

– Raczej nie porusza się takich tematów podczas rozmów w pracy. – MacBride siedział w fotelu pasażera wyprostowany jak struna, jakby uważał garbienie się za godne moralnego potępienia.

Wyraźnie było widać, że czuje się bardzo nieswojo w prywatnym samochodzie inspektora, lecz cóż, MacBride zawsze wydawał się nieswój w obecności starszych rangą kolegów. W przeciwieństwie do sierżant Ritchie, która zwykle czuła się swobodnie w każdym towarzystwie.

– Cieszę się, że akurat dzisiaj wynikły. Eddie od razu cię polubił. Pewnie dlatego tak chętnie zgodził się nam pomóc.

– Zajmę się tym wszystkim, jak tylko wrócimy do komisariatu. Zamierza pan towarzyszyć panu... Eddiemu przy oględzinach ciała?

– Pewnie będę musiał. Wiesz, jak reaguje Angus, kiedy dopuszcza się osoby postronne w pobliże jego trupków.

MacBride nie odpowiedział, spojrzał tylko na tablet, a potem na przednią szybę. Samochody wreszcie ruszyły. McLean widział, że posterunkowy chce o coś zapytać, ale nie wie jak ani nie jest pewien, czy powinien. McLean chyba się domyślał, o co chodzi.

– A to, co pan... co Eddie powiedział, kiedy wychodziliśmy. O pańskim ramieniu.

No tak.

– Zgadza się, posterunkowy, mam tatuaż na prawym ramieniu. Bardzo mały, nawet trudno stwierdzić, co ma przedstawiać, a ja byłem pijany, kiedy mi go robiono.

– Żaden tatuażysta z prawdziwego zdarzenia za nic nie wydziarga pijanego klienta. Teraz są takie zasady, że nawet nie wpuściłby go do środka. Najpierw trzeba przyjść na konsultację, mieć czas do namysłu. To...

– Wiem. Wiem. Powiedzmy, że zrobiłem ten tatuaż, kiedy panowały nieco inne zasady. Na szczęście nie dostałem w ramach bonusu żadnej nieciekawej choroby w tej norze, do której zaciągnął mnie ów tak zwany najlepszy przyjaciel. Uważaj na najlepszego przyjaciela, Stuart. Bądź pewien, że to właśnie przez niego wdepniesz w najgorsze gówno. I w dodatku pewnie mu wybaczysz, jak tylko minie kac.

– A więc pan...

– Ma na nazwisko Cobbold, ale wszyscy mówią na niego Eddie.

– O. No tak. A więc Eddie...

– Taa, wykazałem się wybitną głupotą i pokazałem mu ten nieszczęsny tatuaż. Byłem wtedy posterunkowym. Nabijał się ze mnie jeszcze chyba z pół roku, a jak mu się znudziło, zaczął mnie namawiać, żebym mu pozwolił coś z tym zrobić.

– Czemu nie? Czemu się pan nie zgodzi? Jest dobry.

– A George jeszcze lepszy. Chyba nie sądzisz, że Eddie sam się wytatuował?

McLean zwolnił, dał kierunkowskaz, ostrzegając nadjeżdżający samochód, przeciął mu drogę i skręcił na parking przed komisariatem. Wykonał manewr trochę za szybko – silnik V6 groźnie zaryczał, a przednie koła zazgrzytały na asfalcie. MacBride kurczowo chwycił się deski rozdzielczej. Rozluźnił się dopiero, kiedy inspektor wyłączył silnik.

– Widziałem smoka na twoim ramieniu, posterunkowy. Jest naprawdę świetny. Potrafię docenić sztukę zdobienia ciała, lecz sam spróbowałem i jakoś nie czuję chęci na powtórkę. Szybciej usunąłbym to, co mam. – McLean klepnął się w ramię. – Ale to również przypomnienie i ostrzeżenie, żeby więcej takich głupot nie robić. – Otworzył drzwi, dźwignął się z niskiego siedzenia i wygramolił z samochodu. Na chwilę oparł ramiona na dachu, aż ustało bolesne pulsowanie.

MacBride już zamknął drzwi po swojej stronie. Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nadal nie potrafił zdecydować, czy wypada.

– Nie chciałem cię urazić. Nie mam nic przeciwko tatuażom, tylko przeciwko tatuażom na własnym ciele.

MacBride zrobił lekko przerażoną minę.

– Nie o to chodzi, szefie. Jakoś ostatnio o tym nie myślałem, ale to Alison namówiła mnie na tatuaż. Uśmiełaby się, gdyby się dowiedziała, że pan też ma. – Stuknął bokiem tabletu o swoje ramię, odwrócił się i ruszył w stronę wejścia. McLean został na miejscu. Miał wrażenie, że nie zdołałby się ruszyć, nawet gdyby próbował. Ból w nodze zelżał, ale słowa posterunkowego wywołały łańcuch bardzo przykrych myśli.

Alison. Alison Kydd. Przeniesiona z mundurowych do dochodzeniówki, zachwycona i podekscytowana. Uderzył w nią van, przeznaczony dla niego. Odepchnęła McLeana, uratowała mu życie kosztem własnego życia. Co powiedział Hilton? „Wokół ciebie dziwnie często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki. Czasami dotykają ciebie, ale równie często, a nawet częściej, innych ludzi”.

Niech go diabli. McLean bardzo niechętnie musiał przyznać, że konował być może miał rację.

Chodniki pokrywała szara breja, bryzgająca spod kół samochodów. Ciężko było się po niej poruszać, ale McLean odkrył, że chodzenie sprawia mu mniej bólu niż stanie i znacznie mniej niż siedzenie. Rytm kroków pomagał myśleć. Poza tym zawsze chętnie korzystał z okazji, by choć na chwilę wyrwać się z budynku komisariatu, przewietrzyć głowę. Wybrał się do kostnicy, żeby zapytać Angusa, kiedy Eddie mógłby wpaść na oględziny ciała. Równie dobrze mógł to załatwić przez telefon. Oczywiście patologa nie zastał, lecz specjalnie się tym nie przejął. Najważniejszy był sam spacer i okazja do rozmyślań.

Najpierw zauważył zapach – aromat tytoniu. Nie żeby zaraz znał wszystkie marki i potrafił je zidentyfikować jak jakiś tytoniowy sommelier. Było coś szczególnego w tym konkretnym dymie, tym konkretnym miejscu, co sprawiło, że od razu wiedział, kto za nim idzie. Nawet nie musiał się oglądać. Po chwili go dogoniła.

– Inspektor McLean. Trudno pana wyśledzić.

Jo Dalgliesh miała na sobie ten sam długi skórzany płaszcz co ostatnim razem, kiedy miał pecha ją spotkać. A także przedostatnim razem i jeszcze poprzednim. McLean przypuszczał, że to taki uniform. Albo skóra. Całkiem prawdopodobne, w pewnym sensie była gadziną. Sięgała mu do ramienia, twarz miała pomarszczoną jak suszona śliwka. Krótko obcięte sztywne włosy chyba mocniej posiwiały, ale poza tym nic się nie zmieniła.

– Pani Dalgliesh. Cóż za niespodzianka. – Nie zatrzymał się, najchętniej jeszcze by przyspieszył, żeby utrudnić jej zadanie, ale nie pozwalał na to ból w nodze. Cholera, dopiero co był u fizjoterapeutki. Nie mógł się doczekać kolejnej wizyty.

– Mów do mnie Jo, proszę. Nawet stary poczciwy Duguid tak się do mnie zwraca. A jest znacznie większym sztywniakiem od ciebie.

– Nie interesują mnie pani konszachty z nadinspektorem Duguidem.

Dalgliesh zmarszczyła nos, jakby wdepnęła w coś nieprzyjemnego.

– Czy pan zawsze musi być taki negatywny, McLean? My, czwarta władza, możemy bardzo się panu przysłużyć.

– Jasne. Ale zwykle trzeba za waszą pomoc słono zapłacić. Wolałbym nie sprzedawać duszy, dziękuję.

– Słyszałam, że zajmuje się pan sprawą Andy’ego Weatherly’ego.

– Do widzenia, pani Dalgliesh. – McLean przyspieszył, ale zaraz musiał znowu zwolnić, udo przeszył gwałtowny ból.

– Widzę, że noga nadal daje się we znaki.

Bez problemu dotrzymywała mu kroku. Niech ją, co za baba.

– Jest coraz lepiej.

– Nieciekawa historia. Słyszałam. Strych, lina i tak dalej. Skąd pan ją wziął, tak przy

okazji?

McLean zatrzymał się tak gwałtownie, że Dalgliesh z rozpędu wykonała jeszcze kilka kroków, zanim się zorientowała.

– O czym pani mówi?

– Lina? Strych? Niedoszące przypadkowe powieszenie? Tak przynajmniej słyszałam. Co pan tam robił?

– A uczyni jakąś różnicę, jeśli powiem, że to nie pani sprawa? – McLean przyglądał się twarzy Dalgliesh, szukając oznak zdradzających, że z nim pogrywa lub że przynajmniej nie używa swoich zwykłych gier typowych dla podłego pismaka. Nie potrafił nic wywnioskować, miała doskonale pokerową twarz.

– Stek bzdur. Policjant ranny podczas pełnienia służby. Nie dam się nabrać. Oczywiście mogłabym napisać coś o stresującym zawodzie i częstych przypadkach skłonności autodestrukcyjnych wśród policjantów z dochodzeniówki. Ale żeby Tony McLean próbował popełnić samobójstwo? Nieee. – Dalgliesh wyszczerzyła zęby jak rekin w basenie pełnym tuńczyków.

– Czego pani chce? – McLean nie próbował kryć zniecierpliwienia.

– Chcę wiedzieć, o co chodzi z Weatherlym. To pan prowadzi dochodzenie, prawda?

– Oficerem dowodzącym w tej sprawie jest nadinspektor Jack Tennant, ale owszem, ja też biorę udział w śledztwie.

– Dlaczego? To teren Fife.

– Wie pani przecież, że nie istnieje już regionalizacja, prawda? Nie ma Fife, nie ma Lothian i Borders.

– No tak, mamy Policję Szkocką. Jasne.

– Weatherly był posłem do parlamentu. Miał dom w mieście, tutaj prowadził interesy. Duża część dochodzenia będzie prowadzona w Edynburgu, więc nasz udział jest całkowicie uzasadniony.

Dalgliesh przez chwilę przetrawiała jego słowa.

– Niby słusznie. Ale dlaczego właśnie pan? Czemu nie ktoś wyższy stopniem?

– Wielkie dzięki za entuzjazm i zaufanie.

– Nie ma co się tak nadymać, panie inspektorze. Wie pan, co mam na myśli. Skoro w Fife przydzielono do tej sprawy nadinspektora, to czemu w Edynburgu nie zajmuje się nią Dagwood?

McLean tylko częściowo zdołał stłumić śmiech gulgoczący mu w piersi. Właśnie dotarł do budynku komisariatu i wreszcie mógł schronić się w środku. Dalgliesh nie mogła go dalej ścigać.

– Sądziłem, że to oczywiste dla kogoś takiego jak pani. Proszę pomyśleć.

– Nie możesz mnie wyrzucić, stary. Walczyłem na wojnie, rozumiesz.

McLean właśnie przechodził przez recepcję, zmierzając w stronę tylnego wyjścia na parking. Było późno i miał serdecznie dosyć jak na jeden dzień. Przed oczami majaczyła wizja niedalekiej przyszłości: jedzenie na wynos i piwo. A później, wieczorem, może nawet whisky, jeśli środki przeciwbólowe go nie znokautują. Ale coś brzmiącego w głosie tego mężczyzny kazało mu się zatrzymać.

– Zabrały go, zabrały go ze sobą. Tłumaczę, ale ty nie słuchasz. Ciemne anioły. Zabrały go.

To było silniejsze od niego – zatrzymał się. Po prostu musiał sprawdzić, o co chodzi. Kontuar recepcji niezmiennie stanowił prawdziwy magnes na świrów, a kiedy robiło się naprawdę zimno, ściągali tłumnie z ulicy, w nadziei na nocleg w ciepłej celi. Zwykle akt drobnej i zastosowanej bez większego przekonania przemocy wystarczył do osiągnięcia celu, ale czasami któryś z gości wybierał inną opcję i wołał udawać wariata.

– No dobrze. Od początku. – McLean usłyszał cierpiętnicze westchnienie w głosie dyżurnego. – Mógłby pan podać swoje nazwisko?

– Walczyłem na wojnie.

– Tak, proszę pana. Już pan mówił. A na której?

– Bośnia. Irak. Afganistan. Walczyłem na wszystkich. Służyłem ojczyźnie. Billbo tak samo. Ale go zabrały. Ciemne anioły.

McLean usłyszał ciche stuknięcie – sierżant Pete Dundas odłożył ołówek na blat z forniru. McLean wiedział, że to dla niego sygnał do ucieczki, bo inaczej dyżurny wezwie go do pomocy. Obrócił się zbyt szybko, ponownie wywołując przenikliwy ból w nodze, który powstrzymał ewakuację. Kiedy doszedł do siebie, już było za późno.

– O, inspektor. Nie wiedziałem, że wciąż jest pan w pracy.

McLean znów się odwrócił, tym razem w wolniejszym tempie. Na twarzy Pete’a Dundasa widniał radosny uśmiech – idealny kontrast dla jego własnego grymasu.

– Pete.

– Ma pan może wolną chwilkę? Ten tu dżentelmen twierdzi, że stracił przyjaciela.

– Właśnie szedłem do domu.

– To zajmie tylko minutkę. Trzeba go trochę uspokoić, to wszystko.

McLean ścisnął grzbiet nosa, zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze przez nozdrza. Wizja pizzy na wynos prędko odpłynęła w niebyt. Chyba trzeba będzie przejść od razu do whisky i środków przeciwbólowych.

– Dobra, Pete. Ale masz u mnie dług.

Miał na imię Gordy i walczył na wojnie. Tyle zdołał ustalić McLean na wczesnym etapie konwersacji. Najbardziej zdziwił go wiek mężczyzny – prawdopodobnie byli rówieśnikami. Czy naprawdę zdążył wziąć udział w tylu kampaniach? Bośnia, dwa razy Irak, Afganistan? Po chwili musiał skonstatować ze smutkiem, że owszem, tak. Tyle w temacie wojny, która miała położyć kres wszystkim wojnom. I tej, która nastąpiła zaraz potem.

Równie przygnębiająca była świadomość, że człowiek, który całe dorosłe życie spędził w służbie ojczyźnie teraz mieszka na ulicach Edynburga, zimnych i nieprzyjaznych o tej porze roku. Przygnębiająca, lecz ani trochę nie zaskakująca. Wielu byłych żołnierzy nie dawało sobie rady. Kiedy ktoś żyje tak długo w dyscyplinie i specyficznej strukturze armii, często ma problemy z powrotem do normalnego samodzielnego życia. Jak się dorzuci do tego potworne doświadczenia z czterech różnych wojen, to należy raczej się dziwić, że tylko tylu kończy jako czubki.

– Proszę opowiedzieć o swoim przyjaciolem. – McLean spojrział w notatki. – Billbo. Przez dwa „l”?

– Zgadza się. Zналиśmy się od dawna. Byliśmy razem na pustyni, z Amerykanami. Niejedno widzieliśmy, zapewniam.

– Miał jakieś imię, nazwisko?

Gordy podrapał się w podbródek, który co najmniej od tygodnia nie widział się z żyłką.

– Pewnie tak. Ale ja nie pamiętam.

– I powiadasz, że Billbo znikł.

– Tak, zabrały go ciemne anioły.

– Kiedy to się stało? Ostatniej nocy?

– Ostatniej nocy. Ostatniej nocy. – Twarz Gordy’ego stężała z wysiłku, widocznie sklecanie kilku spójnych i sensownych myśli wymagało od niego zaangażowania całego potencjału umysłowego. – Nie ostatniej nocy. Nie pamiętam. Byliśmy w Afganistanie. Pamiętam. Helmand. Bodie i Jugs wylecieli w powietrze. Billbo dostał szrapnelem w twarz, ale poza tym nic mu się nie stało.

Dobra. Czas zmienić wątek.

– Służyłeś w armii, zgadza się? Służyliście razem, ty i Billbo. Pamiętasz jego numer, stopień?

– 4061470. Sierżant – wyrecytował Gordy.

– A twoje dane?

– 4061470. Sierżant.

McLean westchnął. Nie ma lekko. Spojrział na wysoko umieszczone okno. To był ten ładny pokój przesłuchań, do którego zabierali osoby pomagające w dochodzeniu. Różnił się od

pozbawionych okien cel na dole, wyposażonych w stoły przymocowane na stałe do podłogi, o ścianach pomalowanych na beż typowy dla budynków użytku publicznego. Ostatnie ślady światła dziennego znikły dawno temu, pozostawiając tylko pomarańczowy blask na spodniej stronie chmur. Śnieg już nie padał, ale z pewnością zrobiło się brutalnie zimno.

– Masz gdzie przekimnąć, Gordy?

Były żołnierz przez cały czas przyglądał się własnym dłoniom, jakby dopiero teraz je dostrzegł. Podniósł wzrok i spojrzał prosto na McLeana. Jego powieki ciężko opadały, potargane brudne włosy sterczały na wszystkie strony. Miał na sobie kilka warstw ubrań, starych i zniszczonych, ale nie śmierdział. No, w tym sensie, że nie aż tak jak co poniektórzy w jego sytuacji.

– Umiem sam o siebie zadbać.

– Nie wątpię. Ale czasem warto skorzystać z oferowanej pomocy. Niedaleko, na Cowgate, jest takie miejsce. Dach nad głową, jedzenie, łóżko. Nie musisz wypełniać żadnych formularzy, możesz w każdej chwili odejść. Jak chcesz, to cię podwiozę.

Spojrzenie Gordy’ego nabrało intensywności.

– A czemu to robisz?

– Jest zimno. Pewnie znów będzie padał śnieg. Wydaje mi się, że na ulicy o tej porze roku nie jest zbyt przyjemnie.

– Lubię zimno. Lubię ulice. Dopóki widzę budynki i samochody, wiem, że tam nie wracam.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeszedłeś. Zresztą, mówiąc szczerze, wcale nie chcę.

– Billbo uratował mi życie, wiesz. – Gordy pochylił się i oparł ramiona na stole. Wariat z recepcji znikł bez śladu, przynajmniej na chwilę. Na jego miejscu znajdował się człowiek, który mógłby prawie uchodzić za normalnego, gdyby go tylko ogolić i przebrać w czyste rzeczy. Ale wciąż miał w oczach ten charakterystyczny wyraz: znękanego nieobecne spojrzenie. McLean widział je stanowczo zbyt wiele razy. Gordy, czy jak on tam się naprawdę nazywał, stąpał po bardzo cienkiej granicy między rzeczywistością a światem demonów, często z niej spadał i zawsze nie na tę stronę, co trzeba. Kiedy się zjawił, znajdował się właśnie po tamtej stronie, a teraz tylko na moment wrócił do normalności.

– Poszliśmy na patrol. Ja, Billbo, Bodie i Jugs. Czteroosobowy zespół, nocna operacja. Najgłupsze w tym wszystkim, że już wracaliśmy do bazy. Zadanie wykonane. Wracaliśmy, więc może nie zachowaliśmy ostrożności. Nie wiem, skąd on wiedział, co się za chwilę stanie. Może nie wiedział, może mieliśmy szczęście. Poczulem tylko, jak Billbo spycha mnie ze ścieżki. Najpierw się zdenerwowałem, a sekundę później huknęło.

Gordy zadrżał. Zapadła cisza. McLean nie zamierzał go pospieszać. Marzenia o pizzy i piwie dawno odeszły w niebyt.

– Chyba nie da się opisać, jak to jest. Byłem cały we krwi, w strzępach mózgu. Cholera wie, w czym jeszcze. Myślałem, że mnie trafiło, ale to był chyba głównie Jugs. Może Bodie też. Niewiele z nich zostało. I ten dźwięk. Jezu. Nic poza tym nie było słyhać. Billbo wrzeszczał bezgłośnie, podciągnął mnie, kazał biec. Krew zalewała mu twarz. Wyglądał jak jakiś stwór z horroru. Wszystko dokoła wyglądało jak z horroru.

Opowiadając, Gordy wpatrywał się w swoje dłonie. Teraz podniósł wzrok. W jego oczach błyszczały łzy.

– Uratował mi życie. A teraz zrobił to jeszcze raz. Nie przyszły po niego. Te ciemne anioły.

Przyszły po mnie, ale on tam był. Walczył z nimi, tak jak walczył na wojnie. Ale one miały błyskawice, rozumiesz. Podeszły go do tyłu, tchórze. Zaciągnęły w ciemność. Więcej go nie zobaczyłem.

McLean czekał, aż Gordy coś doda, lecz chyba uszła z niego cała energia. To była dziwna opowieść, smutne oskarżenie pod adresem kraju, który tak traktuje ludzi potrzebujących pomocy. Nieraz słyszał podobne historie. Owszem, forma szaleństwa, które dotknęło Gordy'ego, była szczególna, lecz sam fakt aż nazbyt często spotykany.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć twojego przyjaciela. Bardzo byś mi pomógł, gdybyś podał trochę informacji na jego temat. Mówisz o nim „Billbo”, przez dwa „l”. Ale na pewno miał jakieś imię i nazwisko. – McLean jeszcze raz zaczął zapisywać przydomek, nagle zatrzymał się, doszedłszy do „Bill”. – Może William? William i coś dalej?

Gordy zamrugał powiekami, cień wspomnienia przemknął przez udręczony umysł. Ale zaraz potem jego oczy zaszyły szklistą mgłą, obłąd powrócił.

– Zabrały go. Te ciemne anioły go zabrały. Zabrały mojego przyjaciela.

McLean czuł, że powinien zrobić dla tego człowieka coś więcej, ale nie przychodziło mu na myśl nic bardziej konstruktywnego, niż aresztować go i wsadzić na noc do celi. Gordy posłusznie szedł za nim na parking, nic nie mówił przez całą drogę, tylko od czasu do czasu mruzczał do mijanych policjantów: „Walczyłem na wojnie”.

Na widok rządów radiowozów i vanów używanych przez oddziały prewencji zrobił przerażoną minę, jakby zobaczył śpiące potwory, które w każdej chwili mogą się obudzić i go pożreć. Kiedy McLean dotknął przycisku otwierającego zamek, wywołując pikający dźwięk i mruganie świateł, Gordy aż podskoczył. Dopiero po długiej chwili, spędzonej na lodowatym wietrze, dał się namówić, żeby wsiąść do samochodu.

Na szczęście do noclegowni było niedaleko. Może Gordy nie woniał aż tak jak ktoś, kto śpi pod mostem i zdobywa pożywienie głównie na śmietniku na tyłach Tesco, ale szczególnie świeżym też nikt by go nie nazwał. Na szczęście, jak tylko McLean zapalił silnik, Gordy znalazł przycisk i opuścił szybę. A skórzane fotele łatwo dawały się umyć.

McLean miał dwa powody, by zawieść Gordy'ego do przytułku. Po pierwsze, nie mógł tak po prostu wygonić go z powrotem na ulicę – temperatura spadła znacznie poniżej zera, na następny dzień zaś zapowiadano zamieć śnieżną. Po drugie, zaintrygowała go historia byłego żołnierza. Owszem, ten człowiek stanowił żywy plakat ośrodka pomocy społecznej, ale prócz tego w jego życiu coś się wydarzyło nie tak dawno temu. I było to wydarzenie na tyle traumatyczne, że zmusiło go do przyścia do komisariatu. Nie był jednym ze stałych bywalców. Dyżurny na pewno by go rozpoznał. Istniała jednak szansa, że zidentyfikują go w przytułku. I może będą również wiedzieli, kim był Billbo.

U wejścia przywitał ich zapach gorącej zupy. Zapewne dochodził z jadalni, bo po chwili stłumiła go mniej przyjemna woń od dawna niemytych ciał i zaniedbanego uzębienia. Nagle zalała ich fala ludzkich głosów. McLean poczuł, jak Gordy się spina. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że może to nie był wcale taki dobry pomysł, przyprowadzić kogoś przyzwyczajonego do otwartych przestrzeni do pomieszczenia, które wygląda jak koszmary sen człowieka cierpiącego na klaustrofobię.

– Może najpierw coś zjesz? A potem zobaczymy, czy znajdzie się dla ciebie jakieś łóżko.

Gordy niechętnie ruszył za McLeanem do jadalni. Kiedy podano mu miskę parującej mięsnej potrawy i grubą pajdę ciemnego chleba, głód zwyciężył nad lękiem. Kobieta chciała nalać porcję również McLeanowi, ale on tylko machnął ręką.

– Jest Jeannie Robertson?

W odpowiedzi tylko uniosła brwi, więc pospiesznie wyjął legitymację i pokazał ją tak dyskretnie, jak tylko się dało. Większość bywalców tego przybytku nie czuła się komfortowo w obecności policjantów, a w taką noc naprawdę wolałyby nie ponosić odpowiedzialności za ich los, gdyby zdecydowali, że na zewnątrz będzie bezpieczniej.

– Zawołam ją. – Kobieta zrobiła taki gest, jakby chciała sprawić, by legitymacja znikła, po czym pospieszyła do kuchni.

McLean odwrócił się i zobaczył, że Gordy usiadł przy sąsiednim stoliku i zajada z apetytem człowieka, który nie widział porządnego posiłku od co najmniej dziesięciu lat.

– Tony McLean. Cóż za miłe spotkanie. Co cię do nas sprowadza?

McLean zauważył, że Jeannie Robertson nie zwróciła się do niego per „inspektorze”, tak jak to zawsze robiła, kiedy spotykali się w szpitalu. Przez osiemnaście miesięcy opiekowała się jego babcią, ale dopiero niedawno się dowiedział, że pracuje również jako wolontariuszka w garkuchniach dla bezdomnych. Jej wspaniałomyślność wprawiała go w pewne zakłopotanie.

– Przywiozłem nowego klienta. – Wskazał na Gordy’ego, który właśnie czyścił miskę pajdą chleba.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Wiesz, jacy oni są. Nie mogę opowiadać o nich każdemu.

McLean wzruszył ramionami.

– Chyba i tak nie mogę nic zrobić. Gordy przyszedł dzisiaj do komisariatu, bredząc o ciemnych aniołach, które porwały mu przyjaciela. Biedny sukinsyn, nie miał w życiu szczęścia.

– I sądzisz, że wyświadczyłeś mu przysługę? – Brwi Jeannie podjechały do góry w udawanym zdziwieniu. Potrząsnęła głową. – Niestety ja też nie mogę mu pomóc. Nie znam go. Zauważ, że ta pogoda przygoniła do nas mnóstwo osób, których wcześniej na oczy nie widziałam. I zapewne niedługo znajdziecie jeszcze kilku martwych na ulicach.

McLean skrzywił się na tę myśl, chociaż zima zbierała żniwo każdego roku.

– Pewnie nie słyszałaś o mężczyźnie zwanym Billbo? Przez dwa „l”?

Pielęgniarka znów potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że nic mi to nie mówi. Mogę popytać, ale ci ludzie często robią się dość agresywni, kiedy ktoś zaczyna węszyć.

McLean posłał jej znużony uśmiech.

– Cóż, musiałem spróbować. Przynajmniej ktoś dostał ciepły posiłek. Jest szansa, że dostanie też miejsce do spania?

– Nigdy nikomu nie odmawiamy, Tony. Jeśli chce zostać, dam mu koc i materac.

– Dobra. Dzięki. W takim razie zostawiam go pod twoją czułą opieką.

McLean jeszcze raz spojrzął na Gordy’ego, który siedział przygarbiony nad pustą miską, drobiąc chleb i wsuwając kawałki do ust. Strzelał oczami na boki, czujny w obecności tylu obcych osób. Potrzebował opieki lekarza, profesjonalnej pomocy, dzięki której pokonałby

traumę, która zniszczyła jego umysł. A społeczeństwo było w stanie dać mu jedynie miskę zupy, kawałek chleba, materac na podłodze sutereny, gdzieś w ciemnych zakamarkach miasta. I załatwione.

McLean sam nie był pewien, czego się spodziewał, ale Jennifer Denton na pewno znacznie odbiegała od jego wyobrażeń. Przede wszystkim była drobna. Nie tyle niska, co filigranowa, sprawiała na rozmówcy wrażenie, że znajduje się w większej odległości, niż by się wydawało. A dodatkowo tworzyła dystans zachowaniem. Nie, nie była nieuprzejma, nie próbowała jednak ukrywać, że wolałaby w tej chwili być gdzie indziej i że uważa całe to przesłuchanie za bardzo nużące.

McLean sam nie był pewien, czego się spodziewał, ale Jennifer Denton na pewno znacznie odbiegała od jego wyobrażeń. Przede wszystkim była drobna. Nie tyle niska, co filigranowa, sprawiała na rozmówcy wrażenie, że znajduje się w większej odległości, niż by się wydawało. A dodatkowo tworzyła dystans zachowaniem. Nie, nie była nieuprzejma, nie próbowała jednak ukrywać, że wolałaby w tej chwili być gdzie indziej i że uważa całe to przesłuchanie za bardzo nużące.

Zjawiła się punkt ósma, nieskazitelna, jak spod igły. McLean wyobraził sobie, że jej biedny fryzjer musiał zjawić się w zakładzie bladym świtem, „specjalnie dla szanownej pani”. Bez wątplenia zadała sobie znacznie więcej trudu niż większość jego rozmówców. Kiedy wprowadził ją do pokoju przesłuchań, z dezaprobatą pociągnęła nosem. Poczł swego rodzaju satysfakcję na myśl, że ostatnio na tym krześle zasiadał obłąkany weteran wojenny mieszkający pod mostem.

– Pani Denton, pracuje pani dla pana Weatherly’ego już od dość dawna – zaczął, kiedy dopełnili wszelkich formalności.

– Od dwudziestu lat. Zaczynałam podczas kampanii. Praca wakacyjna, żeby zdobyć doświadczenie. Kiedy wygraliśmy, Andrew poprosił, żebym została.

– Na czym polega... polegała pani praca?

– Już o wszystkim opowiedziałam sierżant... jak ona się nazywa? Ritchie?

McLean zdjął pierwszą kartkę z leżącego przed nim stosu. Udawał, że czyta.

– Widziałem transkrypt z przesłuchania. Była pani bardzo pomocna. Podobnie jak całe kierownictwo firmy. Chciałbym jednak wyjaśnić kilka szczegółów. Jest tu napisane, że pracowała pani jako osobista asystentka pana Weatherly’ego. Co to dokładnie oznaczało w praktyce?

– Wszystko, panie inspektorze. – Powiedziała to bez cienia uśmiechu, może nawet z lekką rezygnacją. – Andrew był genialny, lecz jak większość genialnych mężczyzn zupełnie sobie nie radził z organizowaniem własnego życia. Moje zadanie polegało na tym, by dopilnować, czy wie, gdzie w danym dniu powinien się znajdować, co ma robić, z kim się spotkać.

– Wniosuję, że była pani bardzo zapracowana.

– Byłam... jestem bardzo efektywna. Zapracowanie to oznaka kiepskiej organizacji. – Pani Denton poruszyła się lekko na krześle. – Zapracowany człowiek to ktoś, kto ledwo sobie radzi.

Siedzący obok Bob Gburek zdusił śmiech, zmieniając go w atak kaszlu. McLean spróbował to zignorować.

– A Weatherly był bardzo zapracowany?

– O, wprost okropnie. Zawsze biegał jak wariat, nigdy niczego nie zrobił jak należy. – Tym

razem pani Denton posłała mu znaczący uśmiech, jakby łączył ich jakiś wielki sekret. Uśmiech zaraz zresztą znikł, ustępując zwykłej profesjonalnej fasadzie. Pani Denton podjęła takim tonem, jakby recytowała powtarzaną do znudzenia listę: – Zasiadał w kilku komisjach w Holyrood, jak zapewne pan wie. W tym w Komisji do spraw Współpracy z Policją. Oczywiście przez cały czas prowadził też interesy. W dwóch organizacjach dobroczynnych był przewodniczącym zarządu, w kilku innych udzielał się w taki czy inny sposób. Poza tym bardzo często przemawiał publicznie. Przeglądałam jego terminarz, by powiadomić wszystkich zainteresowanych.

– Przypuszczam, że większość już wie. – Bob Gburek wziął do ręki kubek z herbatą, upił łyk.

McLean ucieszył się z drobnej przerwy. Trudno było dojść do słowa, kiedy pani Denton raz zaczęła mówić.

– Czy pan Weatherly miał jakieś kłopoty? Wykraczające poza normę?

– Andrew? – Pani Denton o mało się nie roześmiała. – Andrew nie miał absolutnie żadnych zmartwień, panie inspektorze. Zmartwienia były zarezerwowane dla takich jak ja, którzy musieli sprzątać cały bałagan.

– A więc nie zauważyła pani w ciągu kilku ostatnich tygodni czy miesięcy niczego niepokojącego w jego zachowaniu?

– Nie. Niczego. Tamtego wieczoru byliśmy umówieni na spotkanie. Poszłam do jego edynburskiego domu, lecz go nie zastałam.

– Ma pani klucz?

– Tak. Domyślałam się, że policja chce przeszukać dom.

– W swoim czasie. Czy ktoś jeszcze miał tam wstęp?

– Sprzątaczką. No i Morag. – Pani Denton lekko zmarszczyła brwi, jakby wspomnienie pani Weatherly skłoniło ją do refleksji. Potrząsnęła głową. – To chyba wszyscy.

McLean zapisał w notesie „sprzątaczką”. Kiedy podniósł wzrok, pani Denton stukała w ekran cienkiego smartphona.

– Ma na imię Muriel. Muriel Jenks. Dam panu jej numer. Nie było jej w domu, jeśli ta sprawa pana nurtuje. Pracuje tylko we wtorki i w czwartki, pewnie też słyszała wiadomości.

McLean dodał tę informację do swoich notatek.

– Czy pan Weatherly miał jakichś wrogów?

– Och. Jaka gwałtowna zmiana tematu, inspektorze. Chciał mnie pan wziąć z zaskoczenia? – Pani Denton urwała, może czekając na odpowiedź. Po krótkiej chwili uznała, że się nie doczeka. – Jeśli ma pan na myśli osoby, które mogłyby pragnąć śmierci Andrew, to cóż, ludzie mówią tego rodzaju rzeczy, ale rzadko naprawdę tak myślą. Poza tym sądziłam, że popełnił samobójstwo.

– Też tak sądzimy, ale jeszcze nie zostało to potwierdzone. Pan Weatherly był człowiekiem z wysokiego szczebla, więc musimy sprawdzić wszystko szczegółowo. Niczego nie można pominąć.

– Słusznie. Oczywiście Andrew miał wrogów. Był politykiem, w dodatku reprezentującym poglądy, które wiele osób uznałoby za ekstremalne. Przede wszystkim nie popierał niepodległości. Nigdy tego nie ukrywał.

McLean spojrzął w notatki. Wcześniej zapisał sobie kilka pytań, teraz jednak wydały mu się

one całkowicie bezużyteczne. Ta cała rozmowa przypominała raczej odhaczanie kolejnych punktów w formularzu.

– Może zechciałaby pani powiedzieć coś na temat pracy zawodowej pana Weatherly’ego? Jak zrozumiałem, pracował jako analityk finansowy, zarządzał funduszami różnych organizacji?

– To trochę tak jakby stwierdzić, że papież jest katolikiem, ale ogólnie rzecz ujmując, zgadza się.

– Domyślam się, że miał do czynienia z ogromnymi sumami pieniędzy. – Bob Gburek siedział odchylony na krześle, w takiej pozie, jakby miał wszystko gdzieś.

– Przypuszczam, że takich sum nie potrafi pan sobie nawet wyobrazić. Ostatnie sprawozdanie wykazało, że firma Andrew, Weatherly Asset Management, odpowiada za inwestycje warte ponad trzy miliardy funtów.

Bob Gburek zagwizdał.

– Gdyby zyski zaczęły spadać, szef pewnie dostałby niezłego bólu głowy – powiedział.

Pani Denton popatrzyła na niego z wyrazem twarzy, z jakim matka patrzy na dziecko, które zrobiło coś bardzo głupiego. Uwagi zachowała dla siebie.

– Sierżant Laird zauważył coś istotnego. Czy wiedziała pani o jakichś kłopotach w firmie? Nieudanych przedsięwzięciach?

– To by z pewnością tłumaczyło decyzję Andrew. – Pani Denton urwała, jakby rozważała w myślach taką możliwość. McLean wiedział, że to tylko gra. – Nie. Rachunki nie dawały powodów do niepokoju. Owszem, interesy nieco zwolniły po kryzysie w dwa tysiące ósmym, ale ostatnio nie zdarzyło się nic szczególnego.

– A życie osobiste? Czy między panem Weatherlym a jego żoną się układało?

– A skąd niby miałabym to wiedzieć? – Po raz pierwszy od początku tej rozmowy pani Denton wyglądała na zakłopotaną.

Szczelina w zbroi – w dodatku bardzo znacząca.

– Przez dwadzieścia lat była pani bliską współpracownicą pana Weatherly’ego. Na pewno znała pani jego rodzinę.

– Byłam jego osobistą asystentką. Nie chodziłam z Morag na zakupy, nie niańczyłam jego dzieci. Nawet jeśli Andrew miał w domu problemy, to nigdy o tym nie wspominał.

„Nawet kiedy leżałaś w jego ramionach?” – miał ochotę spytać McLean. Fakt, że pani Denton była nie tylko asystentką, lecz również kochanką Andrew Weatherly’ego był dla niego oczywisty, ale tak naprawdę nieistotny dla sprawy. Czy pani Weatherly wiedziała o tym, czy nie, również niewiele znaczyło. Grzebanie w życiu prywatnym, w porażkach i niewątpliwych sukcesach tego człowieka, nie mogło przywrócić życia dwóm dziewczynkom.

– Cóż, bardzo nam pani pomogła. Nie potrafię sobie wyobrazić, co pani przeżywa. Utrata człowieka, z którym pracowało się przez tyle lat, właściwie przyjaciela. I jeszcze my na dodatek wypytywamy o jego prywatne sprawy. Wręcz intymne.

To wystarczyło. Niemal niedostrzegalne drgnięcie. Tak jakby bzykanie na boku sekretarki mogło w naszych nowoczesnych czasach jeszcze kogoś oburzyć. Banał.

– Wykonuje pan swoją pracę, panie inspektorze. – Pani Denton lekko kiwnęła głową w jego stronę. – A ja swoją, więc jeśli nie ma pan więcej pytań...

– Sierżant Laird dopilnuje, by zawieziono panią tam, gdzie sobie pani zażyczy. – McLean

wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Odczekał, aż pani Denton ją uściśnie i dodał: – Jeszcze gdybym mógł prosić o klucze?

Odparła po namyśle:

– Czy przypadkiem nie jest potrzebny nakaz?

– Ściśle rzecz biorąc, pewnie tak. A niby komu miałyby to zaszkodzić? Jeśli chce być pani obecna, da się to załatwić. Ale im szybciej, tym lepiej.

Pani Denton popatrzyła na niego z kamienną twarzą. Mógł tylko podziwiać jej opanowanie. Może po powrocie do domu zaleje się łzami – a może jest z tych, co nigdy nie powalają sobie na podobne fanaberie. Czy podejrzewała, co pchnęło Weatherly’ego do tak strasznej zbrodni? Nie sądził. Niemniej zamierzał trochę pogrzebać w jej życiu prywatnym. Albo wyznaczyć to zadanie posterunkowemu MacBride’owi.

– Ma pan rację. – Pani Denton otworzyła torebkę, wyjęła pęk kluczy, zręcznie oddzieliła dwa od całej reszty i podała je McLeanowi. – Panel alarmu znajduje się tuż przy drzwiach frontowych. Kod to data urodzenia Andrew. Osiem cyfr. I proszę nie narobić bałaganu.

Należące do Andrew Weatherly'ego gniazdko w Edynburgu może nie przypominało domu, który oryginalnie zaprojektował jego twórca w epoce georgiańskiej, ale i tak spokojnie mogłoby pomieścić czteroosobową rodzinę. McLean zaparkował po drugiej stronie ulicy, przyjrzał się stojącym samochodom, szukając dziennikarzy, ale tym razem widać nie byli zainteresowani. Może skutecznie wystraszył ich widok samotnego mundurowego przy drzwiach wejściowych.

– Masz ten numer? – zapytał.

Sierżant Ritchie, najwyraźniej krążąca myślami gdzie indziej, odpowiedziała dopiero po chwili.

– Co? A. Tak. Przepraszam. Zapisałam w notesie. – Głos miała zakatarzony, jakby zamierzała się rozchorować. Częstotliwość, z jaką pociągała nosem, sugerowała, że może to być coś poważniejszego.

– Doskonale. Chodźmy popatrzeć, jak sobie żyją co poniektórzy.

Stojący przy wejściu posterunkowy był półżywy z zimna. Ręce wetknął głęboko pod pachy w poszukiwaniu choć odrobiny ciepła. McLean już miał rzucić w stronę Ritchie uwagę na temat konieczności noszenia rękawiczek, lecz nagle sobie uświadomił, że też raczej nie ubrał się odpowiednio do pogody. Ale przynajmniej mógł wrócić do ciepłego samochodu.

– Zmieni cię ktoś niedługo? – spytał posterunkowego, jednocześnie wyciągając legitymację, chociaż sądząc po reakcji na widok ich dwojga, nie było to wcale potrzebne.

– Zmiana w południe. Już się nie mogę doczekać. Za chwilę odmrozę sobie jaja.

– Możesz na chwilę wejść do środka. Rozgrzej się trochę. – McLean wyjął klucze, które dostał od Jennifer Denton. Zamek antywłamaniowy był dobrze naoliwiony. Już miał włożyć płaski klucz do zamka typu yale, ale się powstrzymał. Sierżant Ritchie stała odwrócona tyłem do niego, patrzyła gdzieś w głąb ulicy.

– Kod? Jak włączę alarm, zaraz się zlecą dziennikarze.

– O. Przepraszam. – Ritchie przez chwilę grzebała w kieszeni kurtki. Notes wypadł na ziemię. Ritchie i posterunkowy schylili się po niego jednocześnie i, rzecz jasna, zderzyli głowami.

– Słowo daję, zupełnie jak dzieci. – McLean odczekał, aż się rozplączą, a Ritchie odnajdzie odpowiednią stronę w notesie.

– Dwadzieścia dwa. Zero siedem. Jeden. Dziewięć. Pięć. Trzy.

– Jesteś pewna?

– Uhm. Sprawdziłam rano w wikipedii.

Genialne. Nowoczesne metody prowadzenia śledztwa. McLean odwrócił się w stronę wejścia tylko odrobinę za szybko. Próbował ukryć grymas. Yale też chodził gładko. Podobnie

jak zawiąsy. McLean pchnął drzwi i wszedł do środka.

Pierwsze, co zauważył, to zapach, ale nie do końca uświadomił sobie ten fakt, zajęty szukaniem panelu alarmu za drzwiami. Spodziewał się, że zaraz usłyszy pikanie, ale nie rozległ się żaden dźwięk. To było nowoczesne urządzenie z ekranem dotykowym ukazującym cyfry i status urządzenia. Dopiero po chwili McLean zdał sobie sprawę, że alarm w ogóle nie jest włączony.

– Śmiało. – Otworzył szerzej drzwi, by wpuścić Ritchie oraz posterunkowego, i w tym momencie uświadomił sobie, co to za zapach. Zapałka potarta o papier ścierny, ugotowane na twardo jajka na pikniku, o żółtkach lekko pozieleniałych na brzegu, świeżo roztarte ziarna gorczycy. Pokój gościnny, w którym dogorywa Bob Gburek po wieczorze z piwem i curry.

– Uuu. Ktoś zapomniał wyrzucić śmieci? Nieźle capi. – Ritchie zmarszczyła nos, aż zatańczyły piegi na policzkach.

McLean zauważył, że oczy ma czerwone i podrażnione, a usta opuchnięte. Jeszcze raz pociągnął nosem, ale woń znikła niemal bez śladu, niczym duch niechący zamknięty w domu, którego wypuścili, otwierając drzwi.

– Jesteś pewna?

– To... – Ritchie poniuchała jeszcze raz. – Nie. Znikło. Dziwne.

– A ty coś czujesz, posterunkowy?

– Nie, szefie. Nic nadzwyczajnego. Pasta do podłóg?

– Może po prostu zatęchłe powietrze. Otworzyliśmy drzwi i od razu lepiej.

McLean wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki i naciągnął je na dłonie. Ritchie poszła za jego przykładem. Posterunkowy zajął stanowisko przy drzwiach, najwyraźniej nie miał ochoty wchodzić dalej. Niech mu tam. Hol był ciemny, rozświetlony jedynie słabym blaskiem słońca, sączącym się do środka przez półokrągłe okienko nad drzwiami i okna na klatce schodowej. We wszystkich kątach kryły się cienie, malowały dziwne kształty wokół antycznych mebli. Wnętrze stanowczo za bardzo przypominało dom w Fife.

– Zacznijmy od góry i stopniowo przesuwajmy się w dół. – Ruszył przez hol w kierunku schodów. Zatrzymał się na pierwszym stopniu, uświadomiwszy sobie, że jest sam. Ritchie nadal stała na progu. Kiedy się obrócił, wokół jej głowy jaśniało „halo” zamglonego światła. Jedną ręką naciągała rękawiczkę wokół nadgarstka. – Pospiesz się. Nie możemy tu spędzić całego dnia.

Ritchie drgnęła, jakby wyrwał ją ze snu, puściła rękawiczkę, po czym przebiegła truchtem hol i dołączyła do McLeana już na schodach.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Coś dzisiaj nie kontaktujesz.

– Przepraszam, więcej się to nie powtórzy. – Ritchie wygładziła lateks wokół palców. – Czego szukamy?

– Wszystkiego. Czegokolwiek. Sam nie wiem. Skupmy się przede wszystkim na pomieszczeniach, z których Weatherly najprawdopodobniej korzystał. Sypialnia, łazienka, gabinet.

Schody wieńczył podest zalany światłem z dużego świetlika, owalnego i upstrzonego ptasim łajnem. Za drzwiami znajdowały się uporządkowane bezosobowe pokojowe gościnne. Łóżka były zasłane, ale szuflady w komodach puste. W krótkim korytarzu, prowadzącym na tyły budynku, było jeszcze dwoje umieszczonych naprzeciw siebie drzwi: do pokoju dziewczynek

i do dużej wspólnej łazienki. Na końcu zaś sypialnia małżeńska z widokiem na prywatne ogrody. W środku – wnęki ubraniowe, duże łóżko, niska toaletka, krzesła. Nic dziwnego i niespodziewanego. Łóżko wyglądało tak, jakby ktoś je pościelił w wielkim pośpiechu – ktoś samotny, kto nie spodziewa się towarzystwa. Jednak miejsce to miało w sobie coś takiego, co sprawiło, że wewnętrzny alarm McLeana zaczął głośno dzwonić. Jak ta ulotna woń przy wejściu. Nie potrafił tego określić, ale coś mu nie pasowało.

– Ktoś tu był.

McLean spojrział na Ritchie, która otworzyła górną szufladę starej mahoniowej komody i przerzucała skarpetki Weatherly'ego.

– Że co?

– Ktoś tu był i zrobił przegląd wszystkich rzeczy. Ostrożnie i metodycznie. Czegoś szukał, ale nie spieszył się jak jakiś zwykły włamywacz.

– Skąd wiesz? – McLean podszedł do niej, spojrział na kolekcję najlepszych skarpetek od Marksa i Spencera, uderzająco podobnych do tych, które sam miał w domu.

– Strzelam, szefie, ale wydaje mi się, że Weatherly nie robił sam prania.

– Miał sprzątaczkę. Może też prała. Lub jego żona.

Ritchie wzdrygnęła się, zapewne na wspomnienie Morag Weatherly siedzącej nieruchomo pośrodku małżeńskiego łóża.

– Nieważne. Jeśli ktoś zrobił pranie i posortował skarpetki tak starannie – tu podniosła jedną z perfekcyjnie złożonych par – to układa je potem równo i porządnie. A nie rozrzuca byle jak.

– Według mnie wyglądają całkiem porządnie. – McLean spojrział na rzędy skarpet leżących obok siebie jak zwierzątka skulone w norze. Jego własne skarpety cechowały raczej anarchistyczne tendencje. Tyle że musiał sam robić sobie pranie.

– Owszem, ale ktoś je ruszał. – Ritchie wyjęła kilka par, po czym ułożyła je z powrotem w równym rzędzie.

Kiedy uporządkowała połowę szuflady, McLean wreszcie zrozumiał, co miała na myśli.

– Gdzieś jeszcze? – Podszedł do garderoby i otworzył drzwi. Andrew Weatherly miał sporo garniturów i butów.

– Tutaj. – Ritchie stanęła obok i pochyliła się. Poczł delikatny zapach jej perfum. – Ktoś przesunął je wszystkie na jedną stronę, jakby po kolei szukał czegoś w kieszeniach.

– Albo Weatherly próbował się dostać do garnituru wiszącego na samym końcu.

– Możliwe. – Ritchie przykucnęła i zaczęła wyciągać buty ze zrobionych na wymiar przegródek. Przesunęła palcem w rękawiczce po błyszczącej czarnej skórze, zostawiając ślad w cienkiej warstwie kurzu. – Sądzisz, że nagle zapragnął też włożyć akurat te buty, których nie nosił od dłuższego czasu?

McLean zrobił krok w tył. Powiódł wzrokiem dokoła, nie wiedział jednak przecież, jak wnętrze wyglądało wcześniej, nie mógł więc ocenić, czy zaszły w nim jakieś zmiany. Czy powinien wezwać technicznych, żeby zebrali odciski palców? Nie potrafił zdecydować. Tak czy inaczej, nie byli w stanie stwierdzić, czy coś stąd zabrano.

– Rzućmy okiem na inne pomieszczenia, dobrze?

W pokojach gościnnych na oko niczego nie brakowało, ale szuflady i szafy praktycznie ziały pustką. Pokój dziewczynek był mały i zavalony pudłami pełnymi zabawek. Trudno

powiedzieć, czy coś tu poprzestawiano. Na jednym z łóżek prześcieradło zwisało w rogu, niepodwinięte pod materac. Raczej niezbyt mocny dowód zbrodni.

Wrócili na dół. Posterunkowy nadal tkwił przy drzwiach frontowych. McLean skinął głową w jego stronę i wszedł do kolejnego pomieszczenia, które okazało się przestronną jadalnią. Przez sekundę wydawało mu się, że znów czuje tę nieprzyjemną woń. Może zapchały się rury. I tym razem woń niemal natychmiast znikła.

Pokój wychodził na ulicę, okna umieszczono ponad poziomem chodnika, żeby przechodnie nie mogli się gapić na ważnych mieszkańców. Zasłon nie zaciągnięto, ale podobnie jak reszta domu, jadalnia również sprawiała dziwnie przytłaczające wrażenie. McLean nie zauważył niczego zastanawiającego, nie licząc ciężkiej srebrnej ramki na fotografii, leżącej krzywo na bocznym stoliku przy drzwiach. McLean wziął ją do ręki i zaraz o mało nie wypuścił. Fotografia przedstawiała córki Weatherly'ego. Artystyczne ujęcie sugerowało pracę zręcznego profesjonalisty. McLean widział jednak tylko martwe oczy, wpatrzone w niego oskarżycielsko.

Odkładając zdjęcie, zauważył, że z boku ramki widnieje wgniecenie, jakby kiedyś była miękka i ktoś za mocno ją złapał. Albo jakby srebro zaczęło się topić jak czekolada w ciepłej dziecięcej rączce. Taki projekt? Znów nie umiał ocenić. I znów coś mu tutaj nie pasowało.

– Szefie, chyba powinieneś na to spojrzeć! – zawołała Ritchie zza drzwi na końcu pomieszczenia, które, jak po chwili stwierdził McLean, prowadziły do gabinetu Weatherly'ego.

Siedziała przy zaskakująco nowoczesnym biurku, jej palce dotykały klawiatury cieniutkiego desktopa. Jednego z tych wymyślnych urządzeń, które wyglądają jak sam ekran, bez żadnych dodatków.

– Co tu mamy? – Ostrożnie okrążył biurko, aż jego oczom ukazał się ekran. Ciemny, nie licząc kursora migającego w lewym dolnym rogu.

– Interesujące jest to, czego nie mamy. – Ritchie uderzyła w kilka klawiszy. Nic się nie wydarzyło.

– Hasło?

– Nie o to chodzi. Nie widać, żeby się ładował. Ani śladu systemu operacyjnego. Nic.

– Próbowalaś wyłączyć i włączyć? – W odpowiedzi dostał pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Był wyłączony, kiedy przyszłam. Raczej nie radziłabym go wyłączać.

– Myślisz, że ktoś przy nim majstrował?

– Wiem, że ktoś przy nim majstrował. Spójrz. – Ritchie wskazała na obudowę ekranu, w której zgrabnie umieszczono szereg wejść. W jednym tkwiło najzwyklejsze USB. – Myślę, że wcale nie chcieli tego zostawić. Jeśli się nie mylę, to program do usuwania danych. Jest coś jeszcze. – Podniosła się z krzesła i podeszła do stojących przy ścianie regałów biurowych. Wyciągnęła jedną z szuflad. – Nie były zamknięte na klucz. Mnóstwo pustych teczek. Zabrali też karteczki z opisami.

McLean powoli obrócił się na pięcie, omiatając wzrokiem całe pomieszczenie. Ile czasu minęło od chwili, kiedy dostali wiadomość o śmierci Weatherly'ego? Powinien był się domyślić. To był ważny człowiek, siedział w różnych komisjach, miał do czynienia z tajemnicami państwowymi.

– Tajniacy już tu byli.

Ritchie kiwnęła głową.

– Na to wygląda.

Kiedy McLean wreszcie wszedł do domu, było ciemno, ale tego dnia zrobiło się ciemno już koło czwartej, na długo nim skończył pisać sprawozdanie z wizyty w edynburskim domu Weatherly'ego i dołączył je do stale rosnącego raportu. Nikt nie mógłby im zarzucić braku skrupulatności. Szkoda tylko, że do tej pory gówno się dowiedzieli. Podejrzewał, że właśnie taki był plan od samego początku.

Zapalił światło w kuchni i ze zdumieniem stwierdził, że nie czeka tam na niego kotka pani McCutcheon. Zwykle większość dnia przesypiała przy kuchence, ale jak tylko usłyszała chrzęst opon na podjeździe, budziła się, wskakiwała na stół i zaczynała czyścić sobie tyłek. McLean nie miał pojęcia, dlaczego co wieczór wita go właśnie w ten sposób, ale cóż, koty podobno są nieodgadnione.

A teraz nigdzie jej nie było.

Rzucił na stół pudło z pizzą i plik teczek, które zabrał z pracy. Przynajmniej będzie mógł zjeść w spokoju. Rozwahał, czy rozpalić kominek w bibliotece – może za godzinę czy dwie zrobi się na tyle ciepło, że da się tam posiedzieć. Najpierw jednak rytuał przeglądania poczty.

Tyle że mata przy frontowym wejściu była pusta. McLean zapalił światło na zewnątrz, otworzył drzwi i sprawdził. Zajrzał do skrzynki, a nawet pod starą drewnianą skrzynię pełną kaloszy od pary i znoszonych kurtek. Nic. Cóż, możliwe, że tego dnia nic nie przyszło. Ani jeden katalog reklamowy, ani jedna oferta karty kredytowej, zero ulotek od organizacji charytatywnych, grających na uczuciach za pomocą zdjęć głodujących dzieci czy maltretowanych zwierząt. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Chyba że listonosze zastrajkowali.

Dopiero wracając z powrotem do kuchni, zauważył światło w szparze drzwi biblioteki. Nie było to światło elektryczne, raczej migotliwy pomarańczowy blask ognia. Zimny ucisk w żołądku nie miał nic wspólnego ze śniegiem pokrywającym świat za oknem, za to bardzo dużo wspólnego ze wspomnieniem dymu i gorąca, i krzyków człowieka, którego skórę trawia płomień. Ostatnimi czasy McLean miał stanowczo zbyt wiele przygód z ogniem w roli głównej. Jak to możliwe, że w bibliotece wybuchł pożar?

Podszedł do drzwi ostrożnie i jak najciszej. Czy za chwilę usłyszy nieomylnie trzaskanie płomieni pożerających bezcenną kolekcję starych książek? Cisza. Dotknął wierzchem dłoni dębowych desek – zimne. Ostrożnie nacisnął kłanek, wyczuł moment, kiedy zamek ustąpił i otworzył drzwi najciszej, jak tylko pozwoliły na to zawiasy. Wetknął głowę do środka.

– A. Inspektor. Nareszcie pan wrócił. Mówili mi, że często kończy pan pracę o bardzo śmiesznych godzinach, ale nie wierzyłem. Dureń ze mnie.

Oczy McLeana dopiero po chwili przywykły do stłumionego światła. Po jeszcze dłuższej chwili przyswoiły scenę, która im się ukazała. Ogień na kominku buzował wesoło,

wypełniając pomieszczenie przyjemnym ciepłem. Kotka pani McCutcheon leżała na starej owczej skórze tuż przy palenisku i pewnie słodko śniła o polowaniu na myszy, od czasu do czasu poruszając ogonem. Na stoliku obok ulubionego skórzanego fotela z wysokim oparciem stały: butelka single malta, szklanka napełniona do połowy kosztownym trunkiem oraz niewielki dzbanek z wodą. A w fotelu siedział mężczyzna. McLean nigdy dotąd go nie spotkał, ale był niemal pewien, że wie, kto to jest.

– Widzę, że znalazł pan węgiel i whisky. – McLean wszedł do pokoju, zamknął drzwi i nacisnął kontakt, by włączyć światła wzdłuż ściany. Nie były bardzo mocne, ale na tyle kontrastowały z niemal całkowitym mrokiem, który wcześniej panował w pomieszczeniu, że nieznajomy drgnął i zmrużył oczy.

– Z węglem łatwo poszło. Z whisky trochę trudniej. – Upił nieco trunku i uniósł szklankę do światła. – Doskonale rozumiem, czemu pan ją trzyma schowaną. Cholernie dobra rzecz.

– MI6? MI5? A może jakiś nowa grupa z wydziału specjalnego, o której jeszcze nie słyszałem?

McLean podszedł do regału z książkami, za którym krył się barek, otworzył go i wyjął szklankę. Mężczyzna przyglądał się w milczeniu, jak inspektor nalewa sobie whisky, dodaje odrobinę wody, zbliża drink do nosa i czeka, aż aromat ukoji nerwy. Strach zdążył zmienić się we wściekłość, ale McLean wiedział, że w tej sytuacji żadna z tych emocji nie może mu pomóc.

– To nieważne. Wystarczy, że jesteśmy po tej samej stronie.

McLean parsknął śmiechem.

– Włamuje się pan do mojego domu, kradnie whisky, a potem próbuje mi wmówić, że jesteśmy po tej samej stronie?

– Nie sędzę, by znalazł pan jakiegokolwiek ślady włamania, panie inspektorze. – Mężczyzna uniósł szklankę. – Ale co do whisky, ma pan rację. Cóż. Co miałem robić przez te dwie godziny? Już myślałem, że w ogóle pan nie wróci.

– Mógł pan zadzwonić. Mógł pan przyjść do komisariatu i tam ze mną porozmawiać. Domyślałem się, że chodzi o Weatherly'ego?

– Ach, przenikliwy umysł śledczego. Tak. Chodzi o Weatherly'ego.

– Przeszukaliście jego mieszkanie, wykasowaliście twardy dysk. Czy to standardowa procedura, czy też miał on coś do ukrycia?

– Powiedzmy, że po trochu to i to. Nie zagłębiajmy się w szczegóły.

– Może pan mówić, co się panu podoba. Dochodzenie jest zakończone. Sprawa zamknięta. Weatherly zabił żonę i dzieci, a potem strzelił sobie w łeb. Spekulacje co do motywów zostawiamy prasie. Nas już nie interesują.

– A mnie się wydaje, że jednak tak. – Mężczyzna upił kolejny łyk, tym razem głębszy, wydał westchnienie pełne zadowolenia, podczas gdy mocna whisky wypalała sobie drogę w jego gardle. – Nie wierzę, że wielki inspektor Anthony McLean nie chce się dowiedzieć, dlaczego taki człowiek, jak Weatherly dopuścił się straszliwej zbrodni.

– To, czego ja chcę, nie ma najmniejszego znaczenia. Teraz zaś życzę sobie, by opuścił pan moje gościnne progi. Z tym że zapewne najpierw chce mi pan powiedzieć to wszystko, czego nie mógł uczynić oficjalnymi kanałami.

– Trafiony, panie inspektorze. – Mężczyzna podniósł się, dopił whisky i ostrożnie odstawił

szkłankę na podstawkę.

Był całkowicie przeciętny, idealny typ do takiej roboty. Średni wzrost, średnia budowa ciała, zero cech szczególnych. Miał na sobie wygodne, lecz schludne ubranie: luźne – ale nie za bardzo – spodnie, koszulę w kratę, sweter z wycięciem w serek, krawat i tweedową marynarkę nieco zbyt dobrze skrojoną, by mogła należeć do nauczyciela. Zapewne był mniej więcej w wieku McLeana, chociaż mógł liczyć równie dobrze dwadzieścia kilka lat, jak i ponad pięćdziesiąt. Był nijaki, lepiej nie dało się tego określić.

– Przyszedłem powiedzieć, żeby nie zarzucał pan sprawy Weatherly’ego.

McLean przez chwilę trawił informację.

– Nie zarzucał? Mam dalej szukać?

– Dokładnie tak. Znów ten przenikliwy intelekt. – Mężczyzna uśmiechnął się jak ojciec gratulujący dziecku pierwszej udanej wyprawy na nocnik.

– Nie będę mógł, jeśli zamkną sprawę.

– Oczywiście, że zamkną. I to niedługo. Ale czy kiedykolwiek wcześniej taki drobny szczegół zdołał pana powstrzymać? – Wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– To raczej niezbyt uprzejmy argument ze strony kogoś, kto chce, bym wyświadczył mu przysługę.

– Prawda. Ma pan określoną renomę.

– Och, na litość boską! – McLean walnął szkłanką w półkę nad kominkiem i niechcący obudził kotkę pani McCutcheon. – Proszę wyjść. Zanim pana wyrzucę.

– Mówię poważnie, inspektorze. Musi pan jeszcze pogrzebać w tej sprawie. – Agent ruszył w kierunku wyjścia.

– Pogrzebać? Nie ma w czym grzebać. Człowiek dostał szału, zabił całą rodzinę, a na końcu popełnił samobójstwo. Kropka. A teraz do widzenia.

– Nie wierzy pan w to tak samo jak i ja. – Agent otworzył drzwi na oścież. Dokładnie w tym samym momencie za oknem w holu wychodzącym na podjazd przesunął się snop światła samochodowych. – Sam trafię do wyjścia.

McLean bez słowa patrzył, jak nieproszony gość maszeruje przez hol krokiem godnym żołnierza na defiladzie. Nie odwrócił się ani razu. Po chwili lekko trzasnęły drzwi frontowe, a potem samochód znikł pośród nocy. Dopiero wtedy kotka pani McCutcheon podniosła się, przeciągnęła i ziewnęła, pokazując pyszczek pełen zbyt wielu zębów. Okręciła się wokół nóg McLeana, drzeniem ogona dając znak, że ma ją pogłaskać.

– Zdrajczyń – powiedział, robiąc duży krok, by wyminąć zwierzaka.

Podszedł do stolika. Lateksowe rękawiczki się skończyły, ale w kieszeni marynarki miał czystą torebkę na materiały dowodowe. Pieczołowicie włożył do niej szkłankę po whisky i zamknął. Trzeba będzie ładnie poprosić kogoś z technicznego. Zgłosić włamanie. Pewnie nic nie wyjdzie, ale był tak wkurzony, że nie mógł sobie darować.

W chwili, kiedy wziął do ręki butelkę, by schować ją z powrotem do barku, zauważył leżący na stoliku niewielki plik listów. Koperty wyglądały na nienaruszone, wiedział jednak, że ludzie, z którymi ma do czynienia, zapewne dysponują specjalnymi przyrządami laserowymi, dzięki którym można odczytać list bez otwierania koperty. Raczej mało ciekawa lektura – same rachunki i ulotki reklamowe.

Z jednym wyjątkiem. Na samym spodzie leżała zwykła szara koperta formatu A4, bez

znaczka i adresu. McLean przekonał się, że nawet nie jest zaklejona. W środku znajdowały się zdjęcia. Pierwsze sprawiło, że aż podskoczył, przy drugim musiał sięgnąć po szklanę z whisky. Kiedy dotarł do końca, już wiedział, że nie może zostawić sprawy Weatherly'ego.

– Chciał pan ze mną rozmawiać.

McLean stanął w otwartych drzwiach gabinetu Duguida. Ledwo zdążył dotrzeć rano do komisariatu, gdy podbiegł do niego zdenerwowany młody mundurowy, by powiadomić go o wezwaniu. Biorąc pod uwagę wyprawę do domu Weatherly'ego i to, co tam zobaczyli, oraz wieczorną wizytę agenta, McLean domyślał się, co zaraz usłyszy z ust nadinspektora.

Duguid zrobił groźną minę – ostatnimi czasy właściwie swoją stałą minę. Biurko było zasłane papierami, z boku wznosił się chwiejny stos raportów. Na podłodze leżało jeszcze więcej papierów, stało też kilka pudeł z archiwów. Cała ta scenografia zapewne miała sprawić, by Duguid wyglądał prawie jak śledczy.

– Wejdz. Zamknij drzwi – wyszczeakał jak generał wydający rozkazy. Akurat w tej kwestii nic się nie zmieniło.

McLean spełnił polecenie i ostrożnie podszedł do biurka, w obawie że wśród stosów papierzysk leży ukryty karabin.

– Sprawa Weatherly'ego. Na jakim jesteśmy etapie?

Forma pierwszej osoby liczby mnogiej nie umknęła uwagi McLeana. Nie skomentował. Najwyraźniej Duguida coś gryzło – lepiej go nie drażnić przynajmniej do czasu, kiedy będzie wiadomo, o co chodzi.

– Przesłuchaliśmy wszystkich bliskich znajomych, partnerów biznesowych, osoby zwykle podejrzane. Techniczni jeszcze nie skończyli. Nie ulega wątpliwości, że zabił córki, potem żonę, a na końcu sam się zastrzelił. – McLean urwał. Pomyślał o fotografiach i o tym, co z nimi zrobić. – Nie wiadomo, co go pchnęło do tego czynu. Interesy szły dobrze, w polityce też odnosił sukcesy. Wydawałoby się, że ma wszystko.

– A więc głównie wiecie.

– Jedno wielkie.

– Nie rób sobie żartów, McLean. To moje zadanie.

– Mogę szukać dalej, jeśli pan sobie życzy, szefie.

Zmarszczka między brwiami Duguida się pogłębiła. Wyraźnie kipiał z wściekłości, ale nie skierowanej na McLeana, co było dość dezorientujące.

– Moje życzenia są ostatnimi czasy nieistotne. Muszę dostać raport do końca tygodnia. Zapakuj ładnie, zawiąż wstążeczkę, oskarżyciel publiczny się ucieszy.

McLean milczał przez długą chwilę, trawiąc usłyszane słowa. Niekoniecznie na takie liczył. Wieczorny gość dokładnie przewidział przebieg wydarzeń. I to było chyba jeszcze gorsze niż sam fakt, że ma zamknąć sprawę – świadomość, że decyzję już podjęto, a on jest tylko pionkiem w większej rozgrywce.

– Chce pan, żebym przerwał dochodzenie? – zapytał w końcu.

– Że co? Czy ktoś odebrał ci resztki rozumu, McLean? Tak, chcę, żebyś przerwał dochodzenie. – Duguid potarł oczy opuszkami palców, mocno je wciskając, jakby próbował pozbyć się jakiegoś tkwiącego pod nimi niechcianego obrazu. – Z dalszego grzebania nic konkretnego nie wyniknie. Trupa nie aresztujemy, nie wrócimy życia tym dziewczynkom.

– A prasa?

– Co, prasa? Jak tylko oskarżyciel publiczny wyda zgodę, możesz zwołać konferencję i powiedzieć tyle, ile wiesz. Niech sami wymyślają, co pchnęło Weatherly’ego do zbrodni. W końcu to ich specjalność. Domysły, półprawdy, jawne kłamstwa.

McLean zastanawiał się, co teraz zrobić. Gdyby miał kilka dni, mógłby zgłębić te fotografie i gładko włączyć je do dochodzenia. Ale nie miał kilku dni. Na tym polegał problem. Wyjął kopertę z kieszeni, otworzył ją i rzucił na biurko Duguida.

– Wczoraj wieczorem odwiedził mnie interesujący gość. Agent z wydziału specjalnego. Powiedział, że sprawa zostanie zamknięta, i zostawił taki oto prezent.

Duguid wpatrywał się w McLeana, mrużąc oczy, jakby się zastanawiał, czy to jakiś głupi kawał.

– Co to jest?

– Proszę zajrzeć. Są dość ohydne, ale nie sądzę, by doznał pan trwałych szkód na psychice.

Nadinspektor powoli sięgnął po kopertę, otworzył skrzydełko i zajrzał do środka, po czym z westchnieniem wyjął fotografie. Były zagięte pośrodku, bo McLean złożył kopertę, żeby zmieściła się w kieszeni. Duguid wygładził je starannie i dopiero wtedy zaczął oglądać.

– Co, do kurwy? – Spojrzał na McLeana. Jego oczy płonęły wściekłością. – Skąd je masz? Kto to jest?

– Pierwsze zdjęcie przedstawia Weatherly’ego z córkami. Ta kobieta to nie jego żona, tylko prywatna asystentka. Jennifer Denton.

– A te? – Duguid prędko przerzucił pozostałe fotografie. Z całą pewnością niezbyt stosowne w miejscu pracy. Chyba że jest nim obyczajówka.

– Zrobiono je w obu domach Weatherly’ego – powiedział McLean. – Te, uhm, gimnastyczne z panią Denton w domu na New Town, a resztę w Fife.

Duguid jeszcze parę razy przerzucił zdjęcia, po czym zebrał je razem i wsunął do koperty, którą pchnął w stronę McLeana.

– Chyba mówiłeś, że nie znalazłeś żadnych oczywistych powodów, tłumaczących decyzję Weatherly’ego. Według mnie te fotografie wyglądają jak oczywisty powód. Weatherly wiedział, że jego brzydki sekret wkrótce wyjdzie na jaw i nie mógł się pogodzić z myślą, że wszystko straci. Pewnie należałoby poszukać ludzi, którzy mogli go szantażować, ale przypuszczam, że i tak nic to nie da.

– Dokładnie to samo pomyślałem. A gdybym miał szukać, pierwsza na liście byłaby jego osobista asystentka. Jennifer Denton.

– Wyczuwam jakieś „ale”. – Duguid odchylił się na oparcie fotela przy wtórze skrzypiącej skóry i trzeszczących sprężyn.

– No cóż, to oczywiste. Każdy, kto trochę czytał na temat Weatherly’ego, wie, że nie był to typ, który wystraszyłby się szantażysty. Na pewno nie z takiego powodu. – McLean wskazał na kopertę, złożył ją i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Widzę, że prawdziwy z ciebie ekspert, co? – Duguid nawet nie próbował ukrywać

drwiącego tonu. – Dobrze go znałeś?

– Spotkałem go kilka razy. Właściwie go nie znałem. Ale wydaje mi się, że umknęło panu coś istotnego, szefie. Te fotografie to szantaż, jasne, ale Weatherly jest szantażystą, a nie szantażowanym.

– O kurwa, znowu komplikujesz, McLean. Do czego zmierzasz?

– Weatherly był wpływowym człowiekiem. Mnóstwo przyjaciół na wysokich stanowiskach. Władza. Przypuszczam, że w ten sposób zagwarantował sobie, że dostanie to, czego chce.

– Niby co? Chciał, żeby go nagrali, jak posuwa sekretarkę?

– Nie. Fakt, że posuwał sekretarkę, wiedząc, że ktoś to nagrywa, sugeruje, że on w ogóle się tym nie przejmował. Właśnie o to mi chodzi. On wiedział, że go nagrywają. Widać to wyraźnie na ostatniej fotografii. Patrzy prosto w kamerę. Wierzy, że jest niezwyknięty, że ma całkowitą kontrolę. Jeśli chce się pan dowiedzieć, dlaczego się zabił, to musimy odkryć, co zachwiało tym przekonaniem. Proszę mi wierzyć, na pewno nie te fotografie.

– Rzecz jasna to czysto teoretyczne rozważania. Jak już powiedziałem, dochodzenie dobiegło końca. Nie możemy wydawać pieniędzy podatników na bezowocne działania. Z tego, co czytałem Andrew Weatherly był gnojkiem pierwszej klasy. Już i tak poświęciliśmy mu zbyt wiele czasu i wysiłku.

McLean opuścił ramiona. Wiedział, że dalsze argumenty zdadzą się na nic. Na Duguida naciskał ktoś postawiony znacznie wyżej w łańcuchu pokarmowym.

– Te dziewczynki zasłużyły na coś więcej. Podobnie jak ich matka.

Duguid wbił w niego świńskie oczka, zaczerwienione i zmęczone.

– Trudno się nie zgodzić. Ale to, na co zasługujemy, a co dostajemy, to przeważnie dwie różne rzeczy.

McLean kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, czy może coś jeszcze powiedzieć. Odwrócił się w stronę wyjścia. Już miał zamknąć za sobą drzwi, gdy dobiegł go głos Duguida:

– Zostaw otwarte, proszę.

McLean spojrzął przez ramię na nadinspektora, jednocześnie blokując drzwi stopą. Duguid znowu marszczył brwi, ale tym razem jego mina wyglądała jakoś inaczej.

– Znam cię, McLean. Nie zostawisz tej sprawy. Tylko nie wciągaj w to innych śledczych, dobra?

Pół godziny później wszedł do pokoju, w którym gromadził się zespół prowadzący śledztwo w sprawie Weatherly'ego. Nie dałoby się powiedzieć, że pracowitość osiągnęła tam szczyty, ale jakaś aktywność bez wątpienia zachodziła. Ostatnie słowa Duguida wciąż brzęczały mu w uszach, wzmacniając koszmarnie przekonanie, że został wykorzystany, małego tego, że wciąż jest wykorzystywany. Powinien był się domyślić na samym początku. Przypominał sobie, że w samochodzie, kiedy jechali do Fife, nawet wspomniał Ritchie coś o pucharze trucizny. A jednak znów dał się wrobić. Czysta głupota. Wiedział, że to początek jego kłęski.

– Ma pan chwilkę? – Jakimś sposobem Sandy Gregg zdołała podkraść się do niego całkiem niepostrzeżenie.

– Niejedną. Ale jeśli chodzi o tę sprawę, to może zaczekaj do czasu, aż wam przedstawię aktualną sytuację. Zbierz wszystkich, bardzo proszę. Robimy briefing.

Patrzył, jak Gregg z zapalem rzuca się wykonać polecenie, zdeterminowana, aby zabłysnąć. Miły widok, taki entuzjazm, aczkolwiek nie przypominał sobie, by sam kiedykolwiek wykazywał się podobnym zaangażowaniem. Czuł, że będzie z niej całkiem niezła śledcza. Tylko musi wyhodować twardszą skórę i wdziać ochronną zbroję cynizmu.

Przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, gdzie połowę ściany zajmowała największa biała tablica. Na drugiej połowie tkwił plan miasta. Kucnął, przy okazji wywołując falę bólu, był jednak niemal pewien, że wśród ćwiczeń zalecanych przez fizjoterapeutkę znalazły się również przysiady, więc prawdopodobnie ból stanowił dobrą oznakę. Tak przynajmniej sobie wmawiał. Przesunął palcem na południe, przez Liberton Brae aż do Burdiehouse. Dalej, za obwodnicą, Loanhead ciągle rosło, już połykało Bilston i groziło, że za chwilę zabierze się za Roslin. Na wschodzie, po drugiej stronie rzeki, leżały Bonnyrigg i Rosewell, połączone starymi torami kolejowymi. Całą okolicę znaczyły liczne stare pomniki, zabudowania kopalń, resztki przemysłowej przeszłości Midlothian. Na tej mapie widniała historia, krwawa i brutalna. Nic jednak nie tłumaczyło straszliwego losu mężczyzny z tatuażami.

– Wszyscy gotowi, szefie.

Wstał i odwrócił się w stronę zebranych pracowników, krzywiąc się z bólu. Jakoś ich ubyło, mimo że sprawa była priorytetowa. Niewątpliwie część dyskretnie znalazła sobie inne zadania, wyczuwając, że polityczne wiatry za chwilę zmienią kierunek. Innych pewnie zwerbowali pod przymusem starsi rangą koledzy. Takie tu panowały reguły gry. Zostali więc tylko ci najbardziej entuzjastyczni i ci zbyt głupi, by wiedzieć, w co się pakują. Mniej więcej jak on sam, przynajmniej pod jednym względem.

– Dobra. Słuchajcie. Mam dobrą i złą wiadomość.

Po briefingu przyglądał się, jak jego mała armia złożona z mundurowych, niemundurowych i pracowników administracji zamyka dochodzenie. Od czasu do czasu ktoś podchodził i o coś pytał, i po pewnym czasie McLean uświadomił sobie, że tak naprawę to jest robota dla sierżanta. On miał znacznie ważniejsze rzeczy do zrobienia lub przynajmniej rzeczy, które należało zrobić, a które inni uznawali za ważniejsze.

Powiódł wzrokiem dokoła. Nie zauważył nikogo wyższego rangą od posterunkowego. Na początku do zespołu należał sierżant Carter, ale jego nieobecność McLeana jakoś nie zdziwiła. Bez wątpienia znowu poszedł lizać tyłek Brooksowi i Spence'owi. Wcześniej czy później zostanie inspektorem. McLean już nie mógł się doczekać na tę piękną katastrofę. Tyle że to on będzie musiał potem sprzątać.

Bob Gburek też gdzieś przepadł, ale temu też raczej nie należało się dziwić. Sierżant miał zaległości w kilku sprawach dotyczących kradzieży, poza tym tak naprawę nie brał udziału w tym dochodzeniu. Posterunkowy MacBride urzędował na drugim końcu pokoju, majstrował przy jednym z komputerów należących do administracji. Brak jednej osoby bardzo mocno rzucał się w oczy.

– Ktoś widział sierżant Ritchie? – McLean skierował to pytanie do wszystkich, jednocześnie uświadamiając sobie, że nie spotkał jej od wczorajszej wizyty w domu Weatherly'ego.

– Przepraszam, szefie. Zapomniałem powiedzieć. Dzwoniła rano, że jest chora.

– Ritchie? Chora? – A to dopiero. Poprzedniego wieczoru nic jej nie było. Może wydawała

się nieco roztertargniona i miała lekki katar. Musiało to być coś poważniejszego, skoro nie przyszła do pracy.

– Tak słyszałam. – Posterunkowa Gregg skorzystała z okazji, by przerwać aktualne zajęcie.
– Rzeczywiście zamykamy dochodzenie? Teraz?

– Tak naprawdę niewiele jest do zamknięcia, prawda? Techniczni twierdzą, że sprawcą był Weatherly. Obraz z monitoringu to potwierdza. Miał pozwolenie na broń. Nic nie wskazuje na to, że działał pod przymusem. To są fakty, które przedstawimy oskarżycielowi publicznemu. Sama zadecyduje, co z tym dalej zrobić. Przypuszczam, że nic.

– A nie jest pan ciekaw, co kierowało Weatherlym?

Przez krótką irracjonalną chwilę McLean zastanawiał się, czy to Duguid obsadził ją w tej roli. W sumie to by było do niego podobne. Zwalić na innych całą brudną robotę, wykorzystać ludzkie słabości przeciwko nim samym. Trzymać się w cieniu i pilnować, żeby członkowie zespołu wzajemnie się kontrolowali. Najlepsze metody kierowania grupą pracowników. Nagle uświadomił sobie, z kim rozmawia. To była posterunkowa Gregg. Wścibska, gadatliwa plotkara Sandy Gregg, która pewnego dnia może wyrośnie na przyzwoitą śledczą, jeśli nauczy się mniej gadać, a więcej słuchać. Pytanie było całkowicie niewinne i wynikało jedynie z jej własnego zainteresowania sprawą. Problem stanowiła jego galopująca paranoja.

– Wiesz, myślałem, że tak. Już nie jestem taki pewien.

W pokoju wydzielonym na potrzeby dochodzenia w sprawie mężczyzny z tatuażami panowała cisza i spokój. O tak wczesnej porze jeszcze nikt nie zjawiał się na stanowisku. Nie żeby to śledztwo wymagało szczególnego pośpiechu, ale po tym, jak dochodzenie w sprawie Weatherly'ego zabił bezwzględny edykt z góry, wśród oficerów wydziału dochodzeniowo-śledczego panował jeszcze mniej entuzjastyczny nastrój niż zwykle. W dodatku ich wydział już się tak nie nazywał. Sami nie wiedzieli, kim są, kolejny dzień mógł przynieść coś nowego.

McLean przesunął wzrokiem po tablicy i widniejących na niej skąpych informacjach. Pytania zdecydowanie przeważały nad odpowiedziami – pewnie nic dziwnego. Nadal nie udało im się zidentyfikować ofiary, nawet jeśli dzięki tatuażom nieco zbliżyli się do celu. Zanotował sobie w myślach, że musi zlecić MacBride'owi lub Ritchie prześledzenie rezultatów badań DNA i wysłać Eddiego Cobbolda do miejskiej kostnicy, o ile Angus wyrazi zgodę. Prócz tego czekało go dokończenie raportu w sprawie Weatherly'ego i przygotowanie się na mnóstwo dobrej zabawy, jaką bez wątpienia zapewni konferencja prasowa.

W połowie ziewnięcia otworzyły się drzwi, ukazując skuloną sylwetkę sierżanta Lairda. Nawet gdyby ktoś o poranku wcisnął Boba Gburka w idealnie odprasowany garnitur, do pierwszej przerwy na kawę i tak wyglądałby tak, jakby w nim spał. Zresztą nie byłoby to wcale wykluczone.

– Wyglądasz na równie zmęczonego, jak ja się czuję, szefie. A myślałem, że zrzuciłeś jeden ciężar. – Bob ruchem głowy wskazał gdzieś w kierunku głównego pokoju dochodzeniowego.

– Gdyby to było takie proste. Oczywiście mamy dosyć, żeby zadowolić oskarżyciela publicznego, ale dziennikarze raczej nie będą uszczęśliwieni. – McLean oparł się o najbliższe biurko, by ulżyć bolącemu biodru. – Cholera, właśnie dlatego Duguid przydzielił mi tę sprawę. Wiedział, że ktoś szybko każe ją zamknąć. Nie chciał być tym, który będzie musiał stanąć przed kamerami i tłumaczyć światu, że policja ma wszystko gdzieś.

Bob Gburek wydał z siebie coś w rodzaju prychnięcia.

– Przypisujesz mu niezasażone czyny.

– Nie tym razem. Ostrzegł mnie zaraz na początku. Nie. Tutaj chodzi o coś więcej. – McLean rozłożył cienką szarą kopertę, którą wcześniej pokazał Duguidowi.

Bob Gburek wziął ją do ręki, wyjął zdjęcia i zaczął przeglądać. Najpierw jego brwi podjechały do góry, potem lekko zbiegły się pośrodku i w końcu całkiem złączyły.

– Czy chcę wiedzieć, skąd to masz? – zapytał, oddając McLeanowi kopertę.

– Sądzę, że od wydziału specjalnego. Czy jak tam się teraz nazywają. – McLean opowiedział o wieczornej wizycie oraz o tym, co widzieli z Ritchie w domu Weatherly'ego. – Wszystko zasrana polityka. Wiesz, jak to kocham.

– Na twoim miejscu wycofał bym się, bez względu na te zdjęcia. Wygląda na to, że na górze

zbroją się do walki dwie frakcje. Nie chciałbyś znaleźć się pośrodku.

– Cóż, nie powiem, że nie mam nic lepszego do roboty.

McLean podszedł bliżej do tablicy, przesunął wzrokiem po widniejących na niej słowach, w nadziei że pojawi się jakaś odpowiedź. Nagle zorientował się, że uderza kopertą ze zdjęciami o udo, zmusił się, by przestać.

– A propos Ritchie, nie wiesz, czy przyjdzie dzisiaj do pracy?

Bob potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. To nie w jej stylu zwalniać się z powodu choroby.

– Przez cały ostatni tydzień była w kiepskiej formie. Od naszej wizyty w domu Weatherly’ego w Fife. – McLean wzdrygnął się na wspomnienie dwóch martwych dziewczynek leżących obok siebie w jednym łóżku. Nie mógł się powstrzymać, otworzył kopertę i wyjął pierwszą z fotografii, na której Andrew Weatherly spaceruje po parku z Joanną i Margaret. Trzymali się za ręce. Kobieta, która dopełniała rodzinnego obrazka, nie była jednak żoną Andrew. Jennifer Denton wyglądała na tym zdjęciu jak matka dziewczynek, w niczym nie przypominała surowej profesjonalistki, którą McLean przesłuchiwał poprzedniego dnia.

– Tony – Bob Gburek położył dłoń na jego ramieniu – rób tylko to, co ci każą. Zostaw to. Skup się na czymś innym. – Wskazał na tablicę.

– Masz rację, Bob. Jak zwykle.

McLean schował zdjęcie. Weatherly’ego i panią Denton łączyły nie tylko stosunki zawodowe. Nie miało to jednak większego znaczenia dla sprawy. Tyle że czyniło ją jeszcze smutniejszą. I może w pewnym sensie tłumaczyło niechęć pani Denton wobec policji. Oczywiście były jeszcze te inne fotografie i cała kryjąca się za nimi historia. Sekrety, które mu powierzono, niedługo na pewno trafią w mniej powołane ręce. A ile czasu zajmie, nim pojawią się w prasie brukowej? I co to będzie oznaczać dla niego?

– Jezu, ale burdel. – McLean wziął do ręki marker, podkreślił słowo „tatuaze” i postawił obok znak zapytania. – Mógłbyś poszukać MacBride’a? Muszę się tylko uporać z raportem w sprawie Weatherly’ego. A potem wybierzemy się na wycieczkę do kostnicy.

– Cóż, takich rzeczy nie widuje się na co dzień.

Eddie Cobbold odchylił się do tyłu na piętach, by zwiększyć dystans. Kostnica miejska, wczesne przedpołudnie. McLean zjawił się na miejscu kilka minut przed posterunkowym MacBride’em i tatuazystą, w nadziei że porozmawia z Cadwalladerem na osobności. Patolog reagował bardzo nerwowo, kiedy ktoś niepowołany zbliżał się do jego trupów. Niestety Angusa nigdzie nie było. Tracy dała im kombinezony i zaprowadziła na salę sekcyjną. Ciało czekało na nich pod białym prześcieradłem. Tracy na razie odsłoniła tylko głowę.

– Będzie gorzej, zapewniam.

McLean nie musiał się odwracać. Znał ten głos. Angus Cadwallader długim krokiem przemierzył pomieszczenie i stanął po przeciwnej stronie stołu sekcyjnego, obok asystentki. Śmieszne, ale McLeanowi ten widok przywiódł na myśl scenę z westernu. Pojedynek lekarzy z policjantami nad ciałem ofiary.

– Dzień dobry. – McLean zdecydował się na bezpośrednią konfrontację. – To jest Eddie Cobbold. Eddie, Angus Cadwallader.

– Tak, tak. Miło poznać et cetera. Możemy przejść do konkretów? W kolejce czeka kilku chętnych do sekcji, a ten kolega zajmuje stół.

– Uznałem, że lepiej nie zaczynać bez ciebie. – McLean dostrzegł błysk w oku przyjaciela i uświadomił sobie, że ten drobny wybuch był tylko na pokaz. Angus również pragnął poznać sekrety mężczyzny z tatuażami.

– Już jestem. Możemy zaczynać? – Cadwallader skinął w stronę doktor Sharp. – Tracy.

Z wprawą profesjonalistki odsunęła białe prześcieradło, odsłaniając ciało zmarłego w pełnej krasie. McLean widział je zaraz po wyciągnięciu z wody oraz podczas sekcji. Widział również zdjęcia, lecz tak bliski i bezpośredni kontakt jednak wywołał u niego szok.

– Łoa! – Eddie gwizdnął przeciągle i przeczesał dłonią krótko obcięte włosy, wyraźnie zaskoczony.

– Niebywałe, co? – Cadwallader pochylił się nad ciałem, uniósł ramię i odwrócił je, by pokazać wewnętrzną stronę dłoni, podobnie jak cała reszta pokrytą zawijasami z czarnego atramentu. – Słyszałem, że to szczególnie wrażliwe miejsce.

– Owszem. Boli jak diabli. – Eddie uważnie przyglądał się dłoni. – Mogę dotknąć?

– Włożył pan rękawiczki? – spytał Cadwallader. Eddie uniósł dłonie ubrane w przepisowy lateks. – Bardzo proszę. Jestem ciekaw, co pan powie.

Kiedy patolog i tatuażysta pochylili się nad zmarłym, McLean zrobił parę kroków w tył. Zauważył, że MacBride od początku trzyma się w bezpiecznej odległości.

– Wolałbyś zaczekać na zewnątrz?

– Szczerze, gdziekolwiek, byle nie tu.

– Wrażliwy chłopak. Może wrócisz do komisariatu? Dam sobie radę.

MacBride nie zaprotestował. Z rozmachem kiwnął głową w podzięcie i zwiął. Kiedy McLean znów się odwrócił, Eddie i Angus stali obok siebie. Eddie pokazywał najciekawsze fragmenty na nodze umarłaka.

– Tutaj. Strupy są płaskie i równe, więc te tatuaże prawdopodobnie wykonano parę tygodni temu. Ale ten zawijas jest nowszy.

– Wiesz, co oznaczają? – zapytał McLean.

– Co oznaczają? – Eddie podniósł wzrok. – Nie mam pojęcia. Potrafię tylko określić, które są starsze, a które nowsze. A co znaczą, może jakiś świr by powiedział.

McLean popatrzył na pokryte rysunkami ciało. Nie rozpoznawał właściwie żadnych konkretnych wzorów.

– Kiedy mówi pan „starsze”, to co dokładnie ma na myśli? Dni, miesiące?

– Oj, nie. Lata. Jest takich kilka. Tutaj na przykład. – Eddie przesunął się na wysokość prawego ramienia, podciągnął skórę i wskazał punkt znajdujący się mniej więcej w tym samym miejscu, co nieszczęsny tatuaż McLeana. – Stąd zaczyna większość ludzi. Ten nie był oryginalny. Widać rysunek pod nowszym tatuażem. I dookoła też. Doktorze, ma pan szkło powiększające czy coś w tym stylu?

– Mów mi po imieniu. Angus. – Cadwallader zdjął szkło z tacki, którą podała mu Tracy i wręczył je Eddiemu. – Możesz pokazać?

Pilnie wrócili do oględzin, a McLean znów zrobił krok w tył. Z ich rozmowy wywnioskował, że dyskutują, jaką dokładnie formę miał oryginalny tatuaż. Był w kształcie krzyża, z obu stron widniały dodatkowo jakieś faliste linie. Chociaż mogły też stanowić część

innego rysunku.

– Może to sztylet – zaproponował Eddie po chwili.

– Tak, sztylet. A te linie chyba przypominają skrzydła?

McLean wyciągnął telefon, sprawdził, czy jest przyzwoity sygnał. W budynku mieli Wi-Fi, ale nie znał hasła. Wyszukiwarka pracowała powoli. Najpierw przetrawiła zapytanie, potem wypluła z siebie grafikę. Eddie i Angus nadal kłócili się, co jest nowe, a co stare.

– Czy coś takiego? – Uniósł telefon w ich stronę.

Cadwallader spojrział ponad brzegiem okularów, mrużąc oczy, jakby w ten sposób mógł wyostrzyć obraz. McLean podszedł bliżej i podał mu telefon. Eddie spojrział Angusowi przez ramię, potem jeszcze raz zerknął na zmarłego.

– Jep. To jest to. – Zmrużył oczy, wpatrując się w mały obrazek. – *Who Dares Wins*. Special Air Service?

McLean kiwnął głową i zabrał telefon.

– Obejrzyj drugą rękę. Przedramię. – Jeszcze raz stuknął w ekran, zaczekał, aż pojawi się kolejna grafika. – Może znajdziesz któryś z tych. Skrzydła Pułku Spadochronowego. To najliczniej reprezentowany pułk w szeregach SAS-u. Jeśli znajdziesz taki tatuaż, można założyć, że nasz człowiek był kiedyś żołnierzem, a nie świrem z jazdą na militarne fetysze. A skoro tak, wkrótce powinniśmy znaleźć w bazie jego DNA.

Chciał jak najszybciej znaleźć się w pokoju przeznaczonym na dochodzenie w sprawie mężczyzny z tatuażami i z działu rejestru osób zaginionych wydobyć wiadomości dotyczące byłych wojskowych. Miał też kilka osób kontaktowych, do których mógł zadzwonić, by zadać pytania wymagające większej dyskrecji. Jeśli mężczyzna rzeczywiście należał kiedyś do SAS-u, to od razu można by zawęzić obszar poszukiwań.

Posterunkowy MacBride świetnie się spisał i zebrał wszystkie informacje: transkrypty z dochodzeń, szczegółowy raport technicznych, wyniki sekcji.

Miał wielką ochotę zabrać się do pracy, ale najpierw musiał dokończyć raport ze śledztwa w sprawie Weatherly'ego – albo narazić się na straszliwy gniew Dagwooda. W normalnych okolicznościach sierżant Ritchie dostarczyłaby mu wstępny szkic raportu, ale nadal była chora. Wiedział, że nie ma sensu prosić o pomoc Boba Gburka, a tym bardziej sierżanta Cartera, bo potem i tak musiałby zrobić wszystko sam od początku. Nie miał wyjścia.

Właściwie przyjemnie było dla odmiany zająć się czymś prostym i niewymagającym. Fakty dotyczące zbrodni nie były bowiem skomplikowane – choć przerażające i tragiczne. Tylko motyw pozostawał tajemnicą. McLean wziął do ręki cienką brązową kopertę, którą dostał od faceta z wydziału specjalnego. W środku znajdowało się prawdopodobne rozwiązanie zagadki, ale tylko częściowe. Nie był tak naiwny, by nie dostrzec, że soczysty robaczek tkwi na końcu wędki. Chcieli, żeby w tym grzebał, chcieli, by namieszał. Nie rozumiał tylko, jaki cel im przyświeca.

McLean postanowił skupić uwagę na raporcie. Wlepił wzrok w migający kursor. Szara koperta nadal istniała, w środku wciąż leżały zdjęcia. Pewnym rzeczom po prostu nie można się oprzeć.

Wyciągnął fotografie, pierwszą odwrócił obrazkiem w dół i skupił się na drugiej. Widnieli na niej Weatherly i Jennifer Denton przyłapani *in flagrante delicto*, jak zapewne określiłyby tę scenę co bardziej pruderyjne gazety. Trzecia i czwarta wyglądały podobnie, zapewne zrobiono je przy tej samej okazji, i dowodziły, że Andrew Weatherly miał dość osobliwe upodobania w sferze uciech cielesnych, a Jennifer Denton była do nich bardzo przychylnie nastawiona. Mimo całego niesmaku, który budziły w nim oglądane zdjęcia, McLean czuł się jak pospolity podglądacz na przyjęciu. W tyle głowy wciąż miał wyrażenie „świadomi swych czynów dorośli”. Oczywiście Morag Weatherly zapewne byłaby nieco innego zdania, lecz cudzołóstwo to temat raczej dla księdza niż dla policjanta.

Skupił się na scenerii: łóżko, okna, ustawienie kamery. Weatherly stał za tym całym przedsięwzięciem, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Zdaje się, że wydarzenie miało miejsce w sypialni w domu na New Town, McLean postanowił jednak, że dla pewności pojedzie tam jeszcze raz.

Przeszedł do kolejnej serii zdjęć.

Miejsce rozpoznał natychmiast, za pierwszym razem. Były to zdjęcia z kamer CCTV w Fife, wystarczająco dobrej jakości, by się zorientować, co dokładnie przedstawiają. McLean miał nadzieję, że dziewczynek nie było w tym czasie w domu, może przebywały z matką w Edynburgu, podczas gdy tata brał udział w czymś, co dało się określić wyłącznie słowem „orgia”. Z daty w dolnym rogu wynikało, że zdarzenie miało miejsce w lipcu. Młody wiek niektórych uczestniczek mógł budzić niepokój co do legalności całego przedsięwzięcia, lecz najmocniej uderzył McLeana zupełnie inny aspekt tych fotografii. Już na początku zauważył, że są to zatrzymane kadry. A to z kolei znaczyło, że ktoś ma całe nagranie.

Prócz bardzo młodych kobiet w figlach brało udział co najmniej pół tuzina panów w średnim wieku, ilu dokładnie, nawet nie próbował się dowiedzieć, bo nie miał ochoty aż tak uważnie analizować zdjęć. Obraz był ziarnisty, ujęcia zrobiono pod takim kątem, by nie dało się rozpoznać twarzy, niektóre celowo zaciemniono. Kim byli ci mężczyźni? I co mieli zrobić w zamian za zniszczenie zdjęć?

Największe zdumienie budziła w McLeanie ostatnia fotografia. Andrew Weatherly’emu nie brakowało energii i wytrzymałości, bez dwóch zdań. Inny ciekawy fakt na jego temat, o którym nie dowiedzieli się ze znalezionej nagrania – miał w sypialni ukrytą jeszcze co najmniej jedną kamerę. A skoro istniało nagranie z wesołej lipcowej imprezki, to powinno istnieć również nagranie z tej nocy, kiedy wszedł do pokoju i strzelił żonie w głowę.

McLean odwrócił ostatnią fotografię i odłożył na stosik, wziął do ręki cały plik i wsunął z powrotem do koperty. Wyciągnął szufladę biurka, wrzucił kopertę, zasunął szufladę, stękając z wysiłku, i przekręcił klucz.

Raport wciąż widniał na ekranie komputera, kursor nadal migał. McLean zapatrzył się na pozbawione sensu słowa, próbował skupić się na faktach. Opisać, czego konkretnie się dowiedzieli. Nie snuć domysłów. Oddać raport oskarżycielowi publicznemu i ruszać dalej.

Kogo on próbował oszukać? Otworzył szufladę, wyjął kopertę, kliknął w „zapisz” na komputerze i wyszedł z pokoju.

– Myślałam, że dochodzenie jest zamknięte. Tak chyba mówił komendant?

Znajdowali się w pokoju przesłuchań numer jeden, tym ładnym, z oknem i prawidłowo działającym kaloryferem. Jennifer Denton siedziała wyprostowana jak struna, niczym pilna uczennica prywatnej szkoły dla dziewcząt. Miała na sobie ciemne ubranie. Wdowie szaty. Była bardzo blada, McLean widział jednak, że jest to skutek nie tylko silnego stresu, lecz również makijażu. Nikt nie ma tak nieskazitelnej i białej skóry.

– Stawiamy ostatnie daszki przy T i ostatnie kropki nad I, pani Denton. Oskarżyciel publiczny domaga się raportu, nawet jeśli niewiele możemy w nim zawrzeć.

Pani Denton opuściła ramiona bardzo nieznacznie, lecz nie umknęło to uwagi McLeana. I potwierdziło jego podejrzenia.

– A więc co chce pan wiedzieć, panie inspektorze? – Znużony cień uśmiechu przemknął po jej wargach i zmarszczył kąciki oczu. Była starsza, niż wskazywałaby na to umalowana twarz.

– Miała pani romans z Andrew Weatherlym.

– Ja...

– Proszę. Zaprzeczając, obraża pani inteligencję nas obojga. – McLean uciął protest

widoczny na twarzy pani Denton. – Sam fakt nie ma większego znaczenia. Nie jest pani podejrzana. Była pani jednak blisko związana z panem Weatherlym. Nawet bliżej niż jego żona.

– Cha. Morag i Andrew nigdy nie byli sobie bliscy. Na pewno nie przez ostatnie dziesięć lat, jak nie więcej. Zresztą nie wierzę, by i wcześniej łączyła ich miłość.

Gorycz w głosie pani Denton brzmiała zaskakująco. Jakby to uczucie rosło w niej tłumione przez całe lata.

– Na jakiej podstawie tak pani twierdzi?

– Supermodelka, tak nazywała ją prasa. Odpowiedniejsze byłoby jednak określenie „łowczyni majątków”. Pracowała bardzo krótko, rzuciła modeling zaraz po ślubie. Drew to odpowiadało, była jego trofeum, żoną na pokaz. Gdyby nie dziewczynki, byłabym skłonna uwierzyć, że nigdy ze sobą nie spali.

– Sugeruje pani, że Weatherly mógł poddawać w wątpliwość swoje ojcostwo? – Pytanie zadał Bob Gburek, ale również McLeanowi przemknęło ono przez myśl.

– Co takiego? – Jennifer Denton zrobiła autentycznie osłupiałą minę. – Nie. To znaczy oczywiście, że były jego córkami. Nie miałam na myśli...

– To mógłby być motyw – powiedział McLean gdzieś w przestrzeń. – Weatherly odkrywa, że żona go zdradzała i uwielbiane córki nie są jego dziećmi. To z pewnością wzbudziło w nim wściekłość. Może nawet pchnęło do zbrodni. Nagle, gdy emocje nieco opadają, dociera do niego, co...

– To śmieszne. Drew nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

– Jest pani pewna, pani Denton? Czy ktokolwiek może z całym przekonaniem powiedzieć, że tak dobrze znał drugiego człowieka?

– Drew nie był impulsywny, panie inspektorze. Nie wpadał we wściekłość. Nie w ten sposób. Poza tym kochał córki.

McLean przypomniał sobie pierwszą z fotografii. Szczęśliwa rodzina, ojciec i matka na spacerze, trzymają dzieci za ręce, bawią się i śmieją. Tyle że tak naprawdę to nie była ich matka.

– To nieistotne. Nie jesteśmy tu po to, by snuć spekulacje, dlaczego to się stało.

– A więc po co tu jesteśmy, panie inspektorze? – Jennifer Denton przewiercała go na wylot spojrzeniem, które bardziej przypominało tamtą poprzednią panią Denton. – A ściśle rzecz ujmując: po co ja tu jestem?

– Chcę poznać wszystkie ruchy pana Weatherly’ego w dniu... no, sama pani wie. Podała nam pani jego grafik, ale wydaje mi się, że o wielu rzeczach nam nie powiedziała. Czy zamierzała się pani z nim spotkać tego wieczoru? Był sam w domu w Edynburgu.

Jennifer Denton utkwiała wzrok we własnych kolanach. McLean zauważył, że włosy na czubku głowy zaczynają jej się przerzedzać. Pod tym kątem siwe pasma stały się bardziej widoczne. Zapewne widział w aktach datę jej urodzenia, lecz jakoś nie mógł sobie przypomnieć. Ale im dłużej jej się przyglądał, tym wyraźniej dostrzegał, ile wysiłku wkłada w zachowanie młodego wyglądu. Czy bała się, że Weatherly wymieni ją na młodszy model? Sądząc z niesławnych fotografii, uznał jej obawy za nieuzasadnione. Polityk miał dostęp do świeżego mięsa w takiej ilości, jaka tylko mu się zamarzyła, i chętnie dzielił się tym przywilejem z wpływowymi znajomymi.

– Tak, panie inspektorze. – Jennifer Denton utkwiła w nim nieporuszone spojrzenie, jakby rzuciła mu wyzwanie, by wydał sąd na jej temat. – Odwiedzałam go tam prawie za każdym razem, kiedy zostawał sam w mieście.

– Ma pani klucze, jak już wiemy. A więc poszła tam pani tamtego wieczoru. O której godzinie?

– O dziewiątej. Nie, raczej bliżej wpół do dziesiątej.

– Tak późno?

– Mam własne życie, znajomych poza pracą i... sam pan wie. – Jej wzrok nabrał intensywności.

– Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny. Zatem wpół do dziesiątej. I rozumiem, że nie zastała pani Weatherly'ego.

– Nie. W domu nie było nikogo. A samochód nie stał na zwykłym miejscu. Idiota, zapomniał nawet włączyć alarm, ale to mnie aż tak bardzo nie zdziwiło.

– Pan Weatherly bywał roztargniony? – Bob Gburek poruszył się na krześle, zaczepił o coś spodniami i lekko się skrzywił.

– Drew bywa bardzo zaabsorbowany swoimi myślami. Kiedy skupi się na jakiejś sprawie, zapomina o całym świecie. – Pani Denton znów utkwiła wzrok we własnych dłoniach. – Zapominał, powinnam powiedzieć.

– Dlaczego nie zadzwonił? Nie wysłał esemesa? Mógł zaoszczędzić pani niepotrzebnej wyprawy.

– Ależ skąd. Coś takiego nie przyszłoby mu nawet do głowy. Poza tym moje mieszkanie znajduje się niedaleko. Pięć minut spacerem.

– Czy miał na ten wieczór umówione inne spotkania? – spytał McLean.

Pytanie wywołało lekkie zaskoczenie, jakby Jennifer Denton nie potrafiła sobie wyobrazić świata, w którym mogła nie wiedzieć o każdym najdrobniejszym kroku swojego szefa. Z co najmniej dwutygodniowym wyprzedzeniem.

– Nie, panie inspektorze. Nie miał. Zamierzał przejrzeć jakieś raporty, kolejny powód, dla którego mieliśmy się spotkać o tak późnej godzinie.

McLean popatrzył na leżącą między nimi na stole kopertę. Czy miałyby sens konfrontować Jennifer Denton z tymi fotografiami? Przyznała się przecież do romansu z szefem. A ewentualne dochodzenie w sprawie tych obrazków przypadłoby raczej Jo Dexter z obyczajówki. To nie była jego działka i szczerze mówiąc, wcale tego nie żałował.

– W takim razie nie mam więcej pytań. – Podniósł się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Jennifer Denton w pierwszej chwili jakby jej nie dostrzegła. W końcu również wstała.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjść. – Poczł jej drobną dłoń, ciepłą i lekko wilgotną od potu. W pomieszczeniu nie było gorąco, ale może miała na sobie zbyt ciężkie ubranie. – Sierżant Laird zaraz załatwi pani transport do domu.

Przyglądał się, jak pani Denton zbiera się do wyjścia, zarzuca torebkę na ramię i rusza w stronę drzwi, które otworzył przed nią Bob Gburek. Zanim wyszła, McLean dodał na zakończenie:

– Przykro mi z powodu pani straty. Naprawdę. I przykro mi, że musiałem poruszyć ten temat.

Jennifer Denton kiwnęła głową.

– Obawiam się, że kilka kolejnych dni, nawet tygodni, będzie dla pani bardzo trudne. Niewiele czasu potrzebowałem, by dowiedzieć się o pani romansie z Weatherlym. Prasa też wkrótce się dowie. I nie tylko o tym.

Mówiąc te słowa, przypatrywał się jej twarzy, ale nie zobaczył na niej zaskoczenia czy przerażenia, raczej znużoną rezygnację. Jennifer Denton jeszcze raz kiwnęła głową, a potem odwróciła się i wyszła.

21

– Czy ustaliliśmy, o której Weatherly opuścił granice miasta?

Posterunkowy MacBride podniósł wzrok znad biurka. Na jego twarzy malował się wyraz całkowitej dezorientacji.

– Weatherly? Myślałem, że z nim skończyliśmy.

– Dopieszczę raport dla oskarżyciela publicznego. Zastanawiam się, czy znajdziemy jego tablicę rejestracyjną w systemie PNC. Byłoby dobrze wiedzieć, o której wyjechał.

– Mogę sprawdzić. – MacBride przysunął do siebie laptop i zaczął stukać w klawisze.

McLean już zaczął się zastanawiać, czy ktoś ukradł bezcenny tablet, ale potem dostrzegł część urządzenia, wystającą spod stosu papierzyk. MacBride za nic na świecie nie zamierzał stracić swego skarbu z oczu, choćby na chwilę.

– Bardzo proszę. Sandy Gregg przeglądała bazy. Samochód przejechał przez most kwadrans po dziewiątej.

– A więc zakładając, że Weatherly nie zatrzymywał się po drodze, wyszedł z domu około dziewiątej, może trochę wcześniej.

Tajemnicza kobieta, uchwycona na fotografii, wyszła z jego domu w tym samym czasie. Czy to zwykły zbieg okoliczności? Biorąc pod uwagę sposób, w jaki otrzymał tę fotografię, mało prawdopodobne.

– Pewnie tak. Ile trwa dojazd do Fife? Godzinę, godzinę i piętnaście minut?

– Nie przy takiej zamieci. Raczej dwie godziny.

– Czyli był na miejscu między wpół do dziesiątej a jedenastą.

McLean podrapał się w podbródek i znalazł miejsce, które jakimś cudem ominął podczas porannego golenia.

– To zgadza się z zapisem z monitoringu. Kamery zarejestrowały, jak wchodzi przez drzwi frontowe tuż po jedenastej, dobrze pamiętam?

MacBride postukał w klawisze.

– Osiem po jedenastej.

McLean spojrział na zegarek, potem za okno. Tego ranka niebo było czyste i zimne, w kolorze bardzo bladego błękitu. Śnieg nie padał od kilku dni. Tylko mróz i lód na drogach. Czasami rozumiał, dlaczego tylu nadinspektorów z dochodzeniówki jeździ range roverami.

– Jakies wieści od Ritchie?

– Dzisiaj nic. Podobno ma paskudną grypę. Nie chce nas pozarażać.

– Bardzo uprzejmie z jej strony. Masz ochotę skoczyć do Fife?

– Fife? – Po twarzy MacBride'a przebiegł zatroskany grymas, jakby spodziewał się najgorszego.

– Muszę jeszcze raz zerknąć na dom Weatherly'ego, zanim go zamkną. Techniczni już

kończą. – Wiedział, bo wcześniej do nich zadzwonił.

– Nie mógłby pan zabrać San... eee, posterunkowej Gregg, szefie? – Nadzieja w szczenięcych ślepkach MacBride'a poruszyła kamienne serce inspektora.

– Dużo pracy?

– Bardzo dużo. Do końca dnia muszę skolacjonować całe mnóstwo raportów. Poza tym czekam na wyniki badań DNA gościa z tatuażami, żeby je przepuścić przez bazy wojskowe. No i przejrzeć listę z rejestru osób zaginionych, długości mojego ramienia.

– Dobrze. Dobrze. Wezmę Gregg. – McLean zamachał rękami, dając posterunkowemu znak, żeby został na miejscu. Nie miało sensu psuć mu tak produktywnego dnia. Szkoda tylko, że go bezwstydnie wykorzystywano. Zanotował sobie w myślach, że musi się temu przyjrzeć. Część tej pracy z pewnością powinni wykonać inni posterunkowi czy sierżanci. – Oby Ritchie jak najszybciej do nas wróciła. Jeśli przez następne dwie godziny będę musiał wysłuchiwać kolejnej historii na temat stóp posterunkowej Gregg, to pamiętaj, ty ponosisz za to odpowiedzialność.

Puste drogi prowadziły go na północ od miasta przez most do Fife. Miał w samochodzie odtwarzacz, ale prawdopodobnie zbyt skomplikowany jak na jego gust. Sprzedawca pokazał mu, gdzie się podłącza empetrójkę. Najwyraźniej ten sam system, który pozwalał rozmawiać przez telefon bez użycia rąk, mógł również służyć do odtwarzania muzyki. Ale najpierw trzeba by ściągnąć jakieś utwory na telefon, a potem rozpracować, jak to całe draństwo działa. Dlatego teraz siedział w ciszy, rozkoszując się delikatnym szmerem silnika i szumem opon na asfalcie.

Decyzja, by nikogo ze sobą nie zabierać, przysłała mu szybko i łatwo. Zanim znalazłby posterunkową Gregg, straciłby kolejne pół godziny, poza tym przez całą drogę nie mógłby myśleć. W gruncie rzeczy towarzystwo kolegi czy koleżanki nie było mu do niczego potrzebne. Tak naprawdę cała ta wyprawa nie była do niczego potrzebna. Zamknęli sprawę, raport leżał na jego biurku, gotowy do oddania. Jeszcze tylko jedna warstwa farby i załatwione.

Dlaczego więc jechał teraz na północ, prosto w środek wiejskiego zimowego krajobrazu? Czemu postanowił wrócić do domu, który spowodował u Ritchie taki uraz, że od tamtej wizyty nie stawiała się w pracy? Po co znowu węszył, chociaż powiedziano mu wyraźnie, że właśnie tego ma nie robić? A jednocześnie tego oczekiwano. Nie wiedział. I chyba to był główny powód.

Po autostradzie jechało mu się całkiem dobrze, ale w miarę jak drogi A zmieniały się w drogi B, a potem w te całkiem spoza skali, zmniejszała się efektywność pługów śnieżnych, należących do drogowców w Fife. Owszem, alfa może i była wygodna, lecz należała do ciężkich wozów starego typu, o szerokich oponach i mocy większej niż przyczepność. Od czasu do czasu McLean czuł, jak na śliskim podłożu traci kontrolę nad wozem, by odzyskać ją dosłownie w ostatnim ułamku sekundy, dzielącym go od kosztownego spotkania z jednym z kamiennych murków, które w tej okolicy zastępowały pobocze. Pod koniec czołgał się w żółwym tempie, ale wreszcie dotarł na podjazd przed domem Weatherly'ego tylko dzięki temu, że furgonetki technicznych wryły wcześniej w zaspach głębokie koleiny.

W dniu, kiedy przyjechał tu z Ritchie, niebo było szare i zachmurzone. Nawet teraz, gdy słabe słońce majaczyło na jasnym błękitcie, dom wciąż sprawiał odpychające i złowrogie

wrażenie. Wokół stopni prowadzących do wejścia od frontu tłoczyły się trzy furgonetki i dwa radiowozy. McLean zaparkował, a właściwie wśliznął się na miejsce, które wcześniej zajmowało coś większego. Miał nadzieję, że zdoła się stąd później wydostać.

W środku panował chaos i dekonstrukcja. Przy drzwiach piętrzyły się zniszczone aluminiowe skrzynie na sprzęt, czekające, aż ktoś je stąd zabierze. Znudzony mundurowy ruszył w kierunku McLeana, zaraz jednak rozpoznał go z poprzedniej wizyty.

– Dzień dobry. Nie wiedziałem, że się pan do nas wybiera. Nadinspektor jest w kuchni, jeśli chce pan z nim porozmawiać.

A to niespodzianka. McLean sądził, że obecnie Jack Tennant przebywa w swoim przyjemnym ciepłym gabinecie w Glenrothes. W kuchni zastał niewielką grupkę zajęta piciem herbaty i grzaniem się w ciepłe bijącym od pieca Aga. Tennant, siedzący u szczytu stołu, podniósł wzrok.

– Tony! Co cię znów do nas sprowadza?

Prawdziwą przyczynę stanowiły fotografie, które dostał od człowieka z wydziału specjalnego, teraz leżące w teczce dotyczącej dochodzenia, pozostawionej w bagażniku. Z jakiegoś powodu McLean nie miał ochoty nikomu ich pokazywać. Nawet żałował, że Bob je widział.

– Chciałem jeszcze raz się rozejrzeć. Wywołać kilka duchów. Sam wiesz.

Tennant odstawił kubek. Dębowy blat znaczyły liczne kółka tej samej wielkości. McLean nie spędził tu zbyt wiele czasu, ale mógłby przysiąc, że poprzednim razem stół wyglądał znacznie czystiej. To tyle na temat sterylnych warunków, o które zawsze tak walczyli techniczni. A może kuchnię zajęli się na samym początku, by mogła im służyć w celach wypoczynkowych? Cóż, państwo Weatherly nie mogli zaprotestować.

– Klapnij sobie. – Tennant z rumorem odsunął krzesło i wstał. – Już i tak skończyliśmy. Za jakieś pół godziny techniczni załadują wszystko na samochody i zamykamy.

– Nie potrzebuję aż tyle czasu. Spróbuję nikomu nie wchodzić w paradę.

McLean wycofał się z kuchni. Przy okazji dostrzegł zejście do piwnicy. Schody prowadziły do zaskakująco obszernego pomieszczenia, znajdującego się bezpośrednio pod holem wejściowym, podzielonego na mniejsze i zamykane pomieszczenia gospodarcze. Wszystko wskazywało na to, że w jednym z nich znajdował się serwer, na którym przechowywano nagrania z monitoringu. Było tam mnóstwo szaf typu rack i przeróżnych kabli, nawet dwa duże płaskie monitory, ale komputery znikły. Nie wiedział, czy jest sens pytać lokalnych policjantów o ich los. Może je zabrali, a może zajęli się tym przedstawiciele jakiegoś tajemniczego urzędu. McLean przez chwilę szukał w telefonie aparatu. Zrobił kilka zdjęć szafy. Może na ich podstawie posterunkowy MacBride jakimś cudem będzie w stanie powiedzieć, ile kamer było podłączonych do systemu.

Kiedy wrócił do holu, okazało się, że techniczni wynieśli już większą część skrzyń. Wchodził do kolejnych pomieszczeń, ledwo omiatając je wzrokiem. Miał ochotę pójść do samochodu i przynieść zdjęcia. Nagle zauważył, że jeden z mundurowych za nim chodzi – dyskretnie i uparcie. Tennant niewątpliwie chciał wiedzieć, co McLean kombinuje. A wieści o tej wizycie niemal na pewno dotrą do uszu Duguida. Istniała nadzieja, że ten zrobi wszystko, by nie dotarły wyżej.

McLean przeszedł ponownie do tylnej części domu. Zauważył drzwi wychodzące na

niewielkie podwórko i zabudowania gospodarcze. Za sąsiednimi otwartymi drzwiami znajdowała się toaleta. Wszedł do środka, zamknął drzwi i ostentacyjnie zagrzechotał zasuwką dla wiadomości mundurowego. Było to niewielkie pomieszczenie wyposażone w całkiem spore okno. Po krótkich oględzinach McLean stwierdził, że jest zamknięte na zwykły rygiel, trzymający razem obie połówki. Tyle w temacie supernowoczesnego monitoringu. McLean odsunął rygiel, spuścił wodę i umył ręce. Dokładnie w momencie, kiedy otworzył drzwi, z kuchni wyszedł Tennant.

– Skończyłeś? – zapytał.

– Mniej więcej. Zwykła strata czasu, ale sam wiesz, jak to jest.

– Ja nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie opuszczę to miejsce. – Tennant klepnął go w ramię. – Ale wiem, co masz na myśli, Tony. Nie możesz się pozbyć tego dręczącego wrażenia, że o czymś zapomniałeś?

– Właśnie.

Wyszli razem przed dom. Tennant wyjął ciężki klucz z rodzaju tych, które uwielbiali strażnicy więzienni w epoce wiktoriańskiej, i zamknął drzwi.

– Nasze zadanie wykonane. Teraz kolej prawników. – Tennant zszedł po schodach i od strony pasażera wsiadł do jednego z radiowozów.

– Chyba się przespaceruję przed powrotem do miasta – powiedział McLean, kiedy mundurowy, który tak wiernie za nim chodził, otworzył drzwi po stronie kierowcy. – Rozprostuję kości.

Tennant rzucił mu spojrzenie trochę zaskoczone, a trochę domyślne. Postukał ciężkim kluczem o udo, wreszcie włożył go do kieszeni kurtki.

– Dobry pomysł. Ze szczytu roztacza się piękny widok. – Wskazał na wzgórze wznoszące się za domem. – Tylko nie za długo. O tej porze roku szybko robi się ciemno.

Na tyłach domu rosły sosny, stare i powykręcane. „Staruszki”, pamiętał, że tak na nie mówiono w czasach jego dzieciństwa. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta nazwa, nie licząc oczywistego faktu, że drzewa miały swoje lata. Śnieg utworzył wysokie zaspę wokół pni. Cieńsza warstwa pokrywała jedynie ścieżkę biegnącą w stronę wzgórza. Nie było widać żadnych śladów, raczej nikt ostatnio tędy nie chodził. McLean popatrzył na szczyt. Z tego miejsca wydawał się łudząco bliski, ale kto wie, jakie przeszkody trzeba pokonać, by się tam dostać. Jeszcze raz obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy na pewno nikt za nim nie idzie, po czym ruszył w głąb lasu.

Panowała niemal całkowita cisza, tylko śnieg skrzypiał pod butami. McLean był ciepło ubrany. Kiedy przelazł przez płot i wyszedł spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, poczuł, że już się spocił. Było całkowicie bezwietrznie, na niebie ani jednej chmurki, na południowym niebie nisko wisiało blade słońce, biała kołdra lśniła aż za mocno w jego blasku. Zmrużył oczy i ruszył dalej, brodząc w śniegu, wzdłuż czegoś, co chyba mogło uchodzić za ścieżkę.

Spacer zajął niemal godzinę, ale widok ze szczytu okazał się wart wysiłku. Na północy wraz odchodzącym dniem ciemniało ujście rzeki Tay koło Dundee. Wstęgi świateł znaczyły A90 biegnącą na zachód w stronę Perth. Dalej na zachodzie wznosiły się jak rząd połamanych zębów ośnieżone Grampiany, płonące na czubkach różem i pomarańczem w zachodzącym słońcu. Na południu było widać wzgórza Pentland oraz Edynburg; klify Salisbury i Wzgórze Zamkowe rysowały się wyraźnie w czystym zimnym powietrzu, choć znajdowały się w odległości dobrych osiemdziesięciu kilometrów.

Wspinaczka dodała mu energii, świeże powietrze przegnało miejski zaduch. Miał nadzieję, że po drodze spokojnie pomyśli o dochodzeniu, ale stwierdził, że jego umysł jest cudownie pusty. Im bardziej oddalał się od domu Weatherly’ego, tym bardziej słabła władza tego miejsca. Chociaż nie znikła do końca. McLean wiedział, że będzie musiał tam wrócić. Odkryć jego tajemnice.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że nadeszła właściwa pora. Kiedy dotrze do samochodu, będzie prawie ciemno, nawet wzięwszy pod uwagę, że droga w dół zawsze trwa krócej. Ruszył z powrotem. Ostry blask śniegu łagodniał w zachodzącym słońcu. Ponieważ McLean szedł ze spuszczoną głową, a myślami przebywał gdzieś daleko, dopiero wszedłszy między drzewa zorientował się, że nie jest sam.

Zaczęło się od dźwięku. Brzmiał jak skrzyżowanie prychnięcia z niskim donośnym beknięciem. McLean zatrzymał się, spojrzał w bok. Stał tam największy byk, jakiego kiedykolwiek widział, i gapił się na niego z lekko zdumioną i zarazem wojowniczą miną. Grube sterczące rogi celowały prosto w McLeana. Nie miał pojęcia, jak mógł wcześniej nie zauważyć zwierzęcia ani jakim sposobem zdołało ono podejść do niego i w ogóle nie narobić

przy tym hałas. Coś zaszeleściło w krzakach i oto do pierwszego zwierzaka dołączył kolega o rogach smuklejszych i wykręconych na zewnątrz i do góry. Opuścił łeb, jakby przymierzał się do ataku, poniuchał śnieg. McLean zerknął w bok, próbując ocenić odległość dzielącą go od płotu, nie spuszczać wzroku z bestii. Teraz, kiedy zaczął zwracać uwagę na otoczenie, zauważył, że śnieg dokoła jest zdeptany – najprawdopodobniej przez całe wielkie stado tych zwierząt.

Naprawdę nie wiedział, co robić. Nikt nigdy go nie uczył, jak sobie radzić w takiej sytuacji. Nie miał podobnych doświadczeń. Potrafił tylko stwierdzić, że są to krowy szkockiej rasy wyżynnej. Ale chyba nigdy dotąd nie miał z nimi bliższego kontaktu, nie licząc steków na talerzu.

Znów rozległ się szelest, tym razem cichszy, i z krzaków kolcolistu wychynął cielak. Nie miał rogów i był mniej więcej jednej czwartej wielkości byka, wyglądał nieszkodliwie i miał ciekawską minę. No i był bardzo, bardzo kudłaty. Jak mechaniczny pluszowy miś. Trudno się przestraszyć czegoś tak komicznego.

McLean, poruszając się tak powoli, jak tylko potrafił, by nie sprowokować zwierzaków, zaczął się przesuwać w kierunku drzew. Cała trójka ruszyła za nim. Byk kroczył ociężale, kołysząc na boki potężnym cielskiem. Kolejne sztuki wynurzyły się z zarośli, zapewne wiedzione ciekawością. McLean wiedział, że jeśli nie przyspieszy, za chwilę zostanie otoczony.

Kiedy dotarł do płotu, towarzyszyło mu całe stado. Wiedział już, że nie chcą mu zrobić krzywdy, ale biorąc pod uwagę ich rozmiary i ostre rogi, bardzo się cieszył, że udało mu się przedostać na drugą stronę ogrodzenia. Ruszył pomiędzy ciemniejącymi drzewami. Ciężko oddychał, a serce waliło, jakby przebiegł maraton. Co za głupota. To było tylko stado krów. Hm, na stado rasy wyżynnej chyba istniało jakieś inne określenie. Gdzieś o tym czytał. Może posterunkowy MacBride będzie wiedział?

Kiedy dotarł do samochodu, niemal zapadła noc. Wszyscy pojechali, została martwa fasada z kamienia i bluszczu. Okna przypominały pozbawione życia oczy. Jak oczy dwóch dziewczynek skulonych obok siebie na łóżku. Jak oczy Morag Weatherly wpatrzonych w przerażeniem w męża celującego do niej z broni.

McLean potrząsnął głową, by przegonić obraz z pamięci. To tylko pusty budynek. Nie ma w nim nic przerażającego. Nic, czego mógłby się wystraszyć dorosły mężczyzna. Otworzył samochód, wyjął kopertę z kompromitującymi zdjęciami, wygrzebał latarkę z przygródki w bagażniku. Zastanawiał się, czy wyjdzie księżyc. Nie przypominał sobie, by go widział ostatnio, ale w mieście na takie rzeczy często nie zwraca się uwagi.

Zatrzasnął bagażnik, ruszył na tył domu. Miał nadzieję, że okno jest nadal otwarte. Jeśli nie, cała wycieczka na szczyt i przygoda z krowami poszłyby na marne.

Obawy się nie sprawdziły. Odszukanie okna po ciemku okazało się nieco trudniejsze, niż przypuszczał, ale kiedy pchnął szybę, gładko i bezgłośnie podjechało do góry. Wgramolił się do środka. Zanim otworzył drzwi prowadzące do holu na tyłach domu, na chwilę przystanął. Zastanawiał się, czy aby nie uruchomi alarmu. Ale przecież widział bałagan na dole, gdzie umieszczono komputery, a Tennant, wychodząc, niczego nie włączył.

Świadomość, że w domu nikogo nie ma, w najmniejszym stopniu nie łagodziła panującej

w nim przytłaczającej atmosfery. To miejsce miało niepokojącą aurę, którą dodatkowo potęgowały ciemności. Racjonalna część umysłu podpowiadała McLeanowi, że to zwykłe przesady. Ale niedawno w tym domu kilka osób poniosło śmierć gwałtowną i brutalną. Chyba tylko ktoś z kamienia nie poczułby dreszczy na tę myśl.

McLean zdołał dotrzeć aż do schodów i nie nadziać się przy tym na żadną przeszkodę. Przez wielkie okno sączyło się do środka wieczorne światło, nad drzewami lśnił sierp księżyca, niespodziewany i jakże mile widziany. Kiedy McLean dotarł do pokoju dziewczynek, jego oczy zdążyły przywyknąć do półmroku. Zatrzymał się, po chwili wszedł do środka.

Nic nie widział w gęstych ciemnościach. Poddał się, zapalił latarkę i zaczął przesuwając ją dokoła. Snop światła obudził do życia cienie, które krążyły i pląsały do wtóru ruchów jego ręki. Oczywiście ciało już nie było, a pościel zabrano do analizy. Standardowa procedura. Wątpliwe jednak, by w zaistniałej sytuacji wykonano badania. Prawdopodobnie ktoś je przypadkiem zepsuje. Ale McLean nie po to tu przyszedł.

Wetknął latarkę w usta, by mieć wolne obie ręce, wyjął zdjęcia z koperty i zaczął je przerzucać, aż odnalazł to, o które mu chodziło. Kilka nagich ciał w pełnej niekrasie, nabrzmiałych i niezbyt apetycznych, splątanych w skomplikowanych układach aktów seksualnych na dwóch łóżkach i podłodze między nimi. Zdjęcie zrobiono z góry. McLean skierował snop światła w stronę sufitu i zobaczył masywną kamerę w rogu nad drzwiami. Stanął tuż pod nią, uniósł zdjęcie wysoko, ale kąt się nie zgadzał. Zrobiono je z innego miejsca. Podszedł do łóżka i przesunął latarkę wzdłuż ściany, szukając śladów po usuniętej kamerze. W dzień mógłby nie zauważyć, ale teraz światło odbiło się w niewielkim obiektywie umieszczonym pośród skomplikowanych wzorów na gzymsie.

Przy jednym z łóżek stał ciężki drewniany kufer. McLean przysunął go do ściany, ustawił na nim dziecięce krzeselko i wdrapał się nań ostrożnie, wyraźnie mając w pamięci okoliczności, w których kilka miesięcy wcześniej złamał nogę. Na samą myśl odezwał się znajomy ból, który jakimś cudem nie towarzyszył mu podczas wycieczki na szczyt. Może właśnie tego potrzebował – regularnych spacerów. A nie nudnego rozciągania i ćwiczeń zaleconych przez fizjoterapeutkę.

Z bliska i w świetle latarki widział wyraźnie, w którym dokładnie miejscu umieszczono kamerę. W normalnych warunkach z pewnością by jej nie zauważył, podobnie jak tych dwóch innych, które właśnie dostrzegł. Ostrożnie zszedł na podłogę, odstawił krzeselko na miejsce przy biurku, gdzie już nikt nigdy nie zasiądzie, przyciągnął skrzynię z powrotem. Jeszcze raz omiół pokój snopem światła. Widok napełnił go głębokim smutkiem. Cokolwiek by tu znalazł, co by odkrył – nic nie mogło zmienić tego, co już się stało.

Z pomocą fotografii McLean odszukał jeszcze dwadzieścia kamer, które ukryto na piętrze – niektóre w gzymsie, inne w elementach oświetlenia, jedną w zdobieniu ramy wielkiego olejnego obrazu. Ścianę w sypialni małżeńskiej wciąż znaczyły ślady krwi i mózgu Morag Weatherly. Próbował o niej nie myśleć, patrząc na zdjęcie przedstawiające pana Weatherly'go i trzy bardzo młode kobiety na tym samym łóżku.

Z niejakim trudem odnalazł tylne schody, prowadzące na strych. Dom zbudowano w czasach, kiedy na pewno trzymano tu sporą służbę. Najwyraźniej pierwotni właściciele starali się uczynić ich obecność tak dyskretną, jak to tylko możliwe. Wreszcie zdołał odszukać drzwi ukryte w boazerii na końcu korytarza, za pokojem dziewczynek. Znajdował się za nimi

wąski korytarzyk, wzdłuż którego po obu stronach umieszczono ciasne pokoje, teraz zmienione w graciarnie. Stopnie prowadziły do góry i do dołu, te ostatnie zapewne do komórki przy kuchni czy schowka. Na górze znajdował się kolejny wąski korytarzyk, przy którym umieszczono pokoiki dla służby. Większość stała nieużywana od wielu lat, nie służyły nawet dzieciom do sekretnych zabaw. Ale jeden znalazł bardzo ciekawe przeznaczenie.

Pojedyncze okno wychodziło na podwórze, las i krowy, ale było niemal całkowicie zasłonięte rzędem martwych monitorów. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się szafy typu rack, pełne urządzeń stanowiących część systemu, nagrywarek i Bóg jeden lub wydział specjalny wie czego jeszcze. Ktoś tu był i pospiesznie usunął wszystko, co się dało, podobnie jak w piwnicy. Ale po co aż dwa pomieszczenia? To było raczej oczywiste. Jedno obsługiwało system monitoringu, drugie służyło dyskretnej obserwacji figlujących gości wyjątkowej rangi. McLean domyślał się, że wesołe imprezki organizowano w regularnych odstępach – zresztą przypuszczał tak od razu, jak tylko zobaczył fotografie.

Opuścił pomieszczenie, niczego nie ruszając. Przez świetliki na korytarzu wlewał się blask księżycy na tyle silny, że McLean bezpiecznie pokonał drogę schodami na dół. Ruszył dalej, aż znalazł się w niewielkiej spiżarni, przylegającej do kuchni. W końcu wydostał się na zewnątrz przez okno w toalecie. Śnieg pokrył się twardą skorupką w mroźnym powietrzu. Księżyc wisiał nad szczytem wzgórza, zbliżał się dopiero do pierwszej kwadry, ale świecił całkiem mocno, nadawał nocy magiczną aurę. McLean jeszcze raz spojrzął na dom. Uznał, że zobaczył wystarczająco dużo. Nawet więcej niż chciał zobaczyć.

Dopiero po jakiejś godzinie, wjeżdżając na autostradę, uświadomił sobie, jak bardzo był spięty przez cały czas. Znowu poczuł, że rosnąca odległość pozwala mu się wyzwolić spod władzy tamtego miejsca, które zdawało się oddziaływać na niego dziwną siłą ciężenia. Przez pewien czas jechał w ciszy, raz po raz sprawdzając lusterka, czy nikt go nie śledzi, chociaż sam nie wiedział, kto niby miałyby to być. Wcale by się jednak nie zdziwił, gdyby Jack Tennant postawił gdzieś w pobliżu domu wóz patrolowy z instrukcją, że mają go zawiadomić, kiedy ten wścibski glina z Edynburga ruszy w drogę powrotną, ale McLean nie zauważył niczego podejrzanego. Na drogach wciąż leżał śnieg, ruch był niewielki, więc na pewno szybko zauważyłby ogon.

Wpatrując się w białą pustkę przed sobą, włączył radio, mając nadzieje na kojącą muzykę. Zamiast tego usłyszał wiadomości.

„...jutro odbędzie się pogrzeb Andrew Weatherly’ego, jego żony Morag i dwóch córek, Joanny i Margaret. Policja uznała ich śmierć za skutek tragicznych wydarzeń i pracuje nad raportem dla oskarżyciela publicznego...”

McLean odnalazł przycisk, którym zmienia się stacje i nastawił radio na łagodny rock, tak mdły, że niemal drażniący. Wszystko lepsze niż głos lektora przypominający mu, skąd właśnie wraca. Nie mówiąc o czekającej go pracy. I pogrzebie. Nienawidził pogrzebów, ale nie miał wyboru. Zastanawiał się, czy ktokolwiek z jego kolegów również się wybierze. Albo któraś z tych zamazanych twarzy ze zdjęć leżących w bagażniku.

Na widok domu poczuł autentyczną radość. Kotka pani McCutcheon zgotowała mu przy drzwiach gorące powitanie. Kiedy ruszył do kuchni, owijała się pieszczotliwie wokół jego nóg. Jedno spojrzenie na stół kuchenny wyjaśniło, dlaczego tym razem nie siedziała jak zwykle

pośrodku, czyszcząc sobie tyłek. Miejsce kotki zajęła mianowicie oparta o cukiernicę – pewnie żeby przypadkiem jej nie przegapił – kolejna szara koperta.

– O kurwa.

Chwyił ją, rozerwał i wyjął nowy plik fotografii. Właśnie o tym marzył. W kopercie kryło się jeszcze płaskie twarde pudełko, jak się okazało, zawierające DVD, jedną z tych tanich zwykłych płyt, które kupuje się w pudełkach po sto, umieszczone na przechodzącym przez środek trzpieniu, całkowicie anonimową, nie licząc nazwy producenta.

Pierwsze zdjęcie było o tyle godne uwagi, że McLean rozpoznał twarz spoconego dżentelmena odbywającego stosunek seksualny z innym spoconym dżentelmenem. Na więcej McLean nie miał ochoty. Wsunął zdjęcia do koperty i odłożył ją tam, gdzie leżała.

– Nie wiem, czy mnie obserwujecie czy podsłuchujecie, ale możecie się odpierdolić. Nie zamierzam odwalać za was brudnej roboty.

Oczywiście nikt mu nie odpowiedział. McLean nie sądził, by osoba, która przyniosła fotografie, zadała sobie tyle trudu, żeby podrzucić mu pluskwy. Po prostu chcieli podsycić jego ciekawość i czekali na reakcję. Może mógłby zrobić tak, żeby koperta trafiła w ręce dziennikarzy. Ale w efekcie Jo Dalglish miałaby prawdziwe używanie i pewnie jeszcze wciągnęłaby policję w cały ten burdel. Lepiej to zostawić, dodać zdjęcia do pozostałych dokumentów i żywić nadzieję, że ten, kto je wysłał, zrozumie przesłanie.

McLean poszedł do frontowych drzwi, żeby zabrać pocztę. W holu było zimno i ciemno. Wnętrze aż nazbyt przypominało dom Weatherly'ego – owszem, było mniejsze, ale rozkład pomieszczeń podobny, ciemna boazeria i podłoga w szachownicę właściwie identyczne. Z tym że tak samo wyglądało mnóstwo innych domów w Edynburgu i w całym kraju. Szkocka architektura, łagodnie mówiąc, rzadko przejawiała skłonności do awangardy. Odsunął od siebie nieprzyjemne wrażenie, pochylił się, by zebrać listy. Ulotki, przesyłki reklamowe, katalogi ubrań dla starszych pań i tania pocztówka z jakiegoś miejsca w Europie Wschodniej. Zbyt wiele spółgłosek, by dało się wypowiedzieć nazwę.

Odwrócił pocztówkę, rozpoznał pajęczę bazgroły, ale nie potrafił odczytać słów w ciemnościach. Wrócił do kuchni, nastawił wodę, wrzucił przesyłki do kosza na śmieci i dopiero wtedy przystąpił do lektury.

Minął kolejny dzień. Robimy postępy, ale jest ciężko. Za mniej więcej tydzień ruszamy do Polski, ale najpierw muszę załatwić kilka spraw. Podrap ode mnie kotkę pani McCutcheon.
E XXX

Wszystko. Jeszcze raz obrócił pocztówkę, w nadziei że Emma napisała coś jeszcze, ale zobaczył tylko fotografię zamku o wysokich wieżach na tle niemożliwie błękitnego nieba. Szczyty gór pokrywał śnieg, a na pierwszym planie widniały kwiaty. Stała tam też kobieta w jakiejś cudacznej sukience. McLean uniósł pocztówkę do nosa, szukając zapachu Emmy, ale poczuł tylko woń wilgotnego kartonu i podłogi.

Wstał, wyłączył gotującą się wodę, podszedł do tablicy korkowej i przypiął pocztówkę obok tej pierwszej. Pomyślał, że może powinien wyjąć mapę Europy i śledzić trasę, którą pokonuje Emma. Pinezki i czerwony sznurek. Ale nie, w pracy miał dosyć podobnej zabawy. Jeśli na coś marnować czas, to wolałby raczej zastanowić się, dlaczego tamci próbują go skłonić do grzebania w brudnej przeszłości Weatherly'ego, skoro nic dobrego już nie może z tego wyniknąć.

Kotka pani McCutcheon zajęła swoje zwykłe miejsce na stole, obok cukiernicy i koperty z kompromitującymi fotkami. McLean wyciągnął rękę i podrapał kotkę za uszami. Tym razem dla odmiany nie próbowała wyszarpać pazurami żył z jego nadgarstka.

– To od Emmy – powiedział.

Kotka odpowiedziała mrużeniem, które wprawilo w drżenie łyżeczkę tkwiącą w cukiernicy. McLean uśmiechnął się, zadowolony z towarzystwa, i zabrał się do przygotowywania herbaty.

– Widzę, że noga wciąż dokucza.

Wczesny poranek po niespokojnej nocy i śnie, który zakłócały koszmary pełne martwych dzieci, desperacko próbujących obudzić matkę. McLean liczył na parę spokojnych godzin, żeby zająć się dochodzeniem w sprawie mężczyzny z tatuażami, ale sygnał w telefonie wezwał go na spotkanie – jak zwykle. Przez chwilę rozważał pomysł, żeby po prostu nie iść. Był pewien, że po ostatnim spotkaniu Hilton nawet by się nie czepiał. Chociaż potwornie irytujący, facet miał jednak sporą wiedzę na temat tajemnic ludzkiego umysłu, a McLean chciał go o coś zapytać.

– Jest coraz lepiej. Ale chyba nie przepada za zimnem.

Hilton kiwnął głową.

– Nie byłem pewien, czy dzisiaj przyjdiesz.

– Nie byłem pewien, czy przyjdę.

– Co wpłynęło na zmianę decyzji?

McLean wzruszył ramionami.

– Chyba nie miałem nic lepszego do roboty.

Hilton odchylił się na oparcie fotela i przeciągnął dłonią po głowie porośniętej krótką szczecinę.

– Zamknęli sprawę Weatherly’ego.

McLeanowi udało się nie uśmiechnąć. Hilton sam poruszył wątek.

– Nie miało sensu dalej w tym grzebać. Wiemy, że to on zabił, znamy miejsce, czas i metodę. Nic więcej nie można zrobić.

Hilton uniósł brwi.

– Nie słyszę nic o motywach.

– To twoja działka, doktorze. Nie moja. Co może sprawić, że człowiek podaje dzieciom środek nasenny, a potem je dusi? Dlaczego chwyta za broń i strzela żonie w głowę? Co musi się stać, żeby na koniec wcisnął lufę pod własny podbródek i pociągnął za spust? – McLean machał szczegółami niczym kuszącą przynętą. Wiedział, że Hilton od początku miał ochotę wziąć udział w dochodzeniu. Sądząc po minie, na razie nie zdołał niczego wyciągnąć od swoich zwykłych źródeł.

– Mówisz, że się zastrzelił. Z tej samej broni, z której zabił żonę?

– Tak, zaraz po tym, jeśli ufać materiałom dowodowym.

– A dzieci? Najpierw podał im środek nasenny? To... interesujące. – Hilton wziął do ręki długopis i zaczął zapisywać informacje w notesie ułożonym dokładnie pośrodku nieskazitelnie uporządkowanego biurka. – I zabił je najpierw, a żonę potem?

– To chyba nie jest istotne? Zabił całą trójkę.

– Ależ to jest nawet bardzo istotne. Kolejność ma zasadnicze znaczenie. Metoda. – Hilton nabazgrał coś jeszcze. Każdy jego ruch wyrażał ogromne podekscytowanie.

McLean zazdrościł mu entuzjazmu podsycanego wyłącznie czystą ciekawością, nieskażonego działaniami tych z góry.

– A jak myślisz, co może pchnąć człowieka do takich czynów? – Starał się nadać głosowi swobodny ton. Niepotrzebnie. Hilton był w takim stanie, że w ogóle nie zwracał uwagi na podobne subtelności.

– Odwieczne pytanie. Desperacja, rzecz jasna. Ale i coś więcej. Megalomania szczególnego rodzaju. Niemal dziecinna. Skoro nie mogę czegoś mieć, to inni też tego nie dostaną. – Hilton zaznaczył palcami znak cytatu.

– Ale on miał, i to chyba wszystko. Piękną żonę, sukcesy zawodowe, udane dzieci. Nawet cieszył się sympatią i popularnością, przynajmniej jak na polityka. – McLean odliczał kolejne punkty na palcach, ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem.

– W takim razie wydaje mi się prawdopodobne, że ktoś chciał mu to wszystko odebrać. Może szantaż? Ktoś taki jak Weatherly na pewno miał parę trupów w szafie. Jeśli poczuł się zagrożony, jeśli istniało coś, co mogło go doprowadzić do ruiny, może nawet utraty wolności, pewnie wolał wszystko zniszczyć, niż stawić czoło konsekwencjom. – Hilton skończył notować, precyzyjnym ruchem odłożył długopis i odchylił się na oparcie. – To przejaw skrajnej psychopatii, ale wszyscy ludzie sukcesu w mniejszym lub większym stopniu są psychopatami.

McLean nic nie mówił, chciał, by Hilton myślał, że zastanawia się nad jego słowami. W rzeczywistości nie usłyszał od niego nic, czego sam już wcześniej by nie rozważał, w dodatku z poparciem znacznie większej liczby danych. Bez wątpienia Weatherly był człowiekiem, którego ktoś bez trudu mógłby zaszantażować, tyle że z tego co McLean o nim wiedział, szybciej ujawniłby on sprawę i podjął walkę, niż się poddał. Nawet gdyby cały świat miał się dowiedzieć o tych fotografiach, o orgiach w jego domu.

Nie, wyjaśnienie Hiltona zupełnie McLeana nie przekonało... A szkoda, ponieważ znaczyło, że trzeba szukać dalej.

*

Nigdy nie przepadał za pogrzebami. Rozumiał, że ludzie pragną wspomnieć zmarłych, szukają pocieszenia, lecz cała ceremonia zupełnie go nie wzruszyła. I nie bardzo wiedział, jakim sposobem Andrew Weatherly załapał się na chrześcijański pogrzeb, skoro popełnił samobójstwo. Powinni go raczej pochować na rozstaju dróg w niepoświęconej ziemi, a nie urządzać uroczystość od pogrzebów państwowych różniącą się chyba tylko tym, że nie zaproszono królowej.

Może to nowe podejście. Wybaczenie. Albo powrót starego po dwóch tysiącach lat. Tak czy inaczej, kościół był pełen, głosy wznosiły się we wspólnym śpiewie, głowy skłaniały się w modlitwie. McLean stanął w bocznej kaplicy, wdzięczny, że zanim przyszedł, zebrani zajęli wszystkie miejsca. Dzięki temu mógł spokojnie poszukać w tłumie znajomych twarzy.

Oczywiście zjawiała się Jennifer Denton. Zorganizowała całe przedsięwzięcie ze skutecznością, która niewątpliwie czyniła z niej tak doskonałą asystentkę. Weatherly nie miał

żadnej bliskiej rodziny prócz tej, którą tak brutalnie zlikwidował, ale na pogrzeb przybyła grupka dalszych kuzynów, z pewnością w nadziei na spadek. Morag MacIntosh, bo tak brzmiało jej panięskie nazwisko, miała siostrę, która mogłaby uchodzić za bliźniaczkę, i to jednojajową, gdyby nie drobny szczegół, że była dwa razy większych rozmiarów. W środkowych rzędach siedziała spora grupa bankierów i finansistów – McLean domyślił się ich profesji na podstawie nerwowych spojrzeń, które raz po raz rzucali to na zegarki, to na boki, najwyraźniej nie mogąc się doczekać końca uroczystości, by wreszcie wrócić do biura i kolejnej transakcji. McLean zastanawiał się, po co w ogóle przyszli.

Byli też politycy. Bardzo wielu polityków. Otoczonych licznymi doradcami, pasożytami i wszelkiego rodzaju osobnikami potrzebnymi do oliwienia państwowych trybików. Policję, prócz McLeana i posterunkowego MacBride'a, reprezentowała jedynie grupa ochroniarzy, mająca zapewnić bezpieczeństwo przedstawicielom elit, czczących pamięć człowieka, który zamordował trzy osoby, w tym dwoje dzieci. Ani śladu nadinspektora Tennanta z Fife, nikogo z Komisji do spraw Współpracy z Policją, w której zasiadał Weatherly.

McLean bez trudu wyłączył się z otoczenia, jednym uchem słuchał mów na cześć zmarłego i nawet nie udawał, że śpiewa pieśni kościelne. Nigdy nie przejmował się kwestiami religii, zresztą nie z ich powodu tutaj przyszedł. Pod koniec uroczystości dyskretnie przesunął się w stronę wyjścia, skąd mógł spokojnie obserwować ludzi odprowadzających trumny – dwie duże, dwie małe – w drodze na cmentarz, do rodzinnej krypty Weatherlych.

Dziennikarze czekali na zewnątrz jak muchy przyciągane zapachem gnijących zwłok. Reporterzy telewizyjni ustawili się wzdłuż chodnika po drugiej stronie ulicy, gadając do kamer jeden obok drugiego. Lokalni paparazzi wywoływali kolejne nazwiska i błyskali fleszami jak na gali czy premierze filmowej. Tyle w temacie szacunku dla zmarłych. McLean dostrzegł Jo Dalglish w ciasno zapiętym skórzanym płaszczu, z notesem w pogotowiu, usiłującą sprowokować przedstawiciela opozycji do jakiegoś smakowitego komentarza. Jej twarz jaśniała ekscytacją jak u myśliwego. McLean cieszył się, że to nie jego upatrzyła sobie na ofiarę.

Kiedy ciała złożono do grobu i wszyscy czekali, gawędząc w grupkach, aż podjadą samochody i zawiozą ich na stypę, McLean nagle dostrzegł tę kobietę. Nie potrafił powiedzieć, co zwróciło jego uwagę, po prostu coś w jej zachowaniu, pozie. Stała jakieś dwadzieścia metrów dalej, szepcząc do ucha skonsternowanemu wiceministrowi, jedną dłoń trzymając na jego ramieniu. Mężczyzna zaśmiał się, a właściwie wydał z siebie rzenie godne kopniętego muła, na tyle donośne, że zagłuszyło gwar rozmów. Kobieta jeszcze raz poklepała go po ramieniu, po czym odwróciła się i przesunęła wzrokiem dokoła, jakby kogoś szukała. Zatrzymała wzrok na McLeanie, zmarszczyła brwi, jakby próbowała sobie przypomnieć, kto to jest, kiwnęła głową i znów się odwróciła. McLean z kolei potrząsnął głową. Nie do końca wiedział, co się właściwie wydarzyło.

– Skończyliśmy, szefie?

Niewinne pytanie z ust posterunkowego MacBride'a przebiło otaczającą go zimną mgłę. McLean rozejrzał się dokoła. Większość osób już odjechała, tylko garstka rozmawiała z pastorem, który miał taką minę, jakby też chętnie zwiął.

– Chyba tak. Wybierasz się na przyjęcie?

Wyraz twarzy MacBride'a wystarczył za odpowiedź. McLean wyłuskał z kieszeni kluczyki

i rzucił zdumionemu posterunkowemu.

– Dobra, ty prowadzisz. Możesz wyrzucić mnie pod hotelem. I tak wszędzie dokoła jest jeden wielki zasrany parking.

MacBride był nerwowym kierowcą, bez ustanku majstrował przy dźwigni zmiany biegów, kierunkowskazie, kierownicy. Sadowił się całą wieczność, a kiedy wreszcie ruszyli, wychylił się do przodu, w ogóle nie dotykając oparcia plecami. McLean wiedział, że posterunkowy odbył szkolenie z jazdy dla zaawansowanych, więc jego zdenerwowanie zapewne wynikało z faktu, że prowadzi wóz należący do szefa.

– Miałeś dziś jakieś wieści od Ritchie? – zapytał McLean, gdy utknęli w sznurze samochodów.

– Co takiego? A, nie. Cisza.

– Wiesz, co jej jest? Chyba nigdy dotąd nie chorowała.

– Krąży jakaś paskudna grypa. To może być to.

– Pewnie tak.

McLean spojrział w szare niebo, ledwo widoczne między dachami wysokich budynków a górnym brzegiem przedniej szyby. Niewątpliwie o tej porze roku mnóstwo ludzi chorowało. Może długie noce i krótkie szare dni nie służyły systemowi odpornościowemu. Ale Ritchie pochodziła z Aberdeen, powinna dać sobie radę z odrobiną śniegu.

– Miejmy nadzieję, że niedługo wyzdrowieje. Bez niej trudno cokolwiek zrobić.

MacBride nie powiedział „mnie nie trzeba tego mówić”, ale McLean widział te słowa jak w komiksowej chmurce nad jego głową. Biorąc pod uwagę, że MacBride prawdopodobnie musiał przejąć obowiązki Ritchie, nie można było mieć do niego pretensji.

– Dostaliśmy jakieś informacje z wojska na temat naszego faceta z tatuażami?

Na znanym sobie terenie MacBride nieco się rozluźnił.

– Jeszcze nie, szefie. Ta sprawa jest na mojej liście. Mam nadzieję, że uda się też sprawdzić bazę DNA. Już dawno bym to zrobił, ale w laboratorium nastąpiło jakieś zamieszanie. Musieli pobrać świeżą próbkę.

– Jakie zamieszanie? To nie w stylu Angusa.

– Z tego, co słyszałem, to nie doktor Cadwallader zawinił. – MacBride przyspieszył, by wcisnąć się w szczelinę powstałą między samochodami. Wydał z siebie krótkie „ip”, kiedy alfa nabrała znacznie większej szybkości, niż się spodziewał, a kierownica szarpnęła.

– Delikatnie, posterunkowy. Ten wózek ma większą moc niż przyczepność, szczególnie na takich drogach. – McLean uśmiechnął się szeroko, stwierdziwszy, że sytuacja jest opanowana.

– Przepraszam, szefie. Nie jestem przyzwyczajony.

Byli już niedaleko hotelu, w którym wyprawiano stypę. Ruch na drodze zwolnił jeszcze bardziej, bo kilkunastu kierowców naraz usiłowało dowieźć towar jak najbliżej głównego wejścia.

– Zatrzymaj się, dojdę na piechotę. Zresztą tak pewnie będzie bezpieczniej. Za jakąś godzinę widzimy się w komisariacie. Na razie.

MacBride posłusznie zatrzymał samochód, nawet udało mu się znaleźć miejsce tuż za wielkim wałem rozmokłego śniegu. McLean wygramolił się na świeże zimne powietrze. Już miał zamknąć drzwi, kiedy coś mu się przypomniało.

– Powiedziałeś, że to nie Angus ponosi winę za pomyłkę w laboratorium. Co miałeś na myśli?

– Doktor Cadwallader zajmuje się wyłącznie zmarłymi ludźmi. Pierwsza próbka pochodziła od kozy.

Znacznie więcej osób przyszło napić się wina na koszt Andrew Weatherly'ego, niż zjawilo się w kościele, by go pożegnać. McLean przypuszczał, że pewnie tak to już jest. Zresztą główny bohater i tak nie mógł się poskarżyć. Na stypie panowała atmosfera bliska przyjęciu weselnemu, tyle że goście mieli na sobie ciemniejsze ubrania. No i nie przewidziano tańców.

– Pan inspektor. Jak miło, że pan przyszedł. – Jennifer Denton sprawiała wrażenie zmęczonej, ale jak zwykle zadała sobie sporo trudu, by elegancko wyglądać.

Zauważył, że nie ustawiają się do niej kolejki z kondolencjami. Wszyscy byli zbyt zajęci nawiązywaniem nowych kontaktów bądź węszeniem w poszukiwaniu najświeższych skandali.

– Nie byłem pewien, czy powinienem. Zwykle jesteśmy obecni na pogrzebach, by sprawdzić, kto przyszedł, w związku z toczącym się dochodzeniem. Ale cóż, w tym wypadku już pozamiatane.

– A jednak się pan zjawił. – Pani Denton chwyciła dwa kieliszki z winem od przechodzącego kelnera, podała jeden McLeanowi, z drugiego upiła spory łyk. – Szczerze mówiąc, raczej się cieszę.

– Daje pani sobie radę? – McLean próbował nie okazywać zbyt ostentacyjnie, że nie zamierza wypić wina.

– Praca to najlepsze lekarstwo. Nie zostawia czasu na myślenie.

– Kiedyś będzie pani musiała o tym pomyśleć. Gdy to wszystko się skończy, kiedy domkną kwestie związane z testamentem...

– W takim razie mam co najmniej rok albo nawet i pięć lat. – Pani Denton upiła kolejny łyk. Pojedyncza kropla wylądowała na białej bluzce. Jak krew.

– Aż tak długo? – McLean sam niedawno porządkował sprawy spadkowe po babci, która zmarła półtora roku wcześniej, wiedział więc doskonale, że koła prawnicze miały powoli i dokładnie. Pięć lat brzmiało jednak jak pewna przesada.

– Przy odrobinie szczęścia. Inaczej dziesięć. – Pani Denton wskazała na grupkę osób o bardzo nieszczęśliwych minach, które stały na drugim końcu pokoju, ostentacyjnie starając się ze sobą nie rozmawiać. Trochę odstawali od reszty towarzystwa, złożonej z polityków i biznesmenów. – Szakale już krążą. Testament zostanie odczytany jeszcze dzisiaj. Nie będą zachwyceni.

– Zna pani jego treść?

– Oczywiście. Jestem jednym z wykonawców.

– I beneficjentką? – Pytanie wymknęło mu się, zanim zdążył ugryźć się w język. Śledczy wziął górę. – Przepraszam. To nie moja sprawa.

– Na razie nie mogę niczego zdradzić. – Jennifer Denton postukała palcem w boczną część nosa. Paznokieć był pokryty lśniącym ciemnoczerwonym lakierem, na końcu startym

i odłupanym. – Proszę się nie martwić. Jutro testament zostanie podany do wiadomości publicznej. W takich sprawach Drew był bardzo staroświecki.

McLean milczał, nie wiedział za bardzo, co miałby powiedzieć. Naturalnie ostatnia wola Andrew Weatherly'ego budziła w nim duże zainteresowanie. Był to bogaty człowiek, więc los jego majątku miał niebagatelne znaczenie. Tyle że powody, dla których ten temat mógł McLeanowi wydawać się bardzo ciekawy, całkiem straciły na znaczeniu. Nie szukał podejrzanego, więc nie szukał również motywu.

– A więc z jakiego powodu pan tu przyszedł? – Pani Denton odstawiła pusty kieliszek na przechodzącą tacę, ze zdumiewającą zręcznością wymieniając go na pełen.

– Podejrzewam, że po to, by mnie spotkać.

Słowa wbiły się prosto w jego wnętrze jak ostrze sztyletu. Głos był głęboki, niemal ochrypy, a jednak bez wątpienia kobiecy. McLean odwrócił się, by sprawdzić, do kogo ów głos należy, ale właściwie już wiedział. Z bliska wyglądała oszałamiająco, lepszego słowa nie potrafił znaleźć. Nie była piękna w klasycznym rozumieniu. Nie miała urody supermodelki jak Morag Weatherly. Już z daleka zwrócił uwagę na jej włosy, proste i czarne jak peruka Elizabeth Taylor w „Kleopatrze”, tyle że bez złotych warkoczyków. Otaczały twarz o nieskazitelnej białej skórze, wysokich kościach policzkowych i oczach wskazujących na pochodzenie ze Środkowego Wschodu. Określiłby jej wiek na trzydzieści parę lat, ale coś w jej postawie sugerowało wiek znacznie poważniejszy, trzymany w ryzach środkami o wiele skuteczniejszymi niż farba do włosów i podkład na twarzy Jennifer Denton. Była ubrana na czarno, tak jak na pogrzebie. Tylko bluzkę miała czerwoną, w głębokim odcieniu bordo, jakby wylała na siebie całą butelkę wina tej samej barwy co pojedyncza kropla na ubraniu pani Denton. Całości dopełniały ciemnowiśniowe usta. McLean zorientował się nagle, że patrzy na nie stanowczo zbyt długo. Z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– Jennifer, przedstawisz nas? – Jej głos brzmiał cicho i łagodnie, a zarazem tak, jakby potrafiła obedrzeć nim ze skóry. Burza piaskowa.

– Przepraszam. Inspektor McLean. Pani Saifre. – W głosie pani Denton pobrzmiwał lęk. Malował się też na jej twarzy. Wyraźnie pobladła pod spojrzeniem pani Saifre, cała jakby skurczyła się w sobie.

– Ach, tak. Oczywiście. Wiele o panu słyszałam. – Pani Saifre podała mu rękę.

McLean przez chwilę nie był pewien, co powinien z nią zrobić. Głos kobiety wypełniał mu czaszkę, przeszkadzał jasno myśleć. Zapewne nieco zbyt powoli, by nie wyjść na nieuprzejmego, ujął jej dłoń i delikatnie potrząsnął. W czarnych oczach mignął cień rozczarowania. Po chwili jednak kobieta uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń z miażdżącą siłą.

– Znała pani pana Weatherly'ego? – zapytał.

– Czy go znałam? To ja go stworzyłam. Prawda, Jennifer?

Pani Saifre wreszcie uwolniła jego dłoń. McLean opuścił rękę wzdłuż ciała i schował z tyłu, zginając palce, by sprawdzić, czy olśniewająca piękność nie połamała mu kości.

– Pani Saifre jako jedna z pierwszych zainwestowała w Drew. Jest głównym udziałowcem w firmie Weatherly Asset Management. – Pani Denton wypowiedziała te słowa z przymusem, jakby wolała, by nie były one prawdą.

– A więc śmierć pana Weatherly'ego to musiał być dla pani prawdziwy szok – rzekł

McLean. – Szczególnie biorąc pod uwagę jej charakter.

– Szok. – Pani Saifre obróciła słowo w ustach, jakby nigdy nie próbowała czegoś o podobnym smaku. – Tak. Zgadza się. Andrew zawsze robił na mnie wrażenie bardzo trzeźwo myślącego człowieka. Nieulegającego emocjom. Potrafił podejmować ryzyko, z tym że zawsze na swoją korzyść. Lub moją, rzecz jasna.

– Muszę porozmawiać z premierem. – Jennifer Denton dopiła drugie wino. – Dziękuję, że pan przyszedł, pani inspektorze.

– Tak, tak, biegnij, Jennifer. Grzeczna dziewczynka. – Pani Saifre pożegnała asystentkę niedbałym machnięciem ręki.

McLeanowi przypomniawszy się przyjaciółka babci, która zbyła go w podobny sposób, kiedy go jej przedstawiono podczas jednej z nielicznych wizyt. Nawet jako dziesięciolatek mocno odczuł protekcjonalność tego gestu. Tymczasem Jennifer Denton tylko lekko kiwnęła głową, zerknęła na niego z przerażeniem, obróciła się na pięcie i uciekła.

– Pospolita myszka, nie sądzi pan? – Pani Saifre wypowiedziała te słowa w taki sposób, że nie dało się z nią nie zgodzić. – Nie mam pojęcia, co Andrew w niej widział.

– Dobrze go pani znała?

– Znałam go długo, jeśli to cokolwiek znaczy. Zmarły mąż zostawił mi sporo pieniędzy. Andrew zajmował odpowiednią pozycję, by je dodatkowo pomnożyć. Pracowaliśmy razem.

– A co po pracy? Znała pani pana Weatherly prywatnie?

– Ach, czy jestem przesłuchiwana? – Pani Saifre wydała z siebie cichy śmieszek, niczym krakanie wron w oddali. – A ja myślałam, że dochodzenie zamknięto.

– Przepraszam. Skrzywienie zawodowe. I rzeczywiście, sprawa została zamknięta. Wciąż jednak się zastanawiam, dlaczego człowiek, który miał tak udane życie, skończył w ten sposób. Chyba próbuję zrozumieć jego naturę, dowiedzieć się, z jakiego powodu wpadł w obłęd.

Pani Saifre otworzyła lakierowaną torebkę i wyjęła wizytówkę. Dopiero wtedy McLean zauważył, że zdjęła rękawiczki. Podała mu wizytówkę, mówiąc:

– Proszę. Wyjeżdżam w podróż służbową, nie będzie mnie do końca przyszłego tygodnia. Proszę zadzwonić po moim powrocie. Może mnie pan zaprosić na lunch, a ja opowiem panu wszystko, co wiem na temat Andrew Weatherly'ego. Nieważne, czy w związku ze śledztwem, czy nie. – Ponownie wyciągnęła dłoń. Tym razem, kiedy McLean ją przyjął, ledwo ścisnęła jego palce, lekko i figlarnie. Odprawiła go w zdecydowanie bardziej wyrafinowany sposób niż w przypadku pani Denton.

– Jeszcze tylko jedna sprawa, pani Saifre, jeśli można. – Znów ten błysk irytacji w oczach. McLean postanowił zadać pytania jak najszybciej, zanim puszczą mu nerwy. Ta kobieta miała w sobie coś wręcz odpychającego. – Moi podwładni przesłuchali wszystkie osoby związane interesami z panem Weatherlym, ale nie przypominam sobie, by pojawiło się wśród nich pani nazwisko.

Pani Saifre znów się zaśmiała, w oddali coś umarło. Ruchem głowy wskazała wizytówkę, którą nadal ścisłał w palcach.

– Rozmawiałam z sierżant Ritchie. Miła dziewczyna. Proszę ją o mnie zapytać. – Odwróciła się i poszła.

McLean patrzył, jak kroczy w tłumie, który zdawał się przed nią rozstępować. W końcu

spojrzał na wizytówkę. Saifre było nazwiskiem po mężu, a mówiła przecież, że on nie żyje. Teraz najwyraźniej wróciła do nazwiska panieńskiego. Widniało na wizytówce wypisane krwistoczerwonym atramentem. Jane Louise Dee. I numer komórki. Nic więcej.

– Dziennikarze wypełniający rzędy siedzeń to nigdy nie był pożądanym widokiem. Jeśli policja potrzebowała ich pomocy, na przykład w znalezieniu zaginionej osoby, czy przy identyfikacji kogoś z nagrania z monitoringu, odzew zwykle był bardzo nędzny. Chyba że akurat tego dnia nie mieli specjalnie o czym mówić albo jakaś gwiazda dziennikarstwa zrobiła coś bardzo głupiego i musiała odpokutować. Jeśli akurat nie pojawiła się żadna ciekawa historia, stawali się niewidzialni i w tej formie McLean lubił ich najbardziej. Ale teraz to była zupełnie inna sprawa.

Dziennikarze wypełniający rzędy siedzeń to nigdy nie był pożądanym widokiem. Jeśli policja potrzebowała ich pomocy, na przykład w znalezieniu zaginionej osoby, czy przy identyfikacji kogoś z nagrania z monitoringu, odzew zwykle był bardzo nędzny. Chyba że akurat tego dnia nie mieli specjalnie o czym mówić albo jakaś gwiazda dziennikarstwa zrobiła coś bardzo głupiego i musiała odpokutować. Jeśli akurat nie pojawiła się żadna ciekawa historia, stawali się niewidzialni i w tej formie McLean lubił ich najbardziej. Ale teraz to była zupełnie inna sprawa.

Musieli przenieść konferencję do kwatery głównej, gdzie mieli do dyspozycji większą salę. Wszelkie nadzieje, że zmiana lokalizacji będzie oznaczać jakiś wkład ze strony wierchuszki, okazały się płonne. McLean rozejrzał się dokoła i stwierdził, że najstarszym stopniem wśród zebranych jest nadinspektor Jack Tennant, a niejaki podrzędny inspektor McLean stoi następny w kolejce.

– Panie i panowie. Dziękuję wszystkim za przybycie. – Sierżant Dan Hwei, oficer do spraw kontaktów z prasą, rozpoczął zwyczajową formułką z prośbą, by nie przerywać, czekać, aż wywołają twoje nazwisko, zanim zadasz pytanie, wyjaśnił, gdzie znajdują się wyjścia ewakuacyjne i co robić w razie zagrożenia.

McLean rozumiał, że cały ten wstęp jest ważny, ale uważał go za zwykłą stratę czasu. Mógłby się założyć, że ktoś mu przerwie, nim minie pięć minut, a jeśli wybuchnie pożar, nastąpi prawdziwa rzeź. W końcu mieli do czynienia z reporterami.

– Jak państwo wiedzą, kilka dni temu wydaliśmy ciała Andrew Weatherly’ego, jego żony Morag i dwóch córek, Joanny i Margaret. Pogrzeb odbył się wczoraj. Zdaje się, że widziałem tam kilka znajomych twarzy. – McLean powiódł wzrokiem wzdłuż rzędów, zatrzymując spojrzenie na tych najbardziej podejrzanych. – Ci bystrzejsi z was wiedzą, co to oznacza. Dochodzenie w sprawie tragedii w domu Weatherlych w Fife dobiegło końca, raport przesłano oskarżycielowi publicznemu.

– Inspektorze, czy może pan potwierdzić, że Weatherly zastrzelił żonę i córki?

Nawet nie pięć minut. Ledwo jedna. McLean westchnął, potarł oczy.

– Jeśli da mi pan dokończyć, panie Truman, przedstawię wyniki sekcji zwłok wszystkich czterech ciał. We krwi dziewczynek znaleziono ślady barbituranów, ale przyczyną śmierci było uduszenie. Przypuszczamy, że pan Weatherly dodał środki nasenne do mleka, a kiedy dziewczynki były zbyt słabe, by stawić opór, udusił je za pomocą poduszki.

– Czy to prawda, że znaleziono je leżące w jednym łóżku?

McLean nie rozpoznał głosu. Nikt nie podniósł ręki. Prawie na pewno brukowiec.

– To nieistotne – wtrącił Jack Tennant z wyraźną irytacją. – One miały siedem lat, na Boga. Trochę szacunku dla zmarłych. – Osunął się na krzesło. Wyglądał na mniej więcej tak

zmęczonego, jak McLean się czuł. I równie wkurwionego.

– Dziękuję. – McLean zbliżył usta do mikrofonu, jego głos rozległ się echem. – A w odpowiedzi na pytanie, chciałbym dodać, że nie mamy zwyczaju podawać do publicznej wiadomości, jak wyglądało miejsce zbrodni, chyba że jest to istotne ze względu na dochodzenie. Czytałem co bardziej absurdałne spekulacje i muszę przyznać, że wyobraźni państwu nie brakuje.

W tylnych rzędach rozległy się stłumione komentarze, ale nikt więcej nie próbował przerywać, więc McLean podjął zgodnie z przygotowanym scenariuszem:

– Morag Weatherly zginęła na skutek rany postrzałowej głowy. Badania wykazały, że była to kula kalibru .243, oddana ze strzelby myśliwskiej należącej do pana Weatherly’ego. Posiadał pozwolenie na broń, miał w domu kilka śrutówek oraz strzelbę kalibru .22 przeznaczoną do zabijania szkodników. Broń znajdowała się w zamkniętej gablocie na terenie domu. Klucze zaś w kieszeni pana Weatherly’ego. On sam zginął od rany postrzałowej głowy. Jak przypuszczamy, posłużył się tą samą bronią, z której zabił żonę, ale kuli nie znaleziono. Dowody wskazują na to, że pan Weatherly najpierw udusił dzieci, następnie zabił żonę i na końcu popełnił samobójstwo. Nie ma śladów wskazujących na udział osób trzecich.

– Inspektorze, czy może pan podać jakieś wskazówki, które wyjaśniłyby, dlaczego Andrew Weatherly dopuścił się takich czynów?

McLean spojrział w stronę tylnych rzędów, skąd dobiegł głos pytającego. O ile dobrze kojarzył, dziennikarza z jednej z mniej sensacyjnych gazet.

– Interesy pana Weatherly’ego kwitły, kariera polityczna zmierzała w dobrym kierunku. Rozmawialiśmy z jego znajomymi i partnerami biznesowymi. Nic nie wskazuje na to, że pan Weatherly znajdował się pod presją. – McLean przełknął ślinę, próbując nie myśleć o fotografiach i oczywistych wnioskach, jakie wyciągnęliby z nich dziennikarze, gdyby je zobaczyli. A raczej: jakie wyciągną, kiedy je zobaczą. – Jedna sprawa to targnąć się na własne życie. Zupełnie inna, zgotować ten sam los najbliższym. Mogę tylko powiedzieć, że pan Weatherly był człowiekiem o mocno zaburzonej psychice, ale nie mogę i nie będę spekulować na temat przyczyn takiego stanu. To już wasza działka.

Wśród zebranych rozległ się stłumiony śmiech. Dobrze. Zawsze to lepiej, kiedy dziennikarze są w dobrym nastroju.

– Myśli pan, że ktoś go szantażował?

– Nawet jeśli tak, nie wskazują na to żadne ślady. Oczywiście mógł po prostu czuć się zaszczuty przez prasę.

Te słowa również nagrodzono śmiechem, ale McLean wiedział, że mimo przyjemnej atmosfery nie może sobie pozwolić na utratę czujności. W końcu to zwykle właśnie w takich chwilach wypływa na wierzch jakieś gówno.

– Inspektorze, czy wiedział pan o plotkach dotyczących życia seksualnego pana Weatherly’ego?

Aha. To pytanie. Oczywiście zadała je Jo Dalglish. Jak zwykle niechlujna i odpychająca, w swoim odwiecznym skórzanym płaszczu. Komu innemu wydział specjalny sprzedałby tego rodzaju informacje? Chyba że blefowała.

– Jakie konkretnie plotki ma pani na myśli? Nie zapominajmy, że pan Weatherly był politykiem.

Kolejny rozbawiony szmer przebiegł przez tłum. Dalglish skrzywiła się z irytacją. McLean wiedział, że przyjdzie mu za ten żarcik zapłacić.

– Orgie, inspektorze. Rozwiążyły tryb życia. Czy w ciągu dochodzenia w ogóle przyszło wam do głowy, by dowiedzieć się czegoś o życiu prywatnym tego człowieka?

– Rozumiem, dokąd pani zmierza, pani Dalglish, ale jak inspektor McLean już wspominał, dochodzenie nie wykazało, by próbowano szantażować pana Weatherly’ego. Cokolwiek robił czy czego nie robił w przeszłości, pozostaje faktem, że tylko raz dopuścił się zbrodniczego aktu. – Sądząc po zaangażowaniu, z jakim Jack Tennant pospieszył McLeanowi na odsiecz, Jo Dalglish pewnie i jemu założyła już kiedyś za skórę.

– Oczywiście, gdyby ktoś próbował szantażować pana Weatherly’ego, mielibyśmy do czynienia z przestępstwem. Jeśli dysponuje pani dowodami, które pozwalałyby podejrzewać, że coś takiego miało miejsce, jestem przekonany, że dostarczy je pani policji, tak byśmy mogli je zbadać i ewentualnie pociągnąć sprawcę do odpowiedzialności. Jednakże jedynym sprawdzonym faktem pozostaje, że pan Weatherly z nieznanых przyczyn zamordował rodzinę i popełnił samobójstwo. – McLean nie spuszczał wzroku z Jo Dalglish, wypatrywał najdrobniejszych oznak świadczących o tym, że wie coś, o czym nie powiedziała. – Taki był zakres dochodzenia, takie są rezultaty. Jeśli pojawią się nowe dowody w tej sprawie, oczywiście zbadamy je i w razie potrzeby ponownie otworzymy dochodzenie.

– Cóż, miewałem gorsze dni. – Jack Tennant odchylił się na krześle, dłonie założył za głowę. – Nie pamiętam, kiedy dokładnie, ale na pewno miewałem. Kiedyś, dawno temu.

– W Fife musi być rzeczywiście bardzo spokojnie, skoro twoim zdaniem to był kiepski dzień. – McLean zebrał papiery i włożył je do cienkiej szarej teczki, zapewne przeznaczonej wyłącznie na dokumenty określonego rodzaju, trafiające do archiwów, a nie do powszechnego użytku. Gdzieś w budynku krążył posterunkowy MacBride, prawdopodobnie jedyny funkcjonariusz policji w promieniu jakichś dziesięciu kilometrów, któremu w ogóle zależało.

– Fife ma swoje problemy, Tony. Ale masz rację, raczej prostsze. Nie pamiętam, kiedy wydarzyło się morderstwo, które nie byłoby wynikiem zwykłej domowej kłótni. Głównie narkotyki i mandaty za przekroczenie prędkości. Czasem w weekendy trochę banalnych aktów przemocy.

– Brzmi jak idylla. Gdzie mam wysłać podanie o przeniesienie?

Tennant zaśmiał się, wychylił do przodu, aż przednie nogi krzesła znów stanęły na podłodze i przycisnął rękę do ust. Śmiech zmienił się w kaszel pochodzący z głębi płuc. Ustał dopiero po bardzo długiej chwili.

– Po tygodniu byś zwariował. Poza tym, co byś zrobił bez Jo Dalglish? Kto tak skutecznie umiałby ci zaleźć za skórę? Ta kobieta autentycznie cię nie znosi.

– Szczerze odwzajemniam jej uczucia. – McLean podniósł się, by ruszyć do wyjścia.

Kilkoro dziennikarzy nadal kręciło się po sali, paplając coś do kamer lub maniacko waląc w notebooki. Ostatnie, o czym marzył, to spontaniczny wywiad.

– Wracasz na pole walki? – Tennant kilka razy uderzył się w pierś, znów zakaszłał i się skrzywił.

– Dobrze się czujesz, Jack? Paskudny ten kaszel.

– Dla osób w moim wieku zima to ciężki czas. A tegoroczna jest wyjątkowo nieprzyjemna.

– W takim razie, nim wyruszysz z powrotem na północ, daj się zaprosić na kubek wyśmienitej edynburskiej herbaty.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony, ale miałem okazję próbować tych popłuczyn, które nazywasz herbatą. Chyba wolę wrócić do domu i zaaplikować sobie coś bardziej konkretnego.

Tennant podniósł się z krzesła z nieco zbyt dużym wysiłkiem jak na wyczyn tego rodzaju. McLean przypomniał sobie ich poprzednie spotkanie, zaledwie kilka dni wcześniej, w domu Weatherly’ego. Czy już wtedy nadinspektor chorował? McLean nie potrafił sobie przypomnieć. Może to ta sama zaraza, która zwała z nóg Ritchie? Jeśli tak, to miał nadzieję, że okaże się na nią odporny. Ostatnie, czego potrzebował, to uporczywy kaszel i pękająca z bólu czaszka. Stanowczo wystarczyło mu bolące biodro.

– Cóż, i tak muszę wracać do pracy. Czeka na mnie stos papierów szczelnie wypełniający wnętrze gabinetu. Do tego wciąż próbujemy zidentyfikować wytatuowane zwłoki. Taki los.

Tennant posłał mu słaby uśmiech i zebrał swoje papiery. W przeciwieństwie do McLeana był na tyle zorganizowanym człowiekiem, że nosił przy sobie aktówkę.

– To pytanie, które padło na konferencji. Które zadała Dalgliesh – powiedział bardziej do otwartej teczki niż do McLeana. – Wiesz, że sprawę zamknięto.

– Jasne. Osobiście wręczyłem raport oskarżycielowi publicznemu.

– Ale, co mi nie umknęło, jednak bierzesz pod uwagę możliwość ponownego otwarcia dochodzenia.

– Gdyby pojawiły się nowe dowody, musielibyśmy to zrobić. Albo otworzyć nowe, gdyby się okazało, że ktoś szantażował Weatherly’ego.

Tennant zamknął aktówkę, zatrasnął i wreszcie spojrzał na McLeana.

– Tak, oczywiście. Gdyby ktoś podetknął nam je pod nos. Ale sami szukać ich nie zamierzamy, prawda?

McLean przez chwilę przyglądał się twarzy nadinspektora. Uważał Jacka Tennanta za swojego przyjaciela. Kogoś, do kogo można się zwrócić w sytuacji kryzysowej, poprosić o szczerą opinię. A w tej sprawie Tennant stał grzecznie w szeregu. Cóż, niedługo miał przejść na emeryturę. Może nie chciał mieszać.

– Nie. Już nie.

– A tamta wycieczka do domu w Fife. Chciałeś w ten sposób zamknąć rozdział?

– Mniej więcej.

McLean pomyślał o zdjęciach leżących w zamkniętej na klucz górnej szufladzie biurka. Drugi komplet i DVD nadal trzymał w domu, w sejfie babci. Ktoś chciał, żeby szukał dalej, ktoś inny, żeby przestał. Pozycja między młotem a kowadłem nigdy nie jest zbyt wygodna. Czego nie zrobi, na pewno kogoś wkurwi. I dostanie za to po uszach.

– Świetnie. – Tennant poklepał ramię McLeana. Jego ręka wyglądała starszej niż powinna, pod cienką jak papier skórą wyraźnie rysowały się ścięgna i kości. – Wiedziałem, że pójdziesz po rozum do głowy.

Przed konferencją prasową wyciszył telefon i w rezultacie stracił pół godziny, krążąc po siedzibie głównej i bezskutecznie szukając posterunkowego MacBride'a, który miał go zawieźć z powrotem do komisariatu. Dopiero w dziale IT powiedzieli mu, że posterunkowy odjechał jakiś czas temu. McLean sprawdził telefon i znalazł esemes oraz wiadomość głosową. MacBride zawiadomił, że musiał wcześniej wracać. Przeklinając własne zapominalstwo, McLean pobiegł szukać radiowozu patrolowego, wybierającego się w stronę centrum. Zamierzał sterroryzować kolegów, żeby go ze sobą zabrali.

Taki rodzaj transportu zawsze wiązał się z ryzykiem. W każdej chwili mogło nadejść pilne wezwanie. Przytomny kierowca potrafił przynajmniej zatrzymać wóz i wypuścić pasażera, McLean zebrał jednak również sporo miłych wspomnień z policyjnych interwencji, którym świadcował przymusowo, dokładnie na drugim końcu miasta w stosunku do celu swojej podróży.

Ten przynajmniej wysadził go na New Town – po czym popędził dalej Queen Street przy wtórze błyskających świateł i wycia sygnału, kierując się w stronę miejsca, gdzie zderzyły się autokar turystyczny i jeden z nowych tramwajów, paraliżując przy okazji centrum miasta.

McLean wsunął ręce w kieszenie, wkulił głowę w ramiona i ruszył przed siebie. Po chwili zorientował się, że idzie w złym kierunku. Całkiem nieświadomie zboczył bowiem z drogi i nagle znalazł się na ulicy, przy której stał dom Andrew Weatherly'ego, pusty i czekający na swe ostateczne przeznaczenie.

Nie miał żadnego powodu, by tam pójść, nie licząc faktu, że po prostu znalazł się w tym miejscu. A jednak przebiegł truchtem przez ulicę, o mało nie wpadł pod koła czarnej taksówki, ale bezpiecznie dotarł na miejsce, zostawiając za sobą chmurę oddechu w mroźnym powietrzu.

Dom nie zmienił się od jego poprzedniej wizyty, z tym że teraz u szczytu schodów prowadzących do głównego wejścia nie stał mundurowy. Okna świeciły ostrym białym blaskiem popołudniowego nieba, zresztą z poziomu chodnika i tak nie dało się zajrzeć do środka. Z tego, co pamiętał, na tyłach szeregowców znajdował się ogród do dyspozycji mieszkańców, do którego nie było wstępu dla osób z ulicy. Ale McLean nie zamierzał wchodzić do środka. Sam nie bardzo wiedział, po co tu przyszedł, nie licząc faktu, że kierowca akurat wyrzucił go niedaleko.

– Myślałam, że sprawa Weatherly'ego jest zamknięta. Złapaliście winnego niemal na gorącym uczynku.

Była to uwaga raczej niewysokich lotów i przywołała nieprzyjemny obraz martwego ciała, rozciągniętego pośrodku trawnika i opartego o rzeźbę ogrodową, ochlapaną zawartością rozłupanej czaszki.

– Czy pani mnie śledzi? – McLean odtworzył w pamięci kilka ostatnich minut i uświadomił

sobie, że czarna taksówka, którą minął na ulicy, zatrzymała się przy krawężniku kilka metrów dalej.

– To zależy, czy akurat chodzi pan tymi samymi ścieżkami, co ja. – Dziennikarka wysupłała paczkę papierosów z kieszeni płaszcza, postukała w spodnią część paczki, wyjęła jeden i wsadziła do ust. Przez chwilę szukała po kieszeniach zapalniczki. Ruchem głowy wskazała stopnie i drzwi frontowe.

– Wchodzi pan?

– Nie mam klucza.

– To po co pan tu przyszedł?

McLean przypomniał sobie rozmowę z Jackiem Tennantem po konferencji prasowej.

– Pożegnać się z duchami.

– A jeśli one nie chcą?

– Nie mój problem. Chyba że jest pani w stanie pokazać mi jakieś nowe dowody w sprawie.

Dalgliesh zaśmiała się chrapliwie, jak wcielenie czarownicy z bajki dla dzieci.

– Nic nie mam, to najprawdziwsza prawda. Powiem coś panu, całkiem gratis. To nie koniec. Do końca jest jeszcze bardzo daleko.

– Tak pani podpowiada dziennikarski instynkt?

– Gówno tam instynkt. Ta sprawa śmierdzi z daleka. Weatherly na pewno nie był czysty jak śnieg, nawet ten. – Dalgliesh kopnęła w szarą solną breję, której władze miasta widać nie zamierzały usunąć z chodników. – Zamykać dochodzenie, kiedy ledwo co się zaczęło? No błagam. Wy coś ukrywacie, bez dwóch zdań.

– Niech pani da spokój. Szuka pani teorii spiskowych, żeby upichcić z tego sensacyjną historyjkę. Zamknęliśmy dochodzenie, ponieważ je zakończyliśmy. Dowody były ewidentne. To Weatherly zabił żonę i dzieci. Nie było udziału osób trzecich. I nie zrobił tego pod przymusem.

– Jest pan pewien? – Dalgliesh znów zaciągnęła się papierosem, odrzuciła głowę do tyłu i wypuściła dym w powietrze.

McLean pobiegł wzrokiem za smużką i zauważył dwie kamery przemysłowe na pobliskiej latarni. Jedną skierowano w przeciwną stronę, a jedną prosto na drzwi wejściowe do domu Weatherly'ego. Cóż, był szczyła. Może kamerę ustawiono w ten sposób celowo.

– Proszę posłuchać. Przesłuchaliśmy wszystkich współpracowników, partnerów biznesowych i politycznych. Nikt nie zauważył, by Weatherly znajdował się pod presją. Nie możemy poświęcać jednej sprawie tyle czasu nawet w przypadku kogoś takiego jak Weatherly, z zapleczem w postaci wpływowych kolegów. Jezu, gdybyśmy przeznaczyli na to wszystkie środki, pisałaby pani artykuły na temat martwych ćpunów z Leith, tylko że nikt nie chciałby tego czytać.

– Wszystko to jedna wielka ściema, dobrze pan o tym wie. Inaczej by tu pana nie było. – Dalgliesh ponownie wskazała budynek ruchem głowy.

McLean zastanawiał się, czy ma jej opowiedzieć, z jakiego powodu się tu znalazł, uznał jednak, że byłaby to zwykła strata czasu.

– Szuka pani czegoś konkretnego?

– U pana? Nie, skądże. Po prostu chciałam się rozejrzeć, poczuć atmosferę tego miejsca.

Przygotowuję artykuł o Weatherlym do weekendowego dodatku. Dobrze jest mieć scenerię wydarzeń przed oczami, kiedy się pisze. Nie spodziewałam się, że pana tu spotkam.

– W takim razie nie przeszkadzam. – McLean wcisnął ręce w kieszenie i ruszył przed siebie.

– Dlaczego to panu dali? – Pytanie kazało mu się zatrzymać.

– Że co?

– Dlaczego dali tę sprawę panu? Można by pomyśleć, że w przypadku takiego człowieka jak Weatherly dochodzeniem powinien kierować ktoś starszy stopniem. Na pogrzebie nie widziałam nikogo wyżej od pana. Prowadził pan też wszystkie konferencje prasowe.

– Dochodzeniem kierował nadinspektor Tennant.

– Owszem, w Fife. I nawet nie przyszedł na pogrzeb.

– Chodzenie na pogrzeby ofiar wszystkich morderstw nie należy do naszych obowiązków służbowych.

– Rozumiem. Ale pan chodzi.

– Jeśli uważamy, że do czegoś może się to przydać. Jeśli chcemy sprawdzić, kto się pojawi.

– W takim razie, po co pan poszedł na pogrzeb Weatherlych? Skoro wszystko było takie cacy i mucha nie siada? – Dziwacznym określeniom towarzyszył falisty ruch ręki, który strącił na chodnik popiół z dopalającego się papierosa.

– Zawodowa ciekawość?

– No tak, coś na ten temat słyszałam. McLean nigdy nie odpuszcza.

– Do czego zmierzamy? Muszę wracać do komisariatu. Skończyliśmy z Weatherlym, ale to nie znaczy, że nie mamy innych zmartwień.

Dalgliesh wzruszyła ramionami.

– Po prostu głośno myślę. Bez obrazy, ale nie jest pan pierwszą osobą, która przychodzi do głowy jako kandydat na oficera prowadzącego tego rodzaju dochodzenie. Jack Tennant też niekoniecznie. Stary zmęczony nadinspektor z Fife tuż przed emeryturą? Raczej trudno powiedzieć, by policja przeznaczyła do tej sprawy najlepszych ludzi. – Dalgliesh ostatni raz zaciągnęła się papierosem, zasysając dym z łapczywością zaborczego kochanka, by wreszcie po długiej chwili wypuścić smuzkę w zimne powietrze. – Nikt wyżej postawiony nie chciał zajmować się tym śledztwem, bo śmierdzi jak gówno. Proszę zapamiętać moje słowa, inspektorze. Skazali pana z premedytacją.

Kiedy McLean dotarł na miejsce, nad miastem zapadała ciemność.

Początkowo rozważał, czy nie złapać z George Street taksówki, ale potem przypomniał sobie, z jakiego powodu musiał wysiąść z radiowozu, i zdecydował, że najlepiej będzie pójść pieszo. Sądząc po wściekłym trąbieniu klaksonów i długich nieruchomych sznurach samochodów, podjął właściwą decyzję.

Poza tym po drodze mógł przemyśleć sobie różne sprawy. Jo Dalgliesh niezaprzeczalnie była upierdliwą małą gnidą, ale również – bystrą reporterką o rozległych kontaktach i talencie do składania elementów w prawidłowy obrazek, nawet jeśli leżały daleko od siebie i pozornie wcale nie pasowały. Sytuacji wcale nie poprawiał fakt, że zdawała sobie sprawę z politycznych machinacji, otaczających sprawę Weatherly'ego i nią sterujących. Duguid bez wątpienia mógł przekonać przełożonych, że McLean jest na straty i dlatego doskonale nadaje się do prowadzenia tego dochodzenia – w razie czego poniesie wszelkie konsekwencje. McLean aż nazbyt wyraźnie był tego świadom. W przypadku policji w Fife zaś tak szczęśliwie się złożyło, że jeden ze starszych rangą oficerów wkrótce odchodził na emeryturę. Piękne podziękowanie za lata wiernej służby i nieskazitelną opinię.

Oczywiście Duguid blefował podwójnie. Ta świadomość niemal wystarczyła, by McLean trzymał się zasad niczym waleczny kierownik sklepu, musiał jednak przyznać, aczkolwiek niechętnie, że nadinspektor świetnie go wyczuł. Nie zamierzał zostawić tego śledztwa, póki nie będzie miał pewności, że niczego nie przeoczyli. Mało tego, musiał dowiedzieć się jak najwięcej, by zapewnić sobie odpowiednią ochronę, kiedy wszystko weźmie w łeb. Nie cierpiał Jo Dalgliesh, ale musiał się z nią zgodzić. Ta sprawa nie była zakończona; jej koniec nie będzie należał do najpiękniejszych.

McLean zamierzał pójść prosto do swojego gabinetu, by brodzić w strumieniu papierzysk, który bezustannie zalewał to niewielkie pomieszczenie. Jednak przypomniał sobie wiadomość od MacBride'a i uznał, że znacznie zabawniej będzie sprawdzić, co go zmusiło do pospiesznego powrotu do komisariatu. Minął kilkoro kolejnych drzwi, dotarł na główny korytarz, precyzyjnie się obok stosów archiwalnych akt, wyniesionych z pokoju, w którym prowadzili sprawę Weatherly'ego, by zrobić miejsce na inne, widać bardzo pilne dochodzenie, a potem wśliznął się do znacznie mniejszego pokoju, przeznaczonego dla śledczych zajmujących się przypadkiem anonimowego mężczyzny z tatuażami.

MacBride'a nigdzie nie było widać, a przy jego biurku siedział ktoś inny.

– Sierżant Ritchie. Jaka miła niespodzianka.

Ritchie podniosła wzrok znad raportu. Przez moment McLean myślał, że się pomylił. Spuchnięte i zaczerwienione oczy przypominały dwie ciemne plamy, krótkie rude włosy zwisały dokoła twarzy jak mokra ścierka. Skóra była blada, jedynie złote piegi na policzkach

dodawały jej odrobiny koloru. Ritchie chorowała zaledwie przez kilka dni, a schudła chyba o połowę.

– Dzień dobry. Myślałam, że jesteś w kwaterze głównej. – Ritchie z trudem się podniosła.

– Siadaj, siadaj. – McLean zamachał rękami jak kwoka. Ritchie klapnęła na krzesło z głośnym westchnieniem. – Chciałem zapytać, jak się czujesz, ale wyglądasz...

– Jak gówno? – Uśmiech trochę przypominał dawną Ritchie, ale był bardzo zmęczony.

– Nie chciałem tego mówić, ale skoro sama wspomniałaś. Tak. Jesteś pewna, że możesz wrócić do pracy? I co się właściwie stało, do diabła?

Ritchie przesunęła po twarzy dłońmi, przycisnęła przeguby do oczu, mocno potarła. Nie poprawiło to jej wyglądu.

– Nie mam pojęcia, szefie. Chyba złapałam jakieś świństwo w domu Weatherly’ego. Dzień później jeden z funkcjonariuszy w Fife zachorował na paskudną grypę. Ja też dopiero następnego dnia źle się poczułam. Przesłuchiwalismy znajomych i współpracowników.

– Zgadza się. Między innymi panią Saifre.

Ritchie ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Spotkałem ją wczoraj na stypie. Wspominała, że z nią rozmawiałaś.

– A, tak. Była ostatnia. Dziwna kobieta. – Ritchie zmarszczyła brwi, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale zapomniała, co to miało być. Potrząsnęła głową. – Szczerze mówiąc, do końca przesłuchań czułam się całkiem zdrowa. Może trochę zmęczona, ale wiesz, jak to jest przez cały dzień zadawać kolejnym osobom w kółko te same pytania.

Owszem, McLean wiedział aż za dobrze.

– Następnego dnia ledwo łąziłam. Jeszcze nigdy tak nie chorowałam. Czułam się tak, jakby mój mózg się skurczył i latał w środku czaszki. Brałam jakieś środki przeciw grypie, ale niczego nie mogłam utrzymać dłużej niż minutę. Nie chcesz znać więcej szczegółów, zapewniam.

– Wierzę na słowo. W każdym razie cieszę się, że wróciłaś. Mimo że nadal wyglądasz tak, jakbyś mogła jeszcze trochę poleżeć w łóżku.

Ritchie lekko zeszywniała, piegi na policzkach pociemniały.

– Dam radę, szefie. Przysięgam. Tylko nie karz mi ścigać przestępców, jeszcze przez jakiś dzień-dwa. – Wzięła do ręki raport, ale zaraz rzuciła go z powrotem na biurko. – Papierkowa robota będzie akurat.

– Cóż, jeśli zabraknie ci zajęć, to mogę dostarczyć kolejną porcję. Widziałaś ostatnio MacBride’a?

– Był tu jakieś może pół godziny temu – odparła, spoglądając na zegarek. – Chyba poszedł na herbatę do kantyny. Bob Gburek coś tam mruczał.

– Herbata to w sumie dobry pomysł. Chcesz?

Ritchie wzięła do ręki stojącą na biurku butelkę z wodą mineralną i przyłożyła ją sobie do czoła. Skroplona para zamigotała w górnym świetle. Podobnie jak pot na skórze Ritchie.

– Herbata też nie chce ze mną dłużej zostać. Woda jest lepsza. Mniej boli w drodze powrotnej.

McLean miał ochotę zasugerować, że może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby jednak wróciła do domu. Ostatnie, czego potrzebował, to żeby cały zespół mu się rozłożył. I on sam. Tyle że byli wtedy razem w Fife, przez całą drogę siedzieli obok siebie w samochodzie,

w jedną i drugą stronę. Gdyby ktoś miał się od niej zarazić, to właśnie on najszybciej. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły i pokazały się bliźniacze postacie posterunkowego MacBride'a i Boba Gbureka. Obaj w jednej ręce ściskali kubek z herbatą, a w drugiej herbatnik. Jeden element stanowił jednak o zasadniczej różnicy – nie licząc, rzecz jasna, oczywistej różnicy wieku – podczas gdy MacBride trzymał pod pachą teczkę z dokumentami, Bob Gburek wybrał lekturę „Edinburgh Herald”.

– O, wrócił pan. Przepraszam, że tak pana zostawiłem.

McLean popatrzył na parujący kubek w ręku MacBride'a, zastanawiając się, czy przewaga służbowa daje mu prawo do konfiskaty naczynia, a może nawet herbatnika, oraz odesłania posterunkowego po więcej. Ale zaraz uświadomił sobie, że to by było dokładnie w stylu Duguida.

– Nie szkodzi. Rozumiem, że miałeś poważne powody.

MacBride zrobił lekko speszoną minę, w czym zresztą był całkiem dobry. Podszedł do biurka, które zajmowała Ritchie, postawił na nim herbatę, ostrożnie umieścił herbatnik na brzegu kubka i wyciągnął teczkę spod pachy. Bob Gburek, jak zauważył McLean, potraktował swoją herbatę znacznie bardziej obcesowo, upił, głośno siorbiąc, po czym wbił zęby w herbatnik.

– Ludzie od baz DNA przysłali mi mejl. – MacBride przekręcił klucz w szufladzie biurka, wysunął ją i wyjął z niej tablet. Kilka razy przejechał palcami po ekranie. – Przed rozmową z panem musiałem sprawdzić bezpośrednio u nich.

– Dlaczego?

– Żaden wynik nie pasuje. To znaczy w bazie cywilów.

– A szukałeś w wojskowej?

– Tak, i tutaj sprawy robią się interesujące. – MacBride jeszcze kilka razy dotknął ekranu, po czym odwrócił tablet.

McLean spojrzał na ekran. Widniały na nim cyfry w tabelkach i tekst maleńkimi literami, którego nie byłby w stanie odczytać, nie fundując sobie przy okazji ciężkiej migreny.

– W słowach zrozumiałych dla normalnego śmiertelnika?

Mina MacBride'a przypominała wyraz twarzy rozczarowanego rodzica, dość dziwne, biorąc pod uwagę jego wiek.

– Badania porównawcze DNA nie są nauką ścisłą. Pod wieloma względami przypominają badanie odcisków palców, tyle że znacznie bardziej skomplikowane.

– Nie potrzebuję wykładu, posterunkowy, tylko odpowiedzi na pytanie. Mamy go czy nie?

– Możliwe. Tylko bardzo mało prawdopodobne.

McLean wstrzymał oddech i policzył do dziesięciu. MacBride otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale uprzedził go Bob Gburek.

– Jest częściowa zgodność. Ponad pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że to ta sama osoba.

– No to w czym problem? Macie nazwisko, jak rozumiem? Poproście o jego akta, zdobądźcie adres, wyśledźcie go.

– Tylko jest mały szkopuł: ta osoba zginęła w Afganistanie cztery lata temu. – Bob Gburek znów siorbnął herbaty i wrzucił do ust ostatni kawałek herbatnika.

McLean odczekał, aż treść tych słów dotrze do jego świadomości.

– Jak się nazywał?

MacBride przesunął palcami po ekranie.

– Starszy szeregowy William Beaumont. Służył w Królewskich Fizylierach. Miejscowy chłopak. Dostaliśmy informację, że podczas patrolu wszedł na minę-pułapkę. Niewiele z niego zostało.

Afganistan. Bomba-pułapka. Słowa wywołały echo w pamięci McLeana, lecz nie potrafił konkretnie określić, o co chodzi.

– Fizylierzy? A więc musiał stacjonować w Glencorse. – McLean spojrział na zegarek, potem za okno. Było już całkiem ciemno, ale w końcu armia nigdy nie śpi. – Kto ma ochotę na wycieczkę do koszar?

Wielki, ciemny, kamienny most, który przetrwał wojnę, stał się miejscem, gdzie ludzie przysiadali i rozmawiali. Był to rodzaj miejsca, które przetrwało, mimo że było stare i nie było już tak modne, jak kiedyś. Był to rodzaj miejsca, które przetrwało, mimo że było stare i nie było już tak modne, jak kiedyś.

Koszary Glencorse, dom Królewskich Fizylierów, wciśnięto między Beeslack a Milton Bridge, na północ od Penicuik. Kierując się na południe od autostrady, McLean uświadomił sobie, że koszary są położone niedaleko miejsca, w którym tajemniczy mężczyzna z tatuażami skoczył z klifu – o ile rzeczywiście skoczył – tyle że kawałek dalej w górę rzeki i po drugiej stronie. Poleciał ekipie przeszukać brzegi z łodzi, ale biorąc pod uwagę warunki pogodowe, prawdopodobnie jeszcze tego nie zrobili, a nawet jeśli, to raczej niczego nie znaleźli.

Mimo kiepskiej formy Ritchie zaoferowała, że z nim pojedzie. Możliwe, że po prostu chciała wyrwać się z komisariatu i przez chwilę posiedzieć w ciepłym samochodzie. Prawie się nie odzywała, a kiedy dołączyli do ślimaczego ruchu samochodów na Liberton Brae, zasnęła. McLean nie protestował, nawet trochę żałował, że nie odesłał jej do domu i nie zmusił Boba Gburka, żeby z nim pojechał. Na pewno nie zamierzał jej budzić tylko po to, by zrobiła notatkę na temat koszar i ich bliskiego położenia nad rzeką. Uznał, że tyle jest w stanie zapamiętać.

Dojazd trwał znacznie dłużej, niż McLean założył. Martwił się, że biuro administracji będzie już zamknięte. Musieli poczekać przy budce strażnika, zabrano im legitymacje, a potem znów trzeba było czekać, aż znajdzie się eskorta. Poprowadzono ich przez wielki plac defilad, labirynt korytarzy i budynków trasą tak skomplikowaną, że sami z pewnością nie znaleźliby drogi powrotnej. W końcu stanęli przed obliczem starszego pana w mundurze, siedzącego za przedpotopowym biurkiem, w pomieszczeniu żywcem wyjętym z lat pięćdziesiątych.

– Anthony McLean. Jaka miła niespodzianka. – Oficer wstał, okrążył biurko i wyciągnął rękę na powitanie. McLean przyjął ją, próbując zapanować nad zdumioną miną.

– Ee. Czy my się już kiedyś spotkaliśmy?

– Och, nic dziwnego, że zapomniałeś. Jakieś, hm, dwadzieścia lat temu? Chyba nawet więcej. Gilbert Bottomley. Mieszkałem niedaleko domu twojej babci. W każdy wtorek graliśmy w brydża. Bardzo zasmuciła mnie wiadomość o... sam wiesz.

McLean wciąż nie był ani trochę mądrzejszy, chociaż przypominał sobie jak przez mgłę grupkę dziwaków, którzy raz w tygodniu czy jakoś tak przychodzili z wizytą do babci i pili dżin w stanowczo zbyt dużych ilościach. Studiował wtedy na uniwersytecie i mieszkał na Newington.

Nie zamierzał zmarnować takiej okazji.

– Nieźle jej szło, prawda, ee... majorze?

– A, pamiętasz. Świetnie. Tyle że teraz już podpułkowniku, ale mów mi po imieniu. Gilbert. A kim jest twoja uroczą towarzyszką?

Chociaż Ritchie stała za plecami McLeana, wyczuł, jak się spina. Ucieszył się, że nadal ma w sobie tę iskrę, lecz ostatnie, czego w tym momencie potrzebował, to sarkastyczne uwagi jej

autorstwa.

– Sierżant Ritchie jest bezcennym członkiem mojego zespołu, em, Gilbertcie.

– Bardzo mi miło. – Tym razem Gilbert nie wyciągnął ręki na powitanie, czym jeszcze bardziej naraził się Ritchie. Całkowicie nieświadom swojej winy, wrócił za biurko i odchylił się na krześle. – A więc co mogę dla ciebie zrobić? Zakładam, że to nie jest wizyta towarzyska. Chociaż, gdybyś miał ochotę na partyjkę, na pewno zwerbowałbym czwartego. Grasz w brydża?

McLean próbował nadążyć za potokiem słów.

– Przepraszam? A. Nie. Raczej brakuje mi czasu, niestety.

– Cholerna szkoda.

– Tak. Cóż. Szukałem informacji na temat jednego z twoich żołnierzy. Byłego żołnierza, ściśle mówiąc. Starszy szeregowy William Beaumont.

– Beaumont. Beaumont. Coś mi świta. – Podpułkownik przyciągnął do siebie klawiaturę, przez chwilę stukał w nią dwoma palcami, wpatrując się w duży, płaski ekran raczej odstający od reszty wystroju. – A. Jest. Tak. Starszy szeregowy William Beaumont. Hmm.

McLean czekał cierpliwie, podczas gdy podpułkownik nadal gapił się w ekran, czasem klikając myszką, by przewinąć w dół. Od czasu do czasu wydawał lekki okrzyk zaskoczenia bądź cmokał, widocznie oburzony czymś, co nie pasowało do jego ciasnego obrazu świata. Wreszcie odchylił się na krześle.

– Dlaczego się nim interesujesz?

– Jego nazwisko pojawiło się w bazach DNA podczas identyfikacji ciała, które wyłowiliśmy z rzeki niedaleko stąd jakiś tydzień temu. – McLean miał przy sobie dokumenty i kilka fotografii, ale nie chciał ich wyciągać, póki naprawdę nie będzie musiał.

– Cóż, to nie on. W każdym razie nie według tego, co tu widzę. – Podpułkownik znów pochylił się do przodu, wcisnął kilka klawiszy. – Według tego...

– Zginął w Afganistanie. Mina-pułapka. Tak, wiem.

– I mimo to przyjechałeś?

– Liczyłem na to, że porozmawiam z kimś, kto razem z nim służył. I zastanawiałem się, czy może macie jakieś zdjęcia, tego rodzaju rzeczy.

– Takie na przykład? – Bottomley obrócił ekran.

McLean zobaczył stronę komputerowej bazy wojskowej. W lewym górnym rogu widniało zdjęcie starszego szeregowego Williama Beaumonta. Jego czoła i policzków nie znaczyły tatuaże, ale niewątpliwie była to twarz człowieka, którego wyłowiono z rzeki North Esk. Chyba że miał jednojajowego brata bliźniaka.

– Miał brata? – spytał McLean.

– Nie. Tylko kuzynów. Ale to – podpułkownik dźgnął ekran palcem – się nie zgadza. Ktoś pomylił informacje.

– Jak to?

– Nie straciliśmy w Helmand aż tylu ludzi, dzięki Bogu. Napisałem do rodzin wszystkich ofiar. Tego chłopaka wśród nich nie było.

– Spocznij.

Po piętnastu minutach wędrówki pokrętną trasą między budynkami koszar McLean całkowicie się zgubił. Tuż za nim, niczym słabowity, lecz wierny spaniel, dreptała sierżant

Ritchie, najwyraźniej cierpiąc z powodu nieplanowanych ćwiczeń sportowych.

Po odkryciu błędów w bazie podpułkownik wykonał kilka telefonów, po czym w tym wkurzającym stylu mężczyźni przyzwyczajonych, że wszyscy bez pytania wykonują ich rozkazy, rzucił „za mną” i wymaszerował z gabinetu. W końcu dotarli do budynku, w którym zapewne mieściły się kwatery nieżonatych podoficerów. McLeanowi kojarzyły się z akademikami, tyle że znacznie przytulniejszymi i pozbawionymi tego słabego, lecz zawsze obecnego zapaszku starych wymiocin i rozlanego piwa. Bottomley podszedł do wybranych drzwi i zabębnił w nie mocno i donośnie. Otworzyły się zaledwie po kilku sekundach. Żołnierz widocznie spodziewał się wizyty dowódcy. Stał na baczność obok wzorowo zasłanego łóżka. Nawet kiedy Bottomley kazał mu spocząć, wciąż wyglądał na spiętego. McLean znał wielu posterunkowych, którzy zachowywali się podobnie za każdym razem, kiedy w tym samym pomieszczeniu przebywał ktoś starszy stopniem od sierżanta.

– Sierżant Grant. Inspektor McLean i sierżant Ritchie z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Badają sprawę podejrzaną śmierci. Znaleźli gościa w rzece, niedaleko stąd, jakiś tydzień temu. Podejrzewają, że mógł być związany z naszym pułkiem.

Sierżant Grant nic nie powiedział, nie licząc neutralnego „sir”.

– Byłeś na ostatniej misji w Helmand, prawda?

– Tak jest. – Sierżant kiwnął głową i odważył się zerknąć z boku na McLeana.

Gdzieś z ciemności korytarza doszedł dziwny dźwięk w wykonaniu sierżanta Ritchie.

– Inspektor ma kilka pytań w sprawie jednego z twoich towarzyszy broni, Williama Beaumonta. Pamiętasz go?

– Billa? Tak jest. Pamiętam, ale z dawniejszych czasów. Sprzed Afganistanu. Nie uczestniczył w tej misji.

– Jak to, nie... Och. – Bottomley załapał dopiero po chwili. – A, rozumiem.

– Jakiś problem? – spytał McLean. Słowa sierżanta wywołały iskrę w pamięci, z której jednak nie umiał skrzesać ognia.

– Tak. W pewnym sensie. – Bottomley miał minę człowieka walczącego z wyrzutami sumienia.

– Był w SAS, prawda? – powiedział McLean.

W tym momencie do pokoju weszła sierżant Ritchie, z chusteczką przyciśniętą do kącika ust.

– Niektórzy żołnierze biorą udział w specjalnych zadaniach. Nie wiadomo, dokąd się udają ani co robią. Formalnie rzecz biorąc, pułk w ogóle nie istnieje. Tyle że nasz zmarły miał tatuaż SAS-u i tatuaż Królewskich Fizylierów. Wiem, że to tylko poszlaki. Każdy kretyn może sobie wytatuować na ramieniu *Who Dares Wins* i *Nemo Me Impune Lacessit*, ale mam rację, prawda?

– Ja nie mogę powiedzieć, sir. – Sierżant Grant spojrzał na McLeana, potem na Ritchie, wreszcie na podpułkownika, następnie powiódł wzrokiem dokoła, jakby obecność kobiety w kwaterze przeznaczonej dla nieżonatych wojskowych wydawała mu się czymś całkowicie niepojętym.

– Tak, do cholery. Był w Eskadrze Lotniczej – odparł Bottomley. – Niewielu z naszych się dostało. Zwykle trafiają tam Spadochroniarze. Myślałem, że w czasie, kiedy ruszaliśmy do Helmand, Beaumont już wrócił.

– Nie, sir. On tam był, ale z Siłami Specjalnymi. Ale pewnie kojarzy go pan z obozu. Billbo

zawsze wpadał po drodze i kradł nam kawę.

– Jak go pan nazwał? – Iskra w pamięci McLeana wreszcie zapłonęła. Już kiedyś słyszał to imię. Przerazony bezdomny opowiadający o zaginionym przyjacielu i szukający schronienia przed mrozem i śniegiem.

– Billbo. Chłopaki tak go nazywali. Przez dwa „l”, żeby nikt go nie wziął za hobbita.

– A może pamiętasz człowieka znanego jako Gordy? Przyjaźnił się z Beaumontem.

– Gordy? Tak, to będzie Gordon Johnson. Podoficer. – Sierżant Grant potrząsnął głową. – Nie mam wieści o żadnym z nich od, ja wiem, trzech-czterech lat. Ciekawe, co się z nimi dzieje.

– Nic dobrego, sierżancie, ale dziękuję. Wyjaśnił pan kilka spraw. – McLean zwrócił się do podpułkownika: – Zastanawiam się, czy mógłbym dostać kopię tego zdjęcia z akt Beaumonta. Nie ma pośpiechu. Wystarczy kopia mejlem, jutro.

– Sądzę, że nie będzie problemu. Porozmawiam, z kim trzeba. Może uda się znaleźć coś więcej.

– Dziękuję. – McLean spojrzał na korytarz, gdzie chowała się w ciemności sierżant Ritchie.

– A czy ktoś mógłby nas odprowadzić na parking?

W drodze powrotnej ruch na drogach zelżał, za to z nieba zaczęły spadać wielkie, ciężkie płatki śniegu. Pośpiech w takich warunkach na pewno był niewskazany. McLean sądził, że po przymusowym marszu przez koszary sierżant Ritchie będzie wykończona, lecz przeciwnie, sprawiała wrażenie nawet odrobinę bardziej dziarskiej niż wcześniej.

– Szefie, myślisz, że ten William Beaumont to nasz facet z tatuażami?

– Jestem niemal pewien.

– Ale dlaczego? Domyślam się, że już wcześniej słyszałeś o Billbo przez dwa „l”.

– Właśnie dlatego. – McLean opowiedział jej o tamtym wieczorze, kiedy przesłuchał Gordy’ego i zawiózł go do przytułku. – Musimy go poszukać. Może da się coś jeszcze z niego wyciągnąć. Może i jest szalony, ale sądzę, że naprawdę widział, jak porywają jego przyjaciela. Jeśli rzeczywiście tak było, to kim byli porywacze i jakie mieli motyw? I dlaczego, do diabła ciężkiego, wytatuowali go od stóp do głów?

– Znowu robi się dziwnie, co?

– Dziwnie?

– No. Jak wtedy z Needym i tą jego księgą.

McLean nie odpowiedział, skupił się na drodze. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. Ritchie chyba zrozumiała, bo nie odezwała się więcej aż do chwili, kiedy minęli Bilston i dojeżdżali do Ikei.

– Mam nadzieję, że za bardzo się na mnie nie wściekli.

– Co? Kto?

– Żołnierze. – Ritchie wskazała głową za siebie, gdzieś w stronę Penicuik.

– Niby czemu? Kobiety mają prawo wchodzić do męskich kwater. Jest dwudziesty pierwszy wiek. Poza tym przysłaś w towarzystwie dowódcy.

– Nie o to chodzi.

– Nie? A o co?

– Chyba trochę się rozchorowałam na korytarzu. W doniczkę z kwiatkami.

McLean podwiózł Ritchie pod sam dom. Mieszkała w jednej z tych niemożliwie wysokich czynszówek, stłoczonych na wschodnich obrzeżach New Town, nie tak daleko od znacznie bardziej imponującego domu Weatherly'ego. McLean nie był u niej od przeprowadzki. Wcale się nie zdziwił, że nie zaprosiła go do środka. Wyglądała na wykończoną. Nadal walczyła z tą koszmarną zarazą, która rozłożyła ją na łopatki.

– Jutro o dziewiątej spotkanie i briefing. Wyśpij się porządnie, obiecujesz? Zdaje się, że sen dobrze by ci zrobił.

Ritchie uśmiechnęła się, lekko kiwnęła głową w podziękowaniu.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Jasne. Dobranoc.

Ritchie zatrzasnęła drzwiczki, McLean pojechał dalej. Niewiele mógł dostrzec przez tylną szybę alfy, ale widział, jak stoi przed domem, patrząc za nim. Kiedy skręcił za róg, wciąż tam była, nieruchoma jak posąg.

Dojeżdżając do Lothian Road, pomyślał, że właściwie mógłby od razu pojechać do domu. Na Morningside była dobra chińska knajpa z jedzeniem na wynos, musiałyby tylko trochę zjechać z drogi, raczej nie miało sensu wracać o tej porze do komisariatu. Zamiast tam, skręcił w lewo, w stronę Old Town, przejechał przez Grassmarket i znalazł się na Cowgate. Drzwi do przytułku dla bezdomnych zamknięto z powodu mrozu, ale świeciło nad nimi zapraszające światło. Zaparkował na podwójnej żółtej linii, bo zamierzał zabawić w środku tylko parę minut. Uderzyła go fala ciepła, mgiełka potrawki z wołowiny i niemytych pach. Panował mniejszy ruch niż tamtej nocy, kiedy przywiózł Gordy'ego, ale i tak w pomieszczeniu przebywało sporo osób potrzebujących pomocy.

Powiódł wzrokiem dokoła, szukając znajomej twarzy. Kilka osób wbiło w niego wzrok, nieprzyjazne spojrzenia z miejsca go zdemaskowały. Ruszył w stronę kuchni i lady do wydawania posiłków. Wolał załatwić to najszybciej, jak się da.

– Tony. Nie przypuszczałam, że zobaczymy cię znowu tak prędko. – Jeannie Robertson stała za ladą, plamy na jej fartuchu wyglądały tak, jakby przed chwilą zaszlachtowała kogoś nożem do krojenia mięsa. Podniosła wysoko miskę i chochlę. – Zupy?

McLean spojrział na gruzłową breję w wielkiej metalowej wazie. Pachniała całkiem smakowicie, a unosząca się para sugerowała posiłek skutecznie rozgrzewający w tak zimny wieczór, ale dziwne kawałki pływające na tłustej powierzchni jakoś nie budziły jego zaufania.

– Nie. Dziękuję.

Zrobiła lekko zawiedzioną minę, co mogło oznaczać, że tego wieczoru to ona pełniła funkcję kucharki. Stan fartucha wyraźnie wskazywał, że cokolwiek trafiło do zupy, z pewnością nie znalazło się tam dobrowolnie.

– Coś mały ruch – dorzucił McLean, przerywając niezręczne milczenie.
– O, jeszcze wcześniej. Zaczekaj do dziesiątej, przyjdzie tłum. Zapamiętaj moje słowa. McLean spojrział na zegarek. Już wpół do ósmej. Kiedy minął dzień?
– Chyba nie mogę tak długo zostać. Widziałas może ostatnio Gordy’ego? Wiesz, tego faceta, którego przyprowadziłem poprzednim razem?

Jeannie zmarszczyła brwi.

– Chyba nie, jak tak się zastanowić. Nie był stałym gościem. Zaczekaj, spytam w kuchni.
Wrzuciła chochlę do wazy. Coś podejrzanego wypłynęło na powierzchnię, a potem powoli zatoneło. McLean odprowadził Jeannie wzrokiem, odwrócił się i jeszcze raz powiódł spojrzeniem dokoła. Kilka osób patrzyło na niego, ale większość zajmowała się swoimi sprawami. Niektórzy czytali książki, inni wpatrywali się w mrugający milcząco telewizor, umieszczony w kącie, bądź gapili się na podłogę, ścianę czy własne ręce.

– Szukasz tego gościa, Gordy’ego?

McLean odwrócił się nieco zbyt szybko i poczuł, od jakiegoś czasu nieobecny, gwałtowny ból przeszywający biodro. Tam, gdzie przed chwilą urzędowała Jeannie Robertson, stał młody mężczyzna, ubrany w stylu zbliżonym do bezdomnych: workowata bluza z kapturem, sprane dżinsy, szalik zaplątany wokół szyi. Był nieogolony, ale nie wiadomo, czy z braku udogodnień sanitarnych, czy z powodu panującej mody.

– Owszem. Widział go pan ostatnio, panie...?

– Ben. – Młodzieniec wyjął ręce z kieszeni bluzy, wyciągnął prawą do McLeana. – Ben Chilvers. Prowadzę ten ośrodek.

McLean potrząsnął podaną mu ręką. Teraz, kiedy usłyszał nazwisko, skojarzył też twarz.

– Tony McLean. Wiedziałem, że płacisz rachunki. Ale że osobiście wynosisz śmieci?

Chilvers zaśmiał się.

– Dobrze odświeża pamięć. Też kiedyś żyłem na ulicy.

– Czytałem. Dobra robota. Nie każdy by tak potrafił.

– I nie każdy potrafi przywieźć do nas bezdomnego w zimową noc, inspektorze. Tak, Jeannie mi powiedziała. Akurat pracowałem wtedy w kuchni.

– Widziałeś go?

– Tak. Nawet z nim chwilę gadałem. Staram się rozmawiać ze wszystkimi nowymi. Sprawdzić, czy da się dla nich coś zrobić na dłuższą metę.

– Zakładam, że Gordy nie był zainteresowany.

– Niektórzy nie lubią prosić o pomoc, inni reagują nerwowo, kiedy im się ją proponuje. Dobrze o tym wiem. Też taki byłem. – Chilvers bezwiednie wziął chochlę do ręki i zaczął mieszać nią w wazie. Kawałki niezidentyfikowanych substancji wypłynęły na powierzchnię niczym trupy. – Został na noc, ale zmył się przed świtem. Od tej pory go nie widziałem.

Godzinę później McLean zapalił światło w kuchni. Kotka pani McCutcheon, leżąca na dywaniku przy piecu Aga, podniosła wzrok. Miała minę, jakby coś przeszkrobała. Właściwie zawsze miała taką minę. Lekko podniosła i opuściła łebek. Może próbowała wyczuć jego nastrój. Albo raczej wyczuła zapach kaczki i prażynek krewetkowych.

McLean wdał się w tak interesującą pogawędkę z Benem Chilversem, że dopiero po trzydziestu minutach przypomniał sobie, że zaparkował na podwójnej żółtej linii. Tego

wieczoru bogowie widocznie mu sprzyjali albo drogówka znała jego numer rejestracyjny, bo przez te trzydzieści minut alfie przybyła tylko warstwa śniegu na półtora centymetra i na szczęście zero mandatów.

Śnieg padał przez całą drogę powrotną. Im dalej od centrum, tym gęściej sypał na chodniki, wielkie brązowe kontenery na śmieci, samochody zaparkowane wzdłuż ulic. Wznosząca się w górę ulica była śliska, grube opony kilka razy niebezpiecznie wirowały, nim wreszcie dotarł na podjazd. Panował mróz, ale śnieg przynajmniej złagodził ostry, przenikliwy dotyk wiatru. I tak nie chciałby spać tej nocy na ulicy.

Kiedy postawił torbę z jedzeniem na zniszczonym drewnianym blacie, kotka wskoczyła na stół i potarła nosem o jego dłoń. W tym samym momencie uświadomił sobie, że w domu ktoś jest. Nie potrafił powiedzieć, skąd to wie, po prostu wiedział.

Babcia nie przepadała za pieczeniem ciast, ale w jednej z szuflad zawsze leżał porządny drewniany wałek. McLean wiedział, że nóż to nie najlepszy wybór na konfrontację ze złodziejem – istnieje sporo ryzyko, że sam nim dostaniesz. Ale jeśli ta osoba, która wcześniej wchodziła do kuchni, nadal była w domu, nie miał ochoty wyjść jej na spotkanie całkiem nieuzbrojony.

Hol był pogrążony w ciszy i ciemności, słaby blask z zewnątrz wpadał przez okna umieszczone po obu stronach drzwi wejściowych. McLean przemknął do sieni. Próbował sobie przypomnieć, jak wszystko wyglądało rano, przed jego wyjściem. Na wycieracze leżał stos przesyłek.; a więc przynajmniej nie była to kolejna wizyta przedstawiciela wydziału specjalnego.

Chyba że tym razem wszedł inną drogą.

McLean odwrócił się i przesunął wzrokiem po ciemnych prostokątach drzwi, za którymi kryły się różne nieużywane pomieszczenia. Gabinet dziadka, jadalnia, salon, w którym babcia grywała w brydża z majorem Gilbertem Bottomleyem i innymi gośćmi. Ten dom naprawdę był stanowczo za duży jak na jedną osobę. Ale w tym momencie przebywał tu ktoś jeszcze – świadczył o tym słaby blask sączący się spod drzwi biblioteki.

Tym razem nie rozpalił w kominku prawdopodobnie dlatego, że McLean nie przyniósł węgla. Poczęstował się jednak whisky i zdjął z półki jedną ze starych oprawnych w skórę książek. Na szczęście, jak zauważył McLean, nie pierwsze wydanie *Anatomii* Graya, które ostatnimi czasy przysporzyło mu tylu kłopotów.

– A, syn marnotrawny powrócił. – Człowiek z wydziału specjalnego podniósł wzrok nad książki, zamknął ją. – Czy ktoś kiedykolwiek próbował panu wyjaśnić sens dokumentu zatytułowanego *Dyrektywa o czasie pracy*?

– Bardzo mi przykro, że nie mogłem wrócić wcześniej ze względu na pana wizytę. Gdyby pan uprzedził, przygotowałbym coś do jedzenia. – McLean podszedł do barku, delikatnie położył wałek na stoliku. – Mam nadzieję, że wliczą to panu do czasu pracy.

– Niestety, inspektorze. Mnie tu w ogóle nie ma.

– I w ogóle nie pije pan mojej whisky. – McLean nalał sobie porządną porcję, chyba nawet porządniejszą niż zamierzał. – Co pana do mnie sprowadza? Znow chce mi pan pokazać jakieś niegrzeczne obrazki?

– Nie. – Po twarzy mężczyzny przebiegł cień. Troska? Może żal? – Przyszedłem powiedzieć, że te obrazki mogą wkrótce trafić do prasy. Nie mój pomysł, ale... – Rozłożył

ręce w geście „cóż ja na to poradzę?”.

McLean upił whisky, odczekał, aż torf z Islay zapłonie na czubku języka. Następnie wziął kolejny łyk, głębszy. Połknął i poczuł, jak whisky ścieka gardłem do żołądka. Nie trzeba było geniusza, by zrozumieć, co się stanie, kiedy dziennikarze zdobędą materiały zdradzające, w jaki sposób Weatherly lubił się relaksować w wolnym czasie. Nieodparcie przychodziły na myśl słowa „gównno i wentylator”.

– Po co w ogóle mi je daliście? Mógł pan przesłać je anonimowo Jo Dalglish i sprawa załatwiona.

– To... trochę skomplikowane.

– Nie dla mnie. Nie dla Jacka Tennanta. Kiedy te zdjęcia wypłyną, ludzie rzucą się nam do gardeł. Czy wiedzieliśmy? Dlaczego nic nie mówiliśmy? A jeśli nie wiedzieliśmy, to czemu tak nieskutecznie prowadzimy śledztwo? – McLean wlał w usta kolejny spory łyk coraz lepszej whisky. – Jezu, na co mi był ten awans.

– Cóż, jeśli to cokolwiek znaczy, przykro mi. To nie był...

– ... pana pomysł. Tak, wiem. Już pan mówił. Kim pan właściwie jest? – McLean przyglądał się twarzy mężczyzny, szukając cech charakterystycznych. Na próżno. Był nijaki. Może tajemnicza organizacja, dla której pracował, zdołała stworzyć laboratoryjnie doskonale przeciętnego człowieka.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

– Doprawdy? Lepiej dla kogo? Dla mnie? Dla was? Dla Joanny, Margaret i Morag Weatherly?

Mężczyzna zaczął się wiercić w fotelu.

– Proszę posłuchać, ja nie mogę...

– Gównno mnie obchodzi, co pan może czy nie może. Włamuje się pan do mojego domu, wtrąca się w dochodzenie, traktuje mnie pan jak śmiecia. Należy mi się przynajmniej jakieś wyjaśnienie, żebym mógł spojrzeć swoim podwładnym w oczy i przeprosić, jeśli ich kariera pójdzie w diabły z powodu politycznych machlojek. – McLean wlał w siebie resztę whisky, większość nawet zdołał połknąć. Próba zapanowania nad atakiem kaszlu skończyła się łzami w oczach.

– Obserwujemy takich ludzi jak Weatherly. Wpływowych ludzi. Takich ludzi... chronimy.

McLean znów o mało się nie udławił.

– Że co?

– Weatherly jest... był... ważnym człowiekiem. Nie był dobry i miły. Miał paskudne przywary, jak sam pan wie. Ale miał też władzę i wpływy. I zarządzał ogromnymi sumami pieniędzy. Nasza... moja praca polegała na tym, by go pilnować, ukrywać różne sprawy, aby nie dostały się do wiadomości publicznej. A gdyby nie dało się temu zapobiec, zminimalizować straty.

– Chyba coś nie wyszło.

– Nie musi mi pan mówić. – Mężczyzna potarł twarz znużonym gestem. – Wiem, że to nie jest nauka ścisła, ale profilujemy te osoby.

– Osoby? Chce pan powiedzieć, że jest ich więcej?

– Niech pan nie robi zdziwionej miny, inspektorze. Świat jest pełen zbrodźców i psychopatów. Smutne, lecz prawdziwe, że to najgorsi ludzie najwięcej w życiu osiągnęli.

McLean wlał sobie kolejną słuszną porcję whisky, tym razem dodając odrobinę wody.

– A więc profilujecie ich. Po co?

– Aby móc przewidzieć ich kolejny krok. Przeważnie działa. Weatherly wymknął się nam spod kontroli, gdy... – Mężczyzna chyba nie potrafił dokończyć zdania.

McLean rozważał, czy odpowiedzieć mu kilka szczegółów, ale uznał, że ironiczny komentarz poszedłby na marne.

– Po co próbujecie mnie w to wplątać? Czemu daliście mi te zdjęcia?

– Ponieważ inni ludzie chcieli doprowadzić do jak najszybszego zamknięcia dochodzenia. Byliśmy przekonani, że jeśli postąpi pan zgodnie z poleceniem służbowym, nigdy się pan nie dowie.

– Wolałbym nie wiedzieć.

– Czyżby? – Mężczyzna wziął do ręki szklankę, w której znajdowała się jeszcze porcja whisky na jakieś półtora centymetra, obrócił ją, ciesząc oczy grą światła, upił. – Wolałby się pan dowiedzieć od pani Dalgliesh i jej podobnych?

McLean musiał przyznać, ale tylko przed sobą, że jest w tych słowach trochę racji. Nie zamierzał jednak głośno tego mówić.

– Potrzebowaliśmy trochę czasu. Chcieliśmy, żeby poznał pan te... aspekty sprawy. Kilka kolejnych dni, może nawet dwa tygodnie, może być dla pana... dość nieprzyjemnych, inspektorze. – Mężczyzna dopił whisky, odstawił szklankę i podniósł się z fotela. – Naprawdę bardzo mi przykro i zrobię wszystko, by ograniczyć skutki uboczne. Z czasem sprawa przycichnie. Unikniemy strat finansowych, które mogłyby wystąpić, gdyby wszystko inaczej się ułożyło. Zanim zacznie pan marudzić coś o pieniądzach, powinien pan wiedzieć, że nie chodzi o kilku miliarderów ścigających się, kto straci najwięcej kasy, lecz o sumy, które mogłyby doprowadzić do upadku kilka krajów bądź wywołać wojnę. Za życia Weatherly potrzebował starannej opieki, a po śmierci potrzebuje jej nawet bardziej.

Mężczyzna powoli przeszedł przez pokój. Kiedy otworzył drzwi i już miał wyjść, McLean zapytał:

– Te same bzdury sprzedał pan Duguidowi?

Agent przystanął i odwrócił się z zaskoczoną miną.

– Duguidowi?

– To on pierwszy kazał mi grzebać dalej, nawet kiedy sprawę oficjalnie zamknięto. Domyślam się, że to wasza robota.

– Och, nie. Charles Duguid jest dla nas całkowicie bezużyteczny. Nie mamy z nim nic wspólnego. – Zawiesił głos, po czym dodał: – Chciał, żeby pan dalej szukał. Interesujące. Może go nie doceniamy. – Uśmiechnął się, jakby opowiadał sekretny i bardzo osobisty dowcip. – Żegnam, inspektorze. Więcej się nie zobaczymy.

– Niegrzeczny z pana chłopiec, inspektorze. Nie podzielić się ze mną takimi informacjami.

Wczesny ranek, miasto przykryte kołdrą śniegu. McLean wyskoczył po przyzwoitą kawę i kanapkę z bekonem na śniadanie. Na chwilę zapomniał o ostrzegawczych słowach nocnego gościa i teraz przeklinał się za to, że pogardził marnej jakości wytworami, które ostatnio serwowano w kantine.

– Nie mam pani nic do powiedzenia, pani Dalgliesh.

Najprawdopodobniej czekała na niego, schowana przy wejściu do pubu, z niezapalonym papierosem w ustach. Kiedy ją mijał, przyspieszyła kroku i po chwili szli obok siebie jak para starych dobrych znajomych.

– Jest pan pewien? Chyba musiał pan wiedzieć, co wyprawiał Weatherly?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że Dalgliesh zdążyła zrobić jeszcze jeden krok i zorientowała się dopiero w połowie drugiego.

– Co dokładnie próbuje pani powiedzieć, pani Dalgliesh? Jestem bardzo zajęty. Nie mogę tracić czasu na pogawędki.

Dalgliesh rzuciła mu spojrzenie pełne niedowierzania. Biorąc pod uwagę, że właśnie wyskoczył z pracy i ścisnął w rękach tłustą torebkę z szarego papieru i kubek kawy, nawet rozumiał jej sceptycyzm.

– Wygląda na to, że Andrew Weatherly lubił zabawić się poza domem. A może raczej powinien powiedzieć: lubił bawić się w domu pod nieobecność żony i dzieci?

– Zakończyliśmy dochodzenie w sprawie pana Weatherly'ego. Mój raport już trafił do oskarżyciela publicznego.

– Tak, tak, wiem. Byłam na konferencji prasowej. A czy wspomniał pan w owym raporcie, że Weatherly regularnie urządzał orgie w swoim domu w Fife? Że uprawiał seks z trzy razy młodszymi od siebie kobietami w tym samym łóżku, w którym potem zabił żonę?

McLean próbował ukryć zaskoczenie z powodu tego drobnego szczegółu. Sądząc po triumfalnej minie Dalgliesh, nie do końca mu się udało.

– Nie ujawniliśmy tego rodzaju informacji na temat śmierci pani Weatherly. Strzela pani na ślepo, w nadziei że zdradzę jakieś skandaliczne informacje, które mogłaby pani wydrukować w tym swoim szmatławcu.

Dalgliesh przesunęła do przodu swoją wielką torbę na ramię, rozpięła zamek. Przez chwilę walczyła z zawartością, w końcu wyciągnęła cienką szarą kopertę wielkości A5. Zdjęcia były mniejszego formatu od tych, które otrzymał McLean. Za to było ich więcej. Fotki z orgii dobrze znał, ale te, które przedstawiały Morag Weatherly widział po raz pierwszy. Trzy zatrzymane kadry z nagrania, ukazujące szczegóły, o jakich zapewne marzył niejeden reżyser horrorów.

- Skąd je pani ma?
- Ależ, inspektorze. Chyba pan nie sądzi, że powiem.
- Niech zgadnę. Znalazła je pani dziś rano w poczcie.

Zraniona mina Dalgliesh była tak ewidentnie sfabrykowana, że skutecznie potwierdziła jego podejrzenia.

– Te zdjęcia niczego nie zmieniają – oznajmił.

– Oszalał pan? Zmieniają wszystko. – Dalgliesh uderzyła plikiem o dłoń, po czym zaczęła je przerzucać. – Dlatego to zrobił. Ktoś zdobył te zdjęcia, groził, że je opublikuje. Nie wiem, czego chciał, czy chcieli od Weatherly’ego. W każdym razie nie wytrzymał presji. Nie zniósł myśli, że może stracić wszystko, więc zabił żonę i dzieci, a potem się zastrzelił – dokończyła przy obrazku przedstawiającym ciało Weatherly’ego oparte o rzeźbę ogrodową, ze strzelbą sterczącą spomiędzy kolan.

– Mogę rzucić okiem? – McLean wyciągnął rękę i chwycił zdjęcie, nim Dalgliesh zdążyła zaprotestować. Miało w sobie coś, co włączyło jego wszystkie wewnętrzne dzwonki alarmowe. Po pierwsze, różniło się od pozostałych. Nie zrobiono go z kamery przemysłowej, było ostrzejsze. McLean widział nawet płatki śniegu na tym, co zostało z włosów Weatherly’ego, na nosie i policzkach. Kiedy oglądał zwłoki, nie było na nich śniegu, leżały pod plastikowym namiotem rozstawionym przez ludzi z wydziału technicznego. To zdjęcie wykonano wcześniej. Tylko kto je zrobił? Fotograf kryminalny? A może człowiek z wydziału specjalnego? Może jako pierwszy przybył na miejsce? Trzeba będzie przejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni, poszukać, czy znajdzie się wśród nich coś podobnego. Wycieki zdarzały się przecież nieraz.

– Na pani miejscu poważnie bym się zastanowił, co z tym począć – powiedział, oddając fotografię. – To wcale nie jest taki gorący temat, jak się pani wydaje.

– Myśli pan, że tak łatwo się wykręci? – Dalgliesh dokończyła papierosa, rzuciła niedopałek na ziemię, zduśiła obcasem i wcisnęła zdjęcia z powrotem do torby. – To jest bomba. Wyjaśnienie przyczyn całej tragedii. I kto wie, czego jeszcze. A pan nawet się nie zająknął o tym podczas konferencji prasowej. To znaczy, że albo nie wiedział pan o istnieniu tych zdjęć, co nie najlepiej świadczy o pana umiejętnościach zawodowych, albo pan wiedział, lecz zachował to w sekrecie. Tak czy inaczej, moim zdaniem, kiepsko to wygląda.

McLean miał wielką ochotę aresztować ją za śmiecenie w miejscu publicznym. Byłoby to dziecinnie proste, bo znajdowali się zaledwie kilkaset metrów od komisariatu. A gdyby koperta ze zdjęciami zaginęła podczas zatrzymania – cóż, zdarza się. Wiedział jednak z doświadczenia, że aresztowanie dziennikarza, nawet jeśli bardzo na to zasłużył, rzadko przynosi jakiegokolwiek efekty. Poza tym kopie tych fotek pewnie wkrótce znalazłby w poczcie inny dziennikarz. Nie, w tym przypadku należało zastosować zdecydowane metody.

– Nie zamierzam komentować, co wiedziałem na temat Weatherly’ego, a czego nie. Sporządziłem raport, spisałem zalecenia, oskarżyciel publiczny zdecyduje, co dalej. Całkiem gratis powiem pani, skoro już tyle wie, że Andrew Weatherly w całym domu zamontował ukryte kamery przemysłowe. W sypialniach, korytarzach, wszędzie. Wszystko nagrywało się na twardych dyskach. W piwnicy znaleźliśmy centrum sterowania.

– Wiem o tym. – Dalgliesh machnęła torbą, w której leżały fotografie.

– To proszę pomyśleć. To był jego dom, jego kamery. Wiedział, że jest filmowany, lecz nie

starał się niczego ukrywać. – McLean wskazał torbę ruchem głowy. – Przynajmniej sądząc na podstawie tych zdjęć.

Dalgliesh przez chwilę nic nie mówiła. McLean uznał, że pewnie myśli.

– A więc pana zdaniem, Weatherly nie zrobił tego, co zrobił, ponieważ grożono mu upublicznieniem tych zdjęć.

– Nie.

– To co nim kierowało?

– Jak już powiedziałem podczas konferencji, nie lubię spekulować. To wasza działka.

– O, błagam. Na pewno się pan zastanawiał. Na pewno myślał pan o tym podczas dochodzenia.

McLean rzucił jej znużony uśmiech.

– Ależ oczywiście. Natomiast pani zadaje nieodpowiednie pytania. Nie powinna pani pytać, dlaczego Weatherly zabił dzieci i żonę. Raczej nigdy się tego nie dowiemy. Tak naprawdę.

– Okej. A o co powinnam pytać?

– O fotografii. Kto je pani przysłał? Dlaczego teraz? Co chcą w ten sposób osiągnąć? O to powinna pani pytać. To jest pani historia.

Kiedy McLean wszedł do pokoju, MacBride akurat rozmawiał przez telefon. Trzymał słuchawkę tuż przy uchu, dłoń zaś przyciskał drugą dłonią, jakby chciał się odizolować od hałasu. McLean rozejrzał się dokoła. Nikogo więcej tam nie było, panowała niemal ogłuszająca cisza. Najwyraźniej przyczyna zakłóceń znajdowała się na drugim końcu linii.

Posterunkowy podniósł wzrok, na widok McLeana wymamrotał kilka bliżej niezidentyfikowanych słów, a potem wrzasnął w słuchawkę:

– Przepraszam, nie słyszę! Mógłby pan powtórzyć?!

McLean mimowolnie się skrzywił. Słyszeli chyba nawet na czwartym piętrze.

Spojrzał na tablicę. Obok portretu pośmiertnego wisiała teraz na niej fotografia starszego szeregowego Williama „Billbo” Beaumonta w wersji bez tatuaży. Człowiek, którego wyłowili z rzeki, był znacznie szczuplejszy niż za czasów służby wojskowej, ale życie na ulicy ma swoje konsekwencje. McLean spojrzał na skupione wokół niego linie przedstawiające wątki w śledztwie. Owszem, udało im się ustalić jego tożsamość, ale właściwie nic poza tym. Zero informacji na temat ostatnich dni przed śmiercią, żadnych dat, nic. Był tak pochłonięty sprawą Weatherly’ego, że tę zaniedbał, i przez ten czas trop całkiem wystygł.

– Dziękuję! Do widzenia! – wrzasnął posterunkowy. Stuknęła odkładana słuchawka.

McLean odwrócił się w jego stronę.

– Schronisko dla bezdomnych w Bonnyrigg!

McLean znów się skrzywił.

– Jestem tutaj, posterunkowy. Nie musisz krzyczeć.

Policzki MacBride’a poczerwieniały.

– Przepraszam – powiedział już normalniejszym tonem. – Fatalne połączenie. Chciałem...

– Nieważne. Schronisko w Bonnyrigg. Dlaczego?

– Obdzwoniłem wszystkie przytułki w Midlothian. W sprawie tego mężczyzny, którego pan szukał. Gordona Andersona.

– Gordy’ego? Znalazłeś go?

– Chyba tak. W każdym razie jeden gość odpowiada opisowi. Myślę, że warto sprawdzić.
– Bonnyrigg, powiadasz. Zastanawiam się... – McLean jeszcze raz odwrócił się w stronę tablicy, przesunął wzrokiem po pustej ścianie obok. Mógłby przysiąc, że wcześniej coś tam wisiało. – Znalazłeś tę mapę?

Krzesło MacBride'a zaszurało na podłodze. Zerwał się i podszedł do McLeana.

– Tak. Wisiała w tym miejscu.

Przy bliższych oględzinach McLean zauważył dziurki w tapecie.

– Tylko jakiś gnojek ją buchnął.

– Cholerny mały... – MacBride zbliżył się do ściany, wbił wzrok w ewidentnie pustą przestrzeń. – Przysięgam, wisiała tutaj. Nawet na chwilę nic tu nie można zostawić.

– Nieważne. Mam w domu drugi egzemplarz. Widziałeś Ritchie?

Po krągłej niewinnej twarzy MacBride'a przemknął cień.

– Dzwoniła koło dziewiątej. Brzmiała okropnie. Chyba jej dzisiaj nie zobaczymy.

McLean przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru, kiedy odwoził Ritchie do domu, też nie najlepiej się czuła.

– Później do niej zadzwonię. Sprawdzę, co słychać.

– Może lepiej napisać esemes? – MacBride wyjął telefon i uniósł wysoko, jakby podejrzewał, że McLean nigdy dotąd czegoś podobnego nie widział. – Bo może śpi czy coś w tym rodzaju.

– Słusznie, posterunkowy. Dziękuję. – McLean próbował powiedzieć to bez sarkazmu w głosie. MacBride miał rację, ale inspektor nie cierpiał, kiedy poucza go ktoś, kto dopiero co skończył szkołę. – A w nagrodę zabieram cię na wycieczkę.

– Tak? A dokąd? – MacBride, wyraźnie podekscytowany, wcisnął telefon do kieszeni.

– Do Bonnyrigg. A dokąd niby?

Był w takim wieku, że pamiętał, kiedy Bonnyrigg, Loanhead, Eskgrove i Polton były osobnymi miejscowościami. W miarę jak Edynburg rozrastał się bez końca, a nowe osiedla przedzierały się na drugą stronę autostrady i wciskały w puste miejsca między starymi osadami górniczymi, wszystkie te rozsypane elementy stopniowo łączyły się i w końcu zlały w jeden twór. McLean jechał ostrożnie, pokryte słoń śnieżną breją i błotem drogi były nadal śliskie. Jak na tak wczesną porę niebo było ciemne i zapowiadało kolejną zamieć. Właśnie tego potrzebowało to miasto.

MacBride robił za przewodnika, wpatrzony w tablet, który widocznie wśród wielu funkcji miał również nawigację satelitarną.

– Skąd to wzięłeś? – spytał McLean, powoli kierując samochód w dół stromego wzgórza za Loanhead, w kierunku wąskiego mostu Polton Bridge, łączącego brzegi rzeki North Esk.

– Od jednego kumpla z IT. Robią testy, chcą sprawdzić, czy na coś nam się przyda. – Posterunkowy jeszcze raz popukał w ekran.

McLean kątem oka dostrzegł jego spochmurniałą minę.

– Jakiś problem?

– Hm, mapa znajduje się na serwerze centralnym. Dzięki temu można ją łatwo uaktualniać. Ale jak tylko zanika sygnał... – MacBride odwrócił tablet, pokazując McLeanowi ekran: szarą siatkę z zieloną strzałką migającą pośrodku.

– W tej okolicy zawsze jest beznadziejny sygnał. Dobrze, że wiem, dokąd jedziemy, co?

– Tak? To po co kazał mi pan pokazywać drogę?

– Ponieważ jesteś nerwowym pasażerem. Chciałem, żebyś skoncentrował się na jakiejś czynności.

McLean dał kierunkowskaz i skręcił w lewo, między niewielkie skupisko domów i sklepów. Te ostatnie w większości miały okna zabite deskami. Jeden nosił ślady niedawnego podpalenia. Miejscowe władze nie za bardzo dbały o odgarnianie śniegu, a jeszcze mniej w bocznej uliczce, w którą skręcili po chwili. W końcu McLean zatrzymał samochód tak blisko krawężnika, jak tylko się odważył, by przy okazji nie utknąć w zaspie.

– To zaraz tutaj. – Wskazał na dom widoczny za przednią szybą, niczym nie różniący się od pozostałych. – Chyba pójdziemy pieszo.

W ośrodku panował ruch, w głównej sali czekała kolejka po miskę zupy i bułkę. McLean mimo woli zauważył, że wśród klienteli zdecydowanie przeważa płéć męska. Z racji wielu warstw starej połataney odzieży oraz wełnianych czapek i rękawic mógł to poznać jedynie po długich brodach. Nie mógł też nie dostrzec wrogich spojrzeń, obserwujących, jak on i MacBride otrzepują buty ze śniegu w ciasnej sieni.

– Gliny? – spytał jeden ze stojących najbliżej mężczyzn. Był wyższy od McLeana i szeroki jak wrota, chociaż być może efekt ten zawdzięczał strojowi złożonemu z kilku płaszczy.

– Jeśli masz na myśli policję, to tak, zgadza się.

McLean minął mężczyznę. Miał nadzieję, że MacBride wykaże się rozsądkiem i będzie trzymał się blisko niego. Kolejka niechętnie zrobiła im przejście. Po chwili szczęśliwie dotarli na koniec sali, gdzie znajdowały się drzwi do kuchni. Inspektor zapukał, otworzył drzwi i wszedł.

Powietrze wypełniała para o woni gotowanej kapusty i cebuli, przywołująca koszmarne wspomnienia szkolnych czasów. Niesamowicie tłusty i łysy facet o rumianej różowej skórze błyszczącej od potu stał przy kuchence, mieszając w kadzi z zupą. W głębi kilka ofiar brytyjskiego systemu kształcenia zawodowego kroilo warzywa w ilości pozwalającej nakarmić armię czekającą w przyległej sali. McLean zatrzasnął drzwi. Dźwięk wreszcie zwrócił uwagę grubego, który odwrócił się z zaskakującą gracją, odłożył chochlę na talerz i popatrzył zza zaparowanych okrągłych okularów w drucianej oprawce.

– Tony! Tony McLean! Jezu, człowieku. Gdzieś ty przepadł? Kupę lat. – Mężczyzna uśmiechał się szeroko.

Wytarł ręce w ścierkę zatkniętą za pasek, z którego można by wykroić pewnie ze trzy sztuki przeciętnych rozmiarów. Ruszył w kierunku McLeana, który nie zdążył uciec i nagle znalazł się w niedźwiedzim uścisku. Poczłł gwałtowny ból w żebrach. Myślał, że dawno się wygoiły, ale widać jeszcze nie były gotowe na takie traktowanie.

– Bobby. Jak miło cię widzieć. – McLean z trudem uwolnił się z objęć szefa kuchni. – Widzę, że nadal prowadzisz to miejsce.

– Ludzie muszą jeść. Nie każdy może co wieczór pozwolić sobie na obiad w eleganckiej restauracji. – Zmierzył wzrokiem nieco wystraszonego posterunkowego MacBride’a, który nadal nie ruszał się spod drzwi. – A ta królewna, to kto?

– Nie bądź wstrętny, Bobby. To mój kolega, posterunkowy MacBride. Możliwe, że rozmawiałeś z nim wcześniej przez telefon. Czy to Eric?

– Głodzą cię w tej pracy, MacBride? – Bobby podał rękę na powitanie.

– Bobby Innes? – Dłoń posterunkowego na chwilę znikła w ogromnej łapie Bobby’ego.

– A! Jeden z moich fanów. – Bobby poruszył ramieniem MacBride’a w górę i w dół, aż ciało posterunkowego gwałtownie się zatrzęsło, zrobił krok w tył i mierzył go wzrokiem od góry do dołu, wciąż nie wypuszczając jego ręki. – Dziwne, wyglądasz, jakbyś w ogóle nie jadł.

– Czytałem artykuł o panu w „Scotsmanie” – wyznał MacBride, zabierając rękę. – Pana restauracja w Leith dostała gwiazdkę Michelin. Nie miałem pojęcia... – Urwał i powiódł wzrokiem dokoła.

– Tutaj wszystko się zaczęło. Niedokładnie tu, ale w każdym razie w Bonnyrigg. Tata miał bar z rybą i frytkami na High Street. Ale pewnie znasz tę historię. Wszyscy kochają opowieści „od zera do milionera”, no nie? – Bobby zwrócił się do młodzieńców od warzyw: – Popilnujcie interesu. Idę poszukać Erica.

Wyprowadził ich z kuchni, przeszedł przez salę pełną cierpliwie czekających bezdomnych, wszedł do kolejnego pomieszczenia, przez cały czas nie przestając gadać.

– Strasznie długo się nie widzieliśmy, Tony. Czemu już nie wpadasz do restauracji? Ktoś

inny gotuje ci ulubione potrawy?

– Przestałem jadać na mieście po śmierci Kirsty.

– Widać. Ale przynajmniej ja jem za dwóch. – Bobby walnął się w gigantyczny brzuch.

Pomieszczenie, do którego weszli, miało ściany pomalowane na typowy biurowy beż i panoramiczne okno, wychodzące na przysypany śniegiem ciemniejszy ogród. Między wysokimi cyprysami wyznaczającymi granicę z sąsiednią posesją migały wzgórza Pentland. W jednym końcu ustawiono kilka stolików otoczonych prostymi krzesłami, zaaranżowanych na wzór sali restauracyjnej. Pod przeciwległą ścianą na wielkim otwartym palenisku przyjaźnie buzował ogień, wokół stały sofy i wygodne fotele, niczym karawana wozów. Pokój był niemal pusty – większość czekała w kolejce po zupę. Przy jednym ze stołów siedziały dwie osoby, obie znane McLeanowi. Eric był partnerem Bobby'ego i mózgiem przedsiębiorstwa. Podobnie jak Bobby, odznaczał się sporymi gabarytami, ale w jego przypadku masę tworzyły raczej mięśnie niż jedzenie opatrzone gwiazdką Michelin. Na blacie leżały niewielki laptop i komórka. Mężczyźni przerwali rozmowę na ich widok.

– Inspektor.

Gordon Johnson, Gordy, jak sam się przedstawił, wyglądał znacznie lepiej niż przy poprzednim spotkaniu, ale jego oczy wciąż miały ten sam znękaną wyraz. Siedział na brzegu krzesła, spięty, gotów uciec w razie najmniejszej oznaki zagrożenia. Stracił całą wolę walki. Człowiek, który służył ojczyźnie w niezliczonych bitwach, był złamany, ostatecznie zniszczony.

– Jak się masz, Gordy? Karmią cię tu chociaż przyzwoicie? – McLean chwycił jedno z wolnych krzesel, przysunął je i usiadł. Skinął głową na powitanie drugiemu mężczyźnie. – Eric.

– Kupę lat, Tony. Chcesz pogadać z Gordym na osobności?

McLean zauważył, że Gordy zeszywniał.

– Nie. Nie przyjechałem robić dymu. Chciałem ci tylko przekazać, Gordy, że znaleźliśmy twojego przyjaciela, Billbo.

Oczy Gordy'ego zrobiły się wielkie jak spodki, przeskoczyły z twarzy McLeana do Erica, potem w stronę stojącego bliżej drzwi MacBride'a, by wreszcie wrócić do punktu wyjścia.

– Nie żyje, prawda?

– Tak. Przykro mi.

– Mówiłem. Zabrały go ciemne anioły. Chciały wziąć mnie, ale je powstrzymał. To jego zabrały.

– Szukamy ich, Gordy. Tych ciemnych aniołów. Musisz nam powiedzieć, gdzie byłeś, kiedy po was przyszły.

– Nie tutaj. – Gordy spojrzał na Erica. – Tutaj jest bezpiecznie.

– W mieście? W pobliżu centrum?

Kiwnięcie głową. To by tłumaczyło, dlaczego trafił do nich, a nie do komisariatu w Loanhead czy Dalkeith.

– Myślisz, że potrafiłbyś pokazać nam to miejsce?

Oczy Gordy'ego zrobiły się jeszcze większe. Wydierał z nich strach na pograniczu obłędu. Eric położył mu delikatnym gestem rękę na ramieniu. Dotyk jakby dodał Gordy'emu siłę, przynajmniej odrobinę.

– Twoim błyszczącym samochodem?

– Nie nazwałbym go błyszczącym, ale tak. Moim samochodem. Nawet nie będziesz musiał wysiadać, wystarczy, że wskażesz miejsce. A potem odwiozę cię tutaj albo do koszar, jak wolisz.

Gordy spojrział na swoje dłonie, zaciśnięte w pięści, leżące na stole. Przez chwilę drżały, ale w końcu odzyskał nad nimi kontrolę, spojrział na McLeana jasnym zdeterminowanym wzrokiem.

– Dobrze, pokażę. Pokażę, gdzie to się stało.

– Skąd pan zna Bobby’ego Innesa, szefie?

Całe szczęście, że posterunkowy MacBride nie urósł wyższy. Siedział wciśnięty na tylnym siedzeniu i nie skarżył się, ale McLean widział, że raczej brakuje mu przestrzeni. Gordy zajmował miejsce z przodu, sztywno wyprostowany. Strach i obłęd buzowały w jego wnętrzu, tuż pod powierzchnią. McLean wolał się nie zastanawiać, co się dzieje w jego poranionym umyśle.

– Za czasów studenckich dzielił mieszkanie z Kirsty. Pomogliśmy mu przy remoncie pierwszej restauracji. Jezu, prawie o tym zapomniałem.

McLean patrzył, jak w blasku latarni pierwsze płatki śniegu spadają na ziemię. Powinno być jasno jeszcze przez mniej więcej godzinę, ale słońce od rana nie zdołało się przebić przez grubą warstwę chmur i chyba wreszcie dało sobie spokój. Wyjechali odpowiednio wcześnie, ale teraz, dojeżdżając do centrum, i tak musieli utknąć pośród ślimaczących się samochodów.

– Nie miałem pojęcia, że gotuje w jadłodajni dla bezdomnych. W dodatku Bonnyrigg.

– To coś więcej niż jadłodajnia. Bardziej ośrodek resocjalizacji. Miejsce, gdzie osoby w trudnej sytuacji, mogą się zatrzymać, pozbierać do kupy. Domyślam się, że właśnie dlatego cię tam znaleźliśmy, co, Gordy?

Były żołnierz drgnął, usłyszawszy swoje imię, jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, jakby spał i właśnie brutalnie go zbudzono.

– Yy? Co?

– Bonnyrigg – powtórzył McLean. – Próbowalesz stanąć na nogi?

– Ukryłem się przed ciemnymi aniołami. Miasto nie jest bezpieczne dla takich jak my. – Opuścił głowę i wykręcił szyję, by za szybą poszukać wzrokiem niewidzialnych potworów, czających się na dachach kamienic. – Dla nikogo nie jest bezpieczne.

– Postaramy się załatwić to szybko i sprawnie. Powiesz nam, w którym miejscu porwali Billbo?

– Tędy. – Gordy wskazał w kierunku West End i New Town. – Będę wiedział, jak zobaczę.

Po kolejnych trzydziestu minutach dowlekli się na koniec George Street, potem jeszcze kawałek dalej w stronę Dean Village. Wraz z każdymi pokonanymi światłami McLean coraz mocniej utwierdzał się w podejrzaniach co do celu ich podróży. I kiedy, nie czekając na wskazówki Gordy’ego, skręcił w następną ulicę, podejrzania się potwierdziły. Powoli minęli pusty dom Andrew Weatherly’ego, wpatrzony martwymi oczodołami w niebo pełne płatków śniegu.

– Tutaj, w prawo – nakazał Gordy, machając ręką i mało nie dając przy tym McLeanowi w twarz.

Inspektor przyhamował trochę zbyt gwałtownie, poczuł, jak samochód ślizga się na

ośnieżonym bruku, minął wąską alejkę, w którą i tak nie zdołałby wjechać. Przez chwilę myślał, że zaraz uderzy w czarny van transit zaparkowany przy chodniku, ale jednak go minął, dosłownie o kilka centymetrów.

– Tutaj?

– Tak. Tutaj. – Głos Gordy’ego łamał się, brzmiał, jakby znalazł się na granicy hysterii.

McLean spojrział w tylne lusterko, lecz ujrzał w nim tylko posterunkowego MacBride’a. Przez tylną szybę i tak niewiele mógł zobaczyć. Ale z przodu zauważył wolną przestrzeń. Chyba podwójna żółta linia. Nie był pewien z powodu śniegu. Zjechał na bok i wyłączył silnik.

– Pójdę się rozejrzeć, okej? Chcesz iść ze mną czy wolisz zostać?

W odpowiedzi Gordy nacisnął klamkę, rozpiął pas i wysiadł. Samochód wypełnił się zimnym powietrzem. McLeana przeszedł dreszcz. Wysiadł, przesunął siedzenie, by wypuścić MacBride’a. Nim zdążyli się pozbierać, Gordy był już w połowie alejki.

– Teraz ich tu nie ma – powiedział, kiedy go dogonili.

Nie musiał tego mówić. Alejka biegła między szeregowcami, wzdłuż prywatnych ogródków na tyłach. Furtki z giętego żelaza, każda wyposażona w kłódkę zwisającą z ciężkiego łańcucha, broniły dostępu niepowołanym osobom. Z boku znajdowała się dodatkowa niewielka furтка strzeżona przez nowoczesny wideodomofon i system kamer. McLean spojrział w górę i zobaczył kamerę wymierzoną w stronę rzędu furtek, nie liczył jednak na to, że uda im się zdobyć nagranie.

– W którym dokładnie miejscu stałeś, Gordy?

– Tutaj. – Gordy wskazał na drzwi, częściowo zablokowane wielkim kontenerem na śmieci.

McLean podszedł bliżej, obrócił się parę razy, ukucnął. Miejsce było osłonięte, znajdowało się poza zasięgiem kamery, a co najlepsze, z otworu wentylacyjnego buchało ciepłym powietrzem. Owszem, śmierdziało, a wiatrak nieustannie hałasował, ale było sucho i ciepło. McLean podszedł do drzwi, popatrzył w stronę furtek. Prawie nie było ich widać, tylko górną część i ciemne drzewa w tle, szkieletowane gałęzie wyciągnięte do nieba niczym kościste paluchy. Wielkie płatki śniegu wirowały pośród czerni, przez chwilę jaśniały w świetle latarni, by zaraz ponownie zniknąć.

– Jak znalazłeś to miejsce? – McLean podniósł się i wyszedł z powrotem na zimną alejkę. – Tak trochę na uboczu, co?

Gordy, który przez cały czas wpatrywał się w furtki takim wzrokiem, jakby to były bramy piekieł, zwrócił głowę w stronę McLeana, jego oczy zaśniły w mroku.

– Człowiek poznaje różne zakamarki, jak trochę kręci się po ulicach. Sam powinienes wiedzieć. Lumpy i gliny, nikt nie zna miasta tak jak my.

McLean musiał przyznać, że coś w tym jest.

– Dlaczego nikt inny nie korzysta z tego miejsca?

– Zaznaczyłem je. – Gordy wskazał na kamienny fragment ściany tuż koło drzwi.

Rzeczywiście McLean zauważył jakieś wyrysowane węglem linie.

– Zaznaczyłeś swoją własność?

– Nie. To ostrzeżenie. Każdy, kto umie odczytać te znaki, będzie się trzymał z daleka.

– A więc, Gordy, co tu się wydarzyło? Skąd przyszły te ciemne anioły?

Gordy zeszywniał. Ręce zaczęły mu się trząść. Rozglądał się dokoła, jakby dopiero do

niego dotarło, gdzie się znajduje.

– Wyszły ze ścian. Były wszędzie. Ich oczy płonęły jak ogień, miały ogony, które sypały iskrami i parzyły. Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Zupełnie jak na wojnie. Myślałem, że znów tam jestem. A potem zjawił się Billbo, wrzeszczał jak... jak... – Gordy urwał, wyczerpany. Ramiona mu opadły, przez chwilę wyglądał tak, jakby miał się osunąć na ziemię, ale nie, stał dalej, kołysząc się lekko wśród leniwych wielkich płatków śniegu. Opuścił bezwładnie ramiona niczym marionetka rzucona na oparcie krzesła, czekająca, aż mistrz wróci i znów weźmie sznurki do ręki.

McLean podszedł bliżej i zobaczył łyżę na policzkach Gordy'ego.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Już dosyć widzieliśmy.

Gordy powoli obrócił głowę, pociągnął nosem.

– Przybyły po mnie. To była moja kolej. Ale Billbo poszedł zamiast mnie. Dlaczego to zrobił?

McLean przyglądał się, jak radiowóz wyjeżdża z parkingu, skręca w prawo i kieruje się na południe, w stronę obwodnicy i Bonnyrigg, z Gordym w środku. McLean uznał, że kolejna wyprawa zajęłaby mu za dużo czasu, nawet gdyby udało mu się nie spotkać na miejscu z Bobbym ani z Erikiem. Zawsze byli bardziej znajomymi Kirsty niż jego, a od czasu jej śmierci wystrzegał się jej znajomych bardziej niż swoich. Kiedy zdał sobie sprawę, gdzie schronił się Gordy, sądził, że spotkanie będzie niezręczne i krępujące, przyniesie na powrót ból i rozpacz. A teraz zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie próbował odzyskać z nimi kontaktu.

– McLean. Do mojego gabinetu. Natychmiast.

Możliwe, że nadinspektor Duguid zupełnie przypadkiem przechodził korytarzem akurat w chwili, kiedy McLean wchodził tylnymi drzwiami do budynku komisariatu, ale bardziej prawdopodobne, że przyczaił się i czekał właśnie na ten moment. Tak czy inaczej, bezbarwny, wyzuty z emocji ton nie pozostawiał miejsca na dyskusje. Ze wściekłym nieracjonalnym Duguidem McLean potrafił sobie radzić, z tym zimnym i spokojnym szło mu znacznie gorzej.

– Jeśli chodzi o sierżant Ritchie...

– Nie tutaj. Do gabinetu – przerwał mu Duguid, po czym odwrócił się i pomknął schodami w górę w tempie dość zaskakującym jak na kogoś w jego wieku.

McLean ruszył za nim. Stały tępy ból w biodrze zmienił się w serię gwałtownych szarpnięć, powracających przy kolejnym kroku. Po chwili McLean został w tyle. Ironiczny aspekt tej zamiany ról nie uszedł jego uwagi. Kiedy następna wizyta u fizjoterapeuty? Na pewno nie za wcześniej.

– To po prostu przekracza twoje możliwości, co, McLean? – Duguid usiadł w fotelu stojącym przy zbyt wielkim biurku. McLean stał, zresztą nie bardzo miał wybór.

– Słucham?

– Subtelność. To nie w twoim stylu.

– Przepraszam, szefie, ale naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– Do licha ciężkiego. O to. – Duguid wziął do ręki leżącą na brzegu biurka gazetę, jednym płynnym ruchem rozłożył ją i rzucił z powrotem na blat, w stronę McLeana. Za odpowiedź wystarczył nagłówek. *Morderca rodziny przyłapany na łóżkowych igraszkach*. Widocznie starszy redaktor „Evening News” znowu pojechał na wakacje.

– Mieliśmy zamknąć tę sprawę. Zamieść pod dywan, robiąc przy tym jak najmniej hałasu. Dyskretnie. Czy to jest dyskretne? Coś ty sobie, kurwa, myślał, dając dziennikarzom te fotki?

– Że co? Myśli pan, że...

– Dzisiaj rano przez godzinę gadałeś z Jo Dalglish. A po południu daje nam tym po mordzie. – Duguid podniósł gazetę i znów rzucił ją na biurko. – Niby skąd miałyby zdobyć

takie informacje?

– O Boże. – McLean ścisnął grzbiet nosa palcami i zamknął oczy, marząc, by kiedy je znowu otworzy, okazało się iż jest we własnym domu, a to wszystko było tylko złym snem. Oczywiście nie podziałało. Nigdy nie działało. – Tak, rozmawiałem dziś rano z Dalgliesh. Przyznaję. Ale przez pięć minut, maks dziesięć. Cholerne babsko napadło mnie na ulicy. Zaczęła bredzić o Weatherlym. Pomyślałem, że jeśli jej powiem, by poszukała ludzi, którzy przysłali jej zdjęcia, to przynajmniej na chwilę będziemy ją mieli z głowy. Widać wybrała prostszą opcję i postanowiła nam dołożyć.

Duguid zmrużył oczy i pociemniał na twarzy. Wyglądał jak chomik, którego ktoś zmusza do wyprodukowania racjonalnej myśli.

– Skoro nie ty dałeś jej te zdjęcia, to kto?

Jezu Chryste, a kto posadził tego człowieka na tak odpowiedzialnym stanowisku? McLean kołysał się na piętach, próbując zgadnąć, co leży u źródeł wściekłego wybuchu Duguida.

– Prawdopodobnie te same osoby. Zwykła szara koperta, dostarczona anonimowo. Zero komentarzy, żadnej karteczki. Tylko starannie dobrane fotki.

– Ale... skoro wcześniej wysłali je do nas... to jaki jest ich cel? Co chcą zyskać na...?

– Prócz dopierdolenia mnie i całemu zespołowi? Utrudnić panu życie? A może komendantowi? Moim zdaniem, to raczej oczywiste.

Mina Duguida była niewielką nagrodą. W każdym razie nie zrekompensowała ochrzanu.

– Oświeć mnie – poprosił nadinspektor.

– Człowiek, który dał mi te zdjęcia, powiedział, że mam szukać dalej, mimo że zamknęliśmy dochodzenie. Był doradcą Weatherly'ego. Częścią grupy, która monitorowała jego ekscesy. Tolerowali różne wyskoki, dopóki był dla nich pożyteczny. Pilnowali, żeby nie przekraczał pewnych granic.

– Rzekłbym, że nieźle spierdolili robotę.

– Na to wygląda. Ale jest coś więcej. Ktoś przeszukał dom Weatherly'ego w Edynburgu, zanim my dotarliśmy na miejsce. Zlikwidowali wszystkie twarde dyski za wyjątkiem tych, które chcieli nam pokazać. Dawkowali informacje, manipulowali dochodzeniem. – McLean przypomniał sobie rozmowę po ostatniej konferencji prasowej. – Wydaje mi się, że przeciągnęli na swoją stronę nawet Jacka Tennanta. Czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewał.

– Ale to bez sensu. Po co mieliby nam dawać zdjęcia, skoro chcieli zamknąć sprawę? Po co dawać je, kurwa, do prasy?

– Wydaje mi się, że chodziło o czas. Coś takiego musiało wypłynąć, wcześniej czy później. Chcieli sterować tym procesem. Przeciągnąć do momentu, kiedy będą w stanie nad nim zapanować. Weatherly nie jest jedyną osobą na tych zdjęciach. Musieli też zapewnić ochronę innym. Albo je skazać. – Nagle zaświtała mu w głowie jeszcze jedna możliwość. Poczł zany zimny ucisk w żołądku. – Albo istnieją dwie strony walczące ze sobą, które próbują się nami posłużyć.

– Zaszra polityka. – Duguid znów wziął gazetę do ręki, przerzucił kartki tak brutalnie, że niechcący rozdarł pierwszą stronę. – Jezu, jak ja nienawidzę, kiedy ktoś nami pogrywa.

W przypadku każdej innej osoby McLean byłby zaskoczony. Może nawet by zaprotestował,

powiedział, że nie należy krytykować innych, kiedy samemu nie umie się przyjąć krytyki. Ale to był Dagwood. W tym przypadku wszelkie uwagi nie miały sensu. McLean próbował zachować spokój, zdusić wściekłość, aż zmieniła się w ciche westchnienie. Rozdarta kartka powoli opadła, parę razy zakręciła się w powietrzu i wylądowała u jego stóp. Andrew Weatherly, gładki i wielce z siebie zadowolony, patrzył na niego z figlarnym uśmieszkiem, jakby świetnie się bawił, widząc, jakiego narobił zamieszania.

– Ja też, szefie. Ja też.

– Jezu Chryste, co ty tu robisz? Myślałem, że wzięłaś zwolnienie lekarskie.

McLean wpadł do pokoju dochodzeniówki, wracając z gabinetu Duguida, w nadziei że zastanie tam Boba Gburka. Zamiast niego znalazł siedzącą za biurkiem sierżant Ritchie, bladą i zakatarzoną, o zapadniętych oczach i wymizerowanej twarzy. Posłała mu znużony uśmiech.

– Przykro mi, szefie. Uznałam, że to jest ważniejsze. – Ruchem głowy wskazała laptop i się skrzywiła.

– A mówią, że to ja jestem straconym przypadkiem... – McLean podszedł do biurka i spojrział na ekran. Najpierw myślał, że to policyjna baza przestępców, ale zdjęcie w prawym górnym rogu stanowczo nie pasowało. Zaraz potem zauważył logo wikipedii oraz hasło. Jane Louise Dee.

– Pani Saifre? – Przypomniawszy sobie kobietę spotkaną na stypie.

– Takim nazwiskiem obecnie się posługuje, ale wszyscy raczej kojarzą ją pod tym. – Ritchie uderzyła paznokciem w ekran.

– Tak?

– Szczerze. Myślałam, że posiadasz niezłe ogóle wykształcenie. Jane Louise Dee. Szkocki odpowiednik Billa Gatesa. Wymyśliła połowę rzeczy, dzięki którym nasze sieci komputerowe działają jak należy.

– To ona? – McLean potrząsnął głową. Z lekkim zażenowaniem przypomniał sobie tamtą rozmowę. Owszem, znał to nazwisko, teraz to sobie uświadomił. Dziwne, że nic mu nie powiedziało, kiedy zobaczył je na wizytówce. Jego ręka powędrowała do kieszonki na piersi. Tamtego dnia miał na sobie tę samą marynarkę. Wizytówka na pewno wciąż tam była. Tylko nazwisko i numer komórki. Nic więcej.

– Przesłuchiwałam ją. Po śmierci Weatherly'ego. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Ritchie wysunęła szufladę biurka, wyjęła wielki plastikowy słoik ze środkami przeciwbólowymi, potrząsnęła, sprawdzając, czy coś zostało. Wyrzuciła na dłoń dwie odporne tabletki, popiła wodą z dwulitrowej butelki. Zanim zasunęła szufladę, McLean zauważył, że w środku leżą jeszcze trzy takie same słoiki.

– Wydaje ci się? Masz wątpliwości?

– No właśnie. Dziwna sprawa. Nigdzie nie mogę znaleźć notatek. W teczce nie ma, w notesie też nie. Ale to... – Ritchie wzięła do ręki kartkę papieru z logo firmy Weatherly Asset Management i listą nazwisk – przy każdym ptaszek i uwagi pajęczym pismem Ritchie – ... to jest dowód. Coś jakby nawet pamiętam.

– Coś jakby? – powtórzył McLean.

– Głupia sprawa. Mam straszny mętlik w głowie. Jestem pewna, że ją przesłuchiwałam. Tylko... hm... nie przypominam sobie żadnych szczegółów, nie licząc kawy i herbatników.

McLean mógł jedynie współczuć.

– Też tak czasem mam. – Wyjął kartkę z wilgotnych palców Ritchie, spojrzał na listę. – Nieraz przerabiałem takie przesłuchania. Po jakimś czasie, kiedy kolejny raz zadaje się te same pytania i dostaje te same odpowiedzi, naprawdę trudno zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły. Dodaj do tego wstrętne choróbsko i możesz sobie pogratulować, że chociaż jej nazwiska nie zapomniałaś. – Rzucił kartkę do otwartej teczki.

– Ale i tak mam wyrzuty sumienia. Powinnam była to skończyć już dawno temu. To znaczy wiem, że zamknęli dochodzenie, ale jest jeszcze prasa i...

– Zmykaj do domu, Kirsty. – McLean pochylił się i delikatnym ruchem zamknął laptop. Jane Lousie Dee popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby błagała, by nie traktował jej tak okrutnie.

– Ale raport...

– Może poczekać. Masz rację. Oskarżyciel publiczny zażąda teraz nowego raportu. Musimy ponownie otworzyć dochodzenie, chociaż nic z tego nie wyniknie. Ale ty na nic się tu dzisiaj nie przydasz. Potrzebujesz wypoczynku. A robota nie ucieknie. Jak wrócisz, będzie na ciebie czekała.

Ritchie spojrzała na McLeana i pociągnęła nosem.

– Serio? – powiedziała. – Szkoda. Miałam nadzieję, że sobie pójdzie raz na zawsze.

Po rozmowie z Ritchie pokusa, by zamknąć się w gabinecie i schować za stosem wiecznie rosnących papierzysek, straciła sporo ze swego uroku. Wiedział, że ma tylko krótką chwilę na złapanie oddechu, nim wierchuszka przeczyta „Evening News” i gównem wpadnie do wentylatora. Przy odrobinie szczęścia może nie wyrzucą go z pracy, ale przyjemnie na pewno nie będzie. Tak zresztą ostrzegał nocny gość. Cóż, McLean wiedział, że z głodu nie umrze, nawet jeśli go wywalą, ale reszta zespołu nie zasłużyła na taki los.

Uznał, że najlepszym lekarstwem na stawienie czoła nieuniknionej krytyce będzie zajęcie się czymś zupełnie innym, i udał się do niewielkiego pokoju, przeznaczonego dla zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie Williama Beaumonta – zaraz naprzeciwko pokoju, w którym niedawno zdechło dochodzenie w sprawie Weatherly’ego. Może otworzą je ponownie, a może nie. Na razie pomieszczenie stało puste. McLean sam nie wiedział, dlaczego wszedł do środka. Nie było tam nikogo – niezłe wytłumaczenie, gdyby nie fakt, że w tym drugim pomieszczeniu też na pewno nikogo nie było.

Nie zapalił światła. Przez okno sączył się słaby pomarańczowy blask latarni ulicznych. Śnieg, który przez cały dzień popadywał w krótkich interwałach, teraz, kiedy zrobiło się ciemno i zimno, zmienił się w regularną śnieżycę. Tym razem przynajmniej nie wiał silny wiatr, który roznosiłby puch na wszystkie strony.

Prawie cały środek pokoju zajmował wielki stół konferencyjny, biurka przestawiono pod ściany. McLean ruszył powolnym krokiem, przesuając palcem po drewnianych blatach. Panowała tu cisza i spokój. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio miał okazję po prostu usiąść i pomyśleć. Albo choćby postać i pomyśleć. Może w czasie wycieczki na wzgórze za domem Weatherlych? Mimo że goniło go całe stado krów szkockiej rasy wyżynnej.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Tak naprawdę wcale go nie goniły, po prostu były ciekawe, co porabia na ich terenie. Gdyby się tak nie spieszył, pewnie by zaczekał, aż do niego przywykną.

Wciąż nie zapalając światła, wreszcie uświadomił sobie, na co się przez cały ten czas gapi, w jakim celu jego podświadomość zawiodła go do tego pomieszczenia. Ściana na końcu była podzielona, jedną połowę zajmowała biała tablica, wciąż zapisana notatkami i pytaniami związanymi z Andrew Weatherlym. Drugą połowę – tablica korkowa, do której przyczepiono plan miasta i okolic.

McLean nie wiedział, czy to ten sam plan, który MacBride powiesił wcześniej w pokoju po drugiej stronie korytarza. Zresztą nie miało to znaczenia. W każdym razie był to dość nowy plan miasta, więc na pewno w miarę aktualny. McLean zapalił światło, podszedł do tablicy, pochylił się i odszukał na południu Roslin i rzekę. Odpiął plan, złożył i podszedł do stołu konferencyjnego, na którym mógł spokojnie go obejrzeć, nie narażając się na skręt karku.

Obwodnica otaczała miasto węzowym splotem, za którym pozostały Loanhead, Bilston, Roslin i trochę dalej Penicuik. McLean powiódł palcem wzdłuż rzeki North Esk, od Dalkeith do Polton Mill i wreszcie do Roslin Glen. Mimo górnego światła musiał porządnie wyteńczyć wzrok, by odnaleźć zamek, kaplicę i miejsce, w którym wyciągnęli ciało z rzeki. Czuł irytację na myśl, że do tej pory tego nie zrobili, i to z tak banalnego powodu, że ktoś im buchnął plan. Wzorowe dochodzenie. Nic dziwnego, że Duguid miał go w pogardzie.

Przesunął palec dalej, odnalazł koszary Glencorse, ruiny fabryki prochu, tory, park krajobrazowy. Gdzieś tutaj mężczyzna z tatuażami, William Beaumont, spadł z klifu i zakończył żywot w rzecznych odmętach. Przynajmniej taka hipoteza wydawała się najbardziej prawdopodobna. Na ciele widniały zadrapania, więc zapewne biegł przez zarośla. Gdyby ktoś po prostu go zepchnął, w jego nogach i ramionach nie utkwiłoby tyle cierni. W takim razie, skąd biegł? Na pewno z jakiegoś miejsca w pobliżu. Było przecież zimno, a on nie miał na sobie ubrania. Niezależnie od stopnia przerażenia, taki mróz każdemu z pewnością szybko kazałby zwolnić.

Rosewell i Bonnyrigg na północnym wschodzie leżały stanowczo za daleko. Zresztą wątpliwe, by nagi mężczyzna przebiegł, ot tak sobie, po terenie zabudowanym. Ktoś musiałby go zauważyć. A więc gdzieś bliżej. Palec przesunął się nad zespołem budynków tworzących szpital Rosskettle, szpital psychiatryczny, jeśli dobrze pamiętał. Już nieczynny. Opuszczony. Pewnie warto by się rozejrzeć. Jak tylko ten śnieg wreszcie przestanie padać.

McLean złożył mapę, wsunął pod pachę i wyszedł. Kiedy znalazł się w korytarzu, poczuł się tak, jakby ktoś odetkał mu uszy. Napłynęły dźwięki – w zamkniętym pokoju nawet nie zdawał sobie sprawy, że ich nie słyszy. Milczący czar ulotnił się bez śladu.

– Znów coś ukradłeś, McLean?

Odwrócił się i zobaczył okazałe kształty nadinspektora Brooksa blokującego cały korytarz. Obok podskakiwał malutki inspektor Spence, jak wyjęty prosto z Muppet Show.

– Myślałem, że nikomu nie jest potrzebny. – McLean trzepnął o udo złożonym planem. – Zresztą wcześniej ktoś go buchnął z mojego pokoju.

– Ach, tak. Tajemniczy mężczyzna z tatuażami. Jak idzie?

– Wiemy, kto to był. Wiemy, gdzie ostatnio widziano go żywego i gdzie zginął. Trzeba tylko wypełnić puste miejsce pomiędzy.

Nie wiadomo, jakiej odpowiedzi spodziewał się Brooks, ale z całą pewnością nie takiej. Był już blisko. Po chwili przetoczył się obok McLeana, zmuszając go, by schronił się w otwartych drzwiach, i pokazał zęby w groźnym grymasie.

– Lepiej się pospiesz. Bardzo się zdziwię, jeśli pod koniec tego tygodnia nadal tu będziesz.

Nie pierwszy raz McLean zastanawiał się, dlaczego jeszcze nie wystąpił z policji. W końcu nie potrzebował zarabiać pieniędzy, a użeranie się na co dzień z takimi osobnikami jak Dagwood i Brooks podpadało pod wyjątkowo wyrafinowaną odmianę masochizmu. A z drugiej strony, kiedy przypiął mapę do tablicy w pokoju dochodzeniowym, wygładził ją i popukał palcem w niewielkie skupisko szpitalnych budynków, poczuł przyjemny dreszcz podekscytowania. To był najlepszy aspekt tej pracy. Śledzenie tropów, powolne tworzenie obrazu z pojedynczych elementów. A na końcu, w wersji optymistycznej, sprawiedliwość oddana ofierze.

Dopiero kiedy zrobił krok w tył, by objąć spojrzeniem całą tablicę, zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Zza wielkiego płaskiego monitora stojącego na biurku w głębi pomieszczenia, tuż obok kaloryfera, dochodziło ciche chrapanie, które po chwili zakończyło się gulgotem i chrupnięciem. Bob Gburek obudził się z drzemki. McLean spojrział na zegarek. Prawie szósta. Kiedy ten czas minął?

– Dobry wieczór. Widzę, że pilnujesz krzesła, żeby nigdzie nie uciekło.

Bob Gburek przeciągnął się, ziewnął i podrapał siwy zarost na policzku.

– Sam wiesz, jak to jest z tymi raportami wewnętrznymi. Wystarczy o nich pomyśleć, a człowiek już śpi, o czytaniu nawet nie wspomnę.

Wziął do ręki plik kartek, wstał, strzelając stawami, i okrążył biurko, z wyraźnym zamiarem wręczenia papierów McLeanowi.

– Nie, dzięki. Możesz je zatrzymać. Nie mam kłopotów z zasypaniem. – McLean wyciągnął ręce obronnym gestem. – A co to jest, tak przy okazji?

– Raport z oddziału wodnego.

– Z oddziału wodnego?

– Nie pamiętasz, szefie? Roslin Glen.

– A, jasne. Nie przypuszczałem, że wyruszą w taką pogodę.

– Zapewne nie byli zachwyceni, ale jednak popłynęli. I nawet coś znaleźli. – Bob Gburek jeszcze raz podał mu papiery, a McLean tym razem je przyjął. Spojrział na kilka fotografii, zbliżeń, które niezbyt dobrze zniosły proces drukowania.

– Podsumowanie?

– Wszystko oparte na domysłach i gdybaniach, ale prawdopodobnie rzeczywiście stało się to tam, gdzie przypuszczałeś.

McLean przywołał w pamięci klif, mocny uścisk ręki MacBride'a dzielący go od bolesnej śmierci.

– Ślady?

– Mnóstwo połamanych gałęzi. Oczywiście to żaden dowód. Mogło być cokolwiek. Ale na skałach przy brzegu znaleźli też fragmenty, jak przypuszczają, skóry. Przysypane śniegiem, tak jak wszystko. Próbkę trafiły do laboratorium. Rano powinniśmy poznać wyniki. Potwierdzenie, czy to nasz facet, potrwa trochę dłużej, ale nie sądzę, by ostatnio ktoś więcej zdzierał łydki po tej stronie rzeki.

– Wschodniej, jak przypuszczam.

– Zgadza się.

McLean wrócił do planu, wziął do ręki czerwony marker i zaznaczył miejsce kółkiem.

– Bob, co wiesz na temat szpitala Rosskettle?

Bob Gburek podrapał się po rzednących siwych włosach.

– Rosskettle? Niewiele. To chyba wariatkowo, nie?

– Sądzę, że szpital psychiatryczny to właściwszy termin, sierżancie.

– No, no. Ale już chyba nic tam nie ma. Przenieśli wszystkich w nowe miejsce, na Little France.

– Zbierz informacje, okej? Chyba powinniśmy pojechać tam zaraz z rana.

Bob Gburek uniósł brew.

– A nie masz przypadkiem spotkania z ulubionym terapeutą?

McLean spojrział na zegarek, sprawdził datę i godzinę. Rzeczywiście o ósmej czekała go cotygodniowa strata czasu w towarzystwie Matta Hiltona.

– Chrzanić to. Idę sprawdzić, może jeszcze jest. Może nawet oświeci nas w kwestii szpitala, nigdy nie wiadomo. A jeśli nie, to przynajmniej powiem, żeby przeniósł spotkanie. Widzimy się tutaj o ósmej rano.

Kiedy McLean wychynął zza rogu, Hilton właśnie zamykał drzwi do gabinetu. Musiał uchwycić ruch kątem oka. Podniósł głowę z przerażoną miną winowajcy. McLean wiele razy miał okazję ją oglądać zwykle na twarzach osób niewinnych, świadków wezwanych do złożenia zeznań i innych pomocnych obywateli nieprzyzwyczajonych do towarzystwa policjantów. Przestępcy, przynajmniej ci bardziej wytrawni, nie dbali o to, że być może nieświadomie łamią jakieś prawa.

– Tony. Cześć. Nie sądziłem, że cię zobaczę przed jutrzejszą wizytą. – Hilton pokrył niepewność za pomocą uśmiechu, który nadawał mu wygląd osobnika głęboko zaburzonego. Od jak dawna współpracował z policją? A mimo to nadal reagował w ten sposób w momencie zaskoczenia. Hm, chyba że ukrył trupa w gabinecie.

– Aha. A propos. Zastanawiam się, czy nie dałoby się przenieść.

Uśmiech znikł. Hilton zmarszczył brwi. McLean szybko dodał:

– Chciałem też o coś zapytać. Szpital Rosskettle. Znasz?

Hilton zmienił minę niezadowoloną na bolesną w tempie, które napełniłoby dumą niejednego aktora.

– Czy znam? Oczywiście. Sporo tam praktykowałem. Naprawdę smutne, że zamknęli to miejsce, ale warunki nie spełniały nowoczesnych standardów. Poza tym leży na uboczu. Zresztą dlatego właśnie je wybrano. Chyba gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku, kiedy chorych się po prostu zamykało i po problemie. Na szczęście stosunek do chorób psychicznych od tych czasów trochę się zmienił.

– Wiesz może, co się dzieje z tym miejscem?

– Nie bardzo. – Hilton włożył klucze do kieszeni, wziął do ręki ciężki czarny neseser. – Może się przejdziemy? Zaraz muszę uciekać.

– Oczywiście. – McLean przepuścił Hiltona i ruszył za nim. – Budynek chyba nadal jest własnością państwa, prawda?

– Jak teraz o tym wspomniawsz, to przypomniałem sobie, że chyba został sprzedany. Prawdopodobnie zamienią go na ekskluzywne apartamenty czy coś w tym stylu. Pewnie się tam wybierasz, co? Dlatego chcesz przełożyć spotkanie?

– To część dochodzenia w sprawie mężczyzny z tatuażami. Przypuszczamy, że wpadł do rzeki niedaleko szpitala. I zapewne właśnie stamtąd przyszedł. Niewiele jest innych budynków w tej okolicy. Chyba że ktoś go przywiózł.

– Inspektor McLean chwyta się brzytwy? To nie w twoim stylu.

– Wolę to nazywać skrupulatnością. W każdym razie chciałbym tam pojechać wcześniej rano, jeśli tylko przestanie padać. Obawiam się, że jutrzejszy dzień zajmie nam głównie walka z prasą w związku z cholernym Andrew Weatherlym.

Hilton uśmiechnął się.

– Tak, słyszałem. Nie zazdroszczę. – Zatrzymał się u szczytu schodów, które miały go

zaprowadzić na dół, do tylnego wyjścia i parkingu dla pracowników. – Nie martw się. Będzie dobrze. A co do Rosskettle, podzwonię tu i tam, popytam. Dam znać, jeśli znajdę coś ciekawego.

– Dzięki. – McLean odprowadził wzrokiem psychiatrę, zaskoczony tym pomocnym gestem. Miła odmiana. Może Hilton właśnie tego potrzebował? Udziału w dochodzeniu? Szkoda, że przeważnie był takim dupkiem.

– Załatwione? – Bob Gburek podszedł do balustrady, przechylił się i spojrzął w dół. Przez chwilę McLean myślał, że zaraz charknie i splunie.

– Punkt ósma. Przyjadę tu po ciebie. Skończyłeś na dzisiaj?

– Tak. Zmiana skończyła się godzinę temu, raczej nie ma wielkich szans na nadgodziny. A ty?

McLean zamierzał wrócić do gabinetu i poświęcić przynajmniej parę godzin na grzebanie w aktach. Doskonale wiedział, że parę godzin nieuchronnie zmieni się w cztery. A potem wreszcie będzie mógł pójść do domu i podzielić się curry na wynos z niezadowoloną kotką pani McCutcheon. Taki miał plan na wieczór.

– Chrzanić to. Masz ochotę na piwo?

Poranne słońce wisiało nisko na niebie, rozjaśniając śnieg plamami srebra i złota. McLean zapomniał zabrać do samochodu okulary przeciwsłoneczne i musiał mocno mrużyć oczy, by w ogóle cokolwiek widzieć. Bob Gburek, siedzący obok w fotelu pasażera, po prostu dał za wygraną i zamknął oczy. Jak zwykle skrupulatnie wykorzystywał każdą okazję do drzemki. Był jak miś koala.

Im bardziej wnosił się teren, tym drogi stawały się węższe i rzadziej uczęszczane. Z obu stron ciągnęły się wysokie nasypy, które zatrzymywały śnieg, spiętrzając go w duże zaspę. McLean nieraz się zastanawiał, dlaczego tylu wyższych rangą oficerów jeździ wielkimi samochodami z napędem na cztery koła – w tym momencie wiele by dał za taki wóz. Bliżej szpitala warunki się poprawiły, śnieg zmienił się w szaroczną breję, rozjeżdżoną licznymi kołami pojazdów. Przyczynę tego wzmożonego ruchu poznał, pokonawszy ostatni zakręt.

Nadal stała tam tablica z dumnym znakiem państwowej służby zdrowia, lecz obok pojawił się nowy szyld. McLean nigdy dotąd nie słyszał o firmie Price Developments. Z treści wynikało, że zamierzają przekształcić to miejsce w park nauki i technologii dzięki funduszom unijnym i kilkunastu organizacjom rządowym, których loga zapewne kosztowały podatników majątek. Wjazdu bronił szlaban. Podszedł strażnik w jaskrawej kurtce, z tabliczką do pisania w rękę. Popatrzył na nich, groźnie ściągając brwi.

– Teren prywatny. Wstęp wzbroniony.

– Chciałbym porozmawiać z inspektorem nadzoru inwestorskiego. – McLean podał mu legitymację.

Zmarszczka między brwiami strażnika pogłębiła się.

– Chwileczkę. – Wszedł do stróżówki umieszczonej w baraku z szerokim oknem od przodu.

McLean widział, jak mężczyzna rozmawia przez telefon. Trochę to trwało, przyjemne ciepłe powietrze w samochodzie ustąpiło zimnemu z zewnątrz. McLean już miał zasunąć szybę, wyciągnął rękę, by podkreślić temperaturę i skierować nawiew na swoje stopy, ale w tym momencie strażnik skończył rozmawiać, przycisnął guzik podnoszący szlaban i wyskoczył z baraku.

– Przepraszam, panie inspektorze. Jeśli zechce pan podjechać pod główny budynek, szefostwo będzie tam na pana czekać. Tylko proszę nie chodzić po terenie. Wiele budynków jest w kiepskim stanie. W zeszłym tygodniu zapadł się dach. Cud, że nikomu nic się nie stało.

– Dzięki. Będę uważał. – McLean zasunął szybę i wjechał na teren posesji. Po jakichś pięćdziesięciu metrach musiał gwałtownie skrócić w bok, żeby przepuścić ogromną ciężarówkę. Wiozła metalowy złom, ramy szpitalnych łóżek, żelazne balustrady i inne śmiecie. W obecnych czasach wszystko miało wartość. A złom zapewne przetopią i do czegoś wykorzystają.

Oczom policjantów ukazały się stare budynki w środkowej części kompleksu, liczące po trzy kondygnacje i wyglądające dokładnie jak na wiktoriański szpital psychiatryczny przystało. Otaczały je drzewa, wielkie stare dęby i brzozy, pośród morza dziko rosnących wiotkich młodych drzewek. Wyglądało na to, że od lat nikt tu nie dbał o zieleni. McLean zaparkował na dziedzińcu, między zardzewiałym minibusem transitem a nowiuteńkim czarnym range roverem o przyciemnianych szybach. Wygramolił się z alfy i stwierdził, że wygląda ona trochę nie na miejscu pośród tanich brudnych wozów należących do pracowników. Range rover zdradzał z kolei obecność jakiejś szczy. McLean nie musiał długo czekać, by się dowiedzieć, o kogo chodzi.

– Inspektor McLean. Znów się spotykamy.

Schodziła wolno po kamiennym stopniach przy głównym wejściu. W długim czarnym płaszczu wykończonym przy kołnierzu futrem sobolowym wyglądała jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych. Wyszła z wielkich, szerokich drzwi otoczonych ogromnymi blokami czerwonego piaskowca. Na łuku nadproża widniał ozdobny herb, pasujący raczej do jakiejś starej posiadłości niż szpitala dla psychicznie chorych. Tuż za nią kroczyło dwóch mężczyzn o potężnych gabarytach, ubranych w drogie garnitury, w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych na nosie. Wyglądali raczej na obstawę niż budowlańców.

– Pani Saifre. Wróciła pani z podróży służbowej?

– A pan nie zadzwonił. Tak czekałam na lunch w pana towarzystwie. – Wydęła wargi jak Marilyn Monroe.

– Obawiam się, że my, podrzędni oficerowie policji, nie mamy czasu wychodzić na lunch.

– A więc kolacja. Przyślę po pana samochód o ósmej.

McLean bacznie przyglądał się twarzy pani Saifre, próbując odgadnąć, czy żartuje, czy też mówi serio. Miał koszmarne przeczucie, że to drugie. Nagle uśmiechnęła się szeroko i dodała:

– Przepraszam. Nie powinnam pana zatrzymywać. Jak oni to nazywają? Marnowanie czasu policji? Mógłby mnie pan za to aresztować.

– Rozumiem, że firma Price Developments jest jednym z należących do pani przedsiębiorstw? – zapytał McLean głównie po to, by skierować rozmowę na bezpieczniejszy grunt.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jane Louise. I tak. Price należy teraz do mnie. Mamy wielkie plany co do tego miejsca. Ale co cię tu sprowadza? Bo chyba nie moja osoba. – Uniosła brew o idealnym kształcie.

– Dochodzenie w sprawie pewnego wypadku, który zdarzył się w tej okolicy. – McLean ruchem głowy wskazał w jego mniemaniu właściwy kierunek, chociaż biorąc pod uwagę, ile po drodze pokonali zakrętów, równie dobrze mógł pokazywać dokładnie w odwrotną stronę. – Pamiętam to miejsce z czasów studenckich. Słyszałem, że szpital przeniesiono, zastanawiałem się, czy może mieszkają tu jacyś nielegalni lokatorzy.

Pani Saifre wzdrygnęła się z teatralną przesadą.

– Przy tej pogodzie? Nie sądzę. W połowie okien brakuje szyb, nie zostało prawie nic, czym można by palić w kominkach. Możesz się rozejrzeć, jeśli chcesz. Tylko zachowaj ostrożność i unikaj budynków gospodarczych, bo właśnie je wyburzają.

– Dzięki. Raczej długo tu nie zabawię.

McLean patrzył, jak jeden z ochroniarzy otwiera przed panią Saifre drzwi range rovera, po

czym okrążyła samochód i wsiada od strony kierowcy. Drugi usadowił się z tyłu. Kierowca wycofał samochód z parkingu. Nagle opuściła się szyba i McLean usłyszał:

– Ósma wieczorem, inspektorze. Karl po ciebie przyjedzie. – Nim zdążył odpowiedzieć, samochód odjechał, rycząc silnikiem V8 i wypuszczając kłęby spalin.

– Znajoma? – Bob Gburek stał przy samochodzie McLeana, łokcie oparł na dachu. Na jego twarzy widniał znajomy szeroki uśmiech.

– Nie powiedziałbym. To... jedna z partnerek biznesowych Andrew Weatherly'ego. Poznałem ją na pogrzebie. Na stypie, ściśle mówiąc.

– I zaprosiła cię na kolację. Szczęściarz.

– To jakiś dziwaczny żart. Taką przynajmniej mam nadzieję. Chodź. Rozejrzyjmy się, skoro przejechaliśmy taki kawał drogi. – McLean ruszył przez parking w stronę pustej, przysypanej śniegiem przestrzeni i leżących za nią budynków gospodarczych.

– Nie wchodzimy do środka? – spytał Bob Gburek.

– Nie. W środku nie ma nic ciekawego, chyba że lubisz stare zrujnowane budynki. Mnie bardziej interesuje to, czego nie chcieli nam pokazać.

Niewiele zostało – to pierwsze, co zauważył. Kilka wielkich spycharek właśnie pilnie rozwalalo budynki i napełniało nieskończony rząd ciężarówek gruzem i złomem. Mimo że koła rozjechały na całej przestrzeni śnieg, który napadał w nocy, łatwo było dostrzec, co już zdążyli zrobić. W niektórych miejscach teren wybrzuszał się jak pod działaniem jakiejś siły – wcześniej zapewne stało tam cztery czy pięć budynków gospodarczych, prawdopodobnie identycznych jak ten, który właśnie burzono, i trzy jeszcze całe.

– Bob, gdzie jest rzeka?

– Nie mam pojęcia, szefie. Jestem fatalny w orientacji przestrzennej.

McLean spojrział w słońce, mrużąc oczy. O tej porze roku nigdy nie wznosiło się zbyt wysoko na południowym niebie. Za szkieletowanymi sylwetkami drzew po prawej stronie widać było wzgórze Pentland, co znaczyło, że tam też jest rzeka. Ruszył przed siebie, brodząc w wysokim śniegu i szerokim łukiem omijając budynki i spycharki. Nikt nie krzyczał, żeby trzymali się z daleka, nikt ich nie gonił. Dotarli do granicy między terenem szpitala a sąsiednią działką. Rzadka wstęga drzew wyznaczała skraj płaskiego pola, zapewne zaoranego i obsianego pod kołdrą bieli. Dalej, na skraju wąwozu, którym płynęła rzeka, rosło gęstsze skupisko drzew. Deweloper postawił trzymetrowe prowizoryczne ogrodzenie, by nikt przez pomyłkę nie zawędrował na teren budowy. Jeśli otaczało cały kompleks, musiało kosztować fortunę.

– Jak myślisz, od kiedy to tu stoi? – McLean wyciągnął rękę, chwycił dolną część ogrodzenia, potrząsnął. Choćby nawet pchany skrajnym przerażeniem, mężczyzna z tatuażami na pewno nie zdołałby tego sforsować.

– Ciężko powiedzieć, ciągle pada. – Bob Gburek podszedł do miejsca złączenia. Solidne sztachety wetknięto w betonowy blok. Kopnął niewielką zaspę, która się przy nim utworzyła. Nieco dalej leżał zwalony stary dąb, widać już od pewnego czasu, bo część pnia odpiłowano. Wiatr nawiał wysoki kopczyk śniegu, elegancko wyokrąglony na czubku. – Od niedawna.

– Tak myślałem. Idziemy. – McLean ruszył w stronę najbliższego stojącego budynku, który jeszcze stał w całości. Był to parterowy klocek z prefabrykatów, jeden z tych, które klecono naprędce po drugiej wojnie światowej. Przetrwały znacznie dłużej, niż przewidywano. Cienkie ściany, zapewne kryjące w sobie spore ilości azbestu, okna umieszczone zbyt wysoko, by ktoś z zewnątrz mógł zajrzeć do środka, pojedyncze szyby, minimalna izolacja. Produkt czasów, kiedy olej opałowy był tani, a zimne powietrze w nocy traktowano jako środek wzmacniający kręgosłup moralny. McLean pamiętał te straszne szkolne czasy, spanie w podobnych warunkach, zamrożoną wodę w kubku do mycia zębów na stoliku nocnym. Najszczęśliwsze lata życia. Jasne.

Betonowa rampa wiodła do podwójnych drzwi, jak się okazało, zamkniętych od środka, bez

uchwyty czy klamek po stronie zewnętrznej. McLean postanowił obejść budynek, by poszukać innego wejścia. Bob Gburek człapał obok jak ospały służący. McLean pomyślał, że kiedy dojdą do końca tej ściany, będą widoczni dla operatorów spycharek i pozostałych pracowników, a z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie chciał, żeby go widzieli. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Podsadź mnie, Bob.

– Chyba nie zamierzasz tam wchodzić? W każdej chwili mogą tę budę rozwalić. Poza tym nie mamy nakazu.

– Tylko zerknę. Nie będę wchodził.

Bob Gburek zamruczał coś o marznących rękach, ale posłusznie przykucnął. McLean wspiął się po nim, sięgnął do parapetu, pociągnął za framugę. Coś się urwało i spadło na podłogę, ale okno się otworzyło.

– Trochę wyżej, Bob.

– Podobno miałeś nie wchodzić.

– Nie sądziłem, że się pojawi taka możliwość. – McLean podciągnął się, przerzucił nogi przez parapet i ostrożnie opuścił się na podłogę, nie do końca pewien, czy utrzyma ona jego ciężar. Pomieszczenie zajmowało koło jednej czwartej całego budynku. Dach zapadł się pośrodku, przez dziurę napadało śniegu. Zamiatany podmuchami wiatru, pokrył wszystko delikatną białą warstwą. Nadal było widać krzesła i stoły, rząd ławek pod jedną ścianą, białe tablice na przeciwległej. Okna wychodzące na sąsiedni budynek pomalowano na czarno. To znaczyło, że pracownicy nie mogli go teraz widzieć. To znaczyło również, że z kolei on nie zobaczy zbliżających się spycharek. Będzie musiał polegać na dźwięku dochodzącym przez dziurę w suficie. I nerwowych pomrukach Boba Gburka.

Trzymając się ściany, McLean ostrożnym krokiem ruszył w stronę drzwi znajdujących się naprzeciwko okna, przez które wszedł. Za nimi znajdował się ciemny korytarz zięjący chłodem i wilgocią. McLean pogrzebał w kieszeni, wyjął latarkę, którą zawsze nosił przy sobie, włączył ją i skierował w głąb korytarza, przesuwając w górę i w dół. Na końcu, od strony budynków szpitalnych, korytarz rozszerzał się, tworząc niewielką recepcję, wyposażoną w biurko, półki i kilka na oko niewygodnych, rozstawionych niedbale foteli. Również tu szyby pomalowano na czarno, jakby osoba pracująca w tym budynku panicznie bała się światła. Na drugim końcu korytarza spostrzegł podwójne drzwi, te, których nie mógł wcześniej otworzyć. Po jego stronie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, naprzeciwko – czworo kolejnych drzwi, rozmieszczonych w równych odstępach.

McLean najpierw sprawdził te po swojej stronie. Krył się za nimi pokój bardzo podobny do tego, w którym był przed chwilą, tyle że ten miał jeszcze aneks kuchenny z podstawowym wyposażeniem. Okna również zamalowano na czarno, ciemna plama na suficie wskazywała, że i tu niedługo zapadnie się sufit.

Drzwi po drugiej stronie korytarza prowadziły do trzech małych sal sypialnych. W każdej z nich stały cztery wąskie łóżka z żelazną ramą, po jednym w każdym kącie. Za ostatnimi drzwiami kryła się łazienka. McLean przesunął snop światła po solidnych prysznicach sterczących ze ściany. Naprzeciwko ciągnęły się otwarte kabiny toaletowe. Zbiorowe mieszkanie w najprymitywniejszej formie. Ale kim byli lokatorzy i co się z nimi stało? Nie miał pojęcia.

Wychodząc z łazienki, usłyszał, że spycharki są coraz bliżej. W tym samym momencie dostrzegł nieduży metalowy pierścień, umieszczony w niewielkim wgłębieniu w podłodze. Wcześniej przykrywał go chodnik podklejony warstwą plastiku, teraz zwinięty pod ścianą. McLean poświecił latarką i zobaczył zarys kłapy, a na ścianie haczyk, o który zaczepiało się pierścień. Pociągnął, ale kłapa nie chciała się ruszyć. Koparki hałasowały coraz bliżej, kierowały się prosto na ten budynek. McLean ukląkł. Baczenie przyglądał się kłapie, szukał dziurki od klucza, lecz bez skutku. I nagle doznał olśnienia. Przekręcił pierścień o sto osiemdziesiąt stopni, a potem pociągnął.

Kłapa otworzyła się przy wtórze ogłuszającego łoskotu. McLean w pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje, ale po chwili zorientował się, że spycharki zaczęły rozbierać frontową ścianę. Przez otwór po drzwiach na drugim końcu korytarza wpadła do środka fala światła i chmura sypkiego śniegu. Szybko podniósł kłapę, zaczepił o hak przy ścianie i poświecił latarką w ciemność. Pokazały się betonowe stopnie i biegnący dołem korytarz, równoległy do tego na górze, ściany z cegieł żuzłobetonowych z zamontowanym nowoczesnym oświetleniem i świeżo pomalowane drzwi.

Znów rozległ się huk rozwalanej ściany. Tym razem na korytarz spadł kawał sufitu. McLean zakrył usta i oczy, chroniąc się przed duszącą chmurą azbestowego pyłu. Czas uciekać. Niechętnie cofnął się do podwójnych drzwi na tyłach budynku. Z pomieszczenia po prawej stronie doszedł kolejny huk. Jezu, ilu naraz maszyn oni używają?

Jedno kopnięcie w rygiel i drzwi ustąpiły. Kilka metrów dalej stał Bob Gburek. Kiedy zobaczył zbiegającego po rampie McLeana, wyraz przerażenia na twarzy ustąpił uldze. W rękę trzymał komórkę, widać właśnie zamierzał dzwonić po wsparcie lub po karetkę. McLean zamachał rękami.

– Nigdzie nie dzwoń – powiedział.

– Zaczęli robić swoje, w ogóle nie patrzyli. Stałem dokładnie na trasie, a ten tłusty skurwiel jechał dalej, jakby mnie nie widział. Musiałem zwiewać.

– Jak sam zauważyłeś, Bob, w ogóle nie powinno mnie tu być. Uprzedzano nas. I nie mamy nakazu.

McLean odwrócił się i przez chwilę patrzył, jak trzy spycharki zbliżają się do siebie pośrodku, jak ich łyżki szybko rozwalają cienkie ściany. W takim tempie za jakieś pół godziny pewnie zrównają budynek z ziemią i załadują wszystko na czekające opodal ciężarówki. Wywiozą na wysypisko, a może przerobią na kruszywo pod nowy most. Wszelkie dowody znikną bez śladu.

– Chodźmy. Czas się stąd wynosić.

– A, jesteś. To dobrze. Chcę, żebyś się skontaktował z działem budowlanym państwowej służby zdrowia, może mają plany szpitala Rosskettle.

Droga powrotna okazała się bardzo interesująca. McLean czuł dziwny niepokój, spowodowany częściowo uderzeniem adrenaliny w związku z tym, że ledwo uniknął śmierci, a częściowo dręczącym przecuciem, że jest bliski odkrycia czegoś ważnego. Bob Gburek dowiedział, że zasłużył na swe miano. Przez cały czas trzymał telefon na kolanach i mniej więcej co pięć minut groził, że zadzwoni po kolegów, żeby aresztowali operatorów spycharek. Kiedy dojechali na miejsce, McLean posłał go do kantyny po kawę i kanapki z bekonem. A przede wszystkim po to, żeby się go na chwilę pozbyć.

– Rosskettle? To chyba psychiatryk? – Posterunkowy MacBride odsunął na bok tablet, przy którym właśnie pracował, i wyjął telefon.

– To był psychiatryk. Szpital zamknięto. A teraz miejsce przebudowuje firma o nazwie Price Developments. O nich też spróbuj się czegoś dowiedzieć, dobrze?

– Jasne. A, ktoś dzwonił jakąś godzinę temu. Próbowałem przełączyć na pana komórkę, ale włączała się poczta głosowa, więc tylko zapisałem wiadomość.

McLean mógł jedynie podziwiać bezmiar technologicznej wiedzy koniecznej do przeprowadzenia podobnej operacji.

– Kto to był?

– Pana znajomy, pan Cobbold. Ten od tatuaży.

– Eddie? Czego chciał?

– Rozmawiać z panem. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Zapisałem numer telefonu. – McLean spodziewał się, że MacBride wyciągnie karteczkę post-it spomiędzy papierów starannie ułożonych na biurku, on jednak wziął do ręki tablet, przesunął palcami po ekranie, popukał. – Proszę.

– Dzięki. – McLean wyjął urządzenie z lekko opornych rąk MacBride'a, spojrzął na ekran, zapisał numer na karteczce post-it, zwrócił tablet. – Zadzwonię do niego. Miejmy nadzieję, że chce mi przekazać jakieś ważne informacje, a nie znowu namawiać, żebym poszedł pod igłę.

– Sam się do niego zapisałem. Wymyśliłem niesamowity motyw, a pan Cobbold powiedział, że da mi specjalną zniżkę.

– Więcej nie chcę wiedzieć. Dziękuję, posterunkowy. Proszę tylko o sprawdzenie tych informacji. Jak najszybciej, dobrze?

McLean zostawił MacBride'a zajętego tym, co potrafił najlepiej: wyszukiwaniem informacji w elektronicznym świecie. Ruszył w kierunku swojego gabinetu, po drodze wybierając numer zapisany na karteczce. Po drugim sygnale ktoś odebrał.

- „Bo’s Inks”. – Nie Eddie, chyba że zmienił płęć.
 - Jest Eddie?
 - Chwileczkę. A mogę spytać, kto dzwoni?
 - Tony McLean. Telefonował wcześniej, chciał ze mną rozmawiać. – Inspektor pokonał schody, przecisnął się między kończącymi zmianę mundurowymi, z uśmiechem kiwnął głową kilku pracownikom, których twarze rozpoznał, i znikł za drzwiami gabinetu, nim w słuchawce rozległ się głos Eddiego.
 - Tony. Cześć. Dzięki, że oddzwoniłeś.
 - Domyślam się, że chodzi o naszego kolegę z tatuażami?
 - Owszem. Zastanawiałem się nad tą sprawą od, wiesz...
 - I?
 - Są tatuaże i tatuaże. Czasem wystarczy spojrzeć, żeby odgadnąć autora. Na przykład twój koleżka MacBride. Jak tylko zobaczyłem jego tatuaż, od razu wiedziałem, że to robota Jake’a Seldena z Wardie.
 - Ale nie potrafiłeś powiedzieć, kto wytatuował tamtego człowieka.
 - Nie od razu. Było tego trochę za dużo.
- McLean nie mógł się nie zgodzić. Aż nazbyt często widywał martwe ciała, lecz William Beaumont nawet na nim zrobił ogromne wrażenie.
- Wiem, co masz na myśli.
 - Do rzeczy. Angus dał mi kilka fotek, więc rzuciłem okiem jeszcze raz. Chyba wiem. Nie jestem do końca pewien, ale może mógłbyś pogadać z tym gościem? Wezwać go na przesłuchanie?
- McLean przeczuwał, do czego zmierza Eddie.
- Zrobić tak, żeby parę razy spadł ze schodów?
 - To nie jest normalne, co ten biedny sukinsyn musiał wycierpieć. Może się myłę. Może to jednak nie ten facet, ale jeśli jednak on...
 - Podaj nazwisko, Eddie, okej? A ja zajmę się resztą.

Gentryfikacja Edynburga odbywała się chaotycznymi falami. Czasem celowo wyburzano slumsowate budynki, by zrobić miejsce pod nowoczesne mieszkania i biurowce. Ale częściej działał przypadek. Tania okolica zyskiwała na popularności dzięki studentom, a ci po zakończeniu nauki postanawiali zostać na dłużej. I nagle robiło się ekskluzywnie i drogo. Nie istniał żaden określony wzór. Bywało, że po jednej stronie ulicy stały odnowione szeregowce po pół miliona, po drugiej zaś takie same szeregowce, tyle że zrujnowane i zamieszkałe przez bezrobotnych z krótszym i dłuższym stażem. Zdarzało się też, że nagle podupadały rejony niegdyś świetnie prosperujące. Czasem wystarczyło, że zmieniono ustawienie świateł i kiedyś cicha ulica stawała się przejazdówką nieustannie zapchaną samochodami i ciężarówkami. Domy rozbijano na mniejsze mieszkania z przeznaczeniem dla osób, które mogły tylko pomarzyć o życiu w cichym miejscu.

Niektóre okolice stawiały opór wszelkim zmianom, choćby nie wiem co. Świeżo pomalowane płoty szybko pokrywały się graffiti, na kosztownych placach zabaw pojawiały się zużyte igły i kondomy, przystanki autobusowe brała w absolutne posiadanie zdziczała młodzież, zapewne zamieszkująca pobliskie anonimowe komunałki.

Prawdopodobnie gdzieś w tego rodzaju miejscu zaszył się człowiek, którego nazwisko wymienił Eddie Cobbold. McLean, jadąc alfą wzdłuż ulicy i wypatrując adresu Barry'ego Timbrela, żałował, że nie załapał się na samochód służbowy. Połowa wozów stojących przy krawężniku miała cegły zamiast kół. Kilka spalono.

– Miła dzielnica – rzucił Bob Gburek, gdy McLean zaparkował na pustym miejscu obsypanym kawałkami rozbitej szyby, lśniących w rozmokłym śniegu niczym sztuczne brylanty.

– Lepiej nie przeciągajmy tej wizyty. – McLean wysiadł, posmakował ostry łyk powietrza, zdradzającego woń nielegalnych substancji.

Osiedle składało się z kilkunastu jednopiętrowych bloków, mieszczących po cztery mieszkania, zapewne całkiem przyzwoitej wielkości, a podwójne szyby przynajmniej w pewnym stopniu chroniły przed hałasem. Na dachach nie leżał śnieg, więc izolacja pewnie nie była najlepsza. Ani temperatura w środku.

Do mieszkania Barry'ego wchodziło się po kamiennych schodkach, wystawionych na działanie czynników atmosferycznych i kończących się wąskim podestem. McLean spodziewał się znaleźć na nim rower pozbawiony kół, przyczepiony do balustrady łańcuchem z kłódką, ale widać ta część miasta nie odznaczała się aż takim wyrafinowaniem. Nie było tam właściwie nic, tylko kilka rozmokniętych kartonowych pudeł, niegdyś mieszczących hurtowe ilości papierosów, smród starej uryny i wilgoć.

– Które drzwi? – spytał Bob Gburek, podchodząc do tych z lewej. Tabliczek z nazwiskami też nie było.

– Zapukaj. Zobaczmy, czy ktoś jest w środku. – McLean podszedł do drzwi po prawej stronie, by zrobić to samo, ale w chwili, kiedy uniósł rękę, zauważył lekką szparę. – Zapomnij, Bob. Mam niemiłe przeczucie, że to tutaj. – Pochylił się, obejrzał zamek, nie zauważył śladów włamania. Mimo to naciągnął lateksowe rękawiczki. Choćby po to, by nie zarazić się zapachem.

Gdy pchnął drzwi, ze środka doleciał zapach jeszcze mniej przyjemny. Przyniósł ze sobą jakieś niejasne wspomnienie. McLean nie od razu potrafił je określić. Siarkowa woń, jak potartej zapałki, tyle że mocniejsza. Wypełniła gardło. Gardło Boba Gburka również, sądząc po ataku silnego kaszlu.

– Oto jak żyje ta druga połowa społeczeństwa.

Za otwartymi drzwiami ciągnął się wąski przedpokój, umeblowany kolejną porcją pudeł po papierosach. Puste opakowania po pizzy i pojemniki z metalowej folii po chińszczyźnie na wynos i curry wystawały z czarnych worków na śmieci, które od dawna powinny zawędrować do kontenerów na zewnątrz. Na kaloryferze suszyły się ubrania, chociaż nawet McLean wiedział, że lepiej byłoby je najpierw uprać. Możliwe, że to właśnie one odpowiadały za dziwny zapach, ale nie mógł pozbyć się myśli, że czuł go już gdzieś ostatnio. Albo coś bardzo podobnego.

– Halo? Panie Timbrel? Jest tu kto? – Inspektor ostrożnie przestąpił próg, nasłuchując dźwięków z głębi mieszkania. Odpowiedziała mu cisza, więc torując sobie drogę przez śmietnik w korytarzu, ruszył do pierwszych z brzegu drzwi. Znajdowała się za nimi sypialnia, zabałaganiona, lecz nie brudna. Sądząc po wyglądzie skłębionych koców i prześcieradeł, nikt od dawna nie ścielił łóżka. Otwarta szuflada komody zwymiotowała bielizną na podłogę. Obok stała szafa wypełniona mocno znoszonymi koszulami i spodniami, głównie

w niezobowiązującym stylu drwała – dzinsami i flanelą w kratę. Na dole kłębiło się kilka par wysokich butów, które częściowo zawędrowały również na podłogę. Drzwi od szafy stały oparte o ścianę, obrócone w ten sposób, że wysokie lustro, które normalnie znajdowało się po wewnętrznej stronie, teraz patrzyło na świat.

Pozostałe pomieszczenia wyglądały podobnie. Bałagan przywodzący na myśl studenckie lata osobom niemającym ani odrobiny szacunku do samych siebie. Z ogólnie panujących zasad wyłamywała się niewielka sypialnia. Dowód, że naprawdę odnaleźli mieszkanie Barry’ego Timbrela. Chyba że w tym niewielkim bloku mieszkało aż dwóch specjalistów od tatuażu. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki pełne starannie ustawionych zapasowych materiałów, albumów, narzędzi. Podłoga była na tyle czysta, że nawet dało się dostrzec spłowiały czerwony dywan.

– Wygląda na to, że nie zastaliśmy gospodarza – stwierdził Bob Gburek, zaglądając do środka. – Chyba mu się spieszyło, sądząc po stanie kuchni.

– I drzwi wejściowych. Nie zapomina się o zamknięciu drzwi na klucz, kiedy trzyma się takie skarby w mieszkaniu. – McLean wrócił do kuchni.

Wcześniej tylko rzucił okiem, ale teraz, przyjrząwszy się bliżej, odnalazł nawet jakiś porządek w tym chaosie. Ostatnim posiłkiem Barry’ego było curry na wynos – zadał sobie nawet trud, by wyjąć je na talerz ustawiony na niewielkim stole, obok puszki taniego piwa. Na talerzu zostało jeszcze sporo jedzenia, a kiedy McLean wziął puszkę do ręki, na dnie rozległ się chlupot. Na stojącej pośrodku popielniczce leżał wałeczek popiołu idealnie oddający kształt papierosa, który widocznie Barry odłożył, a potem o nim zapomniał, niedopałek spadł na blat z forniru. Sceneria nieomyślnie sugerująca, że komuś przerwano w trakcie posiłku.

– Nie ma śladów walki – stwierdził McLean, obracając się powoli. Owszem, mieszkanie było zabałaganione, ale był to bałagan powstały w wyniku długiego procesu, wymagający czasu i wysiłku.

– Nie – zgodził się Bob Gburek. – Chyba po prostu wstał i wyszedł.

Brzęczenie telefonu służbowego wyrwało McLeana z zamyślenia. Właśnie siedział, gapiąc się w ścianę naprzeciw biurka, próbując rozwikłać wszystkie splątane wątki i bliski zaplątania ich jeszcze dokumentniej.

Po powrocie wszczęli poszukiwania Barry'ego Timbrela, istniało jednak spore prawdopodobieństwo, że zaginął bądź został porwany. W tym momencie McLean nic nie mógł zrobić, co frustrowało go chyba jeszcze bardziej niż fakt, że nie dowiedział się niczego na temat tego człowieka. Nie miał pojęcia, co oznacza ten telefon, ale przynajmniej był to jakiś konkret, na którym mógł się chwilowo skupić.

- McLean – powiedział do słuchawki, tak jakby dyżurny w recepcji tego nie wiedział.
- Dobry wieczór, inspektorze. Jest tu jakiś gość, mówi, że po pana przyjechał.
- Czy to kolejny z twoich głupich żarcików, Reg? Tym razem nieudany.
- Skądże, szefie. Słowo honoru. Serio, w recepcji stoi facet, ma chyba z metr dziewięćdziesiąt. Szeroki w barach jak stodoła. Ubrany, jakby mama wybierała mu ciuchy. Coś tam marudził o jakiejś kolacji. Ja nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby był w pana typie, mówiąc szczerze. No i akcent ma ciut niewyraźny.

Kolacja. McLean spojrzął na zegarek. Ósma. Wsadził rękę do kieszonki na piersi, wyciągnął wizytówkę, którą dostał na pogrzebie Andrew Weatherly'ego. Jane Louise Dee. Pani Saifre. Uznał za żart, kiedy zapowiedziała, że przyśle po niego kierowcę. Chociaż nie. Właściwie, jak tak pomyślał, to już wcześniej wiedział, że nie jest typem kobiety, która żartowałaby w ten sposób. I na pewno nie uznawała odmowy. Była przyzwyczajona, by stawiać na swoim.

Cóż, mogą zagrać w tę grę. Chciał jej zadać kilka pytań, a skoro nadarzyła się okazja, by to zrobić przy smacznym posiłku i kieliszku wina, tym lepiej. Spojrzął na stos formularzy, raportów i nadal niezidentyfikowanych teczek, spiętrzonych na biurku. Stos był nieco mniejszy niż na początku, ale nadal stanowczo za duży. A McLean dobrze wiedział, że nawet jeśli się z nim upora, jutro rano będzie czekać na niego kolejny.

- Przekaż, że zejdem za dziesięć minut.

Reg miał rację co do goryla pani Saifre – rzeczywiście nie dało się zrozumieć jego akcentu. McLean odniósł wrażenie, że przedstawił się on imieniem Karl. Możliwe jednak, że po prostu kazał mu wsiąść do samochodu. Tym razem nie był to czarny range rover, zapewne przeznaczony wyłącznie do wycieczek poza granice miasta, lecz rolls – royce o gabarytach wieloryba. Wnętrze było niewiele mniejsze od gabinetu, który McLean dopiero co opuścił.

Usadowił się w miękkim profilowanym fotelu, a Karl zamknął za nim drzwi. Zapanowała niemal idealna cisza, zakłócana jedynie szelestem płaszcza na skórzanym obiciu. W suficie, na

całej powierzchni, umieszczono małe światełka niczym gwiazdną konstelację, która rozjaśniała wnętrze, nie rzucając cienia. Efekt był dość niepokojący i pogłębiony przez mocno przyciemniane okna, niemal całkowicie zasłaniające świat zewnętrzny. McLean wiedział, że się poruszają tylko dzięki temu, że towarzyszyło mu wrażenie lekkiego wciskania w fotel, a przez szklany panel oddzielający go od kierowcy w miarę wyraźnie widział, co się dzieje za przednią szybą samochodu.

Rozejrzał się, szukając jakiegoś urządzenia służącego do komunikacji. Początkowo nic nie rzuciło mu się w oczy, ale kiedy dokładniej zbadał podłokietnik, odkrył, że górna część się otwiera i skrywa w sobie przycisk otwierania szyby, klawiaturę telefoniczną i całe mnóstwo innych guzików o nieznanym przeznaczeniu. Nacisnął jeden z nich, opatrzony ikoną głośnika, kierowany raczej mglistą nadzieją niż konkretnymi oczekiwaniami.

– Mógłby pan zdradzić, dokąd jedziemy? – zapytał.

Chyba podziałało, ponieważ Karl zerknął w lusterko i sięgnął do przycisku na tablicy rozdzielczej.

– Już niedaleko. Proszę poczęstować się drinkiem. – Przycisnął kolejny guzik i wokół ukrytych drzwiczek zaświeciły się lampki. McLean odnalazł uchwyt przemyślnie schowany w gładkiej fornirowanej powierzchni, otworzył. Ukazała się chłodziarka, parę kieliszków umieszczonych bezpiecznie w specjalnych przedziałkach i butelka szampana. Wyciągnął ją i zauważył, że jest otwarta. Dom Perignon Vintage 1973. McLean nie miał pojęcia, czy to dobry rocznik, ale sam wiek sugerował cenę znacznie przekraczającą miesięczne dochody inspektora policji. Pomyślał, że szkoda, by taki trunek się zmarnował, ale jednak nie skorzystał z okazji i zamknął barek.

Przez chwilę intensywnie macał różne guziki w podłokietniku i wreszcie znalazł ten wyłączający górne światła. Przez boczne okna wciąż niewiele mógł dojrzeć, za to widok za przednią szybą stał się znacznie wyraźniejszy. Poruszali się powoli pośród innych samochodów, na południe i zachód. Może w stronę jakiejś modnej knajpki na Morningside? Ale nie, jechali dalej, nabierając prędkości, a ruch stopniowo się zmniejszał. Skręcili w jedną ulicę, potem w drugą. McLeana ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że wie, dokąd jadą. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy dotarli do bramy z ciężkiego giętego żelaza. Karl otworzył ją kolejnym przyciskiem, pod kołami zachrząścił żwir podjazdu. McLean nie sądził, że kiedykolwiek wróci w to miejsce.

Poprzednim razem, kiedy je odwiedził, należało do Gavina Spensera, przemysłowca miliardera, który prawdopodobnie w połowie lat czterdziestych XX wieku zamordował młodą kobietę. McLean wdał się w bójkę z jego ochroniarzem, nie zdążył jednak ocalić tego człowieka przed losem równie potwornym, jak ten, który wcześniej zgotował on swojej ofierze. Oczywiście dom sprzedano. Spencer nie zostawił testamentu, nie miał rodziny, która mogłaby odziedziczyć ogromny majątek. Wydawało się w pewnym sensie naturalne i nieuniknione, że ten dom kupiła właśnie pani Saifre.

Powitała go w holu, z kieliszkiem szampana w dłoni. Znow miała na sobie karmazynową bluzkę, a do niej obcisłe czarne skórzane spodnie i buty do połowy łydki. McLean poczuł, że w domu jest bardzo ciepło, zdjął płaszcz i podał czekającemu obok Karlowi.

– Szampana? – powiedziała pani Saifre na powitanie. Spiorunowała wzrokiem Karla, który

skurczył się i rzucił McLeanowi zalęknione spojrzenie.

– Dziękuję. Pani kierowca już mi proponował, ale chyba nie jestem w nastroju.

– Nie jesteś w nastroju do szampana? Drogi inspektorze, co oni ci zrobili? – Pani Saifre podeszła do McLeana, pocałowała powietrze kilka centymetrów od jego policzków, a potem podała mu rękę. – Chodźmy. Może znajdziemy coś, co lepiej trafi w twój nastrój, hm?

Poprowadziła go przez hol do wielkiego pokoju na tyłach domu. W ogromnym kominku buzował ogień, ale McLean pobiegł wzrokiem ku oknom i widocznemu za nimi patiu. Nie tak dawno siedział tam, popijając kawę w towarzystwie ówczesnego gospodarza, który zaproponował mu pracę. Mało brakowało, a uległby pokusie. A na jakie pokusy dzisiaj zostanie wystawiony?

– Whisky, gin, wino, piwo? Mogę też zrobić drinki. Biedny pan Saifre, niewiele miałam z niego pożytku, ale przynajmniej nauczył mnie robić idealne martini.

– Sok pomarańczowy?

Pani Saifre wydeła wargi, po czym otworzyła lodówkę ukrytą w drewnianej boazerii pokrywającej niemal całe ściany. Wyciągnęła butelkę, nalała soku do szklanki.

– A może jednak doleję wódki?

– Sok wystarczy. – McLean wziął od niej szklankę, udając, że nie zauważył muśnięcia jej palców.

– Chodź, usiądziemy przy kominku. – Ruszyła w stronę płomieni, kołysząc uwodzicielsko biodrami. Usiadła, jej spodnie zaskrzypiały na skórzanym obiciu, upiła kolejny łyk szampana. Widząc, że McLean nie rusza się z miejsca, zmarszczyła brwi.

– Nie bój się, inspektorze. Ja nie gryzę.

– Czego pani sobie życzy, pani Saifre?

– Mów mi po imieniu, proszę. Czy masz coś przeciwko, jeśli będę zwracała się do ciebie „Tony”?

– Tak mam na imię.

– Chodź tu, Tony. – Poklepała brzeg sofy. – Opowiedz mi o sobie. Wiele o tobie słyszałam, ale ludzie lubią przesadzać.

McLean w końcu się poddał, podszedł do sofy i zajął miejsce obok pani Saifre. Ostrożnie postawił szklankę z sokiem na niskim stoliku.

– Zapewne nie dowiem się, co to za ludzie – powiedział.

Pani Saifre uśmiechnęła się. Między ciemnoczerwonymi wargami błysnęły białe zęby.

– Na przykład komendant. Wiem, że zdarzały ci się konflikty z wysoko postawionymi osobami. Znałam też Gavina Spensera. Niezbyt dobrze. Spotkał go smutny los. A Jack Tennant wychwała cię pod niebiosa.

McLean już miał ją spytać o powiązania ze Spenserem, ale kolejne nazwisko, które wymieniła, gwałtownie skierowało jego myśli na inne tory.

– Jack Tennant? A skąd pani go zna?

Pani Saifre zaśmiała się nisko i chrapliwie.

– Och, Jack i ja poznaliśmy się dawno temu. Jeszcze zanim spotkałam pana Saifre’a. Kiedy byłam zwykłą Jane Louise Dee. Jeździł wtedy w patrolu, pomógł mi wykaraskać się z pewnej niemiłej sytuacji. Od tej pory zostaliśmy przyjaciółmi. W pewnym sensie.

McLean jeszcze raz przyjrzał się twarzy pani Saifre, jej szyi, szukając oznak zdradzających

wiek, których nie potrafiłyby ukryć kosmetyki i zabiegi chirurgiczne. Do tej pory sądził, że ma tyle lat, co on, może nieco więcej. Góra czterdzieści pięć. Ale skoro знаła Jacka Tennanta u początków kariery, to znaczy, że źle ocenił jej wiek. Chyba że wtedy była bardzo młoda. Musiała być właściwie jeszcze dzieckiem.

– Jestem starsza, niż wyglądam, Tony. Ale to chyba nic niespotykanego?

McLean nie odpowiedział. Pani Saifre upiła spory łyk szampana, nie odrywając ciemnych oczu od McLeana. Niemal bezwiednie sięgnął po szklanekę z sokiem. Podniósł ją, odstawił.

– Po co mnie pani tak naprawdę zaprosiła?

– Na kolację, rzecz jasna. No i dlatego, że jesteś dla mnie interesujący.

Pani Saifre odstawiła kieliszek na dywan. Podniosła się z sofy niebywale zwinnym ruchem. Nawet niektóre koty blado by przy niej wypadły. Zrobiła dwa kroki i znalazła się przy kominku. Zdjęła z gzymsu jedną ze stojących w rzędzie figurek, kunsztownych i zapewne kosztownych – kamienną boginię płodności, złożoną z krągłych pośladków, obfitego brzucha i wielkich piersi. Popieściła ją szczupłym palcem.

– Kolekcjonuję rzeczy, które wydają mi się interesujące.

– Nie jestem pewien, czy chcę zostać częścią kolekcji. Z reguły oznacza to, że stawiają cię gdzieś na półce i całkowicie o tobie zapominają.

– Och, o to nie musisz się obawiać. – Pani Saifre odstawiła figurkę na miejsce i wróciła na sofę.

Tym razem usiadła znacznie bliżej McLeana. Biło od niej ciepło, które nie miało nic wspólnego z płomieniami buzującymi na kominku. Emanowała niezwykłym powabem, tak idealnie zestrojonym z jego zmysłami, że po prostu musiał być sfabrykowany. Twarz, strój, zapach, sposób zachowania. Przedstawienie – ale byłby skłonny poddać się jego urokowi.

– Jesteśmy do siebie podobni. – Położyła smukłą dłoń na udzie McLeana, przysunęła się do niego bardzo blisko. Wzdrygnął się mimowolnie i chyba nie zdołał tego ukryć. – Jesteśmy oboje outsiderami, nie lubimy grać według głupich zasad, które inni próbują nam narzucić, nie uznajemy więzów i ograniczeń. I oboje pragniemy, by sprawiedliwości zawsze stało się zadość.

McLean już miał coś powiedzieć, ale w tym momencie telefon zawibrował w jego kieszeni, a sekundę później rozległ się dzwonek – idealna kopia starego bakelitowego telefonu z tarczą, który niegdyś stał w holu w domu babci. McLean wyjął aparat, spojrzął na ekran. Sierżant Ritchie. Pani Saifre zeszywniała i zmarszczyła brwi.

– Przepraszam. Praca. Policjant jest zawsze na służbie, śledczych dotyczy to w szczególności. – Przyłożył telefon do ucha. – Myślałem, że masz zwolnienie. Co się dzieje?

– Nie mogę cały dzień siedzieć zamknięta w domu. Oszalałabym. – Ritchie głośno pociągnęła nosem. Chyba był zatkany. – I tak wszyscy już poszli, więc Reg zadzwonił do mnie. Znaleźli ciało. To może być ten tatuażysta, którego szukałeś. Barry Timbrel?

Pani Saifre wstała, podeszła do kominka i znów wzięła do ręki figurkę bogini. Miała niezadowoloną minę, jakby wiedziała, co za chwilę nastąpi.

– Okej. Zaraz przyjadę. – McLean rozłączył się, wsunął telefon do kieszeni, jak nigdy wdzięczny, że znowu ktoś mu przeszkodził. I że znowu ktoś zginął.

Pani Saifre wbiła w niego spojrzenie. Jej twarz nie zdradzała smutku ani rozczarowania z powodu zrujnowanego wieczoru. Raczej złość jak u dziecka, które nie może zrozumieć,

dlaczego świat nie działa tak, jak ono by sobie życzyło.

– Bardzo mi przykro...

– Ale musisz iść. Wiem. To prawda, co mówią, nie zawsze można dostać to, czego się pragnie najbardziej. – Pani Saifre ujęła w palce sznurek zwisający z sufitu obok kominka, pociągnęła. – Powiem Karlowi, żeby cię zawiózł, dokąd tylko chcesz.

– Bardzo uprzejmie z pani strony. Dziękuję. – Kiedy w drzwiach pokazał się ochroniarz, Tony wstał i dorzucił: – Może innym razem.

Pani Saifre uśmiechnęła się. W jej oczach lśniło odbicie płomieni buzujących na kominku. A może to był ogień w jej wnętrzu?

– Och, nie wątpię, Tony. Tak łatwo mi nie uciekniesz.

McLean wyszedł za Karlem. Dopiero kiedy usiadł w miękkim skórzanym fotelu, uświadomił sobie, że nawet nie wypił soku pomarańczowego, którym go poczęstowała.

Minęła godzina, nim dotarł do komisariatu, przesiadł się do własnego samochodu i przejechał przez miasto do Cramond. Przez cały czas nie mógł się pozbyć wrażenia, że tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknął potwornego niebezpieczeństwa. Pani Saifre była dziwna, i nie chodziło jedynie o ten nachalny sposób uwodzenia. Nie pociągała go fizycznie. Czyżby? Mówiąc tak, jak nic by skłamał. Pani Saifre buchała seksem. Działała na niską część jego natury, ale miał do tego dystans. Znał ten rodzaj pożądania, rozumiał je i umiał schować do odpowiedniej szufladki. Nie szukał przygód – ani niezobowiązujących, ani żadnych innych. Mimo to pani Saifre fascynowała go w niebezpieczny sposób. I z jakiegoś powodu była nim zafascynowana.

Ritchie czekała na parkingu przy plaży Drum Sands, ale w tę noc, w smolistych ciemnościach, pod zachmurzonym niebem lokalizacja nie miała większego znaczenia. Mogli być wszędzie. Dalekie światła zatoki Dalgety i wybrzeża South Fife za wodami Firth of Forth rzuciły dziwny blask, jakby w pustce czaiło się coś groźnego. Ciemności i mgła nie pozwalały dojrzeć, co to może być, zostawiały wyobraźni pole do popisu.

– Sorry, że zepsułam ci wieczór, szefie, ale pomyślałam...

– Zapewniam, że nie ma za co przepraszać. Dzięki tobie uniknąłem bardzo nieciekawej sytuacji. – McLean wyciągnął z bagażnika wysokie buty. Ritchie miała na sobie wielką puchową kurtkę, tylko nos wystawał z ciasno ściągniętego kaptura. – Gdzie te zwłoki?

– Na plaży. Musimy się pospieszyć. Zaczął się przypływ.

McLean ruszył za Ritchie. Po chwili znaleźli się na grobli łączącej ląd z wyspą Cramond. Ostatnio gościł w tym miejscu dobrych kilka lat temu, ale pamiętał wysokie betonowe słupy falochronu, ciągnące się wzdłuż plaży. Ciemności nie zachęcały do dalszej wędrówki.

– Daleko? – spytał, dogoniwszy zadyszaną Ritchie, która przystanęła, by się wykaszleć.

Wkrótce pojawiła się odpowiedź – słabe światło pośród mroku. Po chwili McLean zobaczył trzy latarki czołówki i jedną ręczną, dającą mocniejszy łuk światła, wszystkie skierowane w przerwę między dwoma słupami falochronu. Kilkadziesiąt metrów od celu Ritchie przyspieszyła kroku. McLean widział przyczynę jej pośpiechu. Drobne fale uderzały o piaszczysty brzeg, coraz wyżej i wyżej. Niedługo woda zaleje groblę, a kiedy nastąpi odpływ, zabierze wszystko, co nie zdążyło uciec na ląd, daleko na Morze Północne, bez szansy powrotu.

– Kto znalazł zwłoki? – zapytał, kiedy wreszcie dotarli na miejsce.

Obok skurzonego nagiego ciała kucaly dwie znajome postaci. Angus Cadwallader uniósł głowę.

– Dobry wieczór, Tony – przywitał się, a potem wrócił do badania pacjenta.

– Para młodych ludzi utknęła na wyspie – powiedziała Ritchie. – Spacerowali z psem.

Podobno dość często się to zdarza. Musieli poczekać na odpływ. Pies go znalazł, kiedy wracali.

McLean pochylił się, by przyjrzeć się bliżej. Widok nagiego ciała wywołał w nim dreszcze. Bez wątplenia był to mężczyzna chudy i wymizerowany. Miał tatuaże na ramionach, nogach i plecach, jeden wspinał się spiralą po szyi, zachodził na twarz. Ale nie było ich tyle co u mężczyzny znalezionego w Roslin Glen. Zapewne uniosła go fala przyływu i rzuciła na groblę. Zatrzymał się na falochronie, obejmując jeden z betonowych słupów jak żywy rozbitek.

– Moglibyśmy zobaczyć jego twarz? – zapytał McLean, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

– Chyba nic więcej tu nie zrobimy. – Cadwallader pochylił się, chwycił ramię mężczyzny i przewrócił go na plecy.

Zwłoki poruszyły się z dziwnym zasysającym dźwiękiem – to mokry piach ugiął się pod ciężarem. McLean wziął latarkę od mundurowego, który przez cały czas stał obok, oświetlając scenę, i podszedł bliżej. Cadwallader wprawnym ruchem odgarnął włosy klejące się do twarzy nieboszczyka.

– Dobry Boże. Co się stało z jego ustami?

Te słowa wypowiedziała asystentka Cadwalladera, lecz równie dobrze mógł to zrobić ktokolwiek z nich. McLean rozpoznał tatuażystę Barry’ego Timbrela, znanego mu ze zdjęć, które widzieli w jego mieszkaniu. Niedługo przebywał w wodzie, ryby nie zdążyły się do niego dobrać. Oczodoły miał całkiem białe, jakby od lat cierpiał na kataraktę, tatuaże na szyi były stare i wyblakłe. Wyglądał całkiem pogodnie jako trup, nie licząc poparzonych i pokrytych pęcherzami warg. W szparach widać było nierówne brązowe zęby.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego, Angus? – zapytał McLean. Oczywiście znał odpowiedź. I jej logiczne następstwa. Myśl o nich wywołała zimny ucisk w żołądku, w żaden sposób niezwiązany z panującą aurą.

– Owszem, Tony, widziałem. – Cadwallader podniósł się przy akompaniamencie głośno strzelających kolan. – Owszem, widziałem.

Niebieskie światła obracały się leniwie na dachu karetki. Technicy pakowali ciało do środka. Miejsce zdarzenia znalazło się pod wodą, przyływ na nikogo nie czekał. McLean popatrzył ponad wzburzonymi falami na daleki kraniec Forth i światła zatoki Dalgety. Gdyby nie zbieg okoliczności i dwoje nieszczęsnych spacerowiczów z psem, ciało Barry’ego Timbrela byłoby już gdzieś tam, daleko, i służyło rybom za kolację.

– Jak często w ten sposób można znaleźć zwłoki?

– Jak często? Rzekłbym, że prawie nigdy. Ale jednak się zdarza. Trochę jak wygrana na loterii. – Ritchie zatupała nogami, a potem znów zaczęła kaszeć.

– Naprawdę nie powinnaś wychodzić. Zwolnień lekarskich raczej nie dostaje się bez powodu.

– I tak byłam w komisariacie – odparła Ritchie, kiedy wreszcie udało jej się opanować kaszel. Głos miała schrypnięty i nosowy. – Zaczynam wariować od siedzenia w domu. Poza tym już mi przechodzi. – Pomachała dłonią w rękawiczce tuż przy twarzy, po czym znów dostała ataku kaszlu.

– Nie słyhać. Byłaś u lekarza?

Ritchie zakończyła atak donośnym charknięciem i splunęła na ziemię w sposób wielce niegodny damy. Otarła usta wierzchem rękawiczki.

– Dał mi antybiotyki i kazał odpoczywać. Łatwo powiedzieć, sam wiesz, jaka to męka. Coś mi się przypomina, jak przez miesiąc skakałeś o kulach po komisariacie, równo wszystkich wkurwiając.

McLean przez chwilę analizował ból biodra, na który bynajmniej nie pomogło zimne i słone powietrze. Skutek walki z przymusowym zwolnieniem za pomocą wszelkich podstępnych sztuczek. Nie mógł pouczyć Ritchie, skoro sam nie był wzorowym pacjentem.

– I co o tym sądzisz? – Wskazał ruchem głowy w kierunku karetki.

– Czytałam raport Boba Gburka na temat Timbrela. I wszystko, co znalazł Stuart o tatużach. Niewiele więcej mogłam zrobić. Bez wątpienia twój człowiek, ale Bóg jeden wie, co doprowadziło go do takiego stanu. I do tego miejsca.

– Bóg i Angus Cadwallader, miejmy nadzieję. Zapewne będzie wiedział jutro rano po sekcji zwłok. – McLean spojrział na zegarek. Już nie było późno, lecz wcześnie. – A właściwie dzisiaj rano.

Ritchie znów dostała ataku koszmarnego kaszlu. Kilka razy uderzyła pięścią w pierś, aż wreszcie przeszło.

– Przyjechałaś samochodem? – spytał McLean.

– Nie, przywieźli mnie. – Odwróciła się, by pożegnać odjeżdżającą karetkę. Szybki rzut okiem potwierdził brak samochodów służbowych. – Głupie kutasy odjechały beze mnie.

McLean wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wysupłał kluczyki.

– W takim razie ruszamy. Zawiozę cię do domu. Masz się nie pokazywać w pracy, póki nie przejdzie ci ten kaszel.

Słabe wodniste światło próbowało utorować sobie drogę przez warstwę ciężkich chmur w głąb przepastnych czeluści ulicy Cowgate. Było wcześniej, a McLean źle spał tej nocy. Śnił o siarce i płomieniach, ale jednocześnie marzył. Aż dziesięć minut spędził pod prysznicem, puszczając wodę o najwyższej temperaturze, jaką potrafił wytrzymać, by pozbyć się chłodu przenikającego kości.

Chociaż dopiero co znaleźli zwłoki Barry'ego Timbrela, Cadwallader chciał natychmiast przeprowadzić sekcję. W związku z tym musiał przesunąć innego denata na dalszy termin, ale nikt nie protestował.

Przez całą drogę z komisariatu McLean walczył sam ze sobą, by nie rozglądać się dokoła. W jakimś paranoicznym zakamarku jego umysłu uparcie tkwiła myśl, że ktoś go śledzi, obserwuje. Podejrzane wydawały się nawet samochody mijające go powoli, jakby specjalnie po to, żeby kierowcy mogli mu się przyglądać. Oczywiście wszyscy jechali w wolnym tempie z powodu warunków na drogach. Śnieg nadal tworzył grubą warstwę na chodnikach i samochodach, które stały zaparkowane dłużej niż jakieś dwie godziny. Pługi śnieżne i piaskarki regularnie przejeżdżały ulicą, ale jak na razie tę bitwę zdecydowanie wygrywała pogoda.

McLean wszedł do budynku kostnicy i poczuł natychmiastową ulgę i wyzwolenie od zimna i dręczących go złych przeczuć. Kiwnął głową na powitanie strażniczce, która zaanonsowała jego przybycie przez telefon wewnętrzny. W tym budynku nigdy nie było głośno, ale o tak wczesnej porze panowała cisza niemal idealna. Zakłócały ją jedynie szum z systemu wentylacyjnego i buty McLeana skrzypiące na lśniąącym linoleum.

Angus Cadwallader już zaczął przy kompetentnej asyście doktor Sharp. Z boku siedział jeszcze jeden lekarz, nieznanemu McLeanowi, pełniący rolę świadka i wyraźnie nieszczęśliwy, że wyciągnęli go z łóżka o tak nieludzkiej porze. Był młody, zmierzwił czarne włosy i lekki zarost na brodzie sprawiały, że wyglądał raczej na studenta medycyny niż lekarza ze specjalizacją patologa.

– A, Tony. Udało ci się. To dobrze – powiedział na powitanie Cadwallader, ledwo podnosząc wzrok znad makabrycznej roboty.

McLean podszedł bliżej, by lepiej widzieć, i natychmiast pożałował. Barry Timbrel leżał na plecach, pierś miał otwartą zgrabnym bezkrwawym cięciem w kształcie litery Y. Połowa jego organów, już wyjęta i zważona, leżała z boku, w niewielkich plastikowych naczyniach, czekając, aż Tracy Sharp włoży je na miejsce.

– Mówiłeś, że zaczynamy o ósmej. – McLean zerknął na zegarek. Dziesięć po.

– Tak. Cóż, kiepsko spałem, więc stwierdziłem, że zacznę wcześniej. Tom uprzejmie zgodził się robić za świadka.

Młody lekarz zsunął się ze stołka, wyciągnął rękę.

– Tom MacPhail. A pan to pewnie inspektor McLean.

– Dziękuję – powiedział McLean, ruchem głowy wskazując zwłoki na stole sekcyjnym.

– Cóż. Angus nie pozostawił mi wyboru. – MacPhail uśmiechnął się trochę krzywo i wrócił na swój stołek. Był lekko nieprzytomny.

McLean zastanawiał się, gdzie Cadwallader dorwał tego biedaka.

– A więc, jakie rokowania, doktorze? – spytał żartobliwie McLean i od razu sobie uświadomił, że stanowczo zbyt często posługuje się tą frazą.

– Nie ma śladów przestępstwa. Na razie tyle mogę powiedzieć.

– Nic?

– Z wierzchu jest czysty. Cóż, nic dziwnego, skoro leżał w wodzie. Przypuszczalnie osiem, góra dziesięć godzin. Ale nie utopił się. W płucach nie ma wody.

– A jednak przestępstwo. Ktoś go rozebrał i wrzucił do wody?

Cadwallader machnął ręką wysmarowaną jakimś świństwem.

– Niekoniecznie. Owszem, nie utopił się, ale mógł sam skoczyć.

– Skoczyć?

– Pewnie słyszałeś, jak dzieciaki czasem sobie opowiadają, że jeśli ktoś skoczy z dużej wysokości, umrze, zanim uderzy o ziemię?

McLean kiwnął głową, nic nie mówiąc. Wiedział, że lepiej nie przerywać Cadwalladerowi w środku wywodu.

– To bzdura, rzecz jasna. W większości przypadków człowiek umiera w wyniku rozległych obrażeń. Złamania kości, zmiażdżona czaszka, siła uderzenia. W większości, ale nie we wszystkich.

Patolog odwrócił się i zanurzył ręce w otwartym torsie swego pacjenta. McLean bardzo się cieszył, że nie zdążył zjeść rano śniadania. Kilka sekund później Cadwallader wyjął ręce wraz z czymś czerwonym i oślizłym.

– Niektórzy, można ich nazwać nielicznymi szczęściarzami, tyle że raczej trudno mówić o szczęściu w przypadku człowieka, który postanowił skoczyć z mostu, co? Niektórzy dostają ataku serca, zanim uderzą w ziemię. Bądź wodę. To właśnie przyczyna śmierci tego tu mężczyzny. – Uniósł lśniąca masę do światła.

McLean już wiedział, że to serce, nie pierwsze, z którym miał znacznie bliższy kontakt, niż by sobie tego życzył.

– Atak serca?

– Atak serca. Zawał mięśnia sercowego. Żadne z tych określeń nie oddaje w pełni rozmiarów tego, co przydarzyło się naszemu biedakowi. – Cadwallader delikatnie pogładził serce palcem w rękawiczce lateksowej, po czym podał je Tracy do zważenia. – Serce tego mężczyzny dosłownie eksplodowało.

– Czy dochodzi do tego w sposób naturalny?

– To zdarza się niezwykle rzadko. Jednak nie pierwszy raz widzę coś podobnego. Tyle mogę powiedzieć na pewno: zmarł w jednej chwili. Pewnie nawet nie wiedział, co się z nim dzieje. Gdyby miał na sobie ubranie, mógłbym przypuszczać, że akurat spacerował po plaży. Ale był nagi, a to raczej nie jest pora na morskie kąpiele.

– A więc przypuszczasz, że skoczył z mostu.

– Z jakiegoś mostu, niewątpliwie. Znalaziono go w Cramond, więc możliwe, że skoczył raczej do rzeki niż do Firth. Nurt zniósł ciało aż tam.

– A oparzenia warg? – McLean przypomniał sobie obraz z poprzedniej nocy, moment, kiedy światło padło na twarz zmarłego; pęcherze i rozdartą tkankę wokół ust.

– Rzeczywiście. – Cadwallader zwrócił się do MacPhaila: – Co o tym sądzisz, Tom?

Młodzieniec zeskoczył ze stołka, podszedł do stołu sekcyjnego, pochylił się nad twarzą mężczyzny i po krótkiej chwili wyprostował plecy.

– Wygląda, jakby się całował z rozgrzanym pogrzebaczem. Woda obmyła rany, ale i tak widać ślady po przypalaniu, a pęcherze wskazują na oparzenia trzeciego stopnia. Musiało się to zdarzyć na krótko przed śmiercią, bo nie ma śladów gojenia.

– Widział pan wcześniej coś podobnego? – spytał McLean.

– Nigdy. Musiało boleć jak cholera.

– A ja widziałem, i to niedawno. – Cadwallader podszedł do ekranu na ścianie, nagle uświadomił sobie, że ma umazane ręce. – Tracy, mogłabyś pokazać zdjęcia Weatherly’ego?

Doktor Sharp westchnęła, zdjęła rękawiczki, również umazane, i kilka razy uderzyła w klawiaturę. Na ekranie pokazała się ogromna fotografia martwej twarzy Andrew Weatherly’ego. Doktor Sharp kliknęła myszką, przybliżając widok ust. Jeszcze kilka kliknięć i obok pojawił się drugi obraz – z kamery umieszczonej nad zwłokami. Doktor Sharp wróciła do stołu sekcyjnego, poprawiła ustawienie i ostrość. Na ekranie pojawiły się obok siebie dwa obrazy przedstawiające wargi obu zmarłych. Byłoby bardzo dziwne, gdyby tych uszkodzeń nie spowodował ten sam czynnik.

– Cóż, takich rzeczy nie widuje się każdego dnia – stwierdził doktor MacPhail. – Pewnie już nie mamy – dodał, wskazując na pierwszy obraz.

– Nie. Pogrzeb odbył się tydzień temu. – McLean poczuł aż nazbyt dobrze znany ucisk w żołądku. – Pewnie każecie nam go wykopać.

– Czyś ty, kurwa, oszalał?

Ta odpowiedź była raczej do przewidzenia. McLean stał po złej stronie biurka, naprzeciw nadinspektora Duguida, ręce trzymał założone z tyłu i próbował nie podskakiwać ze zniecierpliwienia. Milczał. Wiedział, że najlepiej przedstawić prośbę i odczekać, aż Dagwood przegryzie się przez nią we własnym tempie.

– Gościa dopiero co złożyli do ziemi, a ty już chcesz go z powrotem wykopać?

Akurat ciało Weatherly’ego spoczywało w krypcie, więc z łatwością mogliby je wydobyć. McLean już wcześniej zastosował ten argument i uznał, że raczej nieroztropnie byłoby się powtarzać.

– Poza tym dochodzenie jest zamknięte, do kurwy nędzy. Sam mówiłeś: koniec i pozamiatane. Zero komplikacji. Co ja mam teraz niby powiedzieć komendantowi? I jak myślisz, co będzie, kiedy prasa się dowie?

Pewnie się schowasz tak jak przedtem, pomyślał McLean. A po uszach dostanie inspektor.

– Po co w ogóle chcecie znowu oglądać tego trupa? Twój rozmiłowany w makabrze przyjaciel Cadwallader zrobił za mało zdjęć czy jak?

Aha, wszystkie zastrzeżenia zgłoszone, teraz Duguid zaczynał wchodzić w szczegóły. McLean uznał, że można bezpiecznie odpowiedzieć.

– Obrażenia, których doznał mężczyzna znaleziony wczoraj w wodach Forth, są zbyt podobne do tych, które widzieliśmy u Weatherly’ego, by uznać to za przypadek. Angus chce pobrać próbkę do testów. Nawet nie potrafi określić, co mogło te obrażenia spowodować.

– I ty teraz mi to mówisz. – Duguid przesunął po twarzy pajęczymi paluchami, odciągając dolną wargę i ukazując rzadko rozstawione zęby, których żółta barwa świadczyła o długiej i oddanej karierze palacza.

– To było... – zaczął McLean, ale zaraz urwał. Nie miało sensu opowiadać Duguidowi tego, co już wiedział. – Prawdopodobnie da się to zrobić *in situ*. Trumna znajduje się w krypcie. Potrzebujemy tylko nakazu z sądu okręgowego. Trzeba wybrać odpowiedni moment i nikt się nawet nie zorientuje, że tam w ogóle byliśmy.

Duguid popatrzył na niego jak na idiotę. McLean przypuszczał, że tym razem jest to nawet uzasadnione.

– Niepotrzebnie dawałem ci tę cholerną sprawę. Spence szybko zrobiłby to, co byśmy mu kazali, i koniec.

– Myślałem, że chciał pan sprawiedliwości dla tych dwóch dziewczynek.

– Sprawiedliwości? Bardzo, kurwa, śmieszne. Sprawiedliwość już ich nie dotyczy. Pozwól im spoczywać w pokoju. – Duguid odchylił się na oparcie fotela. Początkowa wściekłość na McLeana zdążyła się wypalić. – Czemu to w ogóle ma służyć? Kim jest człowiek, którego

znaleźliście ostatniej nocy, i co on ma wspólnego z Weatherlym?

– Nazywa się Barry Timbrel. Jest tatuażystą, którego szukaliśmy w związku z ciałem znalezionym w Roslin Glen. Jak tylko rozpoczęliśmy poszukiwania, okazało się, że nie żyje i że odniósł obrażenia bardzo podobne do tych, które miał Andrew Weatherly. Nie licząc rany postrzałowej, rzecz jasna. Możliwe, że to nic nie znaczy. Mam szczerą nadzieję, że nie. Ostatnie, czego byśmy sobie życzyli, to kolejny trup z poparzonymi ustami i powszechne oburzenie, że nie wykonujemy swoich obowiązków jak należy.

– Będiesz mnie zamęczał tak długo, aż się zgodzę, co, McLean? – Duguid potarł pięścią oczy, pochylił się, chwycił notes i coś nabazgrał. – Dobra. Poprę waszą prośbę. Ale jeśli sąd okręgowy ją odrzuci, to na tym koniec. Nie będziemy się wyklócać.

– Dziękuję, szefie. – McLean wiedział, że nie może prosić o więcej. Był szczerze zaskoczony, że dostał aż tyle. – Będę pana informował na bieżąco.

– Błagam, nie. Wystarczy, że inni ciągle mnie zdręczają. – Duguid posłał McLeanowi słaby uśmiech, coś tak niespotykanego, że McLean zaczął się zastanawiać, czy nadinspektor przypadkiem nie jest chory. Ale uśmiech zaraz znikł. – No dalej. Wynocha. Niektórzy mają lepsze rzeczy do roboty niż szukanie wiatru w polu.

– Mam te plany, o które pan prosił.

McLean zatrzymał się przy drzwiach wciąż pustego pokoju, od kiedy zarzucili śledztwo związane z tragedią w domu Weatherly'ego. Trudno powiedzieć, jak długo miał takim pozostać, aczkolwiek McLean przeczuwał, że sprawy rozwiną się w zupełnie innym kierunku, niż to sobie początkowo wyobrażali. Posterunkowy MacBride widocznie dostrzegł go z pokoju naprzeciwko, służącego za bazę w dochodzeniu dotyczącym śmierci Williama Beaumonta, i wybiegł na korytarz.

– Plany? – McLean szukał gorączkowo w plątaniu myśli i spraw, o których powinien pamiętać. I wreszcie znalazł. – A, no tak. Plany. Rosskettle. Co znalazłeś?

Wszedł za MacBride'em do pokoju. Posterunkowy usiadł za biurkiem, na którym stał teraz największy monitor, jaki McLean kiedykolwiek widział. Uderzył w kilka klawiszy, kliknął myszką i na ekranie pojawił się ziarnisty obraz.

– Któregoś dnia będziesz musiał mi pokazać, jak załatwia się ten cały sprzęt.

– Ma pan na myśli to starocie? – MacBride popukał w boczną część monitora. – Chcieli to wywalić, ale przekonałem Zoe z działu IT, żeby lepiej mi oddała. Interfejs jest przestarzały o kilka generacji, ale połowa sprzętu, którego używamy, podobnie. Akurat udało mi się coś dopasować. Tak było prościej, niż szukać dostępnego projektora i ekranu.

McLean postanowił zignorować niezrozumiałe technologiczne szczegóły.

– Zoe? Czy ja ją poznałem?

Czubki uszu MacBride'a poczerwieniały.

– Jest nowa. Pewnie nie. Jasnorude włosy. Mniej więcej tego wzrostu.

McLean pokręcił głową, częściowo, by powstrzymać się od śmiechu, a częściowo, by dać do zrozumienia, że nie, jeszcze nie spotkał miniaturowej Zoe. Pochylił się w stronę ekranu, próbując dojrzeć sens w nieco zamazanych liniach i niewyraźnym tekście.

– Co to jest?

– Plan Rosskettle. Skany oryginałów. Nic lepszego nie dało się znaleźć w tak krótkim

czasie. Są formatu A0 albo i większe. Ogromne zwoje. Dział budowlany państwowej służby zdrowia widać trzyma wszystko, nawet plany budynków, które już sprzedali.

– Można trochę zmniejszyć? Chciałbym wiedzieć, na co w ogóle patrzę.

MacBride kilka razy kliknął myszką. Pokazał się ogólny plan. Przez kilka minut McLean intensywnie mrużył oczy i wykręcał szyję. Wreszcie zorientował się, co widzi.

– Te budynki tutaj. – Wskazał na nowsze budynki, tworzące harmonijny łuk, które wyburzano podczas jego wizyty. – Możemy przybliżyć ten fragment?

MacBride spojrział na ekran, kliknął kilka razy. Pierwszy obraz znikł, zastąpiony przez wyraźniejszy plan, ukazujący jedynie te budynki, które interesowały McLeana.

– Pierwszy rysunek to tylko indeks. Wszystkie fragmenty widnieją na osobnych planach.

McLean przez chwilę przyglądał się rysunkowi, aż wreszcie zidentyfikował wszystkie elementy. Odnalazł pokój, do którego wszedł przez okno, korytarz pomiędzy pokojem a sypialniami. Wszystkie budynki wyglądały jednakowo, każdy z nich tworzył osobną całość. Zapewne służyły jako przejściowe mieszkania dla pacjentów jeszcze niegotowych, by oddać ich pod opiekę pozaszpitalną, ale już niewymagających całodobowej uwagi w większym, głównym budynku.

– Mamy plan części podziemnej?

MacBride zmarszczył brwi.

– Części podziemnej?

– Co najmniej pod jednym z tych budynków są piwnice. Sam widziałem.

MacBride zaczął klikać i przewinał dokument, aż odnalazł ramkę z tekstem, oryginalnie znajdującą się w prawym dolnym rogu dokumentu.

– O niczym takim nie wspominają. Przeglądałem wszystkie skany i nie pamiętam żadnych planów piwnic. – Powrócił do planu budynku. – Nie ma też wzmianki na temat schodów czy kłapy.

– Dziwne. Bo przecież bez wątplenia tam były. Ale już nie ma. Budynek zrównano z ziemią.

– Jak inspektor podejrzewał, dokładnie o to chodziło.

– Zebrałem też informacje na temat Price Developments; tyle ile zdołałem.

– Niech zgadnę. To nowa firma, dopiero co zarejestrowana.

– Mniej więcej. Znajduje się pod tym samym adresem, co dwóch innych deweloperów dłużej istniejących na rynku. Na przykład firma o nazwie Saifre Holdings. Spółka holdingowa dysponująca pakietem akcji kontrolnych innych firm. Zajmuje się bardzo różnorodną działalnością. Również poza granicami Szkocji.

McLean stwierdził z zaskoczeniem, że w ogóle nie poczuł się zaskoczony, słysząc to nazwisko.

– A ta druga firma?

– Jeszcze bardziej interesująca. Albo nie, zależy od punktu widzenia. – MacBride chyba próbował sugestywnie unieść brwi, jakby wskazywał na sufit. Tak przynajmniej przypuszczał McLean. A może po prostu łaskotało go w nosie.

– No, dawaj.

– Budowę w Rosskettle prowadzi firma Price, której właścicielem jest Saifre. Tyle że wcześniej kupiła ją inna firma należąca do Weatherly Asset Management.

– Masz chwilę, Tony?

McLean podniósł głowę znad biurka. Tego głosu na pewno nie spodziewał się usłyszeć. Zwykle do jego gabinetu zaglądali MacBride, Ritchie bądź Bob Gburek, czasem jakiś zagubiony posterunkowy, a za dawnych dobrych czasów wpadała na pogawędkę Jayne McIntyre. Wszyscy inni oczekiwali, że to on będzie się do nich fatygował, co zresztą w pełni mu odpowiadało. Widok Matta Hiltona stojącego niepewnie na progu był zatem nowy i niespotykany.

– Jasne. Wejdz. – McLean zamknął teczkę z dokumentami, które próbował czytać bez większego powodzenia, odchylił się na krzesło, z trudem panując nad grymasem wywołanym nagłym bólem w biodrze. – Siadaj, jeśli znajdziesz coś wolnego.

Hilton zrobił kilka kroków, objął wzrokiem chaos panujący w gabinecie. W teorii gdzieś tam było wolne krzesło, lecz zapewne trzeba by całego dnia ciężkich prac archeologicznych, by je wygrzebać.

– Chyba postoję.

– I słusznie. Co mogę dla ciebie zrobić?

Hilton nie od razu odpowiedział. Z zatroskaną miną spojrzął przez ramię na korytarz, po czym starannie zamknął drzwi i się o nie oparł. Teraz nikt nie mógł im przeszkodzić.

– Co słyhać? Podobno przybyło ci obowiązków, nie dość, że masz sprawę Weatherly’ego, to jeszcze dwa nowe ciała, tak?

– Mężczyzna z tatuażami, a teraz tatuażysta, którego podejrzewaliśmy o zamordowanie tego pierwszego.

– Mężczyzna z tatuażami. Przypuszczaliście, że mógł przebywać przed śmiercią w Rosskettle.

– Zgadza się. William Beaumont. Były żołnierz sił specjalnych. Był bezdomny, ktoś porwał go z ulicy w centrum miasta, znaleziono go martwego w rzece, w wąwozie Roslin Glen. Gdzieś między tymi dwoma wydarzeniami wytatuowano jego ciało od stóp do głów. Różne dziwne czarne zawijasy i wzory o nieokreślonych kształtach. Ten, kto to zrobił, musiał pracować w bardzo szybkim tempie. Beaumont zaginął zaledwie trzy tygodnie temu.

Hilton przesunął pulchną dłoń po błyszczącej łysej czaszce, potarł palcem pod nosem. Jak na psychiatrę, kiepsko sobie radził z kamuflowaniem zakłopotania. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, tylko nie wiedział jak. McLean nawet dobrze by się przy tym bawił, gdyby Hilton przy okazji nie marnował jego cennego czasu.

– Posłuchaj, ja...

– Jeżeli...

Przemówili jednocześnie i jednocześnie urwali. McLean odczekał sekundę, po czym dał

Hiltonowi znak, by mówić dalej. Psychiatra jeszcze chwilę pomilczał, ale w końcu zdecydował się skoczyć na głęboką wodę.

– Ostatnio otrzymałem kilka telefonów. Od osób stojących wyżej w łańcuchu pokarmowym. Pytali o ciebie i twój stan psychiczny.

– I co im odpowiadałeś?

– Nie chcesz wiedzieć, kto to był? – Hilton zrobił zdumioną minę niczym wytrawny aktor.

– Daj spokój, Hilton. I tak byś mi nie powiedział.

– Nie, ale...

– Oczywiście, że chciałbym wiedzieć, ale jest wiele rzeczy, których chcę, a nie mogę dostać. Wracajmy do konkretów. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Hm. – Hilton oderwał plecy od drzwi, robiąc taką minę, jakby chciał usiąść, ale nagle przypomniał sobie, że przecież nie ma na czym, i oparł się o ścianę naprzeciwko biurka McLeana. – Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale naprawdę posiadam zasady etyczne.

McLean milczał. Miał ochotę głośno się roześmiać, ale wiedział, że to raczej nie zmieni sytuacji na lepsze. Skoro Hiltonowi zebrało się na zwierzenia.

– Kiedy ktoś mi mówi, żebym postąpił wbrew tym zasadom, wkurza mnie to jak mało co. Nadużycie władzy i tak dalej.

– Ktoś chciał przez ciebie dobrać się do mnie?

– Mniej więcej. Niejeden starszy oficer próbował poddać w wątpliwość, czy w ogóle nadajesz się do tej roboty. Jest dla mnie dość ewidentne, że chcą, bym podparł to oceną psychiatryczną.

– I co, zamierzasz to zrobić?

Hilton zrobił zranioną minę.

– Oczywiście, że nie. Cóż, nie powiedziałbym, że jesteś wzorcem zdrowia psychicznego. Masz problemy głęboko tkwiące w twojej psychice, którym powinieneś stawić czoło, ale które też w pewnym sensie tworzą twój charakter, decydują o tym, jakim jesteś śledczym. W tym komisariacie pracuje sporo oficerów, którzy znacznie mniej nadają się do tej pracy niż ty. Poza tym nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić.

– A jak zabiorą ci gabinet? – McLean kiwnął głową w stronę drzwi. – Ta fucha pewnie sporo dla ciebie znaczy.

– Tak i nie. Pieniądze są niezłe, stres niewielki. Tak przynajmniej było do niedawna. – Hilton wsadził rękę do kieszeni marynarki, pogrzebał, wyciągnął złożoną kartkę. Nie podał jej McLeanowi. – Mam sporo innych zajęć, z głodu nie umrę. Poza tym zawsze zostają książki.

Książki. A prawie zaczynał go lubić. Przynajmniej trochę mu współczuł z powodu najświeższego dylematu, sam to przerabiał nieraz. Jednak na wzmiankę o książkach powróciła dawna wściekłość. Matt Hilton może trochę się postarzał, ale to był ten sam Hilton, który zdobył nazwisko i majątek na plecach Donalda Andersona i jego ofiar. Ten sam Hilton, który razem z Dalglish w najintymniejszych szczegółach opisał światu śmierć Kirsty.

Z drugiej strony teraz ryzykował karierę. No, może raczej wystawiał ją na szwank. Niewątpliwie komplikował sobie życie. Trochę za mało jak na zadośćuczynienie, zawsze jednak dobry początek.

– Posłuchaj. Doceniam, że mi to mówisz. Ale o co ci właściwie chodzi, Hilton?

– O co mi chodzi? To chyba usprawiedliwione pytanie. Ja też nie posądziłbym samego

siebie o altruizm. Proszę. – Oderwał się od ściany, podszedł do biurka i podał kartkę McLeanowi. – Tyle zdołałem się dowiedzieć na temat Rosskettle. Co się tam działo od czasów, kiedy zamknięto szpital. I trochę wcześniej. To chyba nie jest zbieg okoliczności, że jak tylko zacząłem zadawać pytania na temat tego miejsca, odezwały się telefony z góry. Jedno nazwisko się powtarza. Myślę, że nie będziesz zaskoczony.

McLean wziął kartkę, ale jej nie rozłożył. Wytrzymał spojrzenie Hiltona, próbował wyczytać coś z pulchnej twarzy. Bez skutku.

– Dzięki – powiedział w końcu.

Hilton kiwnął głową, odwrócił się do wyjścia. Kiedy otworzył drzwi, McLean dorzucił:

– Posłuchaj, Hilton. Nie za bardzo się dogadujemy. I pewnie tak już zostanie. Ale to? – Podniósł kartkę, chociaż nawet nie wiedział, co jest na niej napisane. – Cóż, dzięki.

Hilton uśmiechnął się, przez chwilę wyglądał raczej jak psotny uczeń, a nie jak łysy, tusty starzejący się facet.

– Nie martw się naszym spotkaniem w przyszłym tygodniu. Ani żadnym innym. Właśnie oddałem ostateczną ocenę dotyczącą twojego stanu psychicznego. Jeśli o mnie chodzi, nadajesz się do tej pracy nie gorzej niż cała reszta w tym wariatkowie.

Po wyjściu Hiltona McLean gapił się na drzwi, sam nie bardzo wiedząc, czy czeka, aż do środka wpadnie tłum ludzi, rechocząc radośnie z powodu udanego żarciku, czy może doznał czasowej utraty mowy spowodowanej dziwnym zachowaniem psychiatry. Dopiero po chwili, kiedy echo rozmowy ucichło i zostało tylko tykanie zegara na ścianie, a w tle odległy szum miasta, uświadomił sobie, że nadal ściska w rękę kartkę, którą dostał od Hiltona.

Psychiatra zapełnił ją gęsto notatkami, ciasnym, ale wyraźnym i starannym pismem. McLean nie przypominał sobie, by wcześniej miał okazję widzieć ręczne pismo Hiltona, nie licząc podpisu na notatkach medycznych i pierwszych stronach tych jego zasranych książek, świadczącego o rozdętym ego. Nie budziło zdumienia, że ktoś tak skupiony na sobie i chorobliwie pedantyczny próbował upchnąć wszystkie informacje na jednej stronie. A może chodziło mu o to, by w razie konieczności łatwo się tych notatek pozbyć? Tak czy inaczej, zapowiadała się niełatwa lektura. McLean zmrużył oczy, przysunął biurko do światła. Po chwili słowa zaczęły zdradzać jakiś sens. A między brwiami McLeana pojawiła się głęboka bruzda.

Szpital w Rosskettle zamknięto, ponieważ był położony za daleko od ludzkich siedzib – zresztą z tego samego powodu właśnie w tym miejscu go zbudowano. Czasy się zmieniają, a wraz z nimi postawa społeczeństwa wobec chorób psychicznych. Spędziłem tam tylko dwa lata, nie należałem na stałe do zespołu, ale jadałem wraz z innymi w stołówce i poznałem wielu sanitariuszy. W tym czasie wyprowadzono pacjentów z budynków z prefabrykatów, postawionych w latach sześćdziesiątych po zachodniej stronie głównego budynku, za wyjątkiem paru starszych osób, które pozostawiono w tym leżącym najbliżej, numer sześć, ponieważ reagowały bardzo gwałtownie przy próbach przeniesienia.

Pozostałych pięć budynków stało pustych, ale tylko jeden z nich, numer trzy, zamknięto na kłódkę. Od czasu do czasu przyjeżdżali z wizytą różni wysoko postawieni ludzie. Niekiedy w pojedynkę, we dwóch, a innym razem większymi grupami. Przeważnie zwiedzali szpital i wracali do domu, ale pamiętam, że pewnego razu, kiedy pracowałem do późna, widziałem,

jak grupa złożona z dziesięciu osób wchodzi do budynku numer trzy. Klódkę zdjęto, a od tyłu paliły się światła. Wtedy za bardzo się nad tym nie zastanawiałem, ale pamiętam, że wśród tych ludzi był Andrew Weatherly. W ciągu tych dwóch lat, kiedy tam pracowałem, był jednym z najczęstszych gości, czemu trudno się dziwić, ponieważ jego firma odpowiadała za wszystkie sprawy niezwiązane bezpośrednio z leczeniem. Tamtej nocy pojechałem do domu dopiero po dwunastej. Samochody nadal stały na parkingu. Następnego dnia byłem na uczelni, więc nie wiem, kiedy odjechały. Pamiętam tylko, że kiedy wspomniałem o tym w rozmowie z jednym ze starszych sanitariuszy, powiedział, że dla własnego dobra powinienem o wszystkim zapomnieć. Odniosłem wrażenie, że te nocne wizyty wcale nie są rzadkością.

Wśród sanitariuszy krążyły opowieści o przyjęciach, które odbywały się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy to podobno zabierano długoterminowych pacjentów do położonych na uboczu budynków szpitalnych i wykorzystywano seksualnie. Pojedyncze przypadki molestowania pacjentów ze strony personelu, niestety, się zdarzają. Opowiadano, że te przyjęcia były czymś w rodzaju orgii seksualnych, że bywali na nich najznamienitsi członkowie edynburskiej socjety. Całkiem możliwe, że w tych historiach tkwi ziarno prawdy.

W latach dziewięćdziesiątych postanowiono zamknąć szpital, pacjentów stopniowo przenoszono do innych ośrodków. Ostatecznie szpital zamknięto w 2002. Przez parę lat stał opuszczony, a w końcu sprzedano go firmie deweloperskiej. Ale nie rozpoczęto żadnej budowy. Chodziły pogłoski, że Rosskettle kupiła jedna z firm należnych do Andrew Weatherly'ego, który postanowił zachować miejsce w takim stanie jak za czasów, kiedy mieszkał tam jako dziecko.

Z kilkunastu psychiatrów, którzy wtedy pracowali w szpitalu i którzy nadal żyją, większość nie chciała rozmawiać o tamtych czasach. Jedna osoba odmówiła nawet w dość obcesowy sposób. Wiele radziło, żebym o wszystkim zapomniał. Może wyjdę na zwolennika teorii spiskowych, ale chyba nie posunę się za daleko, twierdząc, że działo się tam coś podejrzanego, i to przez długi czas, i że uczestniczył w tym Andrew Weatherly. To na pewno nie jest przypadek, że kiedy tylko zainteresowałem się tym miejscem, ludzie na górze zaczęli interesować się mną. I tobą. Jak to mówią, nie ma dymu bez ognia.

Byłbym wdzięczny, gdybyś zniszczył tę kartkę, jak tylko ją przeczytasz, i nie mówił nikomu, skąd wzięłeś te informacje.

McLean przeczytał notatkę dwa razy. Za drugim poszło łatwiej, chociaż znaczenie słów nadal mu umykało. A może nie chciał przyjąć ich do świadomości, nie chciał trafić w miejsca, które otworzyły w jego umyśle. Jeden fragment szczególnie rzucał się w oczy. Andrew Weatherly... postanowił zachować miejsce w takim stanie jak za czasów, kiedy mieszkał tam jako dziecko.

Hilton ujął to jak rzecz całkiem oczywistą, ale McLean nie wiedział, że Weatherly dorastał w Rosskettle. W końcu uznał, że nic więcej z tej kartki nie wyciągnie, złożył ją starannie i wsadził do kieszeni, myśląc, że jeśli wróci do domu w miarę wcześnie, rozpali ją w kominku.

– Nawet nie zapytam o ćwiczenia, panie inspektorze. Od razu widać, że nic pan nie robi.

McLean leżał wpatrzony w sufit, podczas gdy Esmeralda majstrowała przy jego nodze. Miała ciepłe ręce i delikatny dotyk, ale podnosiła, wyginała i ciągnęła biedną kończynę w sposób całkowicie pozbawiony subtelności, uważnie obserwując przy tym jego twarz i wypatrując mimowolnych grymasów bólu. Sytuacji nie poprawiał fakt, że była ubrana, podczas gdy spodnie McLeana wisiały na oparciu krzesła, gdzieś daleko na drugim końcu gabinetu. Od początku znajdował się więc na straconej pozycji.

– Nigdy nie mam czasu... – zaczął.

– Każdy tak mówi. Za to na wózku inwalidzkim będzie go pan miał aż za dużo.

Esmeralda znów brutalnie wygięła nogę McLeana. Coś pstryknęło, ostry ból przeszył biodro i pobiegł dalej, wzdłuż kręgosłupa, jakby ktoś podłączył McLeana do prądu. Ledwo powstrzymał się od krzyku.

– Widzi pan. Całkiem do niczego. – Esmeralda opuściła nogę na stół rehabilitacyjny. – Może pan włożyć spodnie.

McLean usiadł powoli, spodziewając się kolejnego ataku bólu. Od kilku dni noga nie dawała mu się tak bardzo we znaki za wyjątkiem chwil, kiedy siadał za biurkiem. Albo wsiadał do samochodu i z niego wysiadał. Albo kładł się do łóżka. Nie przyszedłby na to spotkanie, gdyby nie fakt, że poprzednim razem najwyraźniej dali mu nie te tabletki przeciwbólowe, co trzeba. Owszem, wyglądały identycznie jak stare, tylko działały znacznie słabiej i na krócej starczały.

Powoli opuścił stopy na podłogę, która była gdzieś bardzo daleko. Usłyszał echo tamtego poprzedniego pstryknięcia, cały zeszywniał, gotując się na powtórkę. Dotknął stopami podłogi i podniósł się niezgrabnie jak człowiek co najmniej dwa razy starszy i stojący na bardzo śliskim lodzie. Ale właściwie nie poczuł bólu. Było to niemal rozczarowujące.

– Zarządzam kolejne spotkanie. O tej samej porze. Jutro – powiedziała Esmeralda raczej do dokumentacji medycznej niż do McLeana.

Zbyt skupiony na kolejnych krokach w kierunku upragnionych spodni, w pierwszej chwili nie uświadomił sobie sensu jej słów. Stało się to dopiero wtedy, kiedy włożył beczenną część garderoby i zapiął guzik oraz zaciągnął suwak.

– Jutro? To niemo...

– Jutro, inspektorze, albo dzwonię do pańskiego szefa. – Tym razem Esmeralda zwróciła głowę w stronę McLeana i popatrzyła mu prosto w oczy, twardo, bez cienia uśmiechu. – Mówię poważnie. Do tej pory powinien pan całkowicie pozbyć się urazu. Jeszcze nigdy nie spotkałam osoby, która tak by się zaniedbywała.

– Po prostu od paru dni nie robiłem ćwiczeń. – McLean spojrział na podłogę, gdzie stały jego buty, milion kilometrów dalej. Czemu, do cholery, akurat dzisiaj musiał włożyć wiązane? – No i raczej z nimi nie przesadzam.

– Właśnie o to mi chodzi. W ogóle ich pan nie robi.

– Ale to z pewnością bardzo korzystne. Lekarz kazał mi odpoczywać.

– Tylko do pewnego momentu. Ten moment już minął. – Esmeralda znów zajrzała w kartę. – Nie dam panu więcej tabletek, a jeśli coś panu zostało, radziłabym odstawić.

– Ja... Że co?

– One nie pomagają. Musi poczuć pan ból i pokonać go treningiem. Tylko w ten sposób wróci pan do formy. Jutro razem zrobimy ćwiczenia. To zajmie tylko pół godziny. A pojutrze

je powtórzymy, i za trzy dni również.

– Ja raczej nie mogę... To znaczy... Pracuję...

– Jutro o tej samej porze. – Tym razem Esmeralda posłała mu radosny uśmiech. – Do zobaczenia.

– Nie powiem, skąd mam te informacje, ale sądzę, że wszyscy powinniście je poznać.

Wczesny ranek. Może zbyt wczesny. McLean popatrzył na to, co udało się zebrać z pierwotnego zespołu, prowadzącego dochodzenie w sprawie tragedii rodziny Weatherlych. Z zadowoleniem stwierdził, że bez tych, którzy zdezerterowali, doskonale może się obejść. Jak, na przykład, sierżant Carter i grupka posterunkowych, łąząca za nim, jakby był wytrawnym śledczym i krynicą wszelkiej mądrości, a nie nędznym i bezużytecznym kawałem śmierdzącego lenia.

– Chodzi o Andrew Weatherly’ego. A konkretnie trochę nieznanych powszechnie faktów dotyczących jego dzieciństwa i wczesnej młodości. Nie znajdziecie tych informacji w wikipedii.

Bob Gburek, siedzący na samym końcu ciemnego pomieszczenia, lekko kiwnął głową. Pozostali wpatrywali się w McLeana wzrokiem pełnym oczekiwania, niczym studenci pierwszego roku podczas wyjątkowo fascynującego wykładu. Wrażenie wzmocnił projektor działający na pilota, którym posterunkowy MacBride wymalował wyrazisty obraz na białej tablicy. Widniało na niej zaledwie kilka haseł pogłębiających efekt tajemniczości. Zdjęcie przedstawiało posła do parlamentu szkockiego, zamieszczono je w gazecie kilka miesięcy wcześniej przy okazji jakiegoś artykułu.

– Andrew Weatherly urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku w szpitalu Rosskettle. Jego matka została przyjeta krótko przed tym. Z akt wynika, że cierpiała na histerię i miała skłonności samobójcze, ale tak naprawdę rodzina prawdopodobnie zapłaciła, by umieszczono ją w ośrodku zamkniętym, ponieważ śmiała zająć w ciążę, chociaż nie była mężatką. Miała wówczas tylko siedemnaście lat i pochodziła z zamożnej i wysoko postawionej rodziny. Zapewne jej ojciec uznał, że obłąkana córka to mniejszy skandal niż bękart w rodzinie.

– Mogli to zrobić? Rozumiem, że w epoce wiktoriańskiej, ale w latach pięćdziesiątych? – Na twarzy posterunkowej Gregg malowało się skrajne oburzenie.

– Pewnie mogliby i dzisiaj, to tylko kwestia pieniędzy. Przypominam, że w tamtych czasach to nawet nie był szpital państwowy. Dziadek Weatherly’ego był starszym wspólnikiem w jednej z największych w mieście firm prawniczych i właścicielem sporego kawałka Midlothian. A jego rodzina praktycznie zbudowała ten szpital, więc mógł raczej liczyć na życzliwość władz.

McLean nacisnął guzik pilota i obraz się zmienił. Niewyraźna kopia świadectwa urodzenia.

– Weatherly mieszkał z matką do ósmego roku życia. Z tego, co nam wiadomo, nie został ochrzczony, a rodzina nigdy go nie uznała. Dostał nawet inne nazwisko. Andrew Theobold.

– A kim był Theobold? To nazwisko jego ojca? – zapytał MacBride.

– Prawdopodobnie tak. Dziadek miał pieniądze i kontakty, więc być może było to pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu do głowy, kiedy mówił urzędnikowi, co wpisać w papierach. Nie ma to zresztą większego znaczenia, pokazuje tylko, do jakich środków uciekła się rodzina Weatherlych, by dziecka w żadnym wypadku z nimi nie kojarzono.

– Czy oni aby trochę nie przesadzili? Co jest takiego strasznego w nieślubnym dziecku? Moi rodzice też nie mają ślubu.

McLean uniósł brwi w stronę posterunkowej Gregg, która tak uprzejmie podzieliła się informacjami na temat swojej rodziny.

– To były inne czasy. Zgadzam się, że zakrawa to na obłąd, ale cóż, tak właśnie się stało. Istnienie Andrew Weatherly’ego było dla nich prawdziwym szokiem i zrobili wszystko, co tylko mogli, by znikł z ich życia. Nie obróciło im się to na dobre.

Kolejne kliknięcie, kolejny obraz. Tym razem fotografia z zakończenia studiów, twarz tak niewyraźna, że mogłaby należeć do kogokolwiek. Grube ziarno, wyblakłe kolory, ubrania i fryzury sugerowały, że zrobiono je w dekadzie, którą lepiej byłoby wymazać z dziejów – w latach siedemdziesiątych.

– Kiedy miał osiem lat, jego matka umarła i oddano go rodzinie zastępczej. Nie bardzo wiadomo, co się z nim działo. Kolejna informacja pojawia się dopiero czternaście lat później, kiedy Andrew kończy z wyróżnieniem Uniwersytet Edynburski. W tym czasie nosi już nazwisko Weatherly. Zmienił je aktem prawnym, kiedy miał szesnaście lat. Raczej trudno uznać to za przypadek.

– Chyba niezły był z niego świr – skomentował Bob Gburek, który poznał już całą historię.

– Trudno się nie zgodzić. Weatherly najwyraźniej chował urazę w stosunku do rodziny. Raczej nie można go winić po tym, jak go potraktowali. Chociaż nie jestem pewien, czy rozumiem zapiekłość, z jaką przeprowadził zemstę.

– Zemstę? – powtórzył MacBride.

– Trudno inaczej to nazwać. Weatherly był zawsze dobry w finansach. Nie da się zbudować firmy obracającej miliardami, jeśli nie umie się wypełniać arkuszy kalkulacyjnych. Wykorzystując wiedzę i umiejętności, systematycznie doprowadzał rodzinę Weatherlych do bankructwa i skupował ich aktywa po obniżonej cenie. Jego dziadek zmarł w nędznym domu opieki, biedny jak mysz kościelna. Wujowie skończyli podobnie. Zgarnął wszystko, co posiadała rodzina Weatherlych. Posiadłości w Midlothian, nieruchomości w mieście, dom w Fife. Chodzą słuchy, że nawet doprowadził do upadłości firmę prawniczą. Faktem jest, że już nie istnieje.

MacBride cicho gwizdnął.

– To się nazywa zemsta.

– A i owszem. Sądzę, że ta historia daje nam pewien obraz człowieka. I sprawia, że jeszcze trudniej zrozumieć jego ostatnią decyzję. Widzieliście tamte zdjęcia. Jest też zapis wideo, ale nie radzę oglądać, bo potem trzeba wymoczyć mózg w bielince. Dziennikarze krzyczą o szantażu, ale Weatherly nie był typem, który dałby się zastraszyć. Poza tym wiedział o tych zdjęciach i o nagraniu. Sam był ich autorem. To on był szantażystą. W ten sposób zapewniał sobie przewagę. Gwarancję, że wysoko postawieni przyjaciele nigdy nie zapomną, kto ich wyniósł na szczyt. Nie, to nie jest... – McLean nacisnął przycisk pilota, by pokazać kolejny obraz. Wybrał go starannie i z namysłem, nie chcąc narazić na szwank wrażliwości młodszych

oficerów, chociaż przypuszczał, że akurat oni będą najmniej zszokowani. Tak czy inaczej, było na nim widać stanowczo zbyt dużo nagiego ciała, niż przyzwoitość nakazuje. – To nie jest powód, dla którego Andrew Weatherly zabił żonę i dzieci i popełnił samobójstwo.

– A co w takim razie? – spytała posterunkowa Gregg, wykręcając szyję i próbując zrozumieć, co właściwie przedstawia zdjęcie.

– Waszym zadaniem jest się tego dowiedzieć.

– Ma pan chwilkę, szefie?

McLean właśnie zmierzał do gabinetu po zakończonym spotkaniu. Zatrzymał się w pół kroku i oderwał wzrok od telefonu. Próbował ustawić przypomnienie o zmienionych datach wizyt u fizjoterapeutki, ale jak na razie bez rezultatu. Posterunkowy MacBride ścisnął w pulchnej dłoni plik papierów. W tym akurat nie było nic niezwykłego. Dziwnie wyglądała tylko jego mina – miks zatroskania i półuśmiechu.

– Wszystko lepsze niż rozpracowywanie tego gówna. – McLean schował telefon do kieszeni. – Co tam masz?

– Przeglądałem dokumenty dotyczące wyburzenia budynków w Rosskettle. – MacBride uniósł wyżej papiery. – Dostałem kopie z wydziału planowania.

McLean uniósł brwi.

– Jakim sposobem tego dokonałeś?

MacBride zrobił zawiedzioną minę i wziął głęboki wdech, wyraźnie szykując się do dłuższej przemowy. McLean szybko go ubiegł.

– Nie. W tym momencie nie jest ważne jak. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

Posterunkowy z ulgą rozluźnił ramiona.

– To może być zwykła fuszerka. W końcu mowa o urzędnikach. Ale proszę spojrzeć. – Pokazał kartkę, która mogła być pozwoleniem na zburzenie budynków szpitalnych, i dźgnął palcem datę. – To było po tym, jak Weatherly... No, potem.

– I? Wiemy, że wniosek zaakceptowano, zanim wjechały buldożery.

MacBride przez chwilę przerzucił papiery, odszukał kolejny dokument z logo kolejnego urzędu.

– Tak, wiem. Ale proszę spojrzeć. To jest pismo z urzędu nadzoru budowlanego. Podaje wytyczne, jakie raporty należy złożyć podczas prowadzenia prac, tego rodzaju rzeczy.

McLean wziął kartkę do ręki, przeskanował ją wzrokiem. Zobaczył jedynie potwierdzenie ujęte w formie urzędniczej nowomowy, że wszystkie warunki spełniono. Bezsensowny nadęty bełkot, mający na celu tworzenie autorytetu i w gruncie rzeczy całkowicie pozbawiony znaczenia. W każdym razie wyglądało na to, że wszystko przeprowadzono legalnie i zgodnie z przepisami, nic w tej sprawie nie budziło podejrzeń. I nagle zrozumiał.

– Data.

– No właśnie. – MacBride promieniał jak uczeń, który przed całą klasą udzielił prawidłowej odpowiedzi. – Ta sama co na pozwoleniu.

– To dziwne?

– Niespotykane. Pismo powinno przecież dotrzeć do urzędu nadzoru budowlanego dopiero po wydaniu pozwolenia na wykonanie robót. Nawet jeśli otrzymali je tego samego dnia, niemożliwe, żeby uwinęli się w tak krótkim czasie.

– Ale nie jest to całkiem wykluczone.

Po twarzy MacBride'a przemknął cień.

– Może i nie. Należy jednak raczej podejrzewać, że kogoś do tego zmuszono. Lub go przekupiono.

W tym momencie, gdy McLean siedział w samochodzie zaparkowanym pod kościołem, przy mruczącym silniku, który dostarczał do kabiny upragnione ciepło. Od czasu do czasu rozglądał się, wypatrując przyczajonych dziennikarzy. Na razie nikogo nie zauważył, co jednak nie znaczyło, że ich tam nie ma. Mróz przynajmniej zmniejszał do minimum liczbę przechodniów.

Słabe zimne światło wczesnego poranka malowało pasmami fioletu i szarości bladoniebieskie niebo, na razie czyste i bezchmurne, ale grożące obfitymi opadami śniegu. McLean siedział w samochodzie zaparkowanym pod kościołem, przy mruczącym silniku, który dostarczał do kabiny upragnione ciepło. Od czasu do czasu rozglądał się, wypatrując przyczajonych dziennikarzy. Na razie nikogo nie zauważył, co jednak nie znaczyło, że ich tam nie ma. Mróz przynajmniej zmniejszał do minimum liczbę przechodniów.

Stary zdezelowany vauxhall cavalier przejechał obok, zwolnił i zaparkował kilka metrów dalej. Tłusty czarny dym z wysłużonego silnika nadal wisiał w powietrzu, kiedy otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i ze środka wygramolił się młodzieniec o dość niechlujnym wyglądzie. Miał na sobie grube ubranie, odpowiednie na zimowe spacer, a na głowie jaskrawoczerwoną wełnianą czapę, naciągniętą głęboko na uszy, więc McLean nie od razu go rozpoznał. Dopiero kiedy młodzieniec odwrócił się i popatrzył w kierunku cmentarza i w przeciwną, jakby na kogoś czekał, inspektor wreszcie skojarzył. Doktor Tom MacPhil. Nie tego patologa się spodziewał.

– Czas ruszać. – Wyłączył silnik i dał drzemiącemu Gburkowi kuksańca pod żebra.

Sierżant obudził się z donośnym chrunko-chrapnięciem, potarł nos i przeczesał palcami to, co zostało mu z włosów.

– Już? A tak mi się przyjemnie spało.

– Zauważyłem. Idziemy.

McLean otworzył drzwi i wysiadł prosto w powietrze tak zimne, że zamarzały płuca. Bob Gburek wygramolił się z drugiej strony. Głośny dźwięk zatrzaśniętych drzwi ostrzegł MacPhaila o ich obecności. Doktor odwrócił się gwałtownie, o mało nie tracąc równowagi na śliskiej drodze.

– Inspektor McLean. Angus kazał przeprosić, ale nie mógł przyjechać. Musiał polecieć do Londynu i zastąpić głównego mówcę na jakimś nudnym sympozjum. Tamten widać był bardzo zdeterminowany, żeby nie jechać, bo dostał ataku serca i zmarł.

McLean musiał przyznać, że to całkiem udany wstęp.

– Jestem pewien, że Angus cieszy się każdą minutą. Wie pan, co mamy robić?

– Mniej więcej. – McPhail otworzył tylną klapę nieco sfatygowanego samochodu i wyciągnął ze środka czarną torbę.

Większość znanych McLeanowi lekarzy nosiła w takich torbach leki i sprzęt ratujący życie. Nie mógł opędzić się od myśli, że akurat ta torba niewiele by pomogła w razie nagłego wypadku.

– No dobrze. Im szybciej zaczniemy, tym mniejsze ryzyko, że dorwie nas jakiś palant dziennikarz. – Słowa wypowiedział Bob Gburek, ale McLean pomyślał mniej więcej to samo.

Od chwili, kiedy wysiadł z samochodu, czuł się bardzo wystawiony na widok. Za każdym drzewem mógł się czać fotograf z obiektywem długoogniskowym, gotów wysłać jego zdjęcie do wszystkich popołudniowych gazet. *Obłąkany policjant hieną cmentarną* albo *Martwy poseł nadal nie zdradza sekretów*. Powiódł wzrokiem dokoła. Nikogo. Tylko ciężki kształt kościoła na tle szarzejącego nieba, rzędy nagrobków niczym krzywe połamane zęby.

– Masz klucz, Bob? – spytał McLean. Sierżant kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni kawał żelastwa. – Świetnie. Zaczynamy.

Brama nie była zamknięta na klucz i co najmniej jedna osoba wchodziła do kościoła od czasów ostatnich opadów śniegu. W obie strony biegł wąski pas śladów. Na cmentarz z kolei nie zapuszczał się nikt o stopach większych niż lisie. Drogę do krypty Weatherlych pokrywała nienaruszona warstwa, skrzypiąca pod nogami. Podczas pogrzebu McLean jakoś nie zwrócił uwagi na kryptę, teraz jednak stwierdził, że jest to niezłe gotyckie paskudztwo. Tworzyły ją wielkie kwadratowe bloki, górną część zdobiła płaskorzeźba, która pewnie u niejednego dziecka wywołała koszarne sny. Śmierć, wytwornie koścista i z kosą w ręku, skradała się w stronę leżącej piersiastej kobiety. Bez wątplenia ten obiekt wykonał zdolny rzemieślnik. Warstwa edynburskiego brudku i biel śniegu sprawiały, że jeszcze bardziej przemawiał do wyobraźni, jakby się patrzyło na żywą scenę, zastygłą na zawsze pod spojrzeniem Gorgony.

Śnieg grubą warstwą pokrył prowadzące w dół stopnie. McLean wziął klucz od Boba Gburka, zrobił pierwszy krok i zaraz pożałował – jego stopa znikła, a zaraz za nią noga do połowy łydki. Wylądowała dość nieszczęśliwie i biodro przeszył ostry ból. Tylko pomocna dłoń doktora MacPhaila uratowała go przed walnięciem prosto w ciężkie żelazne drzwi.

– Ostrożnie, inspektorze. Dawno nie praktykowałem na żywych pacjentach.

McLean odnalazł otwór pośród żelaznych ozdóbek i z miłym zaskoczeniem stwierdził, że zamek porządnie naoliwiono, podobnie jak zawiasy. Oczywiście nie było w tym nic dziwnego. Owszem, nikt tu zbyt często nie zaglądał, ale ostatnia okazja nadarzyła się zaledwie parę tygodni temu. Na pewno wcześniej ktoś tu przyszedł, by poczynić przygotowania na przybycie nowych mieszkańców, i nawet nie zapomniał potem zabrać puszek ze smarem. Drzwi się otworzyły, ukazując ciemność i kolejne schody.

– Gdzie masz tę latarkę? – Ledwo McLean zdążył wypowiedzieć te słowa, a silny snop światła przeciął mrok i przegonił cienie do kątów.

Za schodami krypta się rozszerzała. Wzdłuż ścian biegły kamienne półki, w większej części zapełnione starymi skrzyniami.

– Myślałem, że Weatherly to typowy przykład „od zera do milionera” – powiedział Bob Gburek. – Co on robi w takim miejscu?

To było dobre pytanie. McLeanowi jakoś nie przyszło ono do głowy podczas pogrzebu. Kartkę, na której widniała odpowiedź, wykorzystał poprzedniego wieczoru do rozpalenia ognia na kominku.

– Kupił je. – To była prostsza wersja.

Bob Gburek uniósł jedną brew, ale nic więcej nie powiedział.

McLean ostrożnie zszedł po stopniach, wyjął plan z kieszeni. Miał tam też nakaz ekshumacji, w razie gdyby ktoś się zainteresował, co tu robią. Wcześniej odbył rozmowę z władzami kościelnymi, zapewnił, że postara się nie zakłócić spokoju zmarłych. Wyjęcie zwłok z krypty wiązało się ze znacznie mniejszymi komplikacjami niż wykopywanie z ziemi.

To drugie zawsze wywoływało poważny niepokój.

– Trzecia z lewej, pierwsza półka od dołu. – Bob Gburek poświecił latarką na trumny.

McLean zmrużył oczy. Te najnowsze wyraźnie wyróżniały się spośród reszty, ale nie miał ochoty przez pomyłkę otworzyć pani Weatherly. Na szczęście w przypadku dziewczynek nie istniało takie ryzyko, ich trumny były znacznie mniejsze.

– To chyba ta.

Między półkami było akurat tyle miejsca, by dało się otworzyć trumnę. Doktor MacPhail pospieszył mu na pomoc i wspólnymi siłami odkręcili ciężkie mosiężne okucia i unieśli ciemne drewniane wieko. McLean nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Może nagłego podmuchu, który poruszy pajęczynami, może zduszonego krzyku w oddali. Krypta pachniała zimnym kamieniem i nieruchomym zatęchłym powietrzem. Myślał, że rozejdzie się woń rozkładu czy formaldehydu rodem z kostnicy. Ale nie poczuł żadnego zapachu. Nie nastąpił żaden dramat. Po prostu nic.

Trumna była pusta.

– Co ty, kurwa, opowiadasz, jak znikł?

Wiedział, że będzie bolało.

Spędzili w krypcie chyba z pół godziny, sprawdzając pozostałe trumny, chociaż mieli pozwolenie tylko na jedną. Morag Weatherly i jej córki leżały tam, gdzie powinny, ale Andrew Weatherly najwyraźniej gdzie indziej znalazł miejsce ostatniego spoczynku. McLean zobowiązał Boba Gburka i doktora MacPhaila do bezwzględnego zachowania tajemnicy i poszedł opowiedzieć o wszystkim Duguidowi. Znowu stał po niewłaściwej stronie biurka, jak już tyle razy wcześniej, próbując przetrwać burzę.

– Ryzykowałem karierę, żeby załatwić wam to pozwolenie, rozumiesz? – Twarz Duguida przedstawiała przerażającą kompozycję szkarłatnych plam i ciałek bezkrwistej bieli. – Jak mogłeś spieprzyć coś takiego?

– Z całym szacunkiem...

– Nie pierdol mi tu o szacunku. – Duguid zerwał się z krzesła, wciskając pięści w biurko z taką siłą, że powinien polecieć pod sufit. – Gdybyś dał sobie spokój, nic by się nie stało.

– Jakie dokładnie nic? Nie wykradłem ciała Weatherly'ego. Raczej powinien pan się cieszyć, że tak szybko to odkryliśmy. I że odkryliśmy to my, a nie ktoś inny.

– Ja... – Duguid otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nagle sobie uświadomił, że nie bardzo wie co.

– No właśnie. – McLean wykorzystał krótką przerwę, by przejść do ofensywy. – W razie gdyby pan zapomniał, miałem poważny powód, żeby jeszcze raz obejrzeć ciało Weatherly'ego. Jestem wkurzony tak samo jak pan, że zniknęło. Ale ten fakt raczej tylko potwierdza to, co mówiłem już wcześniej. Ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje.

Duguid ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał siłą wydobyć coś ze swego mózgu.

– Jezu Chryste, McLean. To miało być proste dochodzenie. Facet dostaje świra, zabija całą rodzinę i siebie na końcu. Kropka. Takiego scenariusza miałeś się trzymać.

– Myślałem, że chciał pan, żebym szukał prawdy. Dla dziewczynek i ich matki, jeśli nawet

nie z innych względów.

– Prawdy? – Duguid osunął się w fotel. Widać było, że kipi ze złości. – Od jak dawna jesteś detektywem, McLean?

– Ja... Że co?

– Dwanaście lat? Czternaście? I nadal uważasz, że istnieje coś takiego jak prawda. Jezu, czasem zazdroszczę ci tej naiwności.

– Istnieją poważne dowody łączące Andrew Weatherly'ego z...

– Dupa nie dowody. Opierasz się na przypuszczeniach i domysłach. Duchy i zjawy. Widzisz związki tam, gdzie ich nie ma. Poparzone wargi. Co to w ogóle niby ma znaczyć? Żałuję, że w ogóle załatwiłem ci to pozwolenie.

Dobry Boże, i tego człowieka postawili na czele dochodzeniówki!

– Przykro mi bardzo, że brak ciała Andrew Weatherly'ego w trumnie jest dla pana tak niewygodny, ale może jednak lepiej, że dowiedzieliśmy się teraz, a nie później, nie uważa pan?

– Lepiej, gdybyśmy się wcale nie dowiedzieli. Lepiej, żeby został tam, gdzie miał być. A najlepiej, gdyby nigdy, kurwa, nie istniał.

– Przyznaję. Tylko że wyszlibyśmy na strasznych kretynów, gdyby nagle ciało znaleziono w jakimś niespodziewanym miejscu, prawda?

Duguid popatrzył na niego małymi świńskimi oczkami.

– Wiesz, gdzie on może być?

– Przypuszczenia i domysły. Duchy i zwidy.

– Nie bądź taki mądry, McLean.

– A co pan powie na to? Andrew Weatherly był właścicielem firmy, która przez ostatnie dwadzieścia lat zarządzała szpitalem Rosskettle. A także właścicielem innej firmy, która kupiła teren i budynki, kiedy szpital przeniesiono. A teraz trzecia firma, należąca do jego bliskich partnerów biznesowych, prowadzi tam prace budowlane.

– A co, do kurwy nędzy, ma tu do rzeczy Rosskettle? To wariatkowo, mam rację?

– Tak, mieścił się tam szpital psychiatryczny. Zamknięty jakieś pięć lat temu. Najprawdopodobniej stamtąd przyszedł nasz mężczyzna z tatuażami. William Beaumont. Niektóre budynki znajdują się zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym spadł z klifu do rzeki.

Teraz mina zdumiona. Hm, Mclean nawet się jej spodziewał.

– Do czego zmierzasz?

– Uważam, że istnieje związek między Andrew Weatherlym a Williamem Beaumontem. Weatherly miał na koncie znacznie więcej niż tylko orgie w domu pod nieobecność żony. Był zamieszany w coś, nie wiem w co, ale coś, co spowodowało śmierć co najmniej dwóch ludzi, bo o tylu wiem, a Bóg jeden wie, ilu jeszcze. Prawdopodobnie to właśnie pchnęło go do zabicia rodziny i popełnienia samobójstwa. Obawa, że jego tajemnica wyjdzie na jaw. A to z kolei oznacza, że właśnie gdy sobie gawędzimy, spycharki niszczą wszystkie dowody i wywożą na wysypisko.

Duguid ciężko opadł na oparcie fotela, przeciągnął wielką pajęczą dłonią po głowie i na koniec podrapał się w kark. McLean milczał, czekał, aż nadinspektor sam i w swoim czasie wyciągnie odpowiednie wnioski. Wyłożył karty na stół, nic więcej nie mógł zrobić.

– Nikomu nie wolno ci o tym powiedzieć – oznajmił wreszcie Duguid. – Przekaż to Bobowi Gburkowi i swojemu koledze patologowi. Nikt nie może się dowiedzieć, że ciało Weatherly’ego znikło. W każdym razie nie teraz.

McLean próbował zachować wyprostowaną postawę, ale mentalnie ramiona opadły mu w geście głębokiego rozczarowania. Nawet gorzej, frustracji. Wiedział, że są naciski z góry, lecz Duguid z pewnością nie był tak ważną postacią, żeby go w to mieszać.

– Potrzebny ci będzie nakaz, żeby przeszukać szpital. Zadzwoń w parę miejsc. Takich bardziej nietypowych. Nie będę wciągał na maszt wielkiej czerwonej flagi.

– Ja... Co?

– Chyba chcesz przeszukać szpital, prawda? Zanim go całkiem rozwalą? Ja w każdym razie tak bym zrobił.

Tym razem to McLean zrobił głupią minę.

– Ale myślałem...

– Ja też. Myślałem, że chcieli szybko zakończyć dochodzenie, bo Weatherly przyjaźnił się z wielkimi szychami. Nie byłem tym zachwycony, ale zostało mi niewiele lat, a nie chciałem wylądować z emeryturą posterunkowego. – Duguid pogrzebał w kieszeni marynarki, wyciągnął mały czarny notes, przerzucił kartki. W końcu znalazł to, czego szukał i sięgnął po telefon. – Wiele bym zrobił dla świętego spokoju, lecz to już zaszło za daleko.

– Widziałeś ostatnio Ritchie?

McLean nadal dochodził do siebie po rozmowie z Duguidem. To była już druga osoba w tym tygodniu, która zachowała się zupełnie wbrew jego oczekiwaniom i okazała się, nawet jeśli z oporami, całkiem pomocna. Jakby zbliżał się koniec świata i ludzie wreszcie zaczęli wybierać, po której stronie staną w ostatecznej bitwie. A ci, których podejrzewał o to, że trzymają z wrogiem, przyszli mu z pomocą. Miał tylko nadzieję, że analogiczna sytuacja nie zdarzy się po stronie jego przyjaciół.

– Nadal na zwolnieniu. – MacBride z miną męczennika rozpaczliwie stukał w ekran tabletu.

– Nadal? Myślałem, że już jej lepiej. – Właściwie kiedy ostatnio widział Ritchie? A, tamtego wieczoru, kiedy ją odwiózł do domu po wyprawie do koszarów Glencorse. Miał wrażenie, że to było bardzo dawno temu. Owszem, wyglądała trochę nieswojo, ale żeby aż tak długo ją trzymało?

– Bo czuła się lepiej, ale widać nastąpił nawrót choroby. Ma dzisiaj umówioną wizytę u lekarza. Mówiła, że spróbuje później zajrzeć. Nie jestem przekonany, czy chcę przy tym być. Przez telefon brzmiała okropnie.

McLean wiedział, co MacBride ma na myśli. Z niektórymi tak już jest. Męczennicy pracy. Jak im urwie nogi, to się doczołgają, byle tylko nie zawieść współpracowników. W sumie nawet w porządku. Gorzej, kiedy podobnie postępuje ktoś po uszy nafaszerowany lekami na gripę i altruistycznie rozsiewa zarazki. Za chwilę polegnie cały komisariat.

– Później do niej wpadnę. A ty zostajesz tymczasowo mianowany sierżantem.

Oczy MacBride'a załśniły, przygarbione plecy wyprostowały się, a na twarzy pojawił się zaczątek uśmiechu.

– Tak?

– Niestety jedynie w mojej głowie. Chcę, żebyś zorganizował zespół śledczy. I może oddział zbrojny, w razie gdyby coś się spieprzyło.

MacBride znowu zwiotczał, ale tylko trochę. Miał zadanie do wykonania, co zwykle wystarczało mu do szczęścia.

– A dokąd jedziemy?

– Szpital Rosskettle. Jak tylko Duguid zdobędzie nakaz. Ruszamy skoro świt.

Ktoś mógłby twierdzić, że są ważniejsze rzeczy do zrobienia, lecz McLean byłby gotów z nim dyskutować. MacBride chwilowo przejął obowiązki, co znaczyło, że zadba nawet o najdrobniejsze szczegóły. Bob Gburek miał dopilnować, by o planowanej na rano akcji dowiedzieli się tylko niezbędni dla sprawy oficerowie. W szczególności dotyczyło to tych wyższych rangą. McLean nie zamierzał przedłużać swojej obecności w komisariacie. Tylko by

przeszkadzał. Jak zwykle czekała na niego papierkowa robota, lecz coś mu podpowiadało, że nie będzie w stanie się skupić na niczym prócz planów na jutrzejszy poranek. Poza tym zarządzanie zasobami ludzkimi polega nie tylko na wypełnianiu formularzy nadgodzin.

Uprzedził Ritchie o swojej wizycie, ale i tak minęło sporo czasu od chwili, kiedy nacisnął dzwonek domofonu przy wejściu do mieszkania w suterenie do momentu, gdy wreszcie doczłapała do drzwi i mu otworzyła. McLean nie wiedział, czego się spodziewać. Przez telefon miała zmęczony zachrypnięty głos. Na pewno nie robiła na nim wrażenia osoby, która symulowałaby chorobę. Ale i tak przeżył wstrząs na widok przerażającej zjawy, która stanęła w drzwiach. Ritchie cała jakby się skurczyła, niemal ginęła w wielkim szlafroku z frottée i ogromnych białych puchatych kapciach. Spojrzała na niego zapadniętymi pociemniałymi oczami, pociągnęła nosem, po czym zaniósła się kaszlem, który wprawiłby w zawstydzenie nawet najbardziej oddanego palacza. Długo trwało, nim odzyskała oddech.

– Szefie. – Odsunęła się na bok, robiąc mu przejście.

McLean nie był pewien, czy ma ochotę oddychać tym samym powietrzem, ale w końcu przyszedł sprawdzić, jak Ritchie się czuje i poinformować, co słychać w pracy. Byłoby niegrzecznie podkulić ogon i zwiąć.

– Chciałem spytać, jak się miewasz. Ale widzę, że to chyba trochę głupie pytanie. – Wszedł za próg i zamknął drzwi.

Ritchie znów pociągnęła nosem, mruknęła coś na kształt „tędy” i poszurała w kierunku otwartych drzwi, prowadzących na tyły budynku. McLean ruszył za nią i po chwili znaleźli się w dużym salonie o zaskakująco wysokim suficie. Tylne ściana otwierała się na miniaturowy ogródek otoczony ze wszystkich stron kolejnymi budynkami. Tonął w śniegu, ale na pewno bardzo przyjemnie siedziało się tam w letnie wieczory, jak w kokonie chroniącym przed hałasem i zgiełkiem miasta.

– Chyba jest coraz lepiej. – Ritchie padła na wielki miękki fotel ze skóry.

Obok płonął niewielki kominek gazowy, który łudząco przypominał prawdziwy ogień. Sądząc po barykadzie z pomiętych chusteczek, Ritchie uznała to miejsce za idealną pozycję obronną. Wyciągnęła kolejną chusteczkę z pudełka stojącego na podłokietniku, wytrąbiła do niej coś mokrego i śliskiego, zwinęła i posłała między przyjaciół.

– Chcesz herbaty?

– Nie wstawaj. Ja zrobię. Kuchnia w tę stronę? – McLean wrócił do przedpokoju.

Pod ścianą stały stosy pudeł, wciąż nierozpakowanych. Od jak dawna Ritchie tu mieszka? Kolejne pudła zostały upchane w maleńkiej kuchni. Na blacie koło zlewu stały czajnik, kilka kubków i pojemnik z herbatą w torebkach. McLean z zapalem zabrał się do pracy. Dopiero kiedy woda zaczęła się gotować, zauważył Ritchie stojącą w drzwiach.

– Zrób mi lemsip. W szafce na górze – powiedziała, po czym dostała kolejnego ataku kaszlu.

– Środek na przeziębienie to chyba trochę za mało. Byłaś u lekarza? – McLean znalazł opakowanie, rozerwał saszetkę i wsypał do kubka żółtozielony proszek.

– Dzisiaj rano. Kazał mi odpoczywać. Dostałam zwolnienie, jak chcesz zobaczyć.

– Jezu, nie. Nie po to przyszedłem. – Nalał wody, zamieszał cuchnący płyn. Może te środki faktycznie działają? Ale chyba głównie objawowo, żeby człowiek mógł wrócić do pracy i wszystkich pozarażać. A wtedy producent będzie mógł sprzedać jeszcze więcej

pseudolekarstwa wszystkim twoim kolegom. Genialne, jak tak pomyśleć.

– A, pewnie unikasz Dagwooda? – Ritchie próbowała się uśmiechnąć, ale odniosła sukces tylko połowicznie. McLean podał jej kubek. Powąchała i zmarszczyła nos.

– Uch. Ohyda.

– Naprawdę chciałem sprawdzić, jak się miewasz. Serio. Nie podoba mi się, że chorujesz.

– Nie musisz mi mówić. Jeszcze nigdy nie czułam się tak totalnie bezużyteczna.

– Nie powiem, że nam cię nie brakuje. – McLean wyjął torebkę ze swojego kubka, zajrzał do lodówki, ale na widok spuchniętego kartonu z mlekiem stwierdził, że tym razem woli czarną. Jednocześnie przez cały czas opowiadał, co się dzieje w pracy.

Ritchie oparła się o framugę, zmęczona stanem, przez chwilę łapała oddech.

– Nie rozumiem – powiedziała w końcu. – Co takiego ważnego jest w tym szpitalu, że Dagwood aż obiecał załatwić ci nakaz?

McLean nie od razu odpowiedział. Oczywiście miał przecucie, ale wolał zachować je dla siebie, w razie gdyby okazało się fałszywe.

– Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że się zgodzi. Zaczyna być nieźle wkurzony, że wierchuszka ciągle nim dyryguje. Taka drobna forma buntu.

– Ale pakuje cię w niezły syf, co?

– To znaczy, jak wszystko się spierdoli? Przeszukamy pusty budynek i gównu znajdziemy? – McLean z przyjemnością skonstatował, że mimo zmęczenia i choroby mózg Ritchie nadal działa całkiem nieźle.

– Cóż, chyba jesteś skazany na porażkę.

– Od czasu, kiedy dostałem sprawę Weatherly'ego.

Uniosła brwi, ale tylko na krótką chwilę. Widocznie cynizm, tak jak cała reszta, kosztował ją zbyt wiele wysiłku.

– Co, myślisz, że nie wiedziałem? – McLean otoczył kubek obiema dłońmi, poczuł ciepło przenikające aż do kości. Mimo choroby Ritchie utrzymywała w mieszkaniu zaskakująco niską temperaturę. Jedynym źródłem ciepła był kominek w salonie. – Cóż, nie pierwszy raz robię za kozła ofiarnego. Ryzyko zawodowe w przypadku każdego inspektora. Za niski stopień, żeby zniszczyło mi to karierę, za wysoki, żeby dało się zwalić na kogoś innego. Pamiętaj o tym, kiedy przyjdzie twoja kolej, obiecujesz?

Ritchie uśmiechnęła się, na moment spod choroby wyjrzała dawna sierżant. A potem, bez ostrzeżenia, jej oczy uciekły w głąb czaszki, a całe ciało zapadło się w sobie, jakby ktoś przeciął sznurki. Kubek wysunął się spomiędzy bezwładnych palców i uderzył o podłogę, pośród rozbryzgów środka na przeziębienie. Ritchie jakby złamała się pośrodku i osunęła po framudze, na szczęście w tak wolnym tempie, że McLean zdążył ją złapać, nim uderzyła głową o podłogę. Odruchowo sprawdził tętno. Było słabe i nieregularne, niepokojące nawet jak na osobę z ciężką gripą. Lepka skóra niemal płonęła. Powiódł wzrokiem dokoła, zobaczył uchylone drzwi, zapewne do sypialni. Przez chwilę miał ochotę ją tam zanieść, opatulić kołdrą i poczekać, aż się ocknie, może zadzwonić po pomoc. Ale to już nie był ten etap. Czas wytoczyć cięższe działa.

Wyjął telefon, wyszukał numer i zadzwonił po karetkę.

Tej nocy McLean wrócił późno do domu. Pojechał z Ritchie do szpitala i czekał na

niewygodnym plastikowym krześle w poczekalni, podczas gdy lekarze przeprowadzali badania. Nie mieli pojęcia, co jej dolega, zgodzili się jednak zatrzymać ją na obserwację. McLean trochę za późno doszedł do wniosku, że na nic się nie przyda i właściwie może tylko pójść do domu i położyć się spać.

Znużonym ruchem rzucił aktówkę na krzesło, a pojemnik z curry na stół. Kotka pani McCutcheon popatrzyła na niego ze swego legowiska koło pieca, poniuchała, by się upewnić, że to ten człowiek, któremu pozwala mieszkać w swoim domu, i że człowiek przyniósł jedzenie. Ziewnęła, błyskając idealnie białymi zębami, wyciągnęła jedną łapę, pokazując pazury, podniosła się, przeciągnęła i skoczyła na stół, a wszystko to praktycznie jednym płynnym ruchem. Podbiegła do McLeana, wyciągając łebek i ogon w oczekiwaniu na pieszczoty. Inspektor pochylił się i podrapał kota za uszami. Kotkę, poprawił się w myślach. Już od pewnego czasu nazywał ją kotką pani McCutcheon. Nadal niezbyt wdzięczne było to imię, ale przynajmniej płęć się zgadzała.

I wtedy zauważył kopertę.

Pewnie powinien był dostrzec ją wcześniej. Stała oparta o pojemnik na herbatniki, który zostawił – a może nie – pośrodku stołu. Wiedział, że w środku znajdzie kolejną porcję fotografii przedstawiających Andrew Weatherly'ego, wstrętnych i bezsensownych, których kopia pewnie wkrótce trafi do jakiegoś dziennikarza. Wziął kopertę do ręki, wsunął palec pod skrzydełko, rozerwał. Miał dosyć polityki, męczących gier. Jeśli chcą mu coś powiedzieć, to czemu, do cholery, po prostu tego nie zrobią?

Tyle że w kopercie wcale nie było aktów seksualnych z posłem w roli głównej.

Jego uwagę chyba przede wszystkim zwróciło niebo. Wszystkie wcześniejsze zdjęcia zrobiono we wnętrzu, z nagrań wideo. Dla odmiany te fotografie wykonano w plenerze. Miejsce rozpoznał dopiero po chwili. Może dlatego, że na zdjęciach widniały wszystkie budynki, a nie tych kilka, które jeszcze stały, kiedy po raz pierwszy odwiedził Rosskettle. A może dlatego, że sfotografowano je latem, kiedy stare dęby pokrywało gęste listowie.

Tak czy inaczej, fotografie przedstawiały budynki z prefabrykatów, które teraz z takim pośpiechem burzyła firma Price Developments. A może już nawet skończyła burzyć.

McLean rozparł się na krześle i jeszcze raz przejrzał fotografie, tym razem powoli. Były lekko wyblakłe, co sugerowało, że zrobiono je jakiś czas temu i że są to prawdziwe zdjęcia, nie wydruki cyfrowe. Na żadnym nie było ludzi. Po chwili McLean zorientował się, że większość z nich dotyczy jednego budynku. Niektóre przedstawiały zbliżenia okien i drzwi, inne zrobiono z większej odległości. McLean nie potrafił powiedzieć, skąd to wie, był jednak przekonany, że to ten budynek, do którego wszedł przez okno kilka dni temu. Ten, który zaczęto burzyć, zanim zdążył się wydostać. Z piwnicą, która nie widniała na żadnym planie.

– To chyba ma być wskazówka? – zapytał nie wiadomo kogo.

Kotka popatrzyła na niego z miną sugerującą, że ma go za ciężkiego idiotę, po czym zajęła się toaletą.

Nadal ciemno. Świt miał pojawić się najwcześniej za godzinę. Tylko pochmurne bezksiężycowe niebo i pomarańczowa poświata miasta na północy. Kwadrans po szóstej, a oni jeszcze nie zaczęli.

– Gdzie ta cholerna jednostka zbrojna? – Bob Gburek wypowiedział na głos myśli McLeana.

Wszyscy pozostali byli gotowi, tylko oni opóźniali wymarsz. Prawdopodobnie mieli okazać się niepotrzebni, ale McLean uznał, że byłoby błędem sugerowanie czegoś podobnego podczas briefingu.

Światła reflektorów omiotły wnętrze samochodu, na chwilę oślepiając McLeana. Czarny van transit zaparkował obok nich. Szyba zjechała w dół.

– Przepraszam, sir. Trochę się zgubiliśmy w Glen.

McLean zdusił odpowiedź.

– Dobra, zaczynamy.

Kiwnął głową do siedzącego w fotelu pasażera Boba Gburka i włączył silnik, a sierżant wydał rozkaz przez zestaw Airwave. Stali na końcu alei prowadzącej do szpitala – McLean ruszył wozem w stronę bramy na czele konwoju złożonego z vanów i radiowozów. W oknach stróżówki paliło się światło, szlaban był opuszczony. McLean zatrzymał się na poboczu, by przepuścić inne samochody i wysiadł. Pokazał się zaspany strażnik.

– Teren prywatny. Wstęp wzbroniony.

Nie dość, że zaspany, to jeszcze ślepy.

– Policja. Mamy nakaz przeszukania budynków. – McLean pokazał dokument, wdzięczny Duguidowi, że pociągnął za odpowiednie sznurki. – Może pan podnieść szlaban albo go sforsujemy.

McLean ruszył za strażnikiem do budki. Bob Gburek już był w środku i właśnie naciskał guzik podnoszący szlaban. Strażnik rzucił się do telefonu, ale McLean przytrzymał palcem słuchawkę.

– Dopiero wtedy, kiedy moi ludzie zabezpieczą teren.

– Ale... Moja szefowa...

– Dowie się, jak tylko uznamy za stosowne ją powiadomić. – McLean odczekał, aż strażnik usiądzie, zdjął rękę z telefonu. – To nie powinno długo potrwać.

Wszyscy trzej czekali w milczeniu. Przez okno stróżówki McLean widział za szkieletami drzew ciemny kształt głównego budynku, jakieś sto metrów dalej. Po kilku minutach kamienną fasadę rozjaśniły reflektory. Zaraz potem rozległ się sygnał w zestawie Airwave.

– No dobra. Chodźmy zobaczyć, co znaleźli. – McLean ruszył za Bobem do wyjścia, na pożegnanie rzucając do nieszczęsnego strażnika: – Teraz może pan zadzwonić do szefowej.

– Pusto, szefie. Nikogo tu nie ma.

Posterunkowy MacBride czekał na końcu podjazdu. Miał na sobie pełen strój ochronny, ale nie był uzbrojony. Wyraźnie rozczarowani oficerowie jednostki zbrojnej kręcili się koło transita, chowali broń i zdejmowali kamizelki kuloodporne. McLean odetchnął z ulgą, że nie będą do niczego potrzebne.

– A pozostałe budynki? – zapytał.

– Nie ma innych budynków. Wszystko zrównano z ziemią.

McLean spojrzał ponad ramieniem MacBride'a na przyłaczający trzypiętrowy budynek szpitala. Niebo powoli zaczynało zabarwiać się świtem, cienie ustępowały i miejsce nabierało coraz wyraźniejszych kształtów. McLean stał na asfaltowym parkingu połączonym z podjazdem. Między drzewami wiły się wąskie alejki kiedyś prowadzące do już nieistniejących pozostałych budynków. Wzburzona masa śniegu i błota świadczyła o tym, że roboty przeprowadzono w wielkim pośpiechu. McLean zastanawiał się, ile czasu minęło od jego poprzedniej wizyty. Trzy dni? Chyba nie więcej. Nieźle musieli się uwijać, skoro tak szybko się ze wszystkim uporali. Na pewno nie byli to robotnicy z Edynburga.

– Drugi van już przyjechał? – spytał, kiedy podszedł do niego Bob Gburek.

– Właśnie wjechał przez bramę.

Pasma reflektorów omiotły korony drzew i aleję, a po chwili pokazała się furgonetka. Zatrzymała się w pewnej odległości od parkingu, szczelnie wypełnionego samochodami. McLean ruszył w tamtą stronę. Z furgonetki wysiadła młoda kobieta mundurze, otworzyła tylną klapę. Ze środka wyskoczyły dwa podeksycytowane spaniele. McLean przystanął, ale nie dlatego, że się ich wystraszył – po prostu nie chciał mieć odcisków ubłoconych łap na czystych spodniach.

– Posterunkowa Fraser?

Oficer wydała polecenie i psy natychmiast usiadły. Dopiero kiedy uznała, że jej pupile zachowują się jak należy, odwróciła się i odparła:

– Inspektor McLean, tak?

– Zgadza się. Dziękuję, że zechciała pani tak szybko przyjechać. Mam nadzieję, że te pieski są tak skuteczne, jak słyszałem.

W słabym świetle poranka nie potrafił stwierdzić, czy naprawdę dostrzegł grymas na twarzy posterunkowej Fraser. Była niska, nie tyle pulchna, co raczej krępa i miała bardzo poważną minę.

– Jeśli gdzieś tu są zwłoki, to Eilidh i Maisie na pewno je znajdą. Bez obaw. – Spojrzała na budynek, potem powiodła wzrokiem dokoła. – Ale może to trochę potrwać. Spory domek.

– Chyba nie ma sensu przeszukiwać całego, szczerze mówiąc. – McLean wskazał na boczną część budynku, gdzie w świetle poranka powoli ukazywało się coś na kształt pola bitewnego. – Jakiś głos mi podpowiada, że tam znajdziemy to, czego szukamy.

McLean i posterunkowa Fraser ruszyli przed siebie. Spaniele biegały, węsząc dokoła. McLean powoli budował obraz w głowie, przywołując w pamięci poprzednią wizytę. Oczywiście miał przy sobie zdjęcia, teraz jednak brakowało połowy drzew, o zburzonych budynkach nie wspominając. Po parterowych klockach, niedawno stojących po zachodniej stronie budynku głównego, nie został nawet ślad. Tylko morze ziemi, ostrych kawałów stwardniałych na mrozie niczym skały, grożących połamaniem nóg. W bladym świetle świtu

zidentyfikował leżące pod ogrodzeniem zwalone drzewo, do połowy przysypane śniegiem. Użył drzewa jako punktu orientacyjnego i dotarł do miejsca, gdzie – był prawie pewien – znajdowało się wejście do piwnicy, której nie zdążył przeszukać. W każdym razie niedaleko, może pięćdziesiąt metrów dalej w lewo czy w prawo.

– Gdzieś tutaj. – Wskazał na miejsce u swoich stóp.

Fraser wydała kolejne polecenie – psy stanęły na baczność. Jeszcze jedno polecenie i opuściły łby do ziemi, uniosły ogony i zabrały się do pracy. Zaczęły biegać i węszyć z obsesyjnym zaangażowaniem godnym imbecyla, lecz imbecyla doskonale wyszkolonego w tej jednej jedynej czynności.

Nie trwało to długo. Nagle jeden z psów przystanął, zadrżał i zaszczekał. Po chwili jego towarzysz zrobił to samo. Nie próbowały kopać, czym ponownie zaimponowały McLeanowi, tylko usiadły obok siebie, wodząc wzrokiem od trenerki do punktu w ziemi i z powrotem.

– Cóż za precyzja, inspektorze. Jestem pod wrażeniem.

– Myśli pani, że coś tam jest?

– Bez wątplenia. Zdarzają się fałszywe sygnały, ale to moje najlepsze psy, a jeśli oba są tego samego zdania, to mogę się założyć, że chodzi o zwłoki. – Wyjęła z kieszeni garść herbatników i dała psom nagrodę wraz z potężną porcją głaskania po łbach i słów zachęty. McLean miał nadzieję, że zasłużyły.

*

– Jezu, normalnie beton.

Posterunkowy MacBride machał kilofem ze zręcznością robotnika budowlanego, a dwóch mundurowych skrobało ziemię łopatami, starając się ze wszystkich sił, ale ich wysiłki nie na wiele się zdały. Od kilku dni temperatura utrzymywała się poniżej zera, ziemia stwardniała jak żelazo, a nawet jeśli w końcu ustępowała pod ciosami narzędzi, tworzyła grudy tak ciężkie, że jeden człowiek nie był w stanie sam ich dźwignąć. Pracowali już od pół godziny, lecz nikt by w to nie uwierzył na podstawie rezultatów.

– Ta zamarznięta warstwa nie może sięgać bardzo głęboko. Dalej pewnie jest miętko. – McLean nie wiedział, czy ma rację, ale czuł, że powinien im dodać otuchy.

Dochodziło wpół do ósmej. Światło dnia chyba osiągnęło maksymalne natężenie, nad wzgórzami Pentland wisiała szara chmura, do drzew w lesie opodal kleiła się marznąca mgła.

– Na pewno nie chce pan spróbować? – zapytał MacBride, podając kilof McLeanowi.

– Nie chciałbym cię pozbawiać doskonałego treningu. – McLean ścisnął w dłoniach kubek z kawą, który zawdzięczał uprzejmości Boba Gburka. Skąd on wyczarował ten cudowny napój, McLean nie miał pojęcia, w każdym razie bardzo się cieszył uczuciem ciepła w brzuchu. Cieszył się również bogatym aromatem, ale nagle do jego nosa dotarł znacznie mniej przyjemny zapach. W tym samym momencie rozległ się krzyk jednego z mundurowych.

– Coś mamy. O w mor... – Policjant urwał, rzucił łopatę i bardzo szybko wygramolił się z płytkiego dołka. Trzeba przyznać, że odbiegł na co najmniej dziesięć metrów, zanim zaczął wymiotować.

– Chyba znaleźliśmy zgubę. – MacBride ponownie podniósł kilof.

Tym razem McLean go chwycił i pomógł posterunkowemu wydostać się na powierzchnię.

Drugi mundurowy poradził sobie bez pomocy. Teraz inspektor mógł spokojnie zajrzeć do wykopanego dołu i sprawdzić, co znalazły psy. Nie był to przyjemny widok.

Na dnie dołu widniała twarz mężczyzny w szczelnej otoczce błota, jakby go tam wrzucono, zanim zdążyło stwardnieć. Usta były pokryte pęcherzami i poszarpane, między nierówną skórą, miejscami różową, miejscami spaloną na węgiel błyskały zęby. Zamiast oczu widniały czarne oczodoły wypełnione błotem. Można by pomyśleć, że ciężko zidentyfikować człowieka na podstawie takich małych fragmentów twarzy, poranionej, bezkrwistej i ślepej. Mimo to McLean nie miał najmniejszych wątpliwości, że patrzy na człowieka, którego zwłoki znaleźli jakiś czas temu, Andrew Weatherly'ego.

– Wygląda na to, że miałeś rację – stwierdził Bob Gburek, zaglądając do dołu. – Powiesz, skąd wiedziałeś?

McLean przywołał w myślach kartkę od Matta Hiltona, przypomniał sobie, jak płonęła z trzaskiem w jego kominku. Przeszedł go dreszcz wywołany czymś zupełnie innym niż chłód, mgła i blade światło poranka.

– Szczerze mówiąc, nie tego się spodziewałem, Bob. Ale nie zamierzam się skarżyć. Sprowadźmy technicznych. – Zerknął na MacBride'a i dwóch mundurowych, którzy stali kilka metrów dalej, kuląc się i trzęsąc z zimna. – Chyba mogliby wykopać resztę, jak sądzisz?

Usłyszał hałas na długo przed tym, nim dotarł na parking przed budynkiem głównym. Nie musiał nawet widzieć lśniącego range rovera z przyciemnianymi szybami ani przestraszonych postaci Karla i drugiego ochroniarza, by wiedzieć, co jest jego źródłem. W pewnym sensie był pod wrażeniem, że pani Saifre osobiście zjawiała się na miejscu, w dodatku w tak krótkim czasie, ale jednocześnie zastanawiał się, jak to możliwe, że dopiero teraz się o wszystkim dowiedziała.

– Chcę rozmawiać z osobą, która odpowiada za tę akcję. To skandal, młoda damo.

Ze wszystkich oficerów niemundurowych pani Saifre musiała wybrać akurat posterunkową Gregg. Pewnie uznała, że skoro Gregg jest kobietą, w dodatku młodą, to łatwo będzie nią dyrygować. Był to, jak sobie uświadomił McLean, podchodząc bliżej, jej pierwszy błąd.

– Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie mogę pani dalej wpuścić – oznajmiła posterunkowa. – To jest potencjalne miejsce zbrodni, musimy ograniczyć zanieczyszczenia do minimum. Inaczej za chwilę będzie pani musiała ściągnąć ubranie i oddać je do badań, a tego przecież nie chcemy, prawda?

– Czy ty masz pojęcie, z kim rozmawiasz, młoda damo? Nazwisko, stopień? Komu podlegasz? Osobiście porozmawiam z komendantem.

– Pani Saifre. Muszę przyznać, że się pani nie spodziewałem! – McLean krzyknął już z daleka, by ratować sytuację. Albo przynajmniej skierować burę na siebie i starszych oficerów. Jednego nie mógł ścierpieć: kiedy ktoś zajmujący wysoką pozycję wyżywa się na niżej postawionych osobach. To była jego robota.

– Inspektor McLean. Tony. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. – Pani Saifre posłała mu uśmiech, który każdego zdrowego samca przyprawiłby o drżenie kolan. Tyle że McLean potrafił dostrzec w nim sztuczność. Widział, że ta kobieta jest zwykłym pasożytem.

– Obawiam się, że nie. – Wreszcie dotarł na miejsce.

Kilku mundurowych i oficerów z jednostki zbrojnej otoczyło Gregg luźnym półkolem. Pani Saifre miała do pomocy tylko Karla i drugiego ochroniarza, więc znajdowała się w znacznie gorszej sytuacji, szczególnie jak na osobę straszącą koneksjami na wysokich szczeblach. McLean wyjął nakaz z kieszeni kurtki, rozłożył go i podał.

– Mieliśmy powód sądzić, że gdzieś w pobliżu tego miejsca przetrzymywano i torturowano mężczyznę. To daje nam prawo zarówno przeszukać cały teren, jak i zamknąć dostęp do niego aż do czasu zakończenia akcji.

– Mieliście powód? – Pani Saifre podkreśliła użycie czasu przeszłego. – A więc już skończyliście.

– A skądże. Dopiero zaczęliśmy. Proszę mi powiedzieć, pani Saifre, jaką pełni pani rolę w zarządzaniu firmą Price Developments?

Brwi pani Saifre ściągnęły się groźnie, oczy błysnęły czerwonym płomieniem – rzecz jasna, z pewnością odbitym blaskiem wschodzącego słońca. Temperatura powietrza jakby jeszcze spadła. McLean poczuł gwałtowne ukłucie bólu w biodrze. Kątem oka zauważył, że niektórzy oficerowie zrobili krok w tył, jakby stanęli zbyt blisko ogniska, które niespodzianie buchnęło ogniem.

– Ja to pieniądze, inspektorze – odparła w końcu pani Saifre. – Naturalnie interesuję się tym wszystkim, co może wpływać na wyniki finansowe. Techniczne aspekty zostawiam inżynierom i architektom.

– A jednak to pani przyjechała. A oni gdzie są?

– Ta ziemia należy do mnie. – Powiedziała to tak, że McLean aż się zjeżył. Jakby mówiła, że należy do niej czyjaś dusza. Skąd taka myśl? Miał ochotę się wycofać, kazać wszystkim spakować manatki i się wynosić. Ale to by było szaleństwo, dopiero co przecież przyjechali. MacBride, Bob Gburek i dwóch mundurowych właśnie przynosili zwłoki, które z pewnością nie powinny były spocząć w tym miejscu.

– A zatem wyłącznie pani odpowiada za to, co na tej ziemi znajdziemy. Mam rację? – McLean wytrzymał spojrzenie bezdennych czarnych oczu pani Saifre, chociaż czuł przy tym niemal ból.

– Nie ma pan pojęcia, w co się miesza, inspektorze McLean. – Odwróciła się i powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych policjantów. – Nikt z was nie wie. Źle się to dla was wszystkich skończy.

– Proszę nie straszyć moich podwładnych, pani Saifre. – McLean zrobił krok w jej stronę.

Miał ochotę wziąć ją za ramię i odprowadzić do samochodu, ale zauważył, że dwaj ochroniarze trochę się spięli. Spojrzał na Karla, który niemal niezauważalnie potrząsnął głową. Nie tyle w formie groźby, co ostrzeżenia. McLean zrezygnował więc w połowie drogi, zamiast dotknąć ramienia pani Saifre, zatoczył otwartą dłońią dokoła, drugą zaś wskazał na range rovera.

– Muszę panią poprosić o opuszczenie terenu do czasu, aż ekipa techniczna zakończy działania. Oczywiście będziemy na bieżąco informować o postępach prac.

Pani Saifre rzuciła mu mordercze spojrzenie. Znowu poczuł ten dziwny ucisk w środku czaszki, w całym ciele. Buchał od niej żar, który powinien roztopić cały lód dokoła i przegonić mroźną mgłę. A to był tylko żar odczuwalny w środku, zapowiedź gniewu, który dopiero wybuchnie. McLeanowi zrobiło się trochę szkoda ochroniarzy. Powrotna droga do miasta z pewnością będzie dla nich niełatwa, oględnie rzecz ujmując.

– To jeszcze nie było moje ostatnie słowo. – Pani Saifre podeszła do samochodu, wsiadła.

McLean uprzejmie ją odprowadził.

– Bez wątpienia. Będę chciał z panią porozmawiać, więc proszę nie znikać.

Karl, widać robiący również za kierowcę, zamknął drzwi. Przez przyciemniane szyby McLean już nie mógł dojrzeć jej wściekłego wzroku. Karl odwrócił się i otworzył drzwi po stronie kierowcy. Kiedy wsiadał, McLean uchwycił wyraz malujący się na jego twarzy. Wyraz skrajnego przerażenia, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widział.

– A co konkretnie pan porabiał, inspektorze?

Gabinet fizjoterapeutki wydawał się bardzo ciepły po kilku godzinach spędzonych

w oparach lodowatej mgły. McLean leżał na stole rehabilitacyjnym i próbował nie krzywić się z bólu, podczas gdy Esmeralda majstrowała przy jego nodze i biodrze. Bolało bardziej, niż był gotów przyznać. Bardziej nawet niż poprzedniego dnia.

– Stałem na zimnie, patrząc, jak techniczni wykopują zwłoki, skoro musi pani wiedzieć.

Oficerowie z wydziału technicznego przyjechali chwilę po odjeździe pani Saifre i błyskawicznie przejęli teren z typową dla nich skutecznością. McLean z zadowoleniem ustąpił im miejsca i scedował odpowiedzialność na Boba Gburka. Chłód zaczynał porządnie dawać mu się we znaki, znacznie bardziej niż się spodziewał, biorąc pod uwagę ilość ciepłych ubrań, które na siebie włożył. Kiedy w telefonie rozległ się sygnał przypominający o wizycie u fizjoterapeutki, McLean postanowił skorzystać z okazji i pożegnać się z Rosskettle.

– Urocze – wydusiła Esmeralda, jednocześnie z całą siłą wyginając jego nogę.

McLean nie stawiał oporu, ale czuł, jak jego biedna kończyła sztywnieje, jakby ścięgnię straciły prawidłowy kształt.

– A można by odnieść wrażenie, że odbył pan ponad trzydziestokilometrową wycieczkę po górach w butach o dwa rozmiary za małych.

Coś pyknęło, a McLean wrzasnął. Może nie nazbyt głośno, jednak wrzasnął. Ból był nie do zniesienia, zaraz jednak minął. McLean wyciągnął rękę i dotknął biodra. Spodziewał się kolejnej fali bólu, ale nie. Po raz pierwszy od wielu tygodni uświadomił sobie, że noga przez cały ten czas poważnie mu dokuczała. A teraz wszystko minęło.

– Co to było... – zaczęła Esmeralda.

– Co pani...? – zapytał jednocześnie. – Co pani zrobiła? – powtórzył.

– To nie powinno boleć. – Fizjoterapeutka rzuciła mu spojrzenie będące mieszaniną podejrzliwości i niedowierzania. Jakby jego gwałtowna reakcja stanowiła krytykę jej kompetencji.

– Zapewniam, że bolało. Ale teraz... – McLean usiadł i postawił stopy na podłodze. Spiał się, prawie pewien, że jak tylko wstanie, pod ciężarem ciała odezwie się w biodrze dawna sztywność i ból. Nic takiego nie nastąpiło. Zrobił krok, potem następny. Dwa kolejne doprowadziły go aż pod drzwi, więc odwrócił się i zrobił nieco sztywne kółko wokół stołu.

Esmeralda przyglądała mu się przez cały czas, marszcząc brwi z lekkim zdumieniem.

– Nie do wiary – powiedziała w końcu. – Właściwie pan nie kuleje. Tylko trochę, w związku z tym, że mięśnie drugiej nogi wciąż przejmują ciężar ciała. Zapraszam z powrotem na stół.

McLean grzecznie położył się i poddał zabiegom fizjoterapeutki. Tym razem noga i biodro poruszały się gładko i swobodnie. Znikł ten mokry piach, który zatykał stawy. Znikł permanentny tępy ból.

– To musiał być ucisk na nerw. – Esmeralda zwróciła mu kończynę i dodała: – Pewnie kiedy poruszyłam nogę, wszystko wskoczyło na swoje miejsce. To by tłumaczyło, czemu pisnął pan z bólu. – Miała taką minę, jakby próbowała przekonać przede wszystkim samą siebie.

– Pisnął?

– Trudno powiedzieć, że krzyknął. W każdym razie nie całkiem.

McLean zdjął spodnie z krzesła na drugim końcu pokoju i włożył je na stojąco. Kiedy

ostatnio zdołał dokonać takiego wyczynu? Nawet nie potrafił sobie przypomnieć.

– Jeszcze przez kilka dni proszę uważać. Może nawet tydzień. Nie chciałabym zmarnować tego, co zrobiłam. Cokolwiek to było.

– Będę uważał, obiecuję. – McLean usiadł, zanim zaczął wkładać buty. Głównie po to, by pokazać, że potraktował jej zalecenie poważnie. – Czy to znaczy, że nie muszę jutro przychodzić?

– Myślę, że możemy wrócić do poprzedniego grafiku.

McLean podniósł się, napiął i rozluźnił mięśnie, czego jeszcze zaledwie pół godziny wcześniej nie zdołałby dokonać. Esmeralda popatrzyła na niego pytająco, jakby sama nie potrafiła uwierzyć we własne umiejętności. W tym momencie McLean zauważył cienki srebrny łańcuszek na jej szyi. Najpierw myślał, że to wisiołek, ale to był zwykły prosty krzyżyk. Pewnie wysunął się z wycięcia bluzki, kiedy Esmeralda znęcała się nad jego nogą. Dotknęła odruchowo krzyżyka i schowała z miną winowajczyni.

– A więc do zobaczenia za tydzień. – McLean wsadził ręce w kieszenie, żeby przypadkiem nie zrobiły czegoś niestosownego, nieznacznie skinął głową i uciekł.

– Muszę powiedzieć, że nieczęsto do mnie wracają.

McLean stał w odległości kilku kroków od stołu sekcyjnego i patrzył, jak Angus Cadwallader przystępuje do pracy na bladym nagim ciele Andrew Weatherly’ego. Zmarły bynajmniej nie zyskał na przeprowadzce z krypty do grobu w zamrożonej ziemi. Nogi i ramiona miał w kilku miejscach złamane i chociaż Tracy i doktor MacPhail zrobili wszystko, co w ich mocy, by poskładać go w całość, nie dało się ukryć, że brakuje kilku fragmentów. Nawet w tym momencie techniczni jeszcze kopali, a posterunkowy MacBride wraz z grupą oficerów próbowali wysledzić, na które wysypiska ciężarówki wywoziły gruz z Rosskettle. Jeśli chodzi o McLeana, to w bliskiej przyszłości groziło mu trudne spotkanie z nadinspektorem Duguidem i pewnie dlatego ukrywał się teraz w miejskiej kostnicy.

– Starczy go na pobranie próbki?

Cadwallader pochylił się nad zwłokami i bacznie popatrzył na zmaltretowaną twarz Weatherly’ego i zniszczone wargi. Doktor MacPhail stał obok, gotów rzucić się do pomocy, jego dłonie lekko drżały ze zniecierpliwienia. McLean nie wiedział, jakie reguły obowiązują w takim przypadku. To nie była sekcja zwłok – tę wykonano już wcześniej. Gdyby jednak znaleźli ślady wskazujące na to, kto zabrał ciało Weatherly’ego z krypty i pochował na terenie dawnego szpitala, wymagałyby one formalnego potwierdzenia. W takim przypadku drugi lekarz musiał służyć jako świadek i obserwator, a nie asystent patologa.

– Wyjmij tego drugiego, Tracy.

Doktor Sharp udała się do chłodni, a Cadwallader wyprostował plecy, chwilę odczekał i zaczął oglądać resztę ciała. Uniósł ramiona zmarłego, uważnie zlustrował lewą rękę, następnie blady bezkrwisty kikut, który został z prawej. Prawa noga również znikła, podobnie jak spory kawał torsu – dziura sprawiała dość przerażające wrażenie, jakby wygryzła ją jakaś ogromna paszcza. Poza tym ktoś zniszczył biegnący wzdłuż piersi staranny szef autorstwa doktor Sharp.

– Wiesz, co zginęło ze środka? – McLean miał koszmarne przeczucie, że zna odpowiedź.

– Cierpliwości, Tony. Po kolei. Przede wszystkim interesuje nas drobne zagadnienie, z którego powodu w ogóle postanowiliśmy obejrzeć go ponownie. O, jest.

Na końcu pomieszczenia pokazała się Tracy, pchając przez sobą metalowe nosze z Barrym Timbrelem. Tak przynajmniej przypuszczał McLean, bo spod białego prześcieradła nic nie było widać. Tracy ustawiła nosze równoległe do stołu sekcyjnego, który obecnie zajmował Weatherly, po czym ściągnęła prześcieradło, odsłaniając woskową twarz tatuażysty. Cadwallader wziął do ręki szkło powiększające i spojrział przez nie na wargi zmarłego. Potem wrócił do Weatherly’ego i powtórzył tę samą operację.

– Fascynujące. – Wybrał jedną sztukę z kolekcji broni leżącej na stoliku obok.

W oczach McLeana wyglądała jak wielka igła, ostra i bardzo groźna. Można by użyć czegoś takiego w zawodach, gdyby istniała taka dyscyplina sportowa, jak ekstremalne robienie na drutach. Cadwallader za pomocą igły oderwał kawałek skóry z ust Weatherly'ego i umieścił na niewielkiej szklanej płytce. Podeszedł do Timbrela i powtórzył tę samą czynność, po czym zabrał obie płytki, postawił je na stole roboczym i po kolei obejrzał pod mikroskopem. Przez cały czas mruczał do siebie. McLean widywał już u niego podobne objawy, wskazujące na szczególne zaabsorbowanie jakimś problemem.

– Tom. Spójrz na to i powiedz, co sądzisz – powiedział w końcu Cadwallader. Doktor MacPhail obejrzał próbki pod mikroskopem – w krótszym czasie niż starszy kolega i w całkowitym milczeniu.

– Kwas?

– Też tak pomyślałem. Ale spójrz tu i tu. – Cadwallader wskazał na usta martwych mężczyzn. – Zwęglona tkanka sugeruje działanie bardzo wysokiej temperatury. Nie przychodzi mi na myśl żaden czynnik, który mógłby jednocześnie wywołać poparzenia jak od kwasu i jak od ognia. W dodatku za życia ofiar.

Nagle w mózgu McLean coś zaskoczyło. Zrobił krok do przodu i dopiero potem przyszło mu do głowy, że spojrzenie z bliska na martwe ciała z pewnością nie dostarczy mu odpowiedzi na pytanie, a prawdopodobnie przyprawi o porządne mdłości.

– Chcesz powiedzieć, że poparzyli się jeszcze przed śmiercią?

– Poparzyli się lub zostali poparzeni. Bardziej prawdopodobne, że ktoś im to zrobił.

– I sądzisz, że w obu przypadkach oparzenia wywołał ten sam czynnik?

– Najpierw myślałem, że Weatherly włożył lufę do ust tuż po oddaniu strzału. I w ten sposób się poparzył. Ale kształt obrażeń się nie zgadza, a teraz, kiedy obejrzałem go ponownie... – Cadwallader wskazał igłą na zabłoconą twarz zmarłego. – Gdyby poparzenia wywołała wyłącznie wysoka temperatura, to istniałaby możliwość, niktła wprawdzie, że to tylko dziwny zbieg okoliczności. Ale to... – Machnął igłą w powietrzu, wskazując na Timbrela i o mało nie wykluwając oka MacPhailowi. – Kwas i ogień jednocześnie? Wskazuje na coś niespotykanego. Coś... zrobionego na zamówienie.

– Od kiedy jest pani właścicielką Rosskettle, pani Saifre?

Kaloryfer w pokoju przesłuchań numer jeden nigdy nie działał prawidłowo; albo zmieniał pomieszczenie w krąg piekielny, albo w lodową pustynię. Tego dnia obowiązywała pierwsza opcja. Powietrze zgęstniało tak, że nie dało się oddychać. McLean zdjął marynarkę, koszula kleiła mu się do pleców. Bob Gburek ledwo się trzymał, na rzadziejących kosmykach, porastających jego czaszkę, perlił się pot. Siedząca naprzeciwko nich pani Saifre wyglądała tak, jakby znajdowała się w zupełnie innym miejscu. Idealna fryzura, blada twarz. Tylko płonące oczy zdradzały, że jej spokój jest pozorny.

– Ja? – Uniosła jedną brew. – Od chwili, kiedy odczytano testament i ostatnią wolę biednego Andrew, jak sądzę.

– O ile pamiętam, miało to miejsce po pogrzebie. – McLean przypomniał sobie rozmowę ze stypy. Pierwsze spotkanie z tą niezwykłą kobietą.

– Tak. Zgadza się. Andrew zostawił mi wszystkie aktywa przedsiębiorstwa, w tym Rosskettle.

– Nie czekała pani zbyt długo z wprowadzeniem buldożerów.

– Och, nie. To nie ja. – Pani Saifre uśmiechnęła się jak pirania, pokazując garnitur zębów, które przez moment wyglądały jak spiłowane na końcach. Oczywiście tylko za sprawą gry światła.

– A więc pani przedsiębiorstwo.

– Nie. Zrobił to Andrew. Miał wielkie plany co do tego miejsca. Prawdziwą obsesję. Ogromna szkoda, że tak to się skończyło.

McLean potarł czoło, czując pot kroplący się tuż pod linią włosów. Jezu, gdyby tylko dorwał administratora budynku, nakopałby mu w tyłek, jak się patrzy.

– Jestem pewien, że pani Weatherly i dziewczynki też tak uważają. – Sam nie wiedział, skąd ten nagły przypływ gniewu.

– Owszem, inspektorze. Właśnie tak.

Mimo panującej temperatury McLeana przeszły ciarki wzdłuż kręgosłupa.

– A więc prace na terenie byłego szpitala, które zaczęto zaraz po pogrzebie, zlecił za życia pan Weatherly?

– Dokładnie tak. Cieszę się, że to wyjaśniliśmy.

– A nie przyszło pani do głowy, że może należy wstrzymać prace, zanim nie zostaną załatwione wszystkie kwestie prawne? – Bob Gburek zakaszłał astmatycznie na końcu zdania, jakby wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało go cały zapas powietrza.

– Drogi sierżancie Laird, powinien pan się tym zająć. – Pani Saifre obróciła głowę gładkim mechanicznym ruchem.

McLean mógłby przysiąc, że jest maszyną. W każdym razie na pewno nie człowiekiem.

– Pytanie jest aktualne, pani Saifre.

– Prosiłam, byś zwracał się do mnie po imieniu, Tony. Miałam co do nas wielkie plany.

McLean znów poczuł na sobie jej spojrzenie. Już wiedział, jak się czuje palacz w lokomotywie parowej za każdym razem, kiedy otwiera drzwiczki pieca. Gorąc się spustoszenie w jego mózgu. Wiedział, że musi jak najszybciej skierować przesłuchanie na właściwe tory.

– Bardzo bym chciał przeprowadzić naszą rozmowę w nieformalnym tonie, pani Saifre, ale tu chodzi o niezwykle poważną sprawę. Na terenie należącej do pani działki znaleziono zwłoki. Działki, na której właśnie prowadzi pani prace budowlane.

– Zwłoki? – Pani Saifre przyłożyła smukłą dłoń do szyi w geście udawanego przerażenia. – Czyje?

– Dowie się pani w odpowiednim momencie. Na razie mogę powiedzieć tyle, że były to zwłoki mężczyzny zmarłego nie tak dawno temu. Znaleźliśmy je w miejscu, gdzie stały zburzone budynki. Wie pani może, w jaki sposób zwłoki się tam znalazły?

– Ależ skąd. Potworna historia. Jednakże, jak już zaznaczyłam, to nie ja kazałam zburzyć te budynki. Rosskettle to był projekt Andrew. Ledwo miałam czas tam pojechać, nawet nie wspominając o zapoznaniu się z planami. Rozmawiałeś z robotnikami?

– Czy wie pani, że Andrew Weatherly urodził się w Rosskettle, pani Saifre? – rzucił McLean, w nadziei że ją zaskoczy. Nawet jeśli mu się powiodło, nie dała nic po sobie poznać.

– A kto ci o tym powiedział? – Czyżby cień niepokoju za uśmiechem aktorki?

– Wszystko można sprawdzić w dokumentach. – McLean nie zamierzał zdradzać, że na

właściwy trop naprowadził go Matt Hilton, a posterunkowy MacBride przedarł się przez całą górę archiwów szkockiej służby zdrowia. – Jego matka była stałą pacjentką szpitala Rosskettle. Andrew mieszkał tam przez kilka pierwszych lat życia, później trafił do rodziny zastępczej. Raczej nietypowy plac zabaw. Chyba nie muszę dodawać, że nie było tam innych dzieci.

– Cóż, zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego. To z pewnością wyjaśnia przywiązanie Andrew do Rosskettle. Nigdy za bardzo tego nie rozumiałam.

McLean jakoś jej nie wierzył. Podejrzewał, że pani Saifre wie wszystko na temat Andrew Weatherly’ego, łącznie z jego ostatnim miejscem spoczynku.

– Jak długo pani go znała? Kiedy się poznaliście?

Pani Saifre wywróciła oczami, odrzuciła głowę do tyłu w geście znudzenia.

– Czy naprawdę musimy znów to przerabiać? Powiedziałam już sierżant Ritchie wszystko na temat mojej znajomości z Andrew. Jakies, kiedy to było? Parę tygodni temu?

– Proszę jednak mnie uszczęśliwić.

– Och, no dobrze, ale nadal jesteś mi winien kolację. – Pani Saifre rozparła się wygodnie na krześle, zamyśliła się, w końcu zaczęła: – Poznałam Andrew, kiedy studiował na uniwersytecie. Byłam już wtedy żoną pana Saifre, pokój jego duszy. Andrew miał pomysły, ale brakowało mu pieniędzy, pan Saifre miał pieniądze, ale brakowało mu pomysłów. Idealnie się dobrali.

– I to pani ich ze sobą poznała.

Kiwnęła głową. Błysk w jej oczach sprawił, że McLean cały się spaął.

– Tak. Jak już zresztą mówiłam sierżant Ritchie. Również zaproponowałam, że poznam ją z różnymi osobami, ale odmówiła. Masz doskonale wyszkolonych pracowników, Tony.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Prawie każdego byłby gotów obdrzeć ze skóry za przerwanie dochodzenia w taki sposób, ale jedno spojrzenie na twarz nadinspektora Duguida wystarczyło, by zgasić tłący się gniew. Duguid nerwowo powiódł wzrokiem od McLeana do pani Saifre, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Chcę z tobą porozmawiać w moim gabinecie, McLean. To pilne.

Gdyby Duguid wyszczekał te słowa jak rozkaz, McLean może stawiałby opór. Zabrzmiały raczej jak rozsądne polecenie. Oczywiście daleko im było do uprzejmej prośby, ale cóż, nie można oczekiwać cudów. Duguid i tak zadziwił McLeana niespotykaną powściągliwością.

– Chyba już skończyliśmy. – McLean wstał, wyciągnął rękę na pożegnanie. – Dziękuję, że zechciała pani przyjść i wyjaśnić wątpliwości.

Pani Saifre odwzajemniła uścisk ręki. Jej dotyk był jeszcze gorętszy niż powietrze w pokoju. Jakby McLean dotknął rozżarzonego pogrzebacza. Z trudem opanował się, żeby natychmiast nie cofnąć ręki, zdusił okrzyk. Jednak pani Saifre dostrzegła to w jego oczach. Uśmiechnęła się z powodu małego zwycięstwa.

– Czy mam szansę wkrótce odzyskać swój teren? – Cofnęła rękę, ku wielkiej uldze McLeana.

– To zależy od decyzji ekipy technicznej oraz postępów w przesłuchiowaniu pracowników budowlanych. Przykro mi, ale w tym momencie nie potrafię udzielić precyzyjniejszej odpowiedzi. – Dłoń nadal go paliła. Miał wielką ochotę ją obejrzeć, sprawdzić, czy aby skóra

nie schodzi albo czy nie pojawiły się na niej pęcherze. Opanował się jednak i wytrzymał spojrzenie pani Saifre. Duguid uznał ciszę za sygnał do interwencji.

– Bardzo mi przykro z powodu tych niedogodności, proszę pani. Sierżant Laird odprowadzi panią do samochodu. Rozumiem, że kierowca na panią czeka?

Pani Saifre krótko kiwnęła głową, po czym wymaszerowała przez otwarte drzwi. Bob Gburek rzucił się w pogoń. McLean wyszedł na cudownie chłodny korytarz, głęboko zaczerpnął powietrza, które jeszcze pół godziny temu śmierdziałoby mu niemytym policjantem i gotowaną kapustą, ale w tym momencie zdawało się najsłodszą rzeczą na świecie. Uniósł dłoń, obejrzał ją dokładnie. Żadnych śladów uszkodzeń, chociaż nadal jakaś dziwna.

– No, dosyć marudzenia, McLean. – Głos Duguida wyrwał go ze stuporu. – Do mnie. Natychmiast.

– Coś ty sobie, kurwa, wyobrażał, przyprowadzając tutaj tę kobietę?

Gabinet Duguida wyglądał jak po przejściu tornada. Albo przynajmniej komendanta głównego. Na zwykle pustym biurku leżały rozsypane teczki, jakby ktoś desperacko szukał konkretnej informacji pośród miliona starannie skleconych słów, mających na celu zaciemnianie obrazu. Na podłodze piętrzyły się pudła z dokumentami. Nadinspektor chodził w tę i z powrotem, ignorując ich obecność, przewracając je, rozwalając i tratując.

– Nie mogłeś jej przesłuchać w domu? Albo przynajmniej wziąć na świadka kogoś starszego rangą? Ty wiesz, kim ona jest? Kogo zna?

– Pani Saifre przysła tu z własnej nieprzymuszonej woli.

– A jak pójdzie z tym do komendanta? Złoży skargę? A jak... jak? – Mózg Duguida wreszcie przystopował na tak długą chwilę, że uszy mogły przyswoić słowa McLeana.

– Przysła z własnej woli, szefie. Proponowałem, że ją przesłucham w domu czy w biurze, ale powiedziała, że i tak akurat będzie w okolicy. Nie uwierzyłem, ale już dawno przestałem próbować ją rozgryźć. I kim ona, do diabła, właściwie jest?

– To nie wiesz? – Na rumianej twarzy Duguida pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

– O, wiem, kim jest. Jane Louise Dee, szkocki Bill Gates, jak ją nazywano w latach osiemdziesiątych. Wyszła za jakiegoś finansistę ze Środkowego Wschodu, który wkrótce potem zmarł. Od tamtej pory buduje swoje imperium. Prawdopodobnie najbogatsza kobieta świata. – McLean odhaczał na palcach kolejne punkty z ostatniej lektury wikipedii. – Z jakiegoś powodu bardzo się mną ostatnio interesuje. Bardzo to pochlebne, rzecz jasna, nie jest jednak w moim typie. Jak już powiedziałem, właściwie nie wiem, kim ona jest.

Duguid od paru minut miał rozdziawione usta, skutkiem czego pierwsze słowa zabrzmiały bardzo bełkotliwie. Po chwili odzyskał panowanie nad szczęką.

– Że co? Co to znaczy, interesuje się tobą?

– Zakładam, że spotykał pan ją już wcześniej?

– Przelotnie. Przy oficjalnych okazjach. Wymieniliśmy w sumie może kilka słów. Ale... – Duguid urwał, jakby część jego mózgu odpowiedzialna za myślenie wymagała całej dostępnej mocy obliczeniowej.

– Proszę posłuchać. Jeśli to może cokolwiek zmienić, pójdę ją osobiście przeprosić. Gdybyśmy znaleźli zwłoki Weatherly'ego na ziemi należącej do kogoś innego, to ten ktoś już siedziałby spocony w celi. Jasne, jest wpływowa, ale nie aż tak. Faktów nie zmienia.

– Ty naprawdę w to wierzysz? – Duguid osunął się na fotel, zrzucając przy okazji kolejną porcję papierów na podłogę. Ktoś będzie miał mnóstwo zabawy z porządkowaniem tego pobożowiska. – Popatrz uważnie. – Plasnął ręką w jedną z teczek na biurku. – Wiesz, dlaczego musiałem wygrzebać te wszystkie papiery i przejrzeć każdy zasrany dokument po kolei? – Zrobił pauzę, ale nie na tyle długą, by McLean zdążył coś wtrącić. – Ponieważ zastępca komendanta chce znać w szczególach wszystkie sprawy, w których brałeś udział pod moim dowodzeniem. Dlatego.

McLean nie odpowiedział, omiół pokój wzrokiem. Próbował sobie przypomnieć, od kiedy Duguid jest jego przełożonym. Od początku pracy McLeana w dochodzeniówce przewinęło się tu co najmniej pięciu nadinspektorów, choć Duguid zawsze zajmował wysoką pozycję. Tak czy inaczej, liczba papierów dotyczących śledztw, w których obaj brali udział, wydawała się nieco przerażająca. No, ale w sumie trochę lat minęło.

– A na co mu ta wiedza?

– A jak, kurwa, myślisz?

Bo się martwi. Bo siedzi w czyjejś kieszeni i chce się upewnić, że jest kryty. Albo działa na polecenie kogoś jeszcze wyżej postawionego.

– No właśnie. – Duguid uznał milczenie za prawidłową odpowiedź. – Dzwonią do mnie politycy ze wszystkich partii. A także radni miejscy. Nawet jakiś palant z Holyrood. I wiesz co? Wszyscy srają ze strachu przed tą babą. Trzyma ich w garści co do jednego. A ty kazałeś jej przyjść na przesłuchanie.

McLean już miał ponownie wyjaśnić, że wcale jej nie kazał, że przyszła z własnej woli. Owszem, zamierzał ją przesłuchać, ale go ubiegła. Nagle zobaczył cień uśmiechu na twarzy Duguida. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej się to zdarzyło. W każdym razie nie uśmiech tego rodzaju.

– Niezmiennie powtarzam, że jesteś prawdziwym utrapieniem. Sam wiesz. Bóg świadkiem, jak bardzo ta banda potrzebowała kopa w tyłek.

– Mam ją wezwać ponownie?

– Nie, kurwa, nie. Zostaw ją w spokoju. – Uśmiech znikł, ręce przycisnęły się do piersi, jakby sam pomysł ponownej wizyty pani Saifre w komisariacie mógł wywołać rozległy zawał.

– A co z Weatherlym? – McLean postanowił wykorzystać niespotykany przebłysk dobrej woli Duguida. Zapewne popełnił błąd. Twarz nadinspektora znów pociemniała. Wracamy do normalności.

– Weatherly nie żyje. Najgorsze, co można zrobić, to majstrować przy trupie. Kiedy da się znaleźć winnego. Gdybym uważał, że uda nam się wykręcić sianem, wsadziłbym go z powrotem do krypty, może nikt by nie zauważył. – Duguid potrząsnął głową. Obaj wiedzieli, że to nierealne. – Nie. Dostyc narozrabiałeś, teraz lepiej przyczaj się na trochę. Nie kuś licha.

McLean stanowczo zbyt wiele czasu spędzał w szpitalach. Była to smutna i nieunikniona część jego pracy. Ofiary przestępstw, które badał, częściej niż rzadziej trafiały tutaj albo do kostnicy. A czasem tu i tu. A ostatnio stanowczo zbyt często również życie prywatne sprowadzało go w te jakże dobrze znane korytarze. Nie był do końca pewien, do której kategorii zaliczyć sierżant Ritchie. Była koleżanką z pracy, ale również dobrą znajomą. I kiedyś uratowała mu skórę.

Znalazł ją w cichej sali na końcu długiego korytarza, obwieszonego dziwnym miksem sztuki współczesnej i plakatów o tematyce zdrowotnej. Wyglądała, jakby spała, prócz kroplówki nic nie wskazywało na jakiegokolwiek medyczne interwencje. Kiedy podszedł bliżej, poruszyła się i spojrzała na niego zmęczonymi oczami. Kiedy wreszcie go rozpoznała, na jej twarzy pokazała się lekka panika.

– Szefie. Ja... Tak mi przykro.

– Spokojnie, Kirsty. Nie jesteś w pracy. Nie musisz mi „szefować”. – McLean przysunął sobie krzesło i ustawił je po przeciwnej stronie łóżka niż kroplówka.

Ritchie wyglądała koszmarnie, inaczej nie dało się tego określić. Policzki miała zapadnięte, pod oczami ciemne wory. Nawet piegi prawie całkiem się rozmyły wśród szarości cery. Włosy zwisały w strąkach, splątane i zaniedbane. Nagie ramiona leżące na kołdrze były przeraźliwie chude.

– Zemdlałam – powiedziała, kiedy się usadowił.

– Byłem przy tym, nie pamiętasz?

Zrobiła zdezorientowaną minę, z zakłopotaniem zmrużyła oczy.

– To nic. Chwila i stanę na nogi. Tylko muszę się pozbyć tej pieprzonej grypy.

Słowa pasowały do dawnej Ritchie, ale głos brzmiał słabo, drżał. McLean dostrzegł krople potu na jej czole, czuł bijącą od niej gorączkę.

– Lekarze wiedzą, co ci jest?

Lekko potrząsnęła głową, a potem skrzywiła się, zapewne odkrywwszy, że potrząśnięcie głową to niezbyt dobry pomysł.

– Dali próbki krwi do laboratorium. Napakowali mnie środkami przeciwwirusowymi. Mam nadzieję, że wkrótce zaczną działać.

– Ja też. I nie tylko dlatego, że jesteś potrzebna w pracy.

Po twarzy Ritchie przemknął cień uśmiechu, ale widać kosztował ją zbyt wiele wysiłku, by mógł trwać dłużej.

– A co słysząc? – zapytała. – Szykowaliście się do akcji w Rosskettle czy coś takiego?

McLean usiadł wygodniej na krześle i zaczął opowiadać o przebiegu prowadzonych spraw. W połowie zamknęła oczy. Urwał, ale szepnęła cicho:

– Mów dalej.

Powróciły bolesne wspomnienia tych wszystkich godzin, które spędził przy łóżku babci, mówiąc do niej, chociaż leżała w śpiączce. Te monologi w pewnym sensie pomogły mu wtedy uporządkować myśli, wyrzucić je z siebie. A teraz, kiedy opowiadał Ritchie o Williamie Beaumoncie, Barrym Timbrelu, Andrew Weatherlym i jego tajemniczo wędrujących zwłokach, o szpitalu Rosskettle i pospiesznym wyburzaniu zabudowań, w jego umyśle zaczął formować się obraz: ujrzał, w jaki sposób te wszystkie elementy się łączą i dlaczego. Jak wszystko zdaje się obracać wokół dziwnej postaci pani Saifre. Jane Louise Dee.

– Pamiętam, że ją przesłuchiwałam w biurze Weatherly’ego – powiedziała Ritchie sennym głosem, nie otwierając oczu.

– Wspominała, że z tobą rozmawiała, i zapytała, jak się miewasz. – Teraz, gdy to powiedział, troska pani Saifre o zdrowie Ritchie wydała mu się nieco dziwna.

– Od chwili, kiedy stamtąd wyszłam, wciąż źle się czuję. – Ritchie otworzyła oczy, z trudem podciągnęła się do pozycji siedzącej, zaczęła kaszleć, przyciskając białe prześcieradło do twarzy. Kiedy skończyła, McLean zobaczył plamki czerwieni.

– Mam zawołać pielęgniarkę? – Pochylił się w jej stronę, nie bardzo wiedząc, co robić. Ritchie machnęła ręką.

– Jest okej. Coraz lepiej. – Opadła na poduszki: woskowa twarz, bezwładne ramiona, wyczerpana po wysiłku, który trwał zaledwie kilka sekund.

– Nigdy nie potrafiłaś kłamać, Kirsty.

– Mówię serio. Po powrocie z Fife czułam się trochę kiepsko, ale następnego dnia wszystko było w porządku. Zaczęło się dopiero, jak wyszłam z tego biura. Po rozmowie z tą kobietą. Popytaj tam, może ktoś jeszcze choruje. Nie wiem, co to jest, ale na pewno jakieś straszne paskudztwo.

– Wiesz... – zaczął, ale przeszkodził mu sygnał telefonu tkwiącego w kieszeni.

Rozejrzał się z miną winowajcy. Mógłby przysiąc, że go wyłączył przed wejściem do szpitala, chociaż zawsze buntował się przeciwko tego rodzaju przepisom. Wyświetlacz powiadomił, że po drugiej stronie znajduje się posterunkowy MacBride. McLean nie zauważył żadnych tabliczek zakazujących używania telefonów, jak to było na oddziale intensywnej terapii. Ritchie minimalnie oderwała głowę od poduszki, ale dostrzegł wyraz jej oczu – sugerował, że gdyby tylko miała dość siły, to by nimi wywróciła.

– To MacBride – powiedział, po czym nacisnął kciukiem ekran i przyłożył telefon do ucha. – Tak?

– A, dobrze, że pan odebrał.

– Jestem w szpitalu. Nie mogę długo rozmawiać. Coś pilnego?

– Dzwonili z technicznego. Chyba coś znaleźli w Rosskettle. Musi pan tam wrócić najszybciej, jak tylko się da.

Niekończące się opady śniegu, które tej zimy nawiedzały całą Szkocję, miały jedną niewątpliwą zaletę: ruch na drogach znacznie się zmniejszył. Niestety, samochód McLeana za bardzo nie nadawał się do jazdy w takich warunkach.

Zostawił Ritchie pod czułą opieką pielęgniarek i popędził na południe tak szybko, jak tylko pozwalała mu odwaga, lecz kiedy wjechał w wąską aleję, prowadzącą do Rosskettle, zdążyło

się zrobić prawie całkiem ciemno. Wjazdu – w miejscu, gdzie poprzednio powitał ich ochroniarz – pilnował policjant w mundurze, gotów bronić dostępu niepowołanym osobom. Opodal stało kilka samochodów, na ziemi leżały niedopałki papierosów, zza przednich szyb błyskały aparaty długoogniskowe. No tak, ktoś powiadomił prasę. Dziennikarze krążyli dokoła jak stado szakali.

Parking przed głównym budynkiem zajmowały furgonetki wydziału technicznego i nawet jeden większy samochód ciężarowy, który wyciągano tylko w poważniejszych przypadkach. McLean znalazł wolne miejsce na tyle blisko, by nie musiał przemierzać zbyt długiego odcinka na piechotę, ale i na tyle daleko, żeby nikt nie wjechał w jego wóz, po czym ruszył na poszukiwanie oficera dowodzącego.

Jemima Cairns dyrygowała niewielkim plutonem oficerów technicznych uzbrojonych w łopaty. Na widok McLeana jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Nie spodziewał się takiego powitania ze strony tej surowej i raczej ponurej osoby.

– Widzę, że dostał pan wiadomość. – Dała znak technicznym, którzy pomaszrowali w stronę miejsca, gdzie jeszcze kilka godzin wcześniej spoczywały zwłoki Weatherly’ego.

– Podobno znaleźliście coś ciekawego. – McLean potrząsnął podaną mu ręką. Przez chwilę obawiał się, że ta niska, krągła kobieta zaraz zamknie go w niedźwiedzim uścisku. Pomogła mu kiedyś, przy innej sprawie, i nieźle znała się na węzłach wszelkiego rodzaju. Ale nie mogła cieszyć się opinią osoby wesołej i przyjaznej.

– A i owszem. Nieczęsto trafia się taka gratka. Uszczęśliwił mnie pan chyba na cały rok, inspektorze. Albo i całą dekadę. Proszę włożyć śpioszki i za mną.

McLean, którego zaintrygowało zarówno podekscytowanie pani Cairns, jak i wybrane przez nią pieszczotliwe określenie, posłusznie włożył papierowy kombinezon, a stopy wsunął w nieskazitelnie czyste kalosze. Razem ruszyli po śniegu ubitym niezliczoną liczbą nóg do miejsca, gdzie tego ranka wykopano ciało Weatherly’ego. Kilka lamp łukowych oświetlało pogłębiony dół w ziemi. McLean zatrzymał się, by spojrzeć do środka, lecz pani Cairns niecierpliwie dała mu znak, żeby szedł dalej. W pobliżu, przy zwalonym dębie i prowizorycznym ogrodzeniu, umieszczono większy zestaw lamp. Kilku technicznych rozkładało chyba największy namiot, jaki McLean kiedykolwiek widział.

– W tym miejscu psy całkiem oszalały. – Pani Cairns z zadziwiającą szybkością ruszyła po śniegu pokrytym zmarzniętą warstwą lodu.

McLean myślał, że cienka skorupa zaraz się załamie i pani Cairns wpadnie w śnieg po pas, ona jednak poruszała się w jakiś specyficzny sposób, jakby unosiła się nad powierzchnią. W jego przypadku nie poszło tak gładko. Po chwili przekonał się, że głębokość śniegu przekracza wysokość cholewek gumowych butów ochronnych.

– Wkopaliśmy się na próbę i znaleźliśmy stare kości. Możliwe, że nawet bardzo stare. Pewnie pan wie, że szpital psychiatryczny powstał w tym miejscu kilkaset lat temu. Jednak psy nie wyczułyby tak starych szczątków. Dlatego kopujemy dalej.

Weszli w krąg światła, z popołudniowego stłumionego blasku prosto w jaskrawą biel, aż McLeana zaboląły oczy. Miejsce oczyszczono ze śniegu i trawy, usunięto też kilka metrów twardej jak skała ziemi. Teraz drużyna technicznych za pomocą narzędzi podobnych do tych z serialu o wykopaliskach archeologicznych, *Time Team*, delikatnie oczyszczała coś, co wyglądało jak cmentarz z czasów, kiedy jeszcze nie wymyślono trumien.

– Co to jest? – spytał McLean po chwili głuchoj ciszy.

– Dwadzieścia dwa ciała, jak do tej pory. Wszystkie należące do osobników dorosłych płci męskiej. Pochowano je z należnym szacunkiem, ale nie jest to chrześcijański cmentarz. Przede wszystkim wskazuje na to ich ułożenie. Kilka jest bardzo starych, co widać na pierwszy rzut oka. Inne młodsze. To ich zapach przyciągnął psy.

McLean powoli wypuścił powietrze, które zmieniło się w parę i otoczyło go niczym prywatna chmura.

– Przestępstwo?

– O tym zdecydują pana koledzy z kostnicy miejskiej. – Pani Cairns wskazała ruchem głowy dwie postaci klęczące opodal nad kupką kości. – Z całą pewnością można stwierdzić, że mamy tu niezarejestrowany cmentarz, używany przez jakieś dziesięć ostatnich lat. Zakładam, że pracy starczy nam co najmniej na dwa tygodnie. A może i miesiąc. Gratulacje, panie inspektorze. Rozbił pan bank.

– Jezu Chryste, ale burdel. Trzydzieści ciał. Trzydzieści, kurwa, ciał! Czy ty wiesz, jak ja dostanę za to po dupie?

Poranek po makabrycznym odkryciu na terenie byłego szpitala Rosskettle. McLean bez większego zaskoczenia znów wezwany przed oblicze Duguida. Wyjął telefon, znalazł listę połączeń i odwrócił aparat w stronę nadinspektora.

– Nie tylko pan. W ciągu ostatnich trzech godzin Jo Dalglish dzwoniła szesnaście razy. A w ogóle nie powinna mieć mojego numeru.

Duguid potarł zmęczone oczy mackowatymi paluchami.

– Ty to każdą sprawę potrafisz spierdolić. Prawdziwy ekspert.

– Czemu wszyscy uważają, że to moja wina? To nie ja zagrzebałem trupy.

– Nie. Ale akurat ty musiałeś tam poleźć i je wykopać.

McLean miał odpowiedź na końcu języka, ale się powstrzymał. Po co się zniżać do poziomu Duguida?

– Nie mogę udawać, że ich tam nie ma. Musimy przeprowadzić dochodzenie. A poza tym ta sprawa ma pewien pozytywny aspekt.

– Tak? – Duguid miał szczerze zaskoczoną minę.

– Owszem. Dziennikarze tak się podniecili zbiorowym grobem, że całkiem zapomnieli o Andrew Weatherlym.

– Tylko na jak długo? – mruknął pod nosem Duguid, wyciągnął kilka teczek z chaosu na biurku. – Teraz to jest najważniejsze dochodzenie. Oficjalna decyzja. Odpowiadasz przed Brooksem. Na razie mam nadzór, ale możliwe, że sprawa trafi jeszcze wyżej. – Potrząsnął głową, jakby w ten sposób mógł przegonić wszystkie problemy. – Co tam się właściwie, kurwa, dzieje?

– Najprawdopodobniej istniał tam nieoficjalny cmentarz, co najmniej tak długo jak szpital, może nawet wcześniej. Gdyby wszystkie zwłoki pochodziły z dawniejszych czasów, na miejsce wysłalibyśmy archeologów, ale niektóre pogrzebano niedawno. Mniej więcej w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– I niby kto to jest? Martwe świry?

Zero współczucia dla ofiar.

– Możliwe. Te najstarsze ciała niemal na pewno. Ale dowiemy się dopiero, kiedy obejrzą je patolodzy.

– To trzeba ich pospieszyć, McLean. Potrzebujemy odpowiedzi szybko, bo inaczej wszystko się spierdoli.

– Zawsze wiedziałam, że należy pana obserwować.

Powinien był pójść prosto do gabinetu Brooksa, a potem zorganizować główny pokój dochodzeniówki pod nową sprawę. Zamiast tego skorzystał z okazji i wymknął się na przyzwoitą kawę i drobną przekąskę. Oczywiście należało przewidzieć, że źle się to skończy. Dokładnie w takich samych okolicznościach dopadła go poprzednim razem.

– Nie mam pani nic do powiedzenia, pani Dalgliesh. – McLean dał nura do środka i ustawił się na końcu kolejki. Dziennikarka stanęła za nim. Znalazł się w pułapce.

– Ależ inspektorze. Kupię panu kawę, tylko proszę o kilka wskazówek.

– Jeszcze ich pani nie ma? – Mimo wszystko McLean nie mógł oprzeć się pokusie.

– No tak. Mnóstwo technicznych i tak dalej na terenie dawnego wariatkowa. Dziesięć furgonetek jedzie do kostnicy. Zespół archeologów z uniwersytetu łązi dokoła i gada o starym miejscu pochówku, którego nie wymienia żaden z ich bezcennych podręczników. Jak dla mnie, wygląda to bardzo zagadkowo.

No i zaufaj tu cywilom. Zawsze muszą coś chlapanąć. Może Dalgliesh blefuje, licząc na to, że on uzupełni puste miejsca. Skądś jednak wiedziała o furgonetkach wiozących zwłoki do kostnicy. Prócz tego pewnie zdobyła informacje z kilku innych źródeł. Niesamowite, co potrafi zdziałać nawet niewielka sumka, jeśli tylko pomacha się nią przed nosem odpowiedniej osobie.

– Po południu ma się odbyć konferencja prasowa. Nie może pani poczekać?

– I stracić taki temat? – Dalgliesh miała autentycznie zranioną minę. – Wiem, że znaleźliście ciała. Dużo ciał. Teraz chcę tylko kilku szczegółów. Na przykład, czy to są stare zwłoki.

– Minął dopiero jeden dzień. Może dałaby pani patologom spokojnie wykonać swoją pracę, co?

– A więc stare. Dwadzieścia lat, więcej? – Teraz macała.

– To jest główne dochodzenie. Na razie nie mogę nic więcej powiedzieć.

– Główne dochodzenie? – Brwi Dalgliesh podjechały do góry. – A więc nie pan je nadzoruje.

– Skąd. Odpowiadam przed Brooksem. Na razie. Nigdy nie wiadomo. Sprawa może przybrać za duże rozmiary nawet jak na jego niebywałe kompetencje.

– A archeolodzy?

– Powinni się nauczyć trzymać mordy na kłódkę. – McLean właśnie dotarł na początek kolejki, zamówił kawę, podał nazwisko i dorzucił: – Ona płaci.

Dalgliesh ściągnęła brwi, ale wysupłała z kieszeni skórzanej kurtki pomięty banknot dziesięciofuntowy i wręczyła wraz ze swoim zamówieniem.

– Hej, musi mi pan coś dać. – Oparła się o kontuar, niecierpliwie czekając, aż barista zrobi kawę. – Czego tam właściwie szukaliście?

– To część prowadzonego dochodzenia, więc naprawdę nie wolno mi o tym rozmawiać.

– O, niech pan da spokój. Na pewno mieliście ważny powód, żeby tam węszyć. – Dalgliesh podrapała się po twarzy złotym pazurem. – Niedaleko znaleźliście tego z tatuażami, zgadza się? Nurt zniósł ciało w dół rzeki. Sądzicie, że był wariatem?

– Szpital zamknięto ponad dwadzieścia lat temu. William Beaumont żył na ulicy, ale nigdy nie był pacjentem w Rosskettle.

– A więc dlatego. – Dalgliesh wyszczerzyła się jak przygłupia kuzynka Kota z Cheshire.

– Podejrzewacie, że ci, którzy go zabili, zabili też pozostałych. A najstarsze ciała liczą

kilkaset lat.

Może nie aż tak przygłupiasta.

– Proszę posłuchać. Niewiele mogę powiedzieć, bo niedużo wiem. Przynajmniej na razie. Tak, mogę potwierdzić, że znaleźliśmy zwłoki i że niektóre leżały w ziemi od dość dawna. Może w grę wchodzi przestępstwo, a może było to po prostu miejsce przyszpitalnych pochówków w czasach, kiedy jeszcze nie wszystko tak ściśle uregulowano? Kto wie? Zamierzam to sprawdzić, a będzie to znacznie prostsze, jeśli powstrzyma się pani przed publikowaniem swoich zwykłych sensacyjnych spekulacji. Ostatnie, czego mi potrzeba, to walnięci zwolennicy teorii spiskowych łączący po miejscu zdarzenia.

– Walnięci zwolennicy teorii spiskowych. Mogę zacytować te słowa?

McLean chwycił kubek z kawą w tej samej sekundzie, kiedy kobieta postawiła go na kontuarze, wprawiając ją przy okazji w przerażenie. Ogarnęły go lekkie wyrzuty sumienia, ale tylko do chwili, kiedy sobie uświadomił, że wypowiedziała jego nazwisko „McLean” jak nazwę pasty do zębów. Dalgliesh nadal czekała na swoją kawę, postanowił więc skorzystać z okazji i zwiać.

– Niech pani drukuje, co się pani żywnie podoba. I tak wszystko pani zmyśli.

Zostawił ją przy kontuarze, nim zdążyła wpaść na trafną odpowiedź, i umknął na zewnątrz, by przypadkiem nie doszła do wniosku, że nękanie go kolejnymi pytaniami jest warte więcej niż porzucona latte. I tak wszystko zmierzało po równi pochyłej prosto do piekła, więc jakie to miało znaczenie, że po drodze wkurzył prasę?

Dwa dni później. Sprawy szły już nie tyle źle, co jeszcze gorzej. Techniczni wydobyli jak na razie szczątki dwudziestu dziewięciu ciał, które przez cały czas spoczywały w zbiorowym grobie zaledwie jakieś sto metrów od, teraz już wyburzonych, zabudowań szpitalnych. Wszystkie należały do dorosłych osobników płci męskiej. Z niektórych pozostały jedynie kości, stan trzech wskazywał na to, że pochowano je niedawno. Okazało się, że młodo wyglądający doktor MacPhail przez kilka lat pomagał przy identyfikacji zwłok wydobywanych z mogił zbiorowych i teraz asystował technicznemu z makabryczną radością, która pozwalała przypuszczać, że w późniejszym wieku będzie godnym następcą Angusa Cadwalladera. Ten zaś wydawał się bardzo szczęśliwy, widząc, jak jego podwładny błyszczy. Mniej szczęśliwy za to z powodu wciąż rosnącej liczby ciał w kostnicy.

Na razie żadnego nie zidentyfikowano, ale jedna rzecz wyraźnie rzucała się w oczy: wszystkie, na których zachowała się skóra, były mocno wytatuowane, pokryte od stóp do głów płataniną wymyślnych czarnych zawijasów. Wyłaniał się pewien obraz: seryjne morderstwa, dobrze zorganizowane, o określonej strukturze i charakterze rytualnym. Siedząc samotnie w swoim gabinecie do późna w nocy, McLean wciąż głowił się nad jednym: dla kogo były przeznaczone te ofiary.

Nieszczęsny Billbo Beaumont zdołał uciec. Po tym, jak zrobiono tatuaże, ale przed ostatecznym aktem. Niewiele mu to pomogło. Samotny i przerażony, zapewne na wpół oszalały z powodu środków, którymi go nafaszerowali. Czyli całkiem, bo już wcześniej był na wpół szalony. Biegnie nago pośród ciemności, w śniegu, pokonuje kolejne ogrodzenia, kaleczy się o krzaki, a w końcu pchany skrajnym przerażeniem spada z klifu do wody. Jak długo trwało to wszystko? Dwadzieścia dziewięć ciał, Billbo trzydziesty. Jeden na rok? Raczej jeden na dziesięć lat, sądząc po wieku niektórych zwłok. Prawie trzysta lat.

McLean wzdrygnął się, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w raport na ekranie. Prasa miała używanie, sytuacji bynajmniej nie poprawiali archeolodzy sprowadzeni do pomocy technikom, którzy co wieczór długo i głośno omawiali w pubie najnowsze tezy na temat znaleziska. McLean rozmawiał z ich szefem, marną kopią Indiany Jonesa w kretyńskim kapeluszu, żywiącego jeszcze bardziej kretyńską wiarę we własne umiejętności. Rozmowa, rzecz jasna, nic nie dała. Brak wsparcia z góry jeszcze bardziej pogarszała sytuację.

Przynajmniej tajemnicza przeprowadzka zwłok Andrew Weatherly'ego przeszła niezauważona, co nie zmieniało faktu, że zagadka domagała się wyjaśnienia. Kto przeniósł jego ciało do Rosskettle? Dlaczego pochowano go tak blisko pozostałych ciał, które za chwilę miały zostać odkryte? Niemal jakby ktoś próbował dać im znak. Nie wyglądało to na zbieg okoliczności, poza tym McLean nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Sierżant Gregg stanęła na progu, niepewna, czy

ma wejść do środka, czy nie. Zmiana munduru na zwykłe ciuchy wyraźnie ją wyciszyła. McLean nie zamierzał narzekać.

– Jeszcze w pracy? – Posłał jej znużony uśmiech i dostał w zamian podobny.

– Chyba nikt z nas na razie nie ma szans się wyspać.

McLean lekko potrząsnął głową.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Jakaś kobieta w recepcji naciska, żeby się pan z nią zobaczył. Dyżurny próbował ją spławić, ale strasznie się upiera.

– Ma jakieś nazwisko? – McLean spojrzał na telefon stacjonarny. Dlaczego nikt nie zadzwonił? Wcale by się nie dziwił, gdyby się okazało, że centrala jest na podsłuchu i wszystkie rozmowy trafiają prosto do szafki na czwartym piętrze.

– Przedstawiła się jako Jenny Denton. Nawija coś o diable tkwiącym w szczegółach. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jak pan chce znać moje zdanie, to chyba ma trochę nierówno pod sufitem.

To był ten sam pokój, w którym razem z Bobem Gburkiem przesłuchiwali panią Saifre, ale podczas gdy wtedy mało nie ugotowali się z gorąca, to teraz można było odnieść wrażenie, że wszystkie ściany znikły, a oni siedzą na zewnątrz, przy trzaskającym mrozie. McLean wysłał posterunkową Gregg na poszukiwanie gorącej herbaty i może kilku ciastek. Został sam z Jennifer Denton – oboje w kurtkach kulili się z zimna.

Pani Denton przynajmniej ubrała się stosownie do okazji. McLean nie mógł sobie przypomnieć, ile czasu minęło od ich ostatniej rozmowy, ale ten czas bynajmniej nie obszedł się z nią łaskawie. Pamiętał kobietę doskonale opanowaną, dobrze ubraną i schludną. Nawet się dziwił, kiedy odkrył, że ma na koncie coś tak tandetnego jak romans z szefem. Teraz siedziała przed nim wymizerowana, bez śladu makijażu, z brudnymi włosami, bardziej siwymi niż w jego wspomnieniach. Wyglądała, jakby cierpiała na okropną, wyniszczającą chorobę.

– Musi pan przestać, inspektorze.

McLeana przeszedł dreszcz, może wywołany zimnem, a może tonem głosu pani Denton. Mówiła chrapliwym szeptem, niezbyt korespondującym z wcześniejszą pewnością siebie graniczącą z arogancją.

– Przestać?

– Musi pan to zostawić. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nic dobrego.

McLean próbował uchwycić jej spojrzenie, ale na próżno. Unikała jego wzroku chyba już od chwili, kiedy wszedł do recepcji, patrzyła głównie w podłogę lub na własne dłonie.

– Pani Denton. Jennifer. Przyszła pani się ze mną spotkać. Rozumiem, że chciała mi pani coś powiedzieć. Czy ktoś pani groził?

Uniosła wzrok, ale tylko na moment. Po jej twarzy przemknął słaby uśmiech.

– Mnie groźby nie dotyczą, panie inspektorze. I tak jestem skazana. Chcę tylko, żeby nikt więcej nie został w to wplątany.

– W co wplątany?

– Od pogrzebu nie byłam w domu, wie pan. – Pani Denton znów popatrzyła na swoje dłonie. McLean dopiero teraz dostrzegł, że są brudne, paznokcie otaczały ciemne obwódki. – Niezbyt dobra pora na spanie pod mostem. Ale na ulicach jest bezpieczniej. Tak przynajmniej

sądziłam.

– Żyje pani na ulicy?

– Widziałam w gazetach, że znaleźliście ciała pogrzebane na terenie szpitala. – Pani Denton wreszcie spojrzała na McLeana, jakby dopiero teraz udało jej się zebrać na odwagę. – Zawsze uważałam, że Drew źle skończy. To miejsce miało nad nim wielką władzę.

– Wiedziała pani, że się tam urodził?

Pani Denton nieznacznie kiwnęła głową.

– Jego matka była stałą pacjentką. Wcale nie cierpiała na zaburzenia psychiczne. W każdym razie nie na początku. Popełniła ten straszliwy grzech, że zaszła w ciążę pozamałżeńską. Rodzina nie mogła tego zaakceptować. Nie ta rodzina. Zapłacili, by ją umieścić w Rosskettle, zresztą praktycznie i tak byli właścicielami tego miejsca aż do czasu, kiedy połknęła je państwowa służba zdrowia. Biedny Andrew urodził się w tym szpitalu i mieszkał tam aż do ósmego roku życia, kiedy matka zmarła, a jego oddano do adopcji. Ale i tak śmiał się ostatni.

– Tak? To znaczy?

– Drew nie miał żadnych praw do ziemi, pieniędzy, nawet do nazwiska. Rodzina całkowicie się od niego odcięła, nie chciała uznać jego istnienia. Nawet na akcie urodzenia wpisano inne nazwisko, nie Weatherly. Ale on wszystko odzyskał tylko po to, by zrobić im na złość. Doprowadził do upadku całej rodziny, a potem kupił wszystkie udziały za ułamek ich prawdziwej wartości. Taki był. Nigdy nie wybaczał, nigdy nie odpuszczał.

– A kto zabrał ciało z krypty i pochował je na terenie szpitala? – McLean miał ochotę spytać panią Denton o pozostałe ciała, lecz jeszcze nie ogłosili publicznie, że je znaleźli. Jeśli o nich wiedziała, to musiał działać ostrożnie. A jeśli nie, to nie chciał z kolei spychać jej na brzeg przepaści, nad którą najwyraźniej stała.

– Nie mogę... Jeśli wypowiem to imię, przywołam tego, który je nosi. – Pani Denton gwałtownie potrząsnęła głową, ręce opuściła na kolana i skuliła się jak małe dziecko, które ktoś próbuje do czegoś zmusić.

– Ale pani wie.

McLean pozwolił słowom wybrzmieć w ciszy, odczekał, aż pani Denton się uspokoi. Kiwnęła głową i podniosła wzrok. Jej oczy błyszczały, na brudnych policzkach widniały ślady wymyte przez łzy.

– Pójdę do piekła, panie inspektorze. Nic nie mogę na to poradzić. Nie może mnie pan uratować, ale innych tak. I może pan uratować siebie.

– Uratować siebie? Ale przed czym? Jak? – McLean pochylił się do przodu, próbował jeszcze raz uchwycić spojrzenie pani Denton. Wyraźnie coś z nią było nie tak, jeszcze bardziej niż w chwili, kiedy weszła do recepcji. Miała dziwne drgawki, jak osoba z zaawansowanym Parkinsonem. Najpierw myślał, że potrząsa głową, odmawiając odpowiedzi, ale to był raczej mimowolny skurcz mięśni.

– Musi pan przestać. – Słowa brzmiały urywanie, głos się łamał. Pani Denton dostała jakiegoś dziwnego ataku.

McLean zerwał się z miejsca, w dwóch krokach okrążył biurko. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich posterunkowa Gregg z trzema parującymi kubkami w rękach i paczką ciastek pod pachą. Zrobiła wielkie oczy, ciastka spadły na podłogę.

– Zawołaj pomoc. I dzwoń po karetkę.

Gregg postawiła kubki na stole, ochlapując ich gorącą zawartością blat z forniru, odwróciła się i uciekła. Jennifer Denton mocno chwyciła ramię McLeana. Jej drobnym ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Przyciągnęła go do siebie i z trudem wydusiła przez zaciśnięte zęby:

– Jeśli. Nie. Przestaniecie. Kopać. Zginą. Następni.

– Jest na intensywnej terapii. Lekarze nie są dobrej myśli. Najprawdopodobniej miała udar. McLean siedział przy jednym z pustych biurków w pokoju dochodzeniowym, słuchając jednym uchem, jak posterunkowa Gregg przedstawia reszcie zespołu najnowsze informacje, czyli MacBride’owi i Bobowi Gburkowi. Wszyscy pozostali siedzieli w pokoju naprzeciwko, przeznaczonym na użytek śledztwa w sprawie Weatherly’ego, a właściwie, od niedawna, sprawie Rosskettle. Wszyscy prócz Ritchie, rzecz jasna. Wciąż leżała w szpitalu, cierpiąc na nieznaną chorobę. Pomyślał, że powinien znaleźć wolną chwilę i ją odwiedzić.

Miał wrażenie, że działa tylko połowa jego mózgu. Poprzedniego wieczoru pojechał do szpitala karetką, która zabrała Jennifer Denton, i patrzył bezradnie, jak próbują ratować jej życie. Do domu wrócił nad ranem. Próbował zasnąć, wdzięczny kotce, która widać zorientowała się, że człowiek potrzebuje towarzystwa. Ale nawet u boku tak uroczej istoty nie zdołał zaznać odpoczynku. A budzik zadzwonił o szóstej.

– Ma pan wolną chwilę?

McLean uniósł głowę. Dopiero teraz się zorientował, że drzemał. W drzwiach stał sierżant Dundas. Miał zmartwiony wyraz twarzy.

– O co chodzi, Pete? – McLean podniósł się z trudem. W improwizowanym briefingu nastąpiła przymusowa przerwa.

Sierżant przestąpił z nogi na nogę, powiódł wzrokiem po członkach zespołu, zatrzymał się przy Bobie Gburku, siedzącym obok kaloryfera.

– Cóż... Bob, chyba też chciałbyś to usłyszeć. Młodym raczej nie trzeba przeszkadzać.

– Nie mamy tu żadnych sekretów, Pete – odparł Bob, nie do końca zgodnie z prawdą.

– Chodzi o Jacka. Jacka Tennanta.

– Co z nim? – spytał McLean. – Zwykle nie jesteś taki powściągliwy, kiedy trafia się jakaś ciekawa plotka.

Dundas westchnął.

– Jack zmarł. Dziś w nocy.

– Co takiego?! – McLean gwałtownie odchylił się na piętach. Gwałtowny ból przeszył jego kręgosłup i kark. – Jak to?

– Z tego, co słyszałem, miał raka. Nikomu nie powiedział, że jest chory, głupi sukinsyn.

To by było całkiem w stylu Jacka Tennanta. Chyba jednak niemożliwe, by ktoś, kto wyglądał całkiem zdrowo, w tak krótkim czasie przegrał z poważną chorobą. McLean przywołał w pamięci ich ostatnie spotkanie: konferencja prasowa, na której definitywnie zakończyli dochodzenie w sprawie Weatherly’ego. W każdym razie tamten pierwszy etap. Jack rzeczywiście nie najlepiej się wtedy czuł, ale na pewno nie cierpiał na chorobę śmiertelną.

Nagle przypomniał sobie jego ostrzegawcze słowa. Jackowi bardzo zależało, by więcej nie

ruszać sprawy Weatherly'ego. Aby na pewno jej ponownie nie otwierać. I jeszcze jedno wspomnienie: ktoś nazwał go w rozmowie starym przyjacielem, ktoś, kto pewnie nigdy nie miał żadnych przyjaciół.

– Kurwa.

– Sam bym tego lepiej nie ujął – stwierdził Pete Dundas, krzywiąc się. – Pewnie na pogrzebie zjawi się wielu spośród nas.

McLean nie miał serca tłumaczyć, że nie o to mu chodziło. Zamierzał się wybrać, o ile nic nie stanie na przeszkodzie. Jack Tennant był jego mentorem na początku kariery. I przyjacielem, chociaż może nie aż tak bliskim. Kiedyś w przeszłości stanął po tej, a nie innej stronie i McLean nie mógł opędzić się od myśli, że w związku z tym wyborem musiał zapłacić najwyższą cenę.

– Zechcesz wyświadczyć nam pewną przysługę? – spytał McLean, jednocześnie robiąc krok w stronę drzwi i zmuszając sierżanta, by wyszedł za nim na korytarz, gdzie reszta nie mogła ich usłyszeć.

– Słucham.

– Spróbuj załatwić dla mnie kopię raportu patologa.

– Z sekcji Jacka Tennanta? – Dundas zrobił zdumioną minę, może nie bez powodu. – A po co ci?

Dobre pytanie. McLean sam nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Po prostu nie dawała mu spokoju myśl, że coś lub ktoś nieuczciwie z nimi pogrywa. I że wszystko krąży wokół Andrew Weatherly'ego. Ile osób zmarło bądź jest bliskich śmierci, ponieważ mieli z nim coś wspólnego? Ile jeszcze umrze?

– Postaraj się, dobrze? – McLean klepnął sierżanta w ramię i pospieszył z powrotem do pokoju.

Wchodząc do małego pomieszczenia przyległego do sali sekcyjnej, McLean poczuł na zmarzniętych policzkach podmuch ciepłego powietrza z wentylatora. Drogę z komisariatu do kostnicy pokonał piechotą, wykorzystując ten czas, by przemyśleć wieści na temat śmierci Jacka Tennanta. Wciąż wydawało mu się niemożliwe, że człowiek, który jeszcze tydzień temu wyglądał całkiem zdrowo, zmarł na raka w tak krótkim czasie. No tak, ale paskudnie kaszlał. I, znając jego upór, można było przypuszczać, że zignorował wszelkie zalecenia lekarza. Może zresztą w ogóle nie odwiedził lekarza.

– Inspektor McLean. Miło znów pana widzieć.

Doktor MacPhail wynurzył się zza wielkiego monitora w głębi pomieszczenia. Miał na sobie obszerny zielony kombinezon upstrzony małymi cząsteczkami jakiejś substancji. McLean wolał nie znać szczegółów co do jej natury. W pomieszczeniu unosił się silny zapach ziemi, znacznie różniący się od zwykłej dla tego miejsca laboratoryjnej czystości zmieszanej z nutą rozkładu.

– Angus mówił, że zawsze dostarcza mu pan najciekawsze przypadki. Przekonałem się, że nie kłamał. Proszę za mną. – MacPhail machnął ręką i ruszył w przepastne wnętrze budynku.

Mijali korytarze, których McLean wcześniej nie widział. Towarzyszyło mu poczucie, że znajdują się głęboko pod ziemią, szczególnie że po jakimś czasie współczesne tynkowane ściany ustąpiły białemu łukowatemu tunelowi. W końcu MacPhail otworzył ciężkie drzwi

i oczom McLeana ukazała się scena jak z poprzedniego stulecia.

– Korzystamy z tej części budynku, kiedy na nowym bloku robi się ciasno. Chłodnie nie podołały rozmiarom pana skromnego odkrycia, więc przenieśliśmy ich tutaj.

McLean wzdrygnął się – zarówno z powodu zimna, jak i roztaczającego się przed nim widoku. Znajdowali się w starych podziemiach, wykutych w skale pod Royal Mile, a może w pozostałościach po jednym z wielu pasaży bądź przesmyków, które w jakimś momencie zabudowano, w miarę jak rozrastało się miasto. Ciężkie kamienne słupy podtrzymywały łukowate sklepienie i dzieliły wnętrze na mniejsze części, zastawione stołami sekcyjnymi. Na każdym z nich leżały zwłoki w czarnym plastikowym worku. Pośrodku pomieszczenia, wokół jednego ze stołów, umieszczono lampy łukowe, obok ustawiono wózki z narzędziami. Znana McLeanowi para uwijała się pracowicie. Angus Cadwallader podniósł głowę i wyszczerzył się jak mały chłopiec.

– Tony. Tak myślałem, że wkrótce nas odwiedzisz.

McLean ostrożnie utorował sobie drogę między stołami i wreszcie dotarł do zaimprovizowanej sali sekcyjnej. Spodziewał się zobaczyć zwłoki w rozkładzie, ale okazało się, że to tylko szkielet.

– Ci nowsi leżą w chłodni. Nie chcemy zasmrodzić pomieszczenia.

Teraz, kiedy Cadwallader poruszył ten temat, McLean uświadomił sobie, że nie panuje tu zwykły charakterystyczny dla kostnicy zapach. Było chłodno – doktor i asystentka mieli na sobie strój bardziej odpowiedni do prac na wolnym powietrzu – ale nie aż tak, by odczuwać dyskomfort.

– Jaki jest ostateczny wynik? – Obrócił się powoli na pięcie, próbując policzyć worki. Zdążył dojść do dwudziestu, kiedy Cadwallader odparł:

– W sumie dwadzieścia dziewięć. Na trzech zostało trochę tkanki mięśniowej. Reszta przeleżała w ziemi co najmniej trzydzieści lat.

– Trzydzieści lat? – McLean podkreślił drugie słowo, w nadziei że Cadwallader może miał na myśli miesiące. Patrząc na pokryte brązowymi plamami kości, uznał jednak, że to próżne nadzieje.

– Przykro mi, Tony. Jeszcze za wcześnie, by stwierdzić z całą pewnością, ale sądzę, że ten liczy sobie sto lat. Może i więcej. A nie jest najstarszy.

– A więc możliwe, że to pacjenci? Zmarli podczas pobytu w szpitalu, a nikt nie zgłosił się po zwłoki. Taniej było pochować ich w ten sposób, niż zapewnić nawet najskromniejszy pogrzeb.

– Hm, to możliwe. Twoja działka. Ja tylko próbuję się dowiedzieć, co ich zabiło. – Cadwallader wyciągnął dłoń w lateksowej rękawiczce i wziął do ręki coś, co wyglądało jak szynny odcinek kręgosłupa. – W tym przypadku to nawet nietrudne. Widzisz?

Uniósł kość do światła. McLean wprawdzie nie był ekspertem, ale miał babcinę-patologa, poza tym sam w związku z obowiązkami służbowymi widział tyle sekcji, że potrafił rozpoznać w nacięciach ślady noża. Nawet po tak długim czasie było widać jak na dłoni, że ten człowiek zginął gwałtowną śmiercią. Ktoś poderznął mu gardło, jednym szybkim i głębokim ciosem.

– A więc morderstwo.

– Na to wygląda. I nie to jedno. – Cadwallader odłożył kość w nieodpowiednie miejsce, ale Tracy prędko ją przełożyła. Cadwallader zatoczył ramieniem dokoła. – Wszyscy, co do

jednego, zginęli dokładnie w ten sam sposób.

– W osiemnastym i dziewiętnastym wieku rodzina Weatherlych posiadała większość ziemi wokół Bonnyrigg i Roslin. Majątek zawdzięczali przede wszystkim fabrykom amunicji. Zarabiali też na handlu cukrem, niewolnikami. Szpital w Rosskettle wybudował Josiah Weatherly pod koniec dziewiętnastego wieku. Hm, zbudował... Należał do Rady do spraw Zdrowia Psychicznego na rejon Peebles i Midlothian. Zbudowano szpital pod jego naciskiem. Dał działkę i sporą część funduszy. Główny budynek oryginalnie był jednym z domów mieszkalnych należących do Weatherlych. Przez te wszystkie lata przeszedł liczne przeróbki.

W pokoju byli tylko McLean, Bob Gburek, MacBride i Gregg. Główny trzon zespołu dochodzeniowego. Inspektor zwołał zebranie, by zapoznać ich z najnowszymi informacjami. Ale MacBride widocznie już był na bieżąco.

– Skąd ty to wszystko wiesz, chłopaku? – spytał Bob Gburek.

W odpowiedzi MacBride tylko się wyszczerzył, koniuszki jego uszu zaczerwieniły się z powodu pochwały. Skierował wzrok na ekran tabletu i czytał dalej:

– Całkiem sporo członków rodziny było pacjentami Rosskettle. Listę otwiera młodszy brat Josiaha, Nathan. Można podejrzewać, że miało to coś wspólnego z zaangażowaniem Josiaha w cały ten projekt. A zamyka Annie Weatherly, urodzona w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, zarejestrowana jako pacjentka pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. W tym czasie szpital należał już do państwowej służby zdrowia. Annie zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym.

– Matka Andrew Weatherly’ego? – wtrąciła Gregg.

– Zgadza się. – McLean uzupełnił historię o informacje, które uzyskał od Matta Hiltona i Jennifer Denton: – Praktycznie zamknęli ją jak w więzieniu za to, że zaszła w ciążę w wieku szesnastu lat. Wiem, że w dzisiejszych czasach i w pewnych obszarach naszego miasta to jak rytuał przejścia, lecz wówczas podobnych wybryków nie aprobowano. Andrew Weatherly urodził się w Rosskettle. Spędził tam pierwszych osiem lat życia. Po śmierci matki oddano go do adopcji.

– Sądziś, że dlatego jego zwłoki tam wylądowały? – spytał Bob Gburek. – Ten argument przekonał Duguida, żeby dał ci nakaz?

McLean przez chwilę zbierał myśli, by przedstawić wszystko w należyтым porządku.

– Miałem pewne podejrzenia. Zbyt wiele wątków łączyło go z tym miejscem. A chciałem zdążyć, zanim buldożery wszystko rozjadą. Tak naprawdę nie spodziewałem się, że znajdziemy tam jego ciało. Byłem jednak przekonany, że coś znajdziemy.

– Inne ciała? – Bob Gburek uniósł brwi. – Niezły wynik jak na strzał w ciemno.

– Nie sądziłem, że tyle ich będzie. – McLean potrząsnął głową, odchylił się i oparł o biurko. – Po prostu podejrzewałem, że William Beaumont nie był pierwszy. Masz pojęcie,

ile osób ginie w tym mieście każdego roku?

– Ale dlaczego? – spytała Gregg. – Skąd te tatuaże? Dlaczego pogrzebano ich w tym miejscu i w taki sposób?

– A dlaczego ludzie robią to wszystko, co robią? Pieniądze? Władza? Obłąd? Nie zapominajmy, gdzie dorastał Weatherly. A w rodzinie występowały przypadki chorób psychicznych.

– To chyba nadal trochę naciągane – upierała się Gregg. – To znaczy, tak, znaleźliśmy zwłoki, ale naprawdę pan sądzi, że to Weatherly ich wszystkich zabił? Niektóre chyba pochodzą z poprzedniego stulecia?

– Wszystko jest naciągane. Ale wydaje się najbardziej prawdopodobne, że stoi za tym Weatherly. Przez wiele lat miał kontrolę nad szpitalem, nawet kiedy właścicielem była państwowa służba zdrowia. Kupił go, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Dorastał w tym miejscu, potem nim kierował. Któż inny mógłby znać wszystkie sekrety, które kryło Rosskettle?

– Dożył tylko sześćdziesięciu lat.

– Owszem, wiem. – McLean potarł czoło, w nadziei że przegoni ból głowy. Nie przegonił. – Powiedzmy wprost. To są zabójstwa rytualne. Jacyś ludzie składali w ofierze pacjentów szpitala bądź osoby bezdomne. Trwało to ponad sto lat lub nawet więcej. Byli dobrze zorganizowani i skutecznie się kryli. Weatherly był po prostu ostatni. Niemal na pewno ktoś mu pomagał.

– I zabił żonę i dzieci, bo sądził, że jego tajemnica wkrótce może się wydać? – spytała Gregg.

– Ten wniosek sam się nasuwa. Właśnie to powiemy dziennikarzom. – McLean oderwał się od biurka na znak, że zebranie skończone. – Niewiele możemy w tym momencie zrobić.

Musiał tylko przekazać dobre wieści Duguidowi.

*

– Co to niby, kurwa, jest? – Duguid opadł ciężko na oparcie fotela jak człowiek ostatecznie złamany porażką.

McLean nie od razu zwrócił na to uwagę, ale teraz, przyjrząwszy się bliżej, wyraźnie widział, że Duguid jest bardzo zmęczony. Wręcz wyczerpany. Nawet jego zwykła wściekłość jakoś tak zbladła i złagodniała. Zmęczenie musiało być naprawdę straszliwe, skoro złagodziło nawet tak niepohamowany temperament.

– Szczere mówiąc, nie wiem. I to mnie martwi.

– Ha. Wielki Inspektor McLean zdezorientowany. – Duguid próbował żartować, ale chyba wymagało to zbyt wiele wysiłku.

McLean rozejrzał się dokoła, szukając pustego krzesła. Niestety, wszystkie stały na drugim końcu pokoju, wokół stołu konferencyjnego. Duguid nie uznawał nieformalnej atmosfery w pracy.

– Prawdopodobnie istnieje związek między Andrew Weatherlym a Williamem Beaumontem.

– Beaumontem?

– Tym z tatuażami. Był bezdomny. Były żołnierz. Zdziwiłby się pan, ilu jest takich. Tamtej nocy on i jego przyjaciel z armii, Gordy Anderson, spali w uliczce na New Town. Zaatakowano ich. Gordy określił napastników mianem „ciemnych aniołów”, mówił, że z ich rąk strzelały błyskawice, więc przypuszczam, że byli to profesjonaliści. Ciemne ubrania, paralizatory.

– Czy to nie jest przesada opierać dochodzenie na bredniach jakiegoś szaleńca?

McLean ugryzł się w język. Lepiej nie wkurzać Duguida, kiedy zachowuje się niemal łaskawie.

– Próbuję zbudować jakiś scenariusz. Następny punkt to nagi Beaumont, cały w tatuażach, wyłowiony z rzeki tuż za kaplicą Roslin.

– O Jezu, tylko bez teorii spiskowych z templariuszami w roli głównej. Myślałem, że masz więcej rozumu, McLean.

– Zabawne, że pan o tym wspomniał. Nadinspektor Brooks powiedział przed chwilą mniej więcej to samo. – McLean urwał i odczekał, aż Duguid znów otworzy usta, i w odpowiednim momencie mu przerwał. Niskie, lecz jakże satysfakcjonujące. – Bliskość kaplicy to zbieg okoliczności, nic więcej. Nurt zniósł ciało, więc nie ma większego znaczenia, w którym miejscu je znaleźliśmy.

– Tak?

– Tak. Istotnym elementem są tatuaże. Z tego, co się dowiedziałem, Beaumont miał kilka tatuaży w czasach służby wojskowej, ale musiałby zdjąć koszulę, żeby można je zobaczyć. Nagle, w ciągu paru tygodni, pokrył się dziarami dosłownie od stóp do głów.

– Ktoś mu je zrobił siłą. – Zmęczenie Duguida na chwilę ustąpiło, w mózgu zaczęło łączyć.

– Właśnie. Musieli go najpierw uspić. Robienie tatuaży trochę boli.

Duguid uniósł brew.

– Widzę, że jesteś ekspertem.

– Nie aż takim jak posterunkowy MacBride. Ale umknęło panu najważniejsze. Wytatuowanie całego ciała zajmuje kilka lat, a nie kilka tygodni. Gdyby Beaumont był przytomny, umarłby z bólu.

Duguid milczał, co mogło znaczyć, że myśli. McLean wiedział jednak, że nie należy sobie robić zbyt wielkich nadziei.

– Do czego zmierzasz, McLean?

– Cóż, raczej można z całą pewnością stwierdzić, że Beaumont nie poddał się tej operacji dobrowolnie. Jacyś ludzie porwali go z ulicy, zakładając, że bezdomnego nikt nie będzie szukał. I z jakiegoś powodu, jak dziwny by był, pokryli jego ciało tatuażami. Działali w sposób efektywny i zorganizowany. A główną rolę odgrywał w tej całej zabawie cholerny Andrew Weatherly. – McLean z pewnym wahaniem pozwalał luźnym myślom łączyć się w jego głowie, prowadzić go tam, dokąd tak naprawdę nie chciał iść. – Nieważne, co nim kierowało, jaką chorą ceremonię odprawiał. Tym razem najwyraźniej coś poszło nie tak.

– Jaki masz pomysł? Beaumont uciekł?

– Dokładnie tak. Był w SAS. Chyba nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Odzyskał przytomność, jakoś się uwolnił, uciekł i wylądował w rzece. Wszystkie pozostałe ciała pochowano na terenie szpitala.

– A więc Weatherly wiedział, że jego słodka tajemnica się wyda. Kropnął żonę i dzieci,

a potem popełnił samobójstwo. – Duguid raz po raz kiwał głową, jakby rzeczywiście doszedł do rozwiązania zagadki.

Jednakże do McLeana ono nie przemawiało. Nie pasowało do profilu Weatherly’ego.

– Tylko dlaczego? – ciągnął Duguid. – Dlaczego w ogóle zamierzał zabić tego całego Beaumonta?

– Nigdy nie twierdziłem, że jest tu jakiś sens. Morderstwa zwykle są go pozbawione. Przypuszczam, że chodzi o coś, w co Weatherly wplątał się jeszcze za czasów dzieciństwa, kiedy mieszkał w Rosskettle. Może jakąś sektę, sekretne stowarzyszenie, coś w tym rodzaju.

Duguid popatrzył na McLeana odrobinę za długo. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony.

– Jayne mnie ostrzegła, McLean. Mówiła, że przyciągasz dziwaczne sprawy jak magnes. Myślałem, że próbowała usprawiedliwić twoje marne wyniki, ale niech mnie, miała rację.

McLean milczał. Nie bardzo wiedział, jak miałby to skomentować.

– A więc porwali tego gościa, Beaumonta. Ściągnęli z ulicy prosto na jakąś chorą ceremonię. Zrobili mu tatuaże. Jak się domyślam, raczej nie zamierzali puścić go żywego.

– Raczej nie. Sądząc po stanie pozostałych ciał.

– Jezu, no tak, jeszcze tamte trupy. – Duguid potarł skronie opuszkami palców. – Niezły burdel. Co można z nich wywnioskować?

– Te, na których zachowała się skóra, są wytatuowane, pochówek niechrześcijański, wszystkim poderżnięto gardło. – McLean podał skrót wstępnego raportu patologa.

– A więc mord rytualny.

– Uzasadnione podejrzenie.

– Uzasadnione. – Duguid prychnął śmiechem pozbawionym wesołości. – Tutaj nic nie wydaje się uzasadnione. Mam do ciebie jedno pytanie. Jeśli Weatherly rzeczywiście chciał złożyć tego z tatuażami w ofierze, to jaki cel mu przyświecał? – Duguid wpił w McLeana spojrzenie tym bardziej niepokojące, że wraz nim pojawiło się przełomowe pytanie. – Komu chciał ofiarować Beaumonta?

*

Pytanie Duguida nie dawało mu spokoju przez całą drogę powrotną.

Gabinet McLeana, mały i wciśnięty na samym końcu budynku, doskonale pełnił rolę miejsca, w którym można spokojnie posiedzieć i pomyśleć. Ludzie rzadko zaglądali tam przez pomyłkę. Chociaż czasem zaglądali specjalnie. Z pewnością ktoś regularnie uzupełniał stopy papierów na biurku, chyba że mnożyły się same przez pączkowanie. A tym razem ktoś umieścił pośrodku blatu zwykłą szarą kopertę, z pewnością niedawno, bo jeszcze nie zdążyła zniknąć pod stertami dokumentów.

Nieco obawiając się kolejnej porcji nieprzyjemnych fotografii, McLean przyciągnął kopertę do siebie i wyjął zawartość.

Nie były to jednak zdjęcia od wydziału specjalnego czy dla kogo tam pracował gość w tweedowej marynarce, lecz szczegółowy raport z sekcji zwłok nadinspektora Jacka Tennanta. Brawa dla Pete’ a Dundasa, że tak szybko się uwinął. McLean był mu winien piwo albo i dwa.

W ciągu swojej kariery przeczytał wystarczającą liczbę tego rodzaju dokumentów

i wiedział, że bynajmniej nie jest to radosna lektura. Jednakże lista chorób, które wykończyły jego starego przyjaciela sprawiała wyjątkowo ponure wrażenie. Rak płuc ujawnił się dopiero niedawno, ale stanowił jedynie przerzut choroby, która wiele lat temu zaczęła się w kośćcu i zainfekowała nawet mózg. Patolog doszedł do wniosku, że Jack Tennant, podobnie jak wielu mężczyzn w jego wieku, zignorował wczesne symptomy i przegapił moment, kiedy jeszcze dałoby się coś zrobić. O ile w tym przypadku w ogóle by się dało. Tak czy inaczej, choroba przybrała niespodziewanie szeroki zasięg, zaatakowała mnóstwo najważniejszych organów. Wysłano próbkę do najlepszego laboratorium, by wykonać badania genetyczne, tak na wszelki wypadek.

Przeczytał pobieżnie resztę raportu. Smutne, jakie życie bywa niesprawiedliwe. Jack Tennant, którego pamiętał, tryskał energią i odznaczał się nieprzeciętną inteligencją. Potrafił z kamienną miną opowiadać najzabawniejsze rzeczy i nabrać chyba każdego. Brakowało mu kilku miesięcy do emerytury. McLean sam nie wiedział, czy to akurat dobrze, czy źle. W każdym razie uważał za kurewsko niesprawiedliwe, że Jack Tennant nie żyje.

Jego wzrok przyciągnęło zdanie na końcu raportu. Przez cały czas siedział z nogami na stole, odchylony na krześle najdalej, jak tylko się dało, ale tak, by nie uderzyć w ścianę. Teraz krzesło z hukiem poleciało do przodu. McLean podniósł kartkę do światła, zmrużył oczy i przeczytał jeszcze raz.

Wargi zmarłego były spuchnięte i pokryte śladami pęcherzy powstałych w wyniku działania bardzo wysokiej temperatury. Ocenia się, że obrażenia wystąpiły dwa do czterech tygodni przed śmiercią i zaczynały się goić.

Cztery tygodnie. Co robił Tennant miesiąc temu? Prowadził w Fife dochodzenie w sprawie Weatherly'ego. Przesłuchiwał znajomych i kolegów z pracy. Weatherly też miał poparzone wargi, ale jeśli to on stał za śmiercią Williama Beaumonta, jeśli to on zatrudnił Barry'ego Timbrela, by wytatuował ofiarę, to dlaczego wargi Timbrela nosiły ślady takich samych obrażeń? Chyba że obrażenia spowodował ktoś inny. Trzecia osoba. Jak brzmiało pytanie Duguida? Komu Weatherly składał ofiary?

McLean dodał własne pytanie. Co chciał dostać w zamian? A jeśli to nieodpowiednia perspektywa? Jeśli ofiara miała raczej coś lub kogoś powstrzymać?

Kiedy uświadomił sobie, co logicznie wynika z takiego pytania, przeszedł go dreszcz. Niedawno zachorował ktoś jeszcze – na tajemniczą chorobę, wobec której lekarze pozostawali bezradni. McLean zgarnął papiery, dłonie tak mu się trzęsły, że z trudem upchał raport do koperty. Złożył ją wzdłuż i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pete Dundas wiele ryzykował, by zdobyć ten raport, McLean nie zamierzał więc zostawiać papierów na wierzchu, gdzie mógł je zobaczyć każdy Tom, Dick czy nadinspektor. Omiótł pokój wzrokiem i ruszył do wyjścia. Zapewne Brooks kazałby mu skolacjonować wyniki badań z wydziału technicznego i raport patologa, dotyczące dochodzenia w sprawie grobu w Rosskettle, ale w tym momencie czekały go znacznie ważniejsze zadania.

Kiedy wszedł na salę, Ritchie spała z głową wciśniętą głęboko w poduszkę, jakby łóżko powoli ją pochłaniało. Nie były to godziny odwiedzin, ale pozostali pacjenci nie spali. McLean podszedł do posłania, starając się nie hałasować. Przez te kilka tygodni choroby Ritchie zmieniła się prawie nie do poznania. Skórę miała popękaną i wysuszoną, włosy posklejane potem i tłuszczem. Brwi właściwie nigdy całkiem nie odrosły po pożarze, z którego uratowała McLeana jakiś rok temu, a teraz łuki zrobiły się całkiem białe. Kroplówka przy łóżku świadczyła o tym, że Ritchie nadal nie przyjmuje pokarmów. Wokół ust zebrał się krwawy śluz. Kiedy McLean pochylił się niżej, usłyszał jej oddech – słaby i urywany. Zapach bynajmniej nie przypominał subtelných perfum, które zawsze kojarzył z jej obecnością. Raczej gnijący kompost niż woda różana.

Przez chwilę przyglądał się uważnie jej twarzy, szukając śladów opuchlizny czy ran wokół warg. Powoli otworzyła oczy. Zrobiła zaskoczona minę, a potem zaczęła gwałtownie kaszleć, z wysiłku aż uniosła się na posłaniu, niemal zgięła w pół, żeby pozbyć się tego, co zatykało jej płuca.

– Spokojnie. – McLean wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i podał Ritchie, wiedząc doskonale, że gdyby któraś z pielęgniarek go przyłapała, musiałby wysłuchać całego wykładu na temat obowiązujących zasad higieny.

Ritchie przyjęła chusteczkę i bardzo mocno wcisnęła w usta, jakby zaraz miała ją połknąć. W końcu atak minął i opadła z powrotem na poduszki. Już chciała mu oddać chusteczkę, ale po krótkich oględzinach jednak rzuciła ją na podłogę.

– Jak się czujesz? – McLean nie mógł się powstrzymać od postawienia tego pytania, chociaż zdawał sobie sprawę, że czegoś równie głupiego nie palnął chyba od czasów, kiedy był nastolatkiem.

– Jak ta chusteczka. – Ritchie na chwilę wbiła spojrzenie w podłogę, po czym z wysiłkiem przeniosła je na McLeana. – Spałam. Nawet coś mi się śniło. Nagle się obudziłam. Wyglądałeś, jakbyś zamierzał mnie pocałować.

– Nie pochlebiaj sobie. – McLean przyciągnął krzesło bliżej łóżka, usiadł. – Co ci się śniło?

Ritchie tym razem wbiła wzrok w sufit.

– Nie jestem do końca pewna. Było gorąco. Duszno. Nie mogłam oddychać, ale to raczej nic nowego. – Znów zakaszła.

McLean widział, z jakim wysiłkiem walczy, by nie dopuścić do kolejnego ataku. Zdawał sobie sprawę, że właściwie nie powinien jej przeszkadzać, ale w jego umyśle zaczynała kiełkować pewna myśl, a chciał sprawdzić, czy zmierza w odpowiednim kierunku, zanim zrobi coś pochopnie. Albo postrada zmysły.

– Wydawało ci się, że chcę cię pocałować. Ale chyba nie stałem aż tak blisko.

– Nie? – Ritchie z namysłem ściągnęła brwi, aż popękała skóra na jej czole i policzkach. – Nie. Rzeczywiście. To był ktoś inny. Może we śnie? Ciągle jestem tak koszmarńczo zmęczona, nie odróżniam snu od jawy.

– Pamiętasz może rozmowę z panią Saifre?

Znów ściągnęła brwi, próbowała odsączyć wspomnienia od mętlika w swojej głowie. McLean nie spotkał po drodze żadnych lekarzy, przemknął właściwie niezauważony, korzystając ze swojej wiedzy na temat budynku szpitalnego i znajomości z pracownikami. Nie miał pojęcia, co dolega Ritchie, ale uznał, że skoro położyli ją na wspólnej sali, nie jest to nic zaraźliwego.

– Zabawne, że o niej wspominasz – odparła w końcu Ritchie. – Myślałam o tym przesłuchaniu po twojej ostatniej wizycie. – Znów zakaszłała, walczyła z zaborczymi objęciami poduszek, by swobodnie oczyścić płuca.

McLean chciał jej pomóc, ale nie wiedział jak. Taka bezradność nie była w jego stylu. Może spowodował to widok cienkiej szpitalnej koszuli, szczupłość ramion, łuk karku. W każdym razie dotykanie ciężko chorej wydawało mu się niestosowne, może także niewskazane. Siedział więc jak ostatnia fajłapa i czekał, aż Ritchie opowie o swoim spotkaniu z panią Saifre. Trochę potrwało, nim odzyskała oddech. Jej usta zrobiły się całkiem sine.

– Widać musiałam wymazać to z pamięci. – Ritchie przez chwilę chwytła płytki oddech, w końcu podjęła: – To przesłuchanie. Było dziwne. Zadawałam pytania. – Kilka kolejnych płytkich oddechów, przerwa na kaszel. – Na niektóre odpowiedziała, lecz raczej zdawkowo. A potem sama zaczęła mnie wypytywać, o pracę, o ciebie. Robiła wrażenie sympatycznej. Ale miała w sobie coś... Zaproponowała mi pracę. Nawet nie pamiętam szczegółów, ale w każdym razie brzmiało za pięknie, by mogło być prawdziwe. Poza tym niczego mi nie brakuje. Szczerze. – Znów zakaszłała, przy okazji wyrrywając ze środka coś oślizgłego. – No, nie brakowało.

– Może to pytanie wyda ci się dziwne, Kirsty... – McLean urwał. Sam czuł, że to szaleństwo. – Czy ona cię pocałowała?

Ritchie ponownie zmarszczyła brwi.

– Czy mnie pocałowała?

– Tak. Pani Saifre. Pocałowała cię?

– Położyła rękę na moim udzie. Teraz sobie przypomniałam. – Zmarszczka między brwiami pogłębiła się, z wysiłku na czole wystąpiły krople potu. – Brzmi to strasznie dziwaczne, ale wtedy wydawało się całkiem naturalne. Ale pocałunek? Ja... Niby dlaczego miałyby mnie całować?

– Nie wiem. Dostałem pudełko pełne puzzli z dziesięciu różnych kompletów. Choćbym nie wiem, co robił, nie potrafię ułożyć ich w całość.

Ritchie opadła na poduszki, powieki ciążyły jej ze zmęczenia. McLean milczał. Mógł sobie wmawiać, że przyszedł tu z troski o jej zdrowie, ale prawda była taka, że przede wszystkim szukał odpowiedzi. A może kogoś, komu opowie o swojej teorii, i kto nie uzna go za obłąkanego.

– Ciągle powraca William Beaumont – oznajmił po chwili. Ritchie nieznacznie kiwnęła

głową na znak, że słucha, nic jednak nie powiedziała. – Wiemy, że porwali go prosto z ulicy. Wiemy, że zamierzali go złożyć w ofierze w ramach jakiejś chorej ceremonii. Wychodzimy z założenia, że Beaumont zdołał uciec. A teraz znaleźliśmy zbiorowy grób pełen ciał, niektóre pochodzą sprzed paruset lat, kilka z ostatnich dwóch-trzech dekad. Wygląda na to, że wszystkie ofiary spotkał ten sam koniec.

– Sekta? – Głos Ritchie niewiele różnił się od szeptu.

– Sekta. Może tajemne stowarzyszenie. Trudno powiedzieć. Na pewno jakaś grupa związana ze szpitalem Rosskettle, dobrze zorganizowana i wpływowa, co pozwoliło jej działać bezkarnie. Historia sama w sobie jest szokująca, pytanie jednak brzmi: co próbowali osiągnąć? Duguid trafił w sedno, trzeba mu przyznać. Musimy się dowiedzieć, dlaczego popełniali te zbrodnie. Czemu miały służyć ofiary z ludzi.

Ritchie milczała. McLean spojrział na jej twarz, nie potrafił stwierdzić, czy zasnęła, czy nie. Może nawet lepiej, gdyby zasnęła.

– Zastanawiasz się, skąd to pytanie o pocałunek. – Mówił cichym głosem, zwracając się do półmroku panującego w sali szpitalnej. – Tak się składa, że ostatnio znaleźliśmy kilka trupów z poważnie uszkodzonymi wargami. Początkowo sądziłem, że Weatherly włożył w usta rozgrzaną lufę strzelby, ale Barry Timbrel nie próbował przecież się zabić. A Jack...

– Beaumont nie miał uszkodzonych warg.

A więc Ritchie jednak nie spała. I słuchała.

– Przeznaczili go na ofiarę. Gdyby nie zdołał uciec, poderznięliby mu gardło. Nie, motyw uszkodzonych warg to coś innego. Coś nowego... – McLean znów urwał nie z tego powodu, że wszystkie wątki w jego myślach zaczęły łączyć się w całość, ale dlatego, że owa całość wydawała się zbyt koszmarna. – Co się dzieje, kiedy rytuał ofiarny się nie uda?

– To coś czy ktoś, komu składa się ofiarę, wpada w gniew? Przestaje chronić swoich zwolenników? Zwraca się przeciwko nim?

Nareszcie: brakujące ogniwo, którego tak rozpaczliwie szukał. Przez trzysta lat, a może i dłużej, żywili bestię. Chyba nie należy się dziwić, że jej powrót znaczyły zbrodnie i chaos?

Kiedy wyszedł, było całkiem ciemno. Za późno, by wracać do komisariatu. Zresztą po co? Do polityki i papierkowej roboty? McLean przejechał przez zamarznięte miasto, ciesząc się umiarkowanym ruchem na drogach, dzięki któremu podróż do domu znacznie się skróciła. Zatrzymał samochód na podjeździe, ale nie wysiadł, siedział wpatrzony w ciemną bryłę domu, rysującą się na tle pomarańczowo-fioletowych niskich chmur. Samochód to było świetne miejsce do myślenia. Silnik V6 mruczał jak tłusty kocur, skórzany fotel tulił McLeana w ciepłych objęciach niczym kochanka. Przytulnie i bezpiecznie. Szkoda tylko, że umysł prowadził go w tak niebezpieczne miejsca. Nieprzyjemne i groźne zarówno dla ciała, jak i psychiki.

Nagle rozległ się sygnał w telefonie. McLean spojrział na ekran. Esemes: *Spróbujmy jeszcze raz. Kolacja o ósmej. Przyślę Karla. Jane Louise.* Westchnął. Ta kobieta nigdy nie dawała za wygraną. Szybkie spojrzenie na górą część ekranu uświadomiło mu, że Karl zjawi się za nieco ponad pół godziny. Wiedział, że nie ma sensu się chować czy odrzucać zaproszenia, ale wiedział też, że nieźle mu się dostanie, jak Duguid się dowie. W końcu właśnie prowadzili dochodzenie w sprawie firmy należącej do pani Saifre. A on odpowiadał za cholerne miejsce

zbrodni. W ogóle nie powinien z nią rozmawiać, chyba że w komisariacie, w obecności świadka i dwóch kaset rejestrujących każde ich słowo.

Zdawał sobie jednak sprawę, że nic na nią nie znajdzie. Była zbyt potężna, miała za dobre koneksje. Czegoś od niego chciała i nie zamierzała spocząć, póki tego nie dostanie. Cóż, on też mógł zagrać w tę grę. Zaczął przewijać kontakty w książce adresowej, zadziwiony zrządzeniem losu, które pozwoliło mu odświeżyć dawną znajomość akurat w momencie, kiedy potrzebował pomocy. Jeden telefon powinien załatwić sprawę.

Dwadzieścia minut później przed dom zajechał rolls-royce z Karlem za kierownicą. McLean wiedział, że to on, ponieważ nie spodziewał się innych gości, ale i dzięki kotce pani McCutcheon, która przez te niecałe pół godziny ocierała się łebkiem o rękę McLeana i nagle zeszywniała. Cała się zjeżyła, może nie aż tak, jakby ktoś poraził ją prądem, ale na pewno zrobiła się dwa razy większa. Wbiła wzrok w drzwi prowadzące do holu od frontu i zasyczała. Parę sekund później rozległ się dzwonek.

– Nie martw się. Mam pewien plan. – McLean pogłaskał ją po łebku, zostawił samą na kuchennym stole i wyszedł prosto w noc.

Karl stał przy otwartych drzwiach od strony pasażera. McLean kiwnął głową na powitanie. Ze zdumieniem stwierdził, że pani Saifre siedzi w środku.

– Bałam się, że odmówisz. – Poklepała miejsce obok siebie jak wytrawna uwodzicielka. Strój również dobrała pod tym kątem. Czarno-złoty, migotliwy, zakrywał wszystko bardzo dokładnie, ale przylegał do ciała jak namalowany, podkreślał krągłości, rzucał kuszące cienie.

McLean usiadł w ciepłym fotelu ze skóry i poczuł intensywną woń. Kosztowną, upajającą i narkotyczną. Jak cyjanek i siarka. Myśl wydała mu się zaskakująca i widać po jego wargach przemknął lekki uśmiech, który pani Saifre błędnie uznała za zachętę i przysunęła się bliżej.

– Zapewne popełniam błąd. Jest pani powiązana z bieżącym dochodzeniem. – McLean próbował się rozluźnić, ale nie było to takie proste. Karl zamknął drzwi i zostawił go sam na sam z potworem.

– Zasady są dla przeciętniaków, nie uważasz, Tony? – Pani Saifre pochyliła się i otworzyła barek.

Obcisły strój wyglądał jak druga skóra. McLean musiał przyznać, że pod każdym względem jest to najponętniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, z łatwością jednak potrafił zignorować jej powab, potraktować go jedynie jak plastikową powłoczkę.

– Coś do picia?

Wypowiedziała te słowa w formie pytania, lecz jednocześnie podała mu kieliszek z szampanem. McLean przyjął go, wzniosł toast, w tym samym momencie co ona, udał, że bierze łyka.

– Chciałem wynagrodzić pani... hm, wszystko – powiedział, podczas gdy pani Saifre piła szampana. – Przypomniałem o sobie dawnym znajomym i zdobyłem stolik w „Chez Innes”.

Brwi pani Saifre podjechały do góry, nie wiedział, czy na znak irytacji, czy niedowierzania. Tak czy inaczej, przyjęła propozycję po krótkim namyśle. Zapukała w okno i kazała Karlowi zmienić trasę.

– Myślałam, że to niewykonalne. Mówiłam Bobby’emu, że jestem gotowa rzucić mu świat do stóp, a i tak kazał mi czekać trzy miesiące.

– Może propozycja była nietrafiona. – McLean rozsiadł się wygodnie w fotelu, obejmując dłonią kieliszek, by nie oblać szampanem garnitur. Pierwsza runda jeden zero dla niego. Ale co będzie dalej?

McLean miał nadzieję, że wejdzie do środka niezauważony, nie docenił jednak wytrwałości lokalnych paparazzi. Nawet w mroźną lutową noc koczowali przed drzwiami restauracji, czyhając na odpowiedni materiał. Źle świadczy o społeczeństwie, kiedy zdjęcia bogatych sław, wchodzących do knajpy będącej podrasowaną wersją budy z rybą i frytkami, cieszą się większym zainteresowaniem niż wiadomości o głodzie w Afryce czy katastrofach naturalnych wywołanych zmianami klimatu. Sądząc po liczbie fleszy, które rozbłysły u skromnych drzwi do restauracji „Chez Innes” w chwili, kiedy McLean i pani Saifre wysiedli z samochodu, tak właśnie wygląda brutalna rzeczywistość. McLean miał nadzieję, że robią zdjęcia wszystkiemu, co się rusza w okolicach wejścia do restauracji, nie mógł jednak pozbyć się koszmarnego przeczucia, że dokładnie wiedzą, kim jest jego towarzyszką, i prawdopodobnie, może mniej dokładnie, wiedzą również, kim on jest. Plotek z pewnością nie da się uniknąć. Cóż, nie pierwszy raz stanie się ich celem.

– Tony. Wreszcie zaszczyciłeś nas swoją obecnością. – Bobby przywitał go w korytarzu, wystrojony w poplamiony sosem biały kitel szefa kuchni. Przeniósł wzrok na panią Saifre i ukłonił się teatralnie. – Już wiem, czemu zwlekałeś tak długo. Pani Saifre, witam w progach mojej skromnej restauracji.

Eric pojawił się akurat w odpowiednim momencie, nim Bobby zdążył zrobić z siebie durnia, posłał im na powitanie krzywy uśmieszek i poprowadził ich w głąb sali, do przytulnego kącika, urządzonego za pomocą dwóch wygodnych sof ustawionych przy płonącym kominku. McLean wykorzystał moment, kiedy pani Saifre na chwilę odwróciła się do niego plecami i szepnął:

– Dostałeś moją wiadomość?

– Tak jest. Wszystko załatwione. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Ona jest...

Niestety nie dokończył.

Pani Saifre, która uważnie przyglądała się obrazowi nad kominkiem, odwróciła się i zapytała:

– To naprawdę oryginalna Elspeth McKenzie?

– Zgadza się. Ma pani doskonałe oko.

– Jakim sposobem zdobyliście jej obraz? Nigdy nie sprzedała ani jednej pracy. Myślałam, że spaliła większość przed śmiercią.

– Owszem, te, które miała. Ale to był prezent. – Eric wręczył im karty. – Stolik będzie gotowy za minutę. Życzą sobie państwo aperitif?

McLean wciąż czuł na ustach dotyk kieliszka z szampanem, z którego jednak nie wypił ani kropli.

– Chętnie. Może martini. – Zwrócił się do towarzyszki: – Pani Sa... Jane?

– Jane Louise. Na szkocką modłę. Bez łącznika. – Pani Saifre zmarszczyła brwi, dosłownie na sekundę, po czym znów się uśmiechnęła. – Tak, martini będzie doskonałe.

Ledwo Eric znalazł się poza zasięgiem ich głosu, Jane zapytała:

– Skąd znasz tych ludzi? Czy ty w ogóle masz pojęcie, od jak dawna próbowałam się tu

dostać?

Przez moment wydawała się zupełnie inną osobą: młodą kobietą, szczerze podekscytowaną nową przygodą i przystojnym bohaterem, który zabrał ją w tę podróż. Ale nie była młoda, choć wyglądała na jakieś trzydzieści lat. McLean o tym nie zapomniał. Ukończyła studia inżynierskie we wczesnych latach osiemdziesiątych, więc musiała mieć ponad pięćdziesiąt lat. A równie dobrze znacznie więcej. Na tym cały szkopuł polegał.

– Bobby dzielił niegdyś mieszkanie z moją narzeczoną. Pomagaliśmy mu przy urządzaniu pierwszej restauracji.

– Narzeczoną? – Pani Saifre uniosła idealną brew.

McLean przełknął ślinę. Ten moment zawsze był bardzo trudny.

– Zmarła. Dawne dzieje.

– Tak mi przykro, Tony. Na pewno bardzo ją kochałeś.

– Owszem. Właściwie nic się nie zmieniło.

– To dlatego mieszkasz całkiem sam w tym wielkim starym domu? – Pani Saifre wzięła go za rękę, poprowadziła do sofy i usiadła.

Poczuł ciepło ognia i jeszcze mocniejszy żar, bijący od pani Saifre. Nim zdążył odpowiedzieć, Eric wrócił z dwoma kieliszkami martini na niewielkiej tacce. Umieścił ją na stoliku, położył przed nimi podkładki i ustawił kieliszki, jeden przed McLeanem, drugi przed panią Saifre. Wzięła kieliszek do ręki, uniosła. McLean poszedł w jej ślady.

– Za utraconą miłość i tę, która dopiero przed nami – powiedziała i upiła spory łyk. – Wspaniałe martini.

McLean zanurzył wargi w swoim kieliszku i poczuł smak schłodzonej wody.

– Rzeczywiście.

– Stolik czeka gotowy. – Eric porozumiewawczo mrugnął do McLeana, zabrał tackę i się ulotnił.

Wiele czasu minęło, odkąd siedział w dobrej restauracji naprzeciw pięknej kobiety, obdarzonej dowcipem i inteligencją. Ostatnio za życia Kirsty. Był to zapewne jedyny smutny aspekt tego spotkania, nie licząc rzecz jasna prawdziwej tożsamości pani Saifre.

Okazała się wymarzoną towarzyszką stołu. Umiała prowadzić interesujące rozmowy, od czasu do czasu przeplatane flirtem, często się uśmiechała. Z niejakim zdumieniem stwierdził, że mimo idealnego wyglądu i usilnych zabiegów pani Saifre w żaden sposób go nie pociąga. Czasami dostrzegał w jej oczach jakby lekkie poirytowanie. Czuł z tego powodu pewną satysfakcję, ale uważał, by nie stracić czujności.

Jedzenie spełniło jego oczekiwania, a nawet je przekroczyło. Bobby bez wątpienia zasłużył na gwiazdkę Michelin. Jednak w miarę upływu czasu McLean coraz bardziej się męczył. W końcu uświadomił sobie, że przecież nie przyszedł tu dla przyjemności, że tak naprawdę jest w pracy. I nie dostanie za nią ani zapłaty, ani uznania. Co najwyżej może dostać po głowie. Pani Saifre była powiązana z najważniejszym dochodzeniem. Cóż, takie życie.

Kiedy przyszła kolej na deser, elegancki miks czekoladowego sufletu i ciemnego gęstego sosu, McLean stwierdził, że stracił apetyt. Nie pomogły wspaniałe zapachy unoszące się znad talerza. Pani Saifre natomiast rzuciła się na swoją porcję z niepohamowaną łapczywością.

– Oto dlaczego twój przyjaciel zasługuje na miano geniusza. – Wsadziła kolejną łyżkę do

ust, oblizwała kąciki błyszczące od czekolady. – Dałabym wszystko, żeby zgodził się dla mnie pracować.

– Możesz złożyć taką propozycję, ale wątpię, by się zgodził. Bobby lubi niezależność.

Pani Saifre uśmiechnęła się.

– To trochę tak jak ty, jeśli wierzyć temu, co o tobie mówią.

– Ach tak? – McLean uniósł brwi. – Grzebałaś w brudach na mój temat?

– Tylko trochę popytałam tam i tu. Wiesz, że jestem po imieniu z komendantem.

– A on mnie w ogóle kojarzy?

Pani Saifre pochłonęła kolejną łyżeczkę sufletu w stylu, który każdego samca przyprawiłby o drżenie kolan.

– Wielki Inspektor Anthony McLean. Oczywiście, że cię kojarzy. I martwi się o ciebie.

– Martwi się o mnie czy o to, żebym nie zrobił czegoś głupiego? Jak na przykład pójście na kolację z szefową firmy będącej ważnym wątkiem w toczącym się dochodzeniu.

– Na pewno po trosze to i to. – Delikatnie odłożyła łyżeczkę na brzeg pustego talerza, wzięła do ręki serwetkę, otarła usta i niedbałym ruchem rzuciła serwetkę na stół, po czym opadła na oparcie krzesła, bezwładnie opuszczając ramiona w parodii seksualnego wyczerpania. Jej twarz jaśniała w blasku świec, rozpuszczone i lekko potargane kruczoczarne włosy wyglądały tak, jakby trochę urosły podczas kolacji. Przypominała kota, który właśnie pożarł mysz, a teraz zamierza zapaść w osiemnastogodzinny sen, by ją strawić.

– Pyszne. Musimy częściej to robić. – Nawet głos miała senny.

– Rzadko miewam wolną chwilę. – McLean również odłożył łyżeczkę, choć ledwo skubnął deser. – Jak sama wiesz, praca potrafi przeszkodzić w najmniej odpowiednim momencie. Ale zdaje się, że dobrze się bawisz.

– Ja zawsze dobrze się bawię. – Pani Saifre podciągnęła się i wyprostowała. – Chociaż to miejsce zapewne miało swój wkład. Zbieramy się? – Uniosła rękę i po sekundzie Eric zjawił się przy stoliku. – Proszę przekazać panu Innesowi, że jeśli szukałby pracy, zapewnię mu doskonałe warunki finansowe.

– Pani jest aż nazbyt łaskawa.

– Jeszcze nawet nie zaczęłam. – Pani Saifre usiadła prosto jak struna, w mgnieniu oka z uwodzicielki zmieniła się w bizneswoman. – Wiem, że Tony wybrał to miejsce, ale chciałabym zapłacić. W końcu to ja go zaprosiłam.

Eric zerknął na McLeana, zachowując idealnie pokerową twarz.

– Chętnie spełniłbym pani prośbę, ale Tony McLean to nasz stary przyjaciel. Bobby nie przyjąłby od niego pieniędzy. Ani od nikogo, kto mu towarzyszy.

Na chwilę temperatura w pomieszczeniu gwałtownie spadła. Pani Saifre milczała z nieodgadnioną twarzą. McLean niemal słyszał jęki torturowanych dusz. Przypisałby to wrażenie działaniu wina, gdyby nie fakt, że Eric przez cały wieczór podawał mu zabarwioną wodę.

– Jesteś dla mnie stanowczo zbyt miły. Bobby też. Ale wiem, że nie ma sensu dyskutować. Wynagrodzę wam to w inny sposób.

Eric lekko się uśmiechnął, popatrzył na McLeana, potem na panią Saifre i w końcu powiedział:

– Nie wątpię, Tony. Nie wątpię.

Pani Saifre nadal zachowywała się czarująco, ale McLean dostrzegł, że patrzy na niego w trochę inny sposób. Po rozmowie z Erikiem dość szybko wyszli, a kiedy wsiedli do rolls-royce'a, tym razem trzymała się w pewnej odległości. Nie miał nic przeciwko. Czuł się wyczerpany i marzył, by pójść do łóżka wyłącznie w towarzystwie kotki pani McCutcheon.

Po drodze gawędzili niezobowiązująco. McLean zauważył, że za każdym razem mają zielone światło, jakby jakaś niewidzialna ręka specjalnie dla nich kierowała ruchem, skracając drogę przez miasto. Przez chwilę bał się, że pani Saifre znów zabierze go do siebie, przedłużając niezręczną atmosferę bądź wymuszając ostateczne rozwiązanie sprawy, ale na szczęście na zakręcie prowadzącym do domu McLeana rolls – royce zwolnił.

– Możesz mnie gdzieś tu wyrzucić. Chętnie się przejdę. Łyknę świeżego powietrza, ochłone po tym wspaniałym winie.

– Rzeczywiście było doskonale, prawda? – Głos pani Saifre był ciepły i senny. – Na pewno nie dasz się namówić na drinka?

– Może innym razem.

– Trzymam cię za słowo. – Postukała w szybę oddzielającą kabinę kierowcy.

Samochód zjechał na pobocze. McLean nawet nie zdążył odszukać klamki, a Karl już otwierał drzwi od zewnątrz. McLean wysiadł, nie tracąc czasu. Z zadowoleniem stwierdził, że pani Saifre została na swoim miejscu. Uniosła słabą rękę, a McLean przysunął ją do ust, najbliżej, jak tylko się odważył, ale nawet nie musnął.

– A więc do zobaczenia. – Zamknął drzwi, zaczekał, aż samochód odjedzie, zniknie pośród nocy. I wydał długie westchnienie ulgi.

Chodził tą ulicą niezliczoną liczbę razy, znał wszystkie budynki, drzewa, latarnie. Również budynek kościoła, ciemne kamienne ściany, krępą wieżę i łukowate okna. Nigdy nie bywał na nabożeństwach, babcia przez całe życie była ateistką i coś z jej poglądów mu się udzieliło. Niedawne wydarzenia kazały mu zrewidować niektóre z kategoriycznych przekonań, które żywił we wcześniejszym okresie życia, lecz nadal był przekonany, że Bóg, którego reprezentuje ten budynek, nie istnieje.

Co nie znaczyło, że nie istnieją siły wykraczające poza jego zdolności pojmowania, jak to niektórzy określają. Mimo to klękanie co niedziela przed nieco złowrogą figurą człowieka, którego zamęczono na śmierć, nie wydawało mu się szczególnie konstruktywną metodą walki ze złem.

Sam nie bardzo wiedząc dlaczego, zatrzymał się przy wejściu na dziedziniec kościelny i zapatrzył na ciemny posępny budynek. Nadal nie rozpoczęto prac remontowych na dachu. Nic dziwnego, z pewnością czekano na lepszą pogodę. Tak mówiła pastor. Jedna z furtek stała

otworem, jakby zapraszała do środka. A kiedy pobiegł wzrokiem wzdłuż wykładanej kamieniami ścieżki, wiodącej do kościoła, zauważył też słabe światło w oknach.

Drzwi nie zamknięto na klucz, ale w środku nie dostrzegł nikogo. Było zimno, chyba nawet zimniej niż na zewnątrz. Światło pochodziło od kilku wielkich świec płonących na prostym kamiennym ołtarzu. McLean podszedł powoli. Kroki rozległy się echem na kamiennych płytach – płytach pokrytych wytartymi dedykacjami dla pochowanych tu zmarłych. Kości leżące w ziemi.

Wnętrze było skromne, pozbawione ostentacji, ale nie aż tak surowe i nudne jak w niektórych kościołach prezbiteriańskich. Kościół Szkocki, Episkopalny czy jak tam go zwał. Szkocki odłam Kościoła Anglii bardzo poważnie traktował kwestie kultu. Ławki wykonano starannie, ale bez żadnych ozdób – solidna jakość stanowiła ich główną cechę. Ołtarz z prostego kamienia zdobił jedynie obrus z adamaszku. Wisiał tam wielki krzyż, ale bez figury Jezusa krwawiącego z ran.

McLean nigdy za bardzo nie wiedział, jak się zachować w kościele. Niektórzy, w tym Kirsty, pochyłali głowę, klękali, mamrotali pod nosem modlitwy do siwego starca siedzącego na chmurze. McLean tylko patrzył, a kiedy jego oczy przywykły do półmroku, odwrócił się powoli, chłonąc nastrój. Musiał przyznać, że to miejsce napawa wielkim spokojem, a po takim wieczorze bardzo potrzebował choć odrobiny spokoju.

Na widok chrzcielnicy umieszczonej na drugim krańcu nawy wreszcie sobie uświadomił, co go tu przywiodło. Była starsza od budynku, pamiętał, że kiedyś ktoś mu o niej opowiadał. Legenda głosiła, że wyrzeźbił ją sam święty Kolumba, że ocalała od zniszczenia podczas najazdu wikingów na Ionę, potem przewieziono ją do stolicy, a w końcu do tego niepozornego kościoła, wówczas stojącego na terenie bogatej podmiejskiej posiadłości. McLean nie wiedział, czy temu wierzyć, czy nie, ale bez wątpienia chrzcielnica była starsza niż cały budynek. Wyrzeźbiono ją z innego kamienia i ozdobiono skomplikowanymi celtyckimi symbolami.

Drewniana pokrywa również wyglądała na starą – prosta konstrukcja z wąskich desek upstrzonych otworkami po kornikach, o nierównym wyszarpanym brzegu, który mógł sugerować, że to wcale nie jest kościół, tylko buda gigantycznego labradora. Pokrywę podnoszono za pomocą przybitych do niej dwóch ciężkich żelaznych pierścieni. A pod spodem połyskiwała w słabym blasku świec woda święcona, spokojna niczym modlitwa.

– Kradziona nie podziela.

McLean odwrócił się zbyt gwałtownie i o mało nie zrzucił pokrywy na podłogę. Pastor stała jakieś trzydzieści metrów dalej, na jej twarzy malował się łagodny porozumiewawczy uśmiech.

– Emm. Ja... To... – Naprawdę nie miał pojęcia, co powiedzieć. – Przepraszam.

– W porządku, inspektorze. Wiem, że nie zamierzasz niczego ukraść.

Podeszła bliżej i wtedy zauważył, że ma na sobie strój służbowy, z koloratką przy czarnej koszuli. Czyżby zbliżało się nabożeństwo wieczorne?

– Zobaczyłem światła. Sam nie wiem, dlaczego wszedłem.

– Ale oto jesteś. I zaglądasz do chrzcielnicy, jakbyś chciał w niej znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów. – Podeszła bliżej i wyjęła z kieszeni sutanny niewielką butelkę. Zanurzyła ją w wodzie, która zabulgotała z dziwnym rezonującym dźwiękiem. Wyjęła

butelkę, zatkała i wytarła w rękaw, po czym wręczyła McLeanowi.

– Prezent. Powinna ci pomóc.

McLean przyjął butelkę z lekką niechęcią. Teraz po namyśle czuł się jak idiota.

– To nie dla mnie.

– Wiem. – Pastor uśmiechnęła się. – I dlatego podziąła.

Szpital nigdy całkiem nie zasypiał, ale o tak późnej porze w budynku panowała cisza, szczególnie w salach. Wszyscy pacjenci spali za wyjątkiem największych nieszczęśników. McLean wybrał okreśną drogę, by zminimalizować ryzyko spotkania pielęgniarek, ale przed siostrą oddziałową nie miał jak umknąć.

– Ona śpi, inspektorze. Proszę nie zakłócać spokoju pacjentki.

– Mam pójść po nakaz? Wrócić z oddziałem mundurowych i wszystkich pobudzić?

Tym razem to nie Jeannie Robertson pracowała na nocnej zmianie. No tak, to by było zbyt proste.

– To niemożliwe. Będę zmuszona porozmawiać z pana przełożonym. Sierżant Ritchie jest poważnie chora. W stanie krytycznym. Potrzebuje odpoczynku.

– Proszę mi wierzyć, wiem, jak bardzo jest chora. I próbuję jej pomóc. Załatwię to bardzo szybko, dobrze?

Pielęgniarka rzuciła mu mordercze spojrzenie, ale ustąpiła. Po cichu wśliznął się do sali i podszedł do łóżka Ritchie. Niepotrzebnie starał się zachowywać jak najciszej. Ritchie siedziała zgięta w pół i po kawałku wypluwała płuca. Widać dostrzegła jego buty, bo podniosła głowę.

– Masz okazję oglądać mnie w szczytowej formie. – Zmęczony uśmiech i kolejny atak kaszlu. Nawet nie próbowała ukryć krwi towarzyszącej każdemu kaszlnięciu.

McLean spojrzął na stolik, stojącą na nim szklankę do połowy napełnioną wodą i dzbanek. Korzystając, że Ritchie akurat jest bardzo zajęta, wlał do szklanki kilka kropel zawartości butelki, którą dostał od pani pastor. Akurat kiedy skończył, Ritchie przestała kaszeć.

– Masz. Wypij. – Ukucnął przy łóżku, przysunął szklankę do warg poplamionych krwią i śliną. – To ci pomoże.

– A ty co jesteś, moja mamusia? – Ritchie posłała mu miążdzące spojrzenie, ale wzięła szklankę, upiła wody i ostrożnie przełknęła.

Jeśli McLean spodziewał się cudu, to musiał się rozczarować. Woda ukoiliła gardło Ritchie na kilka sekund, ale zaraz potem powrócił kaszel. McLean zabrał szklankę, żeby nie rozlała, odczekał cierpliwie, aż chora się wykasze, i podał wodę jeszcze raz.

– Musisz wypić do końca.

– Dobrze, mamu. – Ritchie skrzywiła się, ale posłuchała. Tym razem kaszel był słabszy. Głowa Ritchie opadła z powrotem na poduszkę.

– Kiepsko to wygląda, szefie. – Otarła usta wierzchem dłoni, rozsmarowując krew na twarzy.

– Jak to? Za chwilę wyzdrowiejesz.

– Widzę to po ich minach. Lekarzy i pielęgniarek. Mam doświadczenie, więc wiem.

– Coś sobie wymyśliłaś, Kirsty. Grypa namieszała ci w głowie. Wypocznij. Wracaj do zdrowia. Rano znowu wpadnę.

Ritchie zmarszczyła brwi, oderwała wzrok od jego twarzy i rozejrzała się po sali. Dopiero teraz dotarło do niej, że jest środek nocy, a nie godziny odwiedzin.

– Co...? – Zaczęła się podnosić, ale McLean położył rękę na jej ramieniu.

– Spokojnie. Odpocznij. Wyśpij się – powiedział. – Jutro będzie lepiej.

Nie walczyła ze zmęczeniem, które zamknęło jej powieki i uspokoiło oddech. McLean został jeszcze kilka minut, patrzył, jak Ritchie zapada w głęboki sen. Właśnie podał chorej kobiecie wodę wątpliwej jakości sanitarnej. Kto wie, ile niemowlaków sikało do tej chrzcielnicy? Oby tylko się nie okazało, że popełnił błąd.

Wyszedł na korytarz, kiwnął głową pielęgniarce. Czuł, że rozmowa jest niewskazana. Na szczęście pamiętał, żeby wyłączyć telefon. Przynajmniej tym jednym nie zawinił. Dotarłszy do recepcji, wyciągnął telefon z kieszeni, wyłączył. Niemal natychmiast rozległ się zwielokrotniony sygnał wiadomości. Większość od MacBride'a. Spojrzał na zegarek. Ciekawe, co posterunkowy robi o porze tak późnej, że właściwie zmieniła się we wczesną.

Wyszedł z budynku szpitala i ruszył w stronę parkingu. Spodziewał się zachmurzenia, może kolejnych opadów śniegu, ale niebo było krystalicznie czyste. Wisiał na nim chudy rogalik księżycy, poza kręgiem miejskich świateł migotały gwiazdy maleńkie jak główki od szpilek. MacBride odebrał niemal natychmiast.

– Przepraszam, że pana budzę, ale pomyślałem, że to ważne. – W tle słychać było krzyki, jakieś maszyny, dźwięki zdecydowanie bardziej kojarzące się z dniem niż z nocą.

– Nie obudziłeś. – Już miał powiedzieć, że właśnie wraca ze szpitala, zreflektował się jednak, że tylko niepotrzebnie zmartwiłby MacBride'a. Zrobił dla Ritchie wszystko, co w jego mocy. Teraz jej los spoczywał w innych rękach. On nie miał na to wpływu. – Co takiego się wydarzyło? Brzmi, jakby gdzieś wybuchła bomba.

– Niewiele się pan pomylił. Jestem w Rosskettle. Ktoś podłożył ogień i... – McLean nie poznał dalszej części, bo nagle rozległ się wybuch, a potem telefon zamilkł.

Ogień było widać już z Bonnyrigg, około dwa i pół kilometra od Rosskettle. McLean zjechał na bok, by przepuścić chyba wszystkie wozy strażackie z całego regionu, migające niebieskimi światłami i na sygnale. A także kilka radiowozów, chociaż o tej porze nie musiały torować przejazdu, nie było ruchu na drogach. Bardziej martwiły McLeana karetki pogotowia. Szpital był przecież opuszczony, więc po co?

W pewnym momencie w samochód uderzyła fala eksplozji, nad gołymi koronami drzew uniosła się do nieba ogromna kula ognia i czarnego dymu. Gałęzie ostro rysowały się na piekielnym tle. Płomienie pochłaniały budynki, jakby zrobiono je z papieru i kartonu, a nie z piaskowca. McLean przejechał obok pustej stróżówki. Wszyscy zebrali się przy głównym budynku.

Zaparkował na podjeździe, w miejscu, gdzie nikomu nie przeszkadzał i w bezpiecznej odległości od piekącego żaru. Ale i tak czuł się nieswojo. Powróciły wspomnienia innego pożaru, który wybuchł nie tak daleko stąd, i w którym McLean omal nie zginął.

Śnieg wokół budynku stopniał na przestrzeni ponad stu metrów, ziemia rozmiękła, znad martwej trawy unosiły się demoniczne smugi pary. Tuż przed budynkiem stało kilkanaście wozów strażackich, obficie polewających wodą płomienie, jak na razie chyba bez większego efektu. A raczej wręcz przeciwnie. Z każdą chwilą ogień zdawał się przybierać na sile. Strażacy biegali dokoła, w pozornie chaotycznej choreografii. W pobliżu stali ratownicy medyczni i kilku mundurowych. Nigdzie nie było widać MacBride'a.

McLean dostrzegł znajomą postać górującą nad tłumem. Wielki Andy Houseman pracował teraz w komisariacie w Gilmerton. Jego obecność świadczyła o tym, że wybuch musiał być naprawdę potężny.

– Widziałeś MacBride'a? – spytał McLean, kiedy tylko zdołał przepchać się przez tłum. Musiał wykrzyknąć te słowa, by zagłuszyć ryk płomieni, twarz osłaniał ramionami przez żarem.

– Tam. – Houseman wskazał karetkę stojącą kilka metrów dalej. – Stał trochę za blisko, kiedy nastąpił pierwszy wybuch.

– Pierwszy? Co tu się, kurwa, dzieje?

– Bóg jeden wie. – Andy potrząsnął głową. – I chyba nie ma szans, żeby ugasić to piekło. Całe szczęście, że w środku nikogo nie było.

Nim McLean zdążył odpowiedzieć, świat zatrzęsł się od kolejnej eksplozji. Z okien buchnęły płomienie, odłamki szkła posypały się na samochody i wozy strażackie.

– Wycofaj ludzi, Andy. Przynajmniej do linii drzew. Niech strażacy robią swoje, nie chcę, żeby ktoś ucierpiał.

– To miejsce zbrodni, sir. Czy nie powinniśmy...

– To moje miejsce zbrodni. Ja tu dowodzę. I mówię, że najważniejsze jest bezpieczeństwo. Zabierz ich stąd i powiadom dowódcę strażaków. Jeśli tylko zdołają powstrzymać ten ogień, o nic więcej nie będę prosił.

– Tak jest. – Wielki Andy krótko skinął głową i zaczął wydawać rozkazy.

McLean ruszył w kierunku karetki. Po chwili dostrzegł, że przednia szyba jest popękana, jakby coś w nią uderzyło z dużą prędkością.

MacBride leżał na noszach, głowę miał owiniętą bandażem z ciemnoczerwoną plamą pośrodku. Na widok McLeana próbował się podnieść, ale natychmiast z jękiem bólu opadł z powrotem na posłanie.

– Spokojnie, Stuart. – McLean wszedł do karetki. Ratownik medyczny opiekujący się MacBride'em spojrzał na niego. – Wycofujemy wszystkich ludzi. Sądząc po waszej szybie, nie jest tu szczególnie bezpiecznie.

– Tylko poskładam tego gościa i zmykamy – odparł ratownik, wracając do pracy.

– Czy jego stan jest poważny?

– Nys mi nie jes – odparł słabym głosem MacBride.

– Nieprawda. Cud, że żyjesz – wtrącił ratownik. – Gdyby ten odłamek szkła trafił półtora centymetra w lewo...

McLean przyglądał się odjeżdżającej karetkie, która zabrała MacBride'a do szpitala. Wystarczyłoby, że jedna osoba z jego zespołu walczy z życiem. Ostatnie, o czym marzył, to stracić kolejną. Na chwilę ogarnęła go paranoja. Może ktoś wziął się na jego ludzi i likwiduje ich po kolei? Wyjął telefon, zaczął przewijać listę kontaktów, szukając Boba Gburka i Sandy Gregg, ale nagle dotarło do niego, że to czysty obłąd. Jeszcze gorszy niż ten, który ogarnął go kilka godzin wcześniej. A jeśli nawet miał rację, Bob Gburek potrafił o siebie zadbać. Z Gregg też raczej nie było żartów.

Przez te kilka minut, które spędził w karetkie, ogień ani trochę nie osłabł. Jeśli już, to chyba dopiero zaczynał na dobre się rozkręcać. Szalał, jakby pod budynkiem szpitalnym otworzyły się wrota prosto do czeluści piekielnych. Kamienne mury jeszcze stały, ale dach całkiem znikł, a okna wyglądały jak oczy potępionych. Trudno było oddychać. Powietrze parzyło w płuca. McLean zaczął kaszleć i sapać.

Dowódca strażaków był niskim mężczyzną, nadrabiał jednak obwodem i prezencją. Wykrzykiwał kolejne rozkazy, które jego podwładni wykonywali bez dyskusji i nie wyglądał na kogoś, kto łatwo ulega panice. McLean spotykał go nieraz podczas gaszenia pożarów w pobliżu gęstej zabudowy. Jego obecne wzburzenie tym bardziej dawało do myślenia.

– Co jest, kurwa, w tym cholernym budynku? – powiedział na powitanie.

– Powinien być pusty – odparł McLean. – Nie licząc kilku starych mebli.

– A już myślałem. – Kolejny wybuch wstrząsnął nocnym powietrzem. – Normalnie ogień grecki. Im więcej lejemy, tym większe płomienie. Widywałem składy broni palące się w znacznie spokojniejszy sposób.

– Musimy to zostawić, niech się dopali. Nie rozprzestrzeni się. Wszędzie wokół są gołe pola.

– Oficer dowodzący nie będzie zachwycony, że spaliliśmy mu miejsce zbrodni.

– To ja dowodzę. Proszę mi wierzyć. Nic, co mógłbym tam znaleźć, nie jest warte narażania

życia ludzkiego.

– Właśnie to chciałem usłyszeć. – Oficer odwrócił się, wydał rozkaz i strażacy zaczęli się wycofywać.

McLean powiódł wzrokiem dokoła, najlepiej jak potrafił osłaniając twarz i oczy przed palącym żarem. Większość radiowozów zdążyła odjechać, podobnie jak wszystkie karetki. Zostały jedynie wozy strażackie. Oraz jeden samochód.

Stał zaparkowany tuż przy schodach od frontu. McLean dopiero teraz go zauważył i natychmiast rozpoznał. Czarny range rover z przyciemnianymi szybami. Jakim sposobem nie stopił się bądź nie wybuchł w tej temperaturze?

– Ten samochód. – McLean chwycił dowódcę strażaków za ramię, odwrócił go i pokazał mu range rovera. – Ktoś go sprawdzał?

– Pusty. Zamknięty. Rozbiliśmy szybę dla pewności.

– A kierowca?

– Jeśli jest w środku – strażak wskazał na płonący budynek – to już nie żyje. Nie chcę narażać swoich ludzi dla trupa.

– Nie zamierzałem o to prosić. Można by go odholować?

Dowódca rzucił mu zmęczone spojrzenie.

– Zobaczą, co da się zrobić. Proszę poczekać.

Oddalił się w stronę strażaków, zawołał dwóch. Krótka rozmowa, podczas której wściekle twarze zwróciły się w stronę McLeana. Piekielny ogień nadawał im szczególnie groźny wyraz. Rozległ się kolejny wybuch. McLean już miał krzyknąć, żeby dali sobie spokój, ale w tym momencie pojawił się strażak w ciężkim kombinezonie żaroodpornym, ze zwojem liny na ramieniu. Szybko podbiegł do range rovera, rozwijając linę po drodze. Zaczepił ją o hak holowniczy z tyłu, po czym popędził do stojącego opodal wozu strażackiego. Chwilę później lina się napięła, lekko drząc. Range rover jednak nie ruszył się ani o milimetr. McLean spojrzał na opony wtopione w asfalt. Był pewien, że lina za chwilę się przerwie, ale nagle range rover powoli ruszył do tyłu, zostawiając na ziemi ślad w postaci dwóch gumowatych smug. Znow coś wybuchło. Spośród ognia wysunął się pojedynczy język, jakby ktoś siedzący w budynku próbował zatrzymać samochód. Zaskwierczał lakier, przednia szyba popękała, lecz odległość między range roverem a płonącym budynkiem rosła powoli, centymetr po centymetrze, potem metr za metrem.

McLean odczekał, aż samochód na pewno znajdzie się w bezpiecznej odległości. Był niemal pewien, że to ten range rover, chociaż w tym momencie lakier tak się łuszczył, że nie dało się nawet odgadnąć koloru.

– Na pana miejscu bym nie podchodził. – Dowódca strażaków zatrzymał go w pół drogi. – Wycieka benzyna. W każdej chwili może wybuchnąć. Zresztą i tak nawet nie da się go dotknąć, za gorący.

Teraz, kiedy dowódca o tym wspomniał, McLean poczuł zapach paliwa i dotyk rozgrzanego powietrza.

– Chyba powinno wystarczyć. Proszę zabrać ludzi. – Rozejrzał się, szukając wzrokiem bohatera, który przywiązał linę holowniczą. – I dzięki. Miał pan pełne prawo powiedzieć, żebym spieprzał.

Dowódca uśmiechnął się szeroko i walnął McLeana w plecy.

– Niece. Tak ładnie pan prosił. A teraz znikamy. Niech ogień sam się dopali.

McLean szedł w kierunku zaparkowanej niedaleko alfy – teraz, kiedy widział, co się stało z range roverem, wiedział, że jednak stanowczo zbyt blisko. Pożoga odbijała się w światłach i przedniej szybie. Nagle chwyciła go jakaś gigantyczna niewidzialna dłoń o palcach gorących jak słońce, rzuciła nim do przodu, jakby ważył tyle co słomiana kukiełka, po czym walnęła nim o ziemię. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Przetoczył się na bok i ujrzał ogromną masę ognia i dymu, wznoszącą się ku nocnemu niebu. Oszołomiony umysł zobaczył w niej przerażającą bestię, która wyciągała ku niemu ramiona z płomieni, próbowała go pochwycić. Gdzieś z boku rozległ się dźwięk przypominający start odrzutowca, miażdżony metal i rozbijane szkło. A potem delikatne bębnienie tysięcy odłamków, których deszcz spadł na rozmiękczoną żarem ziemię.

McLean skulił się jak przerażone dziecko. Dźwięk cichł powoli. Ryk gorącego podmuchu powoli przeszedł w jednostajny huk płomieni trawiących pozostałości budynku. Wreszcie, kiedy ustał deszcz szklanych odłamków, McLean przetoczył się i podniósł głowę. Świat przypominał strefę działań wojennych.

Grupa strażaków chowała się za osłoną wozu przed żarem, który stopił opony i przykleił je do asfaltu. Nieco dalej stał range rover, niczym jakiś ciemny totem, otoczony chmurą dymu. Strażacy, których wybuch rzucił na ziemię, próbowali się podnieść, niektórzy przetaczali się na plecy, jęcząc z bólu. McLean nie dostrzegł nikogo, kto leżałby bez ruchu czy głośno krzyczał. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że nikt nie doznał poważnych obrażeń. Ale dla budynku nie było nadziei.

Ściana frontowa znikła bez śladu, częściowo zmieniła się w pył za sprawą wybuchu, częściowo zapadła. Płomienie nadal szalały pośród ruin, widać napędzane dotychczasowym sukcesem. Ten ogień naprawdę wydawał się nienaturalny. A może tylko takim go widział na skutek zawrotów głowy?

Powoli zaczął się podnosić. Obolałe nogi i ręce przez cały czas protestowały. Próbował nie stracić równowagi, bo nadal kręciło mu się w głowie. W dłoni wciąż trzymał kluczyki. Niewiele myśląc, wcisnął guzik otwierający zamek.

Nic się nie wydarzyło. Odwrócił się. I już wiedział dlaczego.

Na dachu alfy leżało ciężkie kamienne nadproże ozdobione herbem Weatherlych. Zmiażdżyło przednią szybę, wgniotło maskę i zniszczyło zawieszenie, tak że koła wystawały spod spodu pod jakimś dziwnym kątem. Alfa patrzyła na McLeana popękanymi oczami, martwa, jeden wielki wyrzut sumienia. Wierna jak pies do ostatniej chwili. A miał ją dopiero sześć miesięcy.

– Chyba musi pan sobie sprawić nowy samochód.

McLean odwrócił się powoli. To był dowódca strażaków. Skoro zainteresował się losem alfy, najprawdopodobniej nikt nie odniósł poważnych obrażeń ani nie wydarzyło się nic innego, co wymagałoby jego interwencji.

– Może tym razem czołg. Bo to już drugi wóz z kolei, który skończył przygnieciony czymś, co spadło z góry.

– Całe szczęście, że nie siedział pan w środku.

– Całe szczęście – powtórzył McLean. Nagle ogarnęła go przerażająca pewność. Nie

myślał całkiem jasno, doznany szok przytępił zmysły. Potrząsnął głową i ruszył w kierunku dymiącego range rovera, aż nazbyt wyraźnie świadom, że za chwilę znajdzie się stanowczo zbyt blisko dziwacznym płomieni.

– Co pan, kurwa, wyprawia? – Dowódca strażaków chwycił go od tyłu w chwili, kiedy McLean wyciągnął rękę, by otworzyć bagażnik. W powietrzu wisiał zapach benzyny, stygnący metal brzękał i stukał.

– Muszę to otworzyć. – McLean zbliżył grzbiet dłoni do samochodu, próbując ocenić, czy będzie bolało. Temperatura okazała się znacznie niższa, niż można by przypuszczać, więc zaryzykował i chwycił klamkę. Nic się nie wydarzyło.

– Mówiłem, że jest zamknięty.

– Ale muszę go otworzyć. Możemy wybić okno?

Dowódca popatrzył na niego jak na wariata, potrząsnął głową i wyjął zza pasa nieduży łom.

– Mam lepszy pomysł. – Wsunął łom w szparę, poruszył. W środku coś trzasnęło, potem zamek odskoczył.

McLean podniósł klapę i zajrzał do środka. Zobaczył tylko gęstą ciemność, ale po chwili jego oczy do niej przywykły, a dowódca jednocześnie poświecił latarką.

– Niech to wszyscy diabli!

Bagażnik był sporych rozmiarów, wybity drogą mechatą wykładziną, podobnie jak całe wnętrze wozu. Ktoś wyłożył go czarnymi workami na śmieci, by zapobiec zabrudzeniom. Leżała tam łopata, pokryta ziemią o tej samej barwie i teksturze, co grunt, na którym stał szpital. Leżała na starannie złożonym worku na zwłoki. McLean wsunął rękę do kieszeni i wyjął telefon. Ekran był pęknięty, ale się rozświecił. Nazwisko, numer. Koszmarny zimny ucisk w żołądku.

– Nie dotykać do przyjazdu technicznych. – Powiódł wzrokiem dokoła, szukając wzrokiem jakiegoś radiowozu. Ani jednego. I zero czasu. – I potrzebuję samochód. Natychmiast.

Jako chłopiec McLean marzył o tym, by jeździć wozem strażackim przy włączonych syrenach i migających niebieskich światłach. A teraz siedział między dwoma zmęczonymi spoconymi strażakami, którzy łypali na niego zarazem lękliwie i wrogo, i wcale nie czuł się tak wspaniale jak w swoich wyobrażeniach. Dzięki późnej porze szybko dotarli do miasta. Kiedy jednak wjechali w wąskie uliczki na Sciennes, ujawniły się ograniczenia typowe dla tak dużego pojazdu. W końcu McLean pochylił się i klepnął kierowcę w ramię.

– Proszę się zatrzymać. Pójdę pieszo.

– Na pewno? – Wyraźnie widział ulgę w oczach mężczyzny.

– Jasne. To niedaleko. Pewnie nawet szybciej dojdę na piechotę, poza tym chyba nie chcemy siać paniki, prawda?

McLean wyskoczył z ciepłego wnętrza prosto w zimną noc. Stopy lekko pośliznęły się na oblodzonym chodniku. Nie czekał, aż wóz się wycofa, ruszył do domu szybkim krokiem.

Dziesięć lat wcześniej Bob Gburek mieszkał w małym, lecz przytulnym domku szeregowym wraz z panią Gburkową. Którejś nocy Bob może znów wrócił za późno, a może Muriel doszła do wniosku, że trwające ćwierć wieku małżeństwo z kimś takim jak Bob Laird jest jednak zbyt ciężką próbą. W każdym razie kazała mu się wynosić. Domek sprzedali i podzielili się pieniędzmi, za które Bob mógł z pewnością kupić coś znacznie lepszego niż kawalerkę w sercu dzielnicy studenckiej, ale miał stąd blisko do pracy i ulubionych pubów. I tak nie spędzał w domu zbyt wiele czasu. Spał głównie w pracy.

Drzwi były otwarte, zablokowane wprawdzie umieszczoną połówką cegły. Widok przywołał słodko-gorzkie wspomnienia. McLean ruszył po schodach na górę, starając się zachowywać jak najciszej i nasłuchując wszelkich niepokojących dźwięków. Sam nie wiedział, dlaczego tu przyszedł. Być może znajdował się na prostej drodze do obłędu.

Za drzwiami mieszkania dochodziły ciche dźwięki muzyki. Zły znak: Bob słuchał muzyki wyłącznie w chwilach głębokiej melancholii, zwykle łącząc to zajęcie z konsumpcją whisky. McLean zapukał, odczekał. Nic się nie działo. Tylko stłumiona muzyka.

Znał Boba Gburka od piętnastu lat. Nieraz bywało, że sierżant kończył wieczór w pokoju gościnnym u McLeana, zbyt pijany lub zbyt zmęczony, by wrócić do Muriel. A po rozwodzie mieszkał tam przez sześć tygodni, zanim wreszcie znalazł sobie lokum. Inspektor nie miał nic przeciwko temu, ale przy okazji sporo się dowiedział na temat gustu muzycznego kolegi. A raczej jego braku. Bob lubił country i co przystępniejsze utwory klasyczne, szczególnie w formie skróconej. Czasami pogwizdywał jakieś banalne melodyjki z listy przebojów, ale przeważnie czytał gazetę w ciszy. McLean nigdy by go nie podejrzewał o słuchanie muzyki, która właśnie wybrzmiewała w mieszkaniu. Był to jakiś awangardowy utwór, asynchroniczny i eksperymentalny. I szczerze mówiąc, totalnie gówniany.

Zapukał jeszcze raz, w pełni świadom, jak brzmi takie pukanie na klatce schodowej w środku nocy.

– Bob, jesteś tam? – Na tyle głośno, by go usłyszał, ale może nie aż tak, żeby pobudzić sąsiadów.

Nadal cisza. Muzyka zmieniała się, przybierała na sile i stawała się coraz bardziej wściekła. McLean czuł, że coś jest nie tak. Jakby dostał po twarzy. Zrobił krok w tył, aż dotknął plecami balustrady, podniósł nogę i z całej siły kopnął w drzwi.

Otworzyły się z hukiem, który na pewno obudził całą ulicę. McLean w ogóle o to nie dbał. Powiódł wzrokiem dokoła, jeszcze miał nadzieję, że w korytarzu pojawi się zaspany sierżant w pasiastej piżamie. Nic z tego. Zatrzymał wzrok na kontakcie umieszczonym pod wieszakiem na ubrania. Kabel ciągnął się przez cały wąski przedpokój i ginał pod drzwiami łazienki.

– Bob. Jesteś tam?

Muzyka znów przybrała na sile. Teraz w ogóle nie brzmiała jak muzyka, tylko wycie miliona dusz potępionych. McLean wyciągnął wtyczkę. Z łazienki doszedł krzyk, potem soczyste „kurwa” i plaśnięcie wody.

A po sekundzie szparą pod drzwiami buchnęła fala, zalewając podłogę i zapewne mieszkanie sąsiada piętro niżej. Coś dużego zaczęło gramolić się z wanny i wreszcie w drzwiach stanął zawinięty w ręcznik i trochę nieforemny Bob Gburek. W ręku trzymał magnetofon kasetowy. Z plastikowych osłonek głośników kapąła woda. Wetknięty z tyłu kabel opadał na podłogę, wnosił się i kończył wtyczką w dłoni McLeana.

– Tony? Co jest? – Bob Gburek spojrzał na antyczny sprzęt. – Skąd to się tu wzięło? Nie słucham tej muzyki od lat.

McLean próbował ukryć uśmiech. Ulga była ogromna.

– Nieważne, Bob. Kiedy ostatnio brałeś kąpiel?

Szeregowiec w byłych domach komunalnych, w którym mieszkała posterunkowa Gregg, znajdował się niedaleko, i całe szczęście, bo żaden z nich nie dysponował samochodem. Po drodze McLean próbował się dodzwonić, ale pęknięty telefon odmówił posłuszeństwa. Za każdym razem, kiedy próbował wybrać numer, pokazywało się tamto nazwisko. Bob Gburek zostawił swój telefon w mieszkaniu, co zresztą było do przewidzenia. Przez dziesięć minut sierżant mamrotał coś o wannach, idiotach i niepoczytalności psychicznej. Kiedy dotarli na miejsce, McLean ucieszył się, że nie udało mu się połączyć.

– Czujesz?

– Gaz. Dużo gazu.

– Trzeba wyłączyć główny zawór. – McLean nawet się nie zastanawiał, w którym to mieszkaniu. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, by stawiać takie pytania. – Spróbuj kogoś obudzić. Skontaktuj się z pogotowiem gazowym.

Bob Gburek ruszył przed siebie wzdłuż ulicy, rozsądnie oddalając się od domu Gregg i nieciekawej perspektywy, że za chwilę któryś z mieszkańców wstanie i zapali światło. McLean odprowadził go wzrokiem, po czym przeszedł na tył domu, szukając jakiegoś wejścia.

Znalazł niewielkie okienko, uchylone dosłownie na parę milimetrów. Po dwudziestu sekundach majstrowania za pomocą długopisu zdołał otworzyć je na tyle, by wejść do środka. Zatrzymał się, przez chwilę słuchał ciszy, w końcu otworzył drzwi, za którymi ciągnął się

wąski korytarz. Zapach gazu był bardzo intensywny. McLeanowi zaczęło się kręcić w głowie, oczy zaszyły mu łzami.

Na górze, o ile to możliwe, było jeszcze gorzej. Odnalazł sypialnię, dwa podłużne kształty pod kołdrą. Jak najciszej podszedł do łóżka, ukucnął po stronie posterunkowej Gregg. Spała na boku, ciasno owinięta kołdrą, z głową wciśniętą w wielką miękką poduszkę.

– Gregg, Sandy. – Głos brzmiał jakoś obco, słabo i chrypliwie. Poczuł łaskotanie w gardle, zakaszłał. – Obudź się. – Tym razem wyszło trochę głośniej. Gregg zmarszczyła się. – No, dalej, Sandy. – Potrzęsnał ją, a wtedy przetoczyła się na plecy i otworzyła oczy.

– Kurwa mać! – Usiadła na posłaniu, pokazując więcej niż powinien zobaczyć. Sięgnęła do lampki na stoliku nocnym, ale McLean chwycił ją za nadgarstek.

– To ja. Tony McLean. Nie włączaj światła.

Gregg nieco się uspokoiła, wyrwała rękę z uścisku. Cofnął się, a ona szybko podciągnęła kołdrę.

– Co...? – Wciągnęła nosem powietrze. – Gaz?

– Niczego nie włączaj. Musicie uciekać.

Gregg wygramoliła się z łóżka. Goła jak ją Pan Bóg stworzył. Chwyciła szlafrok, zarzuciła na plecy i okrążyła łóżko.

– Barry! – Dała mężowi kuksańca w bok. – Wstawaj, Barry. Obudź się. – Cisza. – Kurwa. – Pchnęła okno. Do środka napłynęło świeże powietrze, ale nadal trudno było oddychać. – W oknach na górze nie ma alarmu.

McLean zrozumiał. Poszedł do pokoju od frontu i otworzył okno. Na ulicy robiło się ruchliwie: trzy radiowozy i furgonetka z logo pogotowia gazowego. Boba Gburka nigdzie nie było widać, co mogło znaczyć, że albo znalazł kubek herbaty, albo organizuje cichą ewakuację. McLean wrócił do sypialni. Gregg wciąż klęczała przy łóżku. Podniosła wzrok, w oczach miała łzy.

– Nie chce się obudzić.

McLean, nie tracąc czasu, zarzucił sobie Barry'ego na ramię, tak jak go uczyli lata temu podczas szkolenia pożarniczego.

– Jazda stąd.

Droga po schodach w dół przypominała brodzenie w cuchnącej wodzie. Powietrze było gęste od gazu, a Barry z każdym stopniem stawał się coraz cięższy. Na dole Gregg rzuciła się do drzwi frontowych.

– Alarm? – zdołał wydusić McLean. Gregg odwróciła się, popatrzyła na niego, wreszcie zrozumiała.

– Jak wszedłeś?

– Toaleta.

Kiwnęła głową i ruszyła dalej. McLean z trudem stawiał kolejne kroki. Jak pięknie byłoby po prostu usiąść na ziemi i zasnąć. Ale Barry był nie tylko ciężarem, lecz również obowiązkiem. Jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie tylko z powodu czyjejś żądzy zemsty.

Kiedy McLean dotarł do okna, Gregg była już na zewnątrz. McLean przekazał nieprzytomnego Barry'ego jakimś ludziom, twarze rozmazywały mu się przed oczami. Chwyciły go czyjeś ręce, głosy powtarzały, że trzeba się pospieszyć. Uciekać, zanim coś. Ale

co? Wiedział tylko, że znalazł się na zewnątrz, łapczywie łykał świeże powietrze. Nagle ręce były wszędzie, ciągnęły, zmuszały jego nogi do ruchu, do biegu. Wyły silniki, samochody cofały się spod budynku, koła obracały się tak szybko, uciekali przed czymś, ale przed czym, nie pamiętał. Dźwięk. Co takiego krzyczał Bob Gburek? Coś o czasie, o kotle grzewczym, o głównym zaworze gazu, o wycieku.

Po raz drugi tej nocy McLean poczuł, jak uderza w niego ogromna pięść wybuchu. Płyty chodnikowe uniosły się, by go powitać, powietrze gwałtownie uszło z płuc. Zdążył jeszcze pomyśleć, że to będzie go piekielnie dużo kosztowało.

– Co ty tu, kurwa, wyrabiasz?

Kiedy McLean wyszedł ze szpitala, świt zdążył pomalować niebo na szaro i różowo. Garnitur był do wyrzucenia, na rękach i twarzy miał mnóstwo sińców i skaleczeń, ale żył. Mężowi posterunkowej Gregg lekarze wróżyli pełen powrót do zdrowia, czego, niestety, nie dało się powiedzieć o dwóch złotych rybkach. Z jakiegoś powodu Gregg bardziej przejęła się ich zgonem niż utratą domu. McLean marzył tylko o tym, by wrócić do siebie, wziąć długą gorącą kąpiel, może chwilę się przespać, zanim koło południa będzie musiał wyjść do pracy. Z całą pewnością nie spodziewał się spotkać w szpitalnej recepcji nadinspektora Duguida.

– Dzień dobry, mnie również miło pana widzieć.

McLean uważał, że raczej marnie się prezentuje, ale z Duguidem nie mógł konkurować. Ktoś dobrał mu się do twarzy z pomocą łomu, przynajmniej tak to wyglądało. Oczy miał czarne i zapuchnięte, nos złamany. Bandaż wokół głowy świadczył o tym, że dostał fachową pomoc. Bandaż i ręka na temblaku. W drugiej trzymał zapalony papieros, z którego unosiła się nierówna poszarpana smużka dymu. Cały się trząsnął, tym razem nie z ledwo hamowanej wściekłości.

– Jezu, co się stało?

Zmierzył McLeana wzrokiem, ze zwykłą podejrzliwą miną, którą dodatkowo pogarszała opuchlizna twarz.

– Mógłbym zapytać o to samo.

– Ciężka noc.

– Słyszałem, że balowałaś z tą całą Saifre. Brakuje ci kasy, że ganasz za kimś takim?

McLean mało się nie roześmiał.

– Czasami myli się pan w tak spektakularnym stylu, że jest to aż zabawne.

– Czy ja, kurwa, wyglądam, jakbym żartował?

– Nie. Wygląda pan, jakby miał wypadek samochodowy.

Duguid zrobił groźną minę, a przynajmniej próbował.

– Prawie zgadłeś. Zaczepili mnie pierdoleni złodzieje samochodów. Dwa transity. Na końcu London Road. Banda zasranych imigrantów.

– I próbował pan z nimi walczyć?

– Chcieli mi, kurwa, ukraść samochód. – Duguid zaciągnął się papierosem. Ręka tak mu drżała, że popiół spadł na pokrytą lodem ziemię.

McLean zastanawiał się, czy to tylko przypadek, że jego szefa zaatakowano w tę samą noc, co chyba połowę dochodzeniówki. Nie wierzył w zbiegi okoliczności. Już nie.

– A tobie co się stało? – Duguid rzucił niedopałek w najbliższe krzaki. – Pobiłeś się z nową dziewczyną?

McLean o mało nie powiedział mu, co sądzi o pani Saifre, i kim, jak podejrzewa, jest ona w rzeczywistości. O mało. Czuł się zmęczony i obolały, jego mózg nie działał jak należy, w przeciwnym wypadku instynkt samozachowawczy w ogóle nie dopuściłby takiej myśli.

– Byłem w Rosskettle. Wybuchł pożar, nastąpiła eksplozja. MacBride jeszcze tam jest. – Wskazał ruchem głowy budynek szpitala, tak jakby Duguid nie potrafił się domyślić, o co chodzi. – Ucierpiałem znacznie mniej niż MacBride. I Gregg. Ona z kolei musi poszukać nowego domu.

McLean zdał sprawozdanie ze wszystkich katastrof, jakie miały miejsce tej nocy. Pomiął tylko epizod z kąpielą Boba Gburka, uznał, że lepiej nie mieszać wątków. Duguidowi coraz niżej opadała szczęka. Wciąż nieco oszołomiony po bijatyce, a może niezbyt uważny, nie spytał, co robili we dwóch o czwartej rano pod domem Gregg.

– Jezu, jak już wsadzisz kij w mrowisko, to mocno i skutecznie, co? – Nadinspektor ścisnął palcami grzbiet nosa i skrzywił się z bólu.

– Uważa pan, że to wszystko moja wina?

– A nie jest tak za każdym razem? Kiedy wreszcie to dostrzeżesz? – Duguid wbił w McLeana spojrzenie małych świńskich oczek, za sprawą opuchlizny na twarzy jeszcze bardziej oskarżycielskie niż zwykle. – Nigdy nie wiesz, kiedy odpuścić. Czasem nawet na coś się to przydaje, ale uwierz, jest koszmarnie irytujące.

– Chciał pan sprawiedliwości. Dla córek Weatherly'ego.

– Owszem. A ktoś bardzo wysoko postawiony chciał z kolei zamieść sprawę pod dywan. Na dobre mi to wszystko nie wyszło. – Duguid pokuśtykał w stronę wejścia, odwrócił się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Ale tylko potrząsnął głową i wszedł do środka.

*

Taksówka zatrzymała się na końcu podjazdu. McLean uznał za nieco dziwne, że kierowca nie chciał go podwieźć pod same drzwi. Nie dyskutował, nie miał daleko. Zapłacił, odprowadził wzrokiem samochód, który znikł za rogiem w zimnej chmurze spalin. McLean czuł się potwornie zmęczony i brudny, jego garnitur nadawał się tylko do śmieci. Buty pewnie też. Ale po raz pierwszy od wielu dni niebo było bezchmurne, słabe słońce właśnie zaczynało malować na złoto wierzchołki budynków. Mimo wszystko ciągle żył i chyba był to jakiś powód do radości.

Pierwszy kot siedział na murze biegnącym od frontu i oddzielającym ogród od ulicy. McLean nie dostrzegł w tym nic dziwnego, po okolicy łąziło całe mnóstwo kotów, niektóre dzikie, inne hołubione, karmione i pojone. Rozpoznawał nawet stałych bywalców, ten jednak do nich nie należał.

Kolejny siedział pośrodku podjazdu, gapiąc się na McLeana, tak jak to koty potrafią. To już wydało mu się nieco zastanawiające. Z tego, co wiedział, kotka pani McCutcheon w ciągu niecałego tygodnia wywalczyła sobie pozycję właścicielki tego fragmentu miasta. Niewielu pobratymców miało odwagę zapuszczać się na jej terytorium. A ten siedział sobie całkiem spokojnie. Nawet nie uciekł, kiedy McLean przechodził obok.

Przy drzwiach wejściowych siedział jeszcze jeden, dwa na trawniku. I wszystkie wpatrywały się w McLeana wzrokiem żon ze Stepford, powoli obracając łebki. Podniósł

głowę i zobaczył kilka następnych egzemplarzy na drzewie. Był środek zimy, ptaki o tej porze raczej nie śpiewały, ale cisza panująca w tym momencie w ogrodzie była niemal złowieszcza. McLean jednak nie czuł strachu, tylko dziwny spokój płynący z obecności kociej armii. Zaśmiał się głośno na tę myśl. Kocia armia. Strażnicy pilnujący domu i chroniący go przed złem, które na pewno próbowało się dostać do środka.

Kotka pani McCutcheon siedziała na stole. Popatrzyła uważnie na McLeana, po czym zaczęła się myć. Wyciągnął rękę, podrapał ją za uchem, aż zaczęła mruczeć.

– Chyba jestem twoim dłużnikiem – powiedział. Zerknął w stronę drzwi i dodał: – Mam tylko nadzieję, że one wszystkie nie chcą jeść.

Wykapany, ogolony, w czystym ubraniu i opity ilością kawy zdolną obudzić umarłego, McLean przekręcił klucz w zamku i wyruszył w drogę, kątem oka zerkając na koty, które nadal trzymały wartę wokół domu. Nie miał daleko, zresztą w tym momencie własne nogi i tak były jedynym dostępnym środkiem transportu.

Słońce dotarło do punktu na południu, którego o tej porze roku raczej nie miało zwyczaju przekraczać. Świeciło słabo na bladoniebieskim niebie, ale pięknie rozjaśniało ośnieżone wzgórza Pentland oraz Blackford Hill, Salisbury Crags i Arthur's Seat. Zimne powietrze starało się być rześkie, a nie jak zwykle duszne i miejskie. Jego płucom, wymęczonym oparami gazu, dymem i siarką, tak czy inaczej, wydawało się najśłodsze na świecie.

Po krótkim czasie dotarł na miejsce. Rolls-royce stał koło schodków prowadzących do wejścia. Drzwi były otwarte na oścież, żar buchał z korytarza jak uciekające zwierzę. McLean zapukał we framugę i wetknął głowę do środka.

– Jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza, więc wszedł. Próbował sobie przypomnieć poprzednią wizytę, podszedł do drzwi, za którymi chyba znajdował się salon.

– Tony. Jaka miła niespodzianka.

Wynurzyła się z cieni na końcu korytarza. Plamy światła na twarzy sprawiły, że w pierwszej chwili wydawała się stara i zniszczona, a jej włosy posiwiały. Ale obraz się zmienił i McLean ujrzał tę samą idealną kobietę, z którą zaledwie kilkanaście godzin wcześniej odwiedził modną i drogą restaurację.

– Pani Saifre.

– Och, tak bym chciała, żebyś mi mówił po imieniu. Wszyscy moi przyjaciele zwracają się do mnie w ten sposób.

– Czasem każdy z nas pragnie rzeczy, których nie może dostać. Jest Karl?

– Karl? – Pani Saifre zrobiła zdezorientowaną minę. – A, Karl. Nie, odszedł.

– Odszedł? Wyrzuciła go pani?

– Coś w tym stylu.

– Słyszała pani o Rosskettle?

– Tak, owszem. Potworne. John Brooks był u mnie z rana. Nikt nie został ranny, na szczęście.

John, nie nadinspektor. McLean zastanawiał się, czy jego przełożony wie, w co się wpakował.

– Pani range rover był na miejscu.

– Mój...? – Teatralnym gestem przycisnęła dłoń do piersi. A potem zaśmiała się krótko. – I sądzisz... Och, Tony. Mówiono mi, że masz bogatą wyobraźnię.

– Niczego nie sądzę, pani Saifre. Najpierw ustalam fakty, a potem próbuję ułożyć je w sensowną całość. Nie zawsze jest to takie proste, jak się może wydawać. W takim razie może zechce pani wyjaśnić, co robił pani range rover w Rosskettle tuż przed wybuchem pożaru. I dlaczego w bagażniku leżały zabłocona łopata i worek na zwłoki.

Pani Saifre uśmiechnęła się, ale bez cienia wesołości. Był to raczej uśmiech drapieżnika, który wie, że zaraz naje się do syta.

– Zostawiliśmy go tam wczoraj rano, ponieważ się popsuł. Pojechałam sprawdzić, jak się sprawują twoi koledzy technicy. Musiałam czekać prawie godzinę, nim przyjechał po mnie samochód. Jeden z powodów, dla których Karl już dla mnie nie pracuje.

– A worek na zwłoki?

– O to musisz spytać Karla. To on odpowiadał za samochody.

– Twierdzi pani, że właśnie go zwolniła. I zapewne nie ma pani pojęcia, gdzie może być w tej chwili.

– Mieszkał tutaj w części przeznaczonej dla służby. Nie wiem, co teraz robi. – Pani Saifre podeszła do stolika, na którym stało kilka kryształowych karafek, powoli zaczęła otwierać jedną po drugiej i wachać zawartość, aż wreszcie naląła do szklanki porządną porcję czegoś drogiego w kolorze bursztynu. – Drinka?

– Dziękuję, ale jestem w pracy.

– Naprawdę? Po takiej nocy? Chyba mogliby ci dać trochę wolnego. – Upiła łyk, opierając się o stolik.

– Co zamierza pani zrobić z Rosskettle?

– Czy to jest przesłuchanie?

Powoli ruszyła w stronę McLeana, prowokująco kołysząc biodrami. Odruchowo włożył rękę do kieszeni, poczuł pod palcami kawałek sztywnego papieru. Pocztówka od Emmy. Wychodząc, zabrał ją ze stołu kuchennego. Kotwica łącząca go z rzeczywistością. Albo przynajmniej pewnego rodzaju rzeczywistością.

– Co sugerujesz? Że kazałam Karlowi pochować Andrew w jego ulubionym miejscu?

– To niewykłuczone.

– To śmieszne i sam dobrze o tym wiesz.

– Cóż, mamy pani samochód, techniczni potrafią udowodnić, że ciało Weatherly'ego leżało w bagażniku. Twierdzi pani, że nic nie wiedziała, lecz to tylko słowa.

– Czy jestem aresztowana? Założysz mi kajdanki, Tony? – Pani Saifre, ściskając szklankę w jednej dłoni, wyciągnęła ramiona i złączyła je w udawanym geście poddania. Widząc, że Tony nie zamierza podjąć gry, dała sobie spokój i usiadła na sofie. – Posłuchaj, nie mam pojęcia, co moi pracownicy wyprawiają po godzinach. Andrew był moim partnerem w interesach. Ale od dłuższego czasu przebywam głównie w Stanach. Wróciłam do Edynburga po raz pierwszy od niemal dziesięciu lat. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się dzieje w Rosskettle i dokąd poszedł Karl, kiedy go zwolniłam, musisz porozmawiać z Jennifer. W końcu to ona była kochanką Andrew.

– Wie pani, że pani Denton jest w szpitalu, prawda? Miała wylew. Raczej nie odzyska przytomności.

– Och. Biedactwo. Nawet ją polubiłam. – Pani Saifre odstawiła szklankę z whisky i wstała, przeciągając się jak kot.

Emanowała niezwykłym urokiem, tego nawet McLean nie mógł jej odmówić. Była idealnie umalowana i zrobiona, potrafiła jednak zarazem sprawiać wrażenie naturalnej i bezbronnej. Wbiła w niego głodne spojrzenie i podeszła bliżej niż to naprawdę konieczne.

– Po co tak naprawdę przyszedłeś, Tony? – Chwyciła jego prawą rękę. Lewa nadal tkwiła w kieszeni, dotykając pocztówki.

– Wiem, kim pani jest. Czym pani jest.

– Naprawdę? – Pani Saifre uniosła dłoń McLeana do ust i kilka razy bardzo lekko pocałowała palce. Przy każdym ruchu jego ciało przenikała fala ciepła. Kiedy wreszcie puściła rękę, ramię opadło nienaturalnie powoli, jakby grawitacja przestała działać.

– Tak. – McLean stał całkiem nieruchomo, a pani Saifre wyciągnęła rękę i musnęła jego policzek opuszkami palców. Zwierzątko w jego wnętrzu krzyczało, żeby uciekał, krył się. Tylko kartka w kieszeni wciąż dodawała mu sił.

– W takim razie albo jesteś bardzo odważny, albo bardzo głupi.

– A może być to i to naraz?

Zaśmiała się, a gdzieś w oddali spłonął doszczętnie las.

– Oto dlaczego cię lubię, Tony! – Zaczęła wirować dokoła jak mała dziewczynka, płasząc wokół stołu, w końcu wróciła, znów stanęła bardzo blisko. – Powinniśmy być razem, ty i ja. Moglibyśmy dokonać wielkich rzeczy.

– Na przykład doprowadzić człowieka do zamordowania własnych dzieci? Co pani miała na niego? Zwłoki w Rosskettle? Zamierzała pani ogłosić światu jego makabryczny sekret?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Pani Saifre wyduła wargi. Kłamała, dobrze wiedział.

– Nie sądziła pani, że znajdziemy range rovera. Popełniła pani błąd. Miał spłonąć w pożarze. A Karl akurat znikł, jak doskonale się złożyło. Zaaranżowała pani wszystko tak jak w przypadku innych budynków? Wszystkie ślady pani współudziału zatarte, bezpowrotnie zniszczone? Wszystkie dowody wskazują na winę Weatherly’ego?

Pani Saifre podeszła jeszcze bliżej. McLean wreszcie zrozumiał jej strategię. Znowu wzięła go za rękę, dotyk był nieprzyjemnie gorący.

– Błędnie wszystko zrozumiałeś, Tony. Ja pomagałam Andrew. Naprawdę. Uczyniłam go tym, kim był. Nie miałam nic wspólnego z jego upadkiem. Jakże bym mogła?

– Proszę się nie martwić. Nie jestem w stanie niczego udowodnić. I nie zamierzam wymuszać na pani przyznania się do winy. – Uwolnił rękę i podjął: – Zresztą i tak by się pani wykręciła, jak zwykle. Kontakty, pieniądze. Ja tego nie przebiję.

– A więc chodź ze mną. – Teraz oczy pani Saifre rozbłysły podekscytowaniem. – Ze mną u boku mógłbyś wszystko. Komendant główny? Premier? A może pierwszy prezydent niepodległej Szkocji?

Ach, tak. Oferta. Pokusa. McLean przyglądał się jej twarzy, szukając oznak świadczących o tym, że żartowała. Była nieodgadniona i nieprzewidywalna. Właśnie na tym polegała jej natura. Możliwe, że to był tylko wyszukany żarcik, ale coś mu podpowiadało, że jednak nie. Gdyby się zgodził, gdyby poddał się jej woli, rzeczywiście potrafiłaby spełnić obietnicę. Miałby sławę i władzę, i piękną kobietę u boku, w swoim łóżku. Co więcej, mógłby wykorzystać tę sławę i władzę w szczytnych celach. Niejeden człowiek czynił dobro w jej imieniu. Owszem, nie było ich wielu, ale jednak.

Pocztówka zdawała się wibrować między kciukiem a placem wskazującym. Zapatrzył się w czarne oczy bez dna. Tak łatwo byłoby się w nich zatracić, tak wspaniale zanurzyć się w cieplej fali zmysłowych rozkoszy i beztroski.

Nagle przypomniał sobie inne oczy. Zimne, martwe, przerażone i obłąkane. Andrew Weatherly nie był jej dłużej przydatny i oto, jak skończył.

– To właśnie obiecała pani Weatherly’emu? W zamian musiał tylko oddać własną duszę?

– Dusza to przereklamowany towar. Kiedy znika, nawet nie czuje się braku.

Pani Saifre znów wyciągnęła rękę, dotknęła jego twarzy i powoli, delikatnie przyciągnęła do siebie, jednocześnie zbliżając swoją, szykując się do pocałunku.

McLean mógł oszukiwać samego siebie i tłumaczyć, że celowo dopuścił ją tak blisko. Tak naprawdę zdołała go podejść. Znalazł się w pułapce, całkiem bezbronny patrzył, jak jej usta się rozchylają, czerwone niczym rozżarzone węgle. Lśniący język wysunął się spomiędzy białych ostrych zębów, zwilżając je śliną, która potrafi palić jak ogień. Trzymała go w mocnym uścisku, przyciągała coraz bliżej do siebie. Syknęła stłumionym głosem:

– O, tak.

McLean nadal ścisnął w palcach pocztówkę, czuł gładkość wierzchniej strony, przedstawiającej ruiny i kwiaty, oraz stronę odwrotną, którą Emma zapisała słowami przeznaczonymi specjalnie dla niego. Rządek iksów na końcu.

– Nie, chyba nic z tego. – Odsunął się, zdumiony, jak łatwo mu to przyszło.

Pani Saifre patrzyła na niego zaskoczona, jej dłoń zawisała w powietrzu, tam, gdzie przed chwilą znajdował się podbródek McLeana.

– Dlaczego? – spytała w końcu.

– Jestem zajęty. – Puścił pocztówkę, wyjął rękę z kieszeni i poprawił płaszcz. – Żegnam, pani Saifre. Niech pani odejdzie. Wróci tam, skąd przyszła. I nigdy więcej nie grozi moim przyjaciołom.

Zostawił ją, gapiącą się na niego z bezgranicznym zdumieniem. Za progiem zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Wspaniałe powietrze wypełniło mu płuca. Słabe słońce lekko grzało w twarz. Postać tak przez chwilę, ciesząc się samym faktem, że żyje. A potem wsunął rękę do kieszeni, wcisnął głowę w kołnierz i ruszył do domu.

– Wygląda na to, że w piwnicy stały wielkie beczki z olejem opałowym do centralnego ogrzewania. Pięć sztuk. Na pewno jakiś stary system, teraz to zabronione. Kilka tysięcy litrów w każdym, pod wpływem ciepła wydzielił się gaz.

Szpital Rosskettle nie wyglądał zbyt imponująco w zimnym świetle dnia. Tylko w paru miejscach zachowały się ściany aż do drugiego piętra. Większa część budynku obróciła się w gruzowisko dymiące w blasku porannego słońca. Głęboko pod ziemią ogień widać nadal płonął.

– Materiału dowodowego raczej tu nie zbierzemy. – McLean stał obok dowódcy strażaków, w bezpiecznej odległości od ruin.

Od pożaru minęły dwa dni, ale jeden z wozów nadal tkwił w miejscu, przyklejony nadtopionymi oponami do asfaltu. Z tej strony wyglądał całkiem normalnie, ale McLean widział go wcześniej z tej drugiej. Temperatura musiała być naprawdę wysoka.

– W ogóle niczego. Sprzątanie tego bajzla będzie sporo kosztowało.

– Na pewno ktoś się tym zajmie.

– Pewnie miejscowe władze, no bo kto. – Dowódca splunął na ziemię, jakby poczucie niesprawiedliwości zostawiło nieprzyjemny smak w jego ustach.

McLean potrząsnął głową.

– Płaci ten, kto nabałaganił. Teren należy do firmy Weatherly Asset Management. Mają mnóstwo kasy. Oni albo ich ubezpieczyciel. A potem ktoś zbuduje tu osiedle.

– Chciałbym to zobaczyć. Ta dziura sięga daleko w głąb. A pod spodem są stare kopalnie i inny syf. Wszystko się tli. Może się tak palić jeszcze przez wiele lat. – Oficer znowu splunął.

– No, ale przynajmniej mieliby ciepło w mieszkaniach, nie?

Nagle jedna z ścian zapadła się w kaskadzie iskiei, z niskim hukiem, który McLean poczuł aż w żołądku. Mimowolnie zrobił krok w tył. Stali w bezpiecznej odległości, ale wspomnienie pożaru i wybuchów było jeszcze zbyt świeże. Andrew Weatherly otworzył w ziemi wrota, ziejącą paszczę. A gardło prowadziło wprost do piekła. Stamtąd wypełzła istota, ukrywająca się pod postacią pani Saifre. We dwójkę utkali wspólne dzieło, które teraz jednak zaczynało strzępić się na brzegach. Tak brzmiało tłumaczenie irracjonalne, nad racjonalnym nadal pracował.

Odwrócił się i spojrzał na wrak swojego samochodu. Może dałoby się znaleźć chętnego, który przetransportowałby ten kawał kamienia do jego domu, na pamiątkę? Mógłby umieścić go pośrodku trawnika, żeby koty mogły się na nim wygrzewać. Miał ten samochód bardzo krótko, ale odczuwał za nim dziwną tęsknotę. Cóż, czas poszukać czegoś innego.

– Nie jestem staruszką, szefie. Dam sobie radę.

Ritchie odepchnęła rękę McLeana, ale naprawdę wyglądała jak staruszka, kiedy tak kuśtykała z trudem po korytarzu, co kilka kroków przystając i kaszląc. Mimo wszystko nie nalegał. Pozwoli jej opuścić budynek szpitalny w takim tempie, na jakie ją stać. W końcu przeszła przez piekło. Tyle mógł dla niej zrobić.

– MacBride miał do nas dołączyć, ale poszedł na zdjęcie szwów. Chyba zostanie mu niezła blizna.

Ritchie posłała mu miażdżące spojrzenie.

– Szefie, nie potrzebuję ani twojej, ani jego pomocy.

McLean nie zamierzał się kłócić, wciąż pamiętał, że była bardzo bliska śmierci. Nie zamierzał też podkreślać swojej roli w procesie leczenia. Tak naprawdę wcale nie miał pewności, czy łyk wody święconej odniósł jakikolwiek skutek. Może jednak podziałały leki antywirusowe.

Wyszli przed budynek. Ritchie lekko wyprostowała plecy, wystawiła twarz do słońca. Była potwornie chuda, włosy miała tłuste, rzadkie i proste jak druty, oczy głęboko zapadnięte. Lekarz nakazał długi odpoczynek, ale McLean dodałby do tej recepty bardzo dużo treściwego jedzenia. Chętnie by ją zabrał do „Chez Innes”, tyle że wówczas musiałby zaprosić całą załogę i pewnie męża Gregga na dodatek. To byłby raczej kosztowny wieczór.

– Gdzie samochód? – spytała Ritchie po chwili, spoglądając w stronę parkingu.

– Odholowany na złomowisko w Loanhead.

Ritchie zmarszczyła brwi.

– Rozbiłeś samochód? Masz go przecież od niedawna.

– Nie rozbiłem. Zginął zmiażdżony pod spadającym nadprożem. – McLean przywołał taksówkę, która przez cały czas czekała na niego, nabijając horendalną sumę na liczniku. Ritchie rzuciła mu zdumione spojrzenie, a potem uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Ja nie żartuję.

McLean otworzył drzwi i pomógł Ritchie wsiąść – tym razem nie protestowała – wsiadł za nią i podał kierowcy adres. Ritchie przez cały czas się uśmiechała, z czym było jej znacznie bardziej do twarzy niż z gniewnie ściągniętymi brwiami.

– Zmiażdżony? Serio? – zapytała po chwili.

– Na płask. Szczęście, że akurat nie siedziałem w środku.

– Kupisz sobie nowy? Lubiłam ten samochód.

McLean zapewnił, że owszem, zamierza kupić nowy wóz, chociaż nie miał pojęcia, kiedy znajdzie na to czas.

– Chciała załatwić cały zespół – powiedziała Ritchie, kiedy taksówka przyłączyła się do fali aut, zmierzającej w stronę centrum.

– Chyba tak. Bob Gburek, Stuart, nawet Sandy Gregg, chociaż pracowała z nami ledwo od miesiąca. – McLean przywołał w pamięci obraz Gregga w szpitalu. – Ale daliśmy radę.

– Słyszałam, że nasz biedny Dagwood też dostał po głowie.

– Złodzieje samochodów. Idiota, nic by mu się nie stało, gdyby nie próbował stawiać oporu. Tak nim to wstrząsnęło, że gada o wcześniejszej emeryturze.

– O, w mordę. A Gwiazdka już była. – Ritchie zakaszlała lekko z podekscytowania, na szczęście nie przypominało to wcześniejszego rozrywającego płuca szczekania.

– Nie podniecaj się. Mianował Brooksa na swojego następcę.

– Może to zrobić?
– Raczej nie, ale innego kandydata i tak nie widzę.
– To znaczy, że zostaje wolne stanowisko po Brooksie. – Ritchie spojrzała na inspektora z przebiegłym błyskiem w oku.

McLean uniósł ręce w proteście.

– Na pewno nie ja. Wystarczy, że z wami muszę się męczyć na co dzień.
– To prawda. Nigdy nie wydawałeś mi się ambitnym typem. – Ritchie oparła głowę o podłówek, zamknęła oczy. – Ale jeśli dadzą to stanowisko Spence’owi, zwolni się miejsce inspektora. Ciekawe.

McLean patrzył, jak Ritchie zasypia, mimowolnie kołysząc głową do rytmu jazdy. Wiedział, że nie ma szans na stanowisko Spence’a. Nie dlatego, że nie zasłużyła, ani nie dlatego, że nie chciałby stracić takiej podwładnej. Wiedział, że upłynie kilka miesięcy, nim Ritchie dojdzie do siebie po tajemniczej chorobie. Ta perspektywa powinna ją powstrzymać od uganiania się za awansem w najbliższej przyszłości. Ale nie tylko ona. Ritchie już dawno temu dokonała wyboru, stanęła po jego stronie. Smutne, lecz prawdziwe: ten wybór bardziej niż cokolwiek innego zdeterminuje jej karierę.

– Dowiemy się kiedyś, kto go zabił?

William Beaumont, Billbo, może i spadł na samo dno, ale jego dawny pułk urządził mu przyzwoity pogrzeb. Kościół Old Kirk w Penicuik był pełen żołnierzy śpiewających na całe gardło stare ulubione pieśni, gwardia honorowa w uroczystym umundurowaniu wyniosła trumnę i umieściła na czekającym przed kościołem karawanie, który miał zawieźć ciało na miejsce ostatniego spoczynku – kwaterę na cmentarzu wojskowym, obok dawnych kolegów z plutonu. McLean i Bob Gburek stali tuż przy kamiennej ścianie kościoła, z boku, by nie wchodzić żołnierzom w drogę. A przy okazji chronić się przed najgorszymi podmuchami wiatru.

– Spadł z klifu, Bob. – McLean zaszurał nogami, by przepędzić zimno przenikające do wnętrza butów. – Ale wiem, co masz na myśli. I wiem, kto to zrobił.

– Znowu Weatherly? – Bob Gburek potrząsnął głową. – Nie sądzisz, że przypisujesz mu trochę za dużo win?

– Wiem, że nie mogę tego udowodnić. Poza tym, gdyby nawet, i tak nie dałoby się z tym nic zrobić. Ale to on go zabił. To znaczy, zamierzał, tak jak zabił co najmniej kilkoro z tych ludzi, których zwłoki znaleźliśmy w Rosskettle. Po jednym w odstępie kilku lat.

– A pozostałe ciała? Niektóre liczą kilkaset lat.

– Właśnie o to chodzi. Weatherly nie był pierwszy. Był jak na razie ostatni. Zawarł pakt i dzięki temu zdobył fortunę. Nasz Billbo pokrzyżował mu plany. Uciekł, nim złożyli go w ofierze. Wtedy wszystko wzięło w łeb.

Bob Gburek cicho gwizdnął.

– Pakt z diabłem.

– Z diabłem? Może i tak. Nie wiem. – McLean zadrzał, tym razem może jednak z zimna.

Rzeński północno-wschodni wiatr przynosił arktyczne powietrze znad Skandynawii, drwiąc z ubrań i ludzkiej skóry. McLean przypomniał sobie ostatnie spotkanie z panią Saifre. Kuszącą propozycję, subtelne uwodzenie. Oferta, którą kupiła Weatherly’ego, dla McLeana nie miała

żadnej wartości: wpływy, bogactwo, rozpasanie. W jego przypadku zagrała inaczej. Sugerowała, że będzie mógł ją kontrolować, wykorzystać do szlachetnych celów. I musiał przyznać, że odczuwał pokusę.

– Biedny sukinsyn znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. – Bob Gburek ruchem głowy pokazał karawan, który właśnie odjeżdżał, zostawiając za sobą spiralną wstęgę pary, niczym duchy igrające w mroźnym powietrzu.

– Całkiem możliwe. Zwykle tak bywa.

McLean przyglądał się, jak podpułkownik Bottomley pomaga Gordonowi Johnsonowi wsiąść do samochodu, po czym zajmuje miejsce obok. Samochód odjechał powoli śladem karawanu, na chwilę w szybie mignęła sylwetka Gordona. Siedział prosto jak struna, z uniesioną głową. Mówił, że ciemne anioły przysły po niego, a Bilbo pospieszył mu z pomocą i sam padł ich ofiarą. Heroiczny akt poświęcenia, który przerwał krąg zła.

– Albo znalazł się dokładnie tam, gdzie miał się znaleźć.

Przywykł do kotów siedzących tłumnie w jego ogrodzie i patrolujących ulice wokół domu. Nie wchodziły do domu, za wyjątkiem, rzecz jasna, kotki pani McCutcheon, która, o ile to w ogóle możliwe, wpadła w jeszcze większy samozachwył, przechadzała się dokoła z dumnie uniesionym ogonem, wysiadywała na stole kuchennym z miną pani domu i spała zwinięta w kłębek w nogach jego łóżka.

McLean parę razy wystawił na próbę jedzenie dla swoich wartowników, ale niezmiennie gardziły ofertą. Nie zbliżały się i nie domagały drapania za uchem. Po prostu siedziały tam, obserwowały i – nie mógł się pozbyć tej myśli – chroniły go. Z zadowoleniem skonstatował, że nie zatrzymują listonosza. Dostarczyciel jedzenia na zamówienie też nie odniósł obrażeń.

McLean nie miał żadnych wieści od pani Saifre od czasu ich niedosłego pocałunku kilka tygodni wcześniej. Kiedy mroźne lutowe słońce ustąpiło miejsca marcowym ulewom, które zmyły śnieg i lód i zmieniły ziemię w rozmiękle błoto, zaczął się martwić, że koty odejdą, ale nie, nadal dzielnie trzymały wartę. Ich obecność napełniała go otuchą. Nigdy nie uważał się za wielkiego wielbiciela zwierząt, a już na pewno nie za kociarza. Wziął do siebie kotkę pani McCutcheon z poczucia obowiązku, ona zaś wciąż odwdzięczała mu się za opiekę.

Ale akurat w tej chwili wyraźnie miała go gdzieś. Znikła bez śladu, a na środku stołu, oparta o pieprzniczkę, stała cienka szara koperta formatu A4. McLean z westchnieniem rzucił notatki służbowe i torbę z curry na krzesło, wziął kopertę do ręki i rozerwał.

W środku znalazł kilka zdjęć spiętych spinaczem biurowym, pod którym tkwił pasek papieru z jednym ręcznie wypisanym słowem.

Dziękuję.

Przejrzał fotografie. Na pierwszej widniała pani Saifre wsiadająca do swojego rolls-royce'a zaparkowanego przed domem, który kiedyś należał do Gavina Spensera. Na kolejnym samochód odjeżdżał, a na trzecim parkował obok prywatnego odrzutowca na jakimś anonimowym lotnisku. Na dwóch następnych pani Saifre wsiadała na pokład, samolot odrywał się od ziemi. Nietrudno było ułożyć z tego spójną narrację. I ostatnie zdjęcie. Brama, zamknięta tak jak tamtej nocy, kiedy tam poszedł, noc, podczas której o mało wszystkiego diabli nie wzięli. Tyle że tym razem na bramie wisiał wielki znak z logo jednego z najsłynniejszych edynburskich notariuszy i napis złożony z wielkich niebieskich liter,

głoszący „Na sprzedaż”.

– Wyjechała – powiedział McLean do pustej kuchni – ale raczej nie na zawsze.

Zostawił zdjęcia na stole, podszedł do drzwi od frontu i pozbierał z podłogi pocztę. Głównie śmiecie, jak zwykle parę katalogów adresowanych do babci oraz jedna mała sfatygowana pocztówka. Od razu wiedział, od kogo. Emma niezmiennie wybierała widoki ruin i zawsze udawało jej się wynaleźć miejsca, o których nawet on nie słyszał. Ten pochodził z Czarnogóry, przedstawiał stary klasztor przyklejony na szczycie klifu, otoczonego śródziemnomorskim krajobrazem. Pocztówka wyglądała tak, jakby wydrukowano ją w epoce komunizmu i bardzo źle potraktowano w czasie podróży do Szkocji. Odwrócił ją i przeczytał:

Powoli posuwam się dalej. Dwie smutne dusze pochodzą z tego miejsca. Płakały podczas rozstania. To jak stracić bliskich przyjaciół. Kieruję się na wschód. Za każdym razem jest coraz trudniej. Tęsknię. E.

Pod spodem cztery duże X i nic poza tym. McLean zebrał pocztę, wrócił do kuchni i wrzucił do śmietnika. Potem podszedł do lodówki, wyjął piwo, wyłożył ryż i curry na talerz. Trochę zostawił dla kotki pani McCutcheon, bo przypuszczał, że jeszcze zaszczyci go swoją obecnością. Na koniec wsunął zdjęcia do koperty i oparł pocztówkę o pieprzniczkę, żeby podczas kolacji patrzeć na słowa skreślone ręką Emmy.

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61